

STANISŁAW LEM

Doskonała Próżnia

Pisanie recenzji z nie istniejących książek nie jest wynalazkiem Lema; nie tylko u pisarza współczesnego - J. L. Borgesa - znajdujemy takie próby (np. jako „Omówienie dzieła Herberta Quaine” w tomie „Labyrinty”), koncept sięga dalej - i nawet Rabelais nie był pierwszym, który go użył. Lecz „Doskonała próżnia” jest kuriozalna o tyle, że chce być antologią tylko takich właśnie krytyk. Systematyczność pedanterii czy żartu? Podejrzewamy autora o intencję żartu, a wrażenia tego nie osłabia wstęp - sążnisty i teoretyczny, w którym czytamy: „Pisanie powieści to forma utraty swobód twórczych. (...). Z kolei recenzowanie książek to katorga jeszcze mniej szlachetna. O pisarzu da się przynajmniej powiedzieć, że sam siebie zniewolił - obranym tematem. Krytyk jest w gorszym położeniu: jak katorżnik do swych tacek, tak do dzieła omawianego przykuty jest recenzent. Pisarz traci wolność we własnej, krytyk - w cudzej książce”. Emfaza tych uproszczeń jest zbyt jawna, byśmy ją brali serio. W dalszym akapicie wstępu („Autozoil”) czytamy: „Literatura opowiadała nam dotąd o fikcyjnych postaciach. My pójdziemy dalej: będziemy opisywali fikcyjne książki. Oto szansa odzyskania swobód twórczych, a jednocześnie zaślubiny dwóch sprzecznych duchów - beletrysty i krytyka”. „Autozoil” - wywodzi Lem - ma być kreacją swobodną „w kwadracie”, ponieważ krytyk tekstu, jeśli wprowadzony w sam ów tekst, będzie miał więcej szans manewrowych od narratora tradycyjnej czy nietradycyjnej literatury. Z tym można by się zgodzić, bo istotnie literatura walczy dziś o większy dystans do tworzonego, jak biegacz o drugi oddech. Gorzej, że ten uczony wstęp jakoś nie chce się kończyć. Lem opowiada w nim o dodatnich stronach nicości, o idealnych obiektach matematycznych i nowych metapoziomach języka. Jak na żart, trochę to już przeciągnięte. Co więcej - uwerturą tą Lem wyprowadza czytelnika (a może i samego siebie?) w pole. Gdyż na „Doskonałą próżnię” składają się pseudorecenzje, które nie są tylko zbiorem kawałów. Podzieliłbym je, w niezgodzie z autorem, na takie trzy grupy:

1) Parodie, pastisze i kpiny: tu należą „Robinsonady”, „Nic, czyli konsekwencja” (oba teksty drwią, niejednakowo, z Nouveau Roman), ewentualnie jeszcze - „Ty” i „Gigamesz”. Co prawda pozycja „Ty” jest dosyć ryzykowna, albowiem wymyślić złą książkę, którą można zjechać za to, że zła, jest rzeczą zbyt taną. Najoryginalniejsza formalnie jest powieść „Nic, czyli konsekwencja”, ponieważ na pewno nikt nie mógłby jej napisać, więc chwyt zastosowany, pseudorecenzji, pozwala na sztuczkę akrobatyczną: jako krytykę książki, której nie tylko nie ma, ale nie może być. „Gigamesz” najmniej przypadł mi do gustu. Chodzi o worek i o szydło; czy jednak doprawdy warto zbywać takimi dowcipami arcydzieła? Być może, jeśli się ich samemu nie pisze.

2) Szkice brulionowe (bo to są w końcu swoiste bruliony), takie jak „Gruppenfuhrer

Louis XVI” lub „Idiota”, a także „Kwestia tempa”. Każdy z nich mógł, kto wie, zostać embrionem dobrej powieści. Ale te powieści trzeba by jednak pierwszej napisać. Streszczenie, krytyczne czy nie, to w końcu tylko przystawka, robiąca nam apetyt na danie, jakiego nie ma w kuchni. Dlaczego nie ma? Krytyka insynuacjami to nie fair play, ale raz sobie na nią pozwolę. Autor miał pomysły, których nie potrafił zrealizować w pełnym formacie; napisać nie umiał, a nie pisać było mu żal: ot i cała geneza tej części „Doskonałej próżni”. Lem, dostatecznie bystry, żeby przewidzieć właśnie taki zarzut, postanowił się osłonić - wstępem. Dlatego mówi w „Autozoilu” o nędzy warsztatu prozy, o tym, jak to trzeba po rzemieślniczemu wystrugiwać opisy, że „markiza wyszła z domu o piątej”. Lecz dobry warsztat nie jest nędzny. Lem przeląkł się trudności, jakie stawiał każdy z trzech tytułów, nazywanych przeze mnie tylko przykładowo. Wolał nie ryzykować, wykręcić się sianem, pójść na unik. Mówiąc, jak to „każda książka jest grobem bez liku innych, które unicestwiła, bo wyparła”, daje do zrozumienia, że ma pomysłów więcej niż biologicznego czasu (Ars longa, vita brevis). Ale znacznych, wiele rokujących pomysłów nie ma aż tak wiele w „Doskonałej próżni”. Są w niej pokazy zręczności, o których wspomniałem; lecz wówczas idzie o żarty. Podejrzewam jednak rzecz poważniejszą, mianowicie - tęsknotę nie do urzeczywistnienia. O tym, że się nie mylę, przekonuje mnie ostatnia grupa utworów tomu. Takich jak „De Impossibilitate Vitae”, „Kultura jako błąd” - a zwłaszcza - „Nowa Kosmogonia”. „Kultura jako błąd” stawia na głowie poglądy, jakie Lem niejednokrotnie wygłaszał, tak w swoich książkach beletrystycznych, jak dyskursywnych. Erupcja technologii, tam piętnowana jako likwidatorka kultury, tu zostaje pasowana na wyzwolicielkę ludzkości. Po raz drugi okazuje się Lem apostata w „De Impossibilitate Vitae”. Niechaj nas nie zmyli zabawny absurd długich łańcuchów przyczynowych kroniki rodzinnej: nie o te komiczności anegdoty idzie, lecz o atak na święte świętych Lema - na teorię prawdopodobieństwa, więc przypadku, więc tej kategorii, na której budował i wznosił rozmaite swoje obszerne koncepcje. Atak odbywa się w sytuacji błazeńskiej i to ma stępić jego ostrze. Czy był więc choć przez chwilę niegroteskowo pomyślany? Wątpliwości takie rozprasza „Nowa Kosmogonia”, istna piece de resistance książki, schowana w niej niczym koń trojański. Ani to żart, ani recenzja fikcyjna, więc co właściwie? Przyciężki byłby to żart, obwieszony tak masywną argumentacją naukową - wiadomo, Lem zjadł encyklopedie, wystarczy potrząsnąć nim, żeby zamrowiło od logarytmów i formuł. „Nowa Kosmogonia” to fikcyjna oracja laureata Nagrody Nobla, rysująca rewolucyjny obraz Universum. Gdybym nie znał żadnej innej książki Lema, mógłbym ostatecznie przypuścić, że miał to być kawał dla trzydziestu wtajemniczonych, to jest fizyków i innych relatywistów na całym świecie. Wydaje

się to jednak nieprawdopodobne. A więc? Podejrzewam, znowu, koncept, który autora olśnił - i którego się przeląkł. Oczywiście nigdy się do tego nie przyzna, i ani ja, ani nikt inny nie udowodni mu, że na serio wziął obraz Kosmosu jako Gry. Może się zawsze powołać na żartobliwość kontekstu, na sam tytuł książki („Doskonała próżnia” - a więc mówi się „o niczym”), zresztą najlepszy azyl i wymówka to *licentia poetica*. A jednak sądzę, że za wszystkimi tymi tekstami kryje się powaga. Kosmos jako Gra? Intencjonalna Fizyka? Czciiciel nauki, leżący plackiem przed jej św. metodologią, Lem nie mógł się pasować na jej pierwszego herezjarchę i odszczepieńca. Nie mógł zatem tej myśli włożyć do żadnej dyskursywnej wypowiedzi. A znów uczynić ideę „Gry w Kosmos” osią fabularnej intrygi - znaczyłoby to napisać jeszcze jedną, którąś tam z rzędu pozycję „normalnej Science Fiction”. Cóż pozostawało? Na zdrowy rozum - nic innego, jak milczeć. Otóż książki, których literat nie pisze, do których nie weźmie się na pewno, żeby tam nie wiedzieć co, którym można przypisać fikcyjnych autorów - takie książki, przez to, że nie istnieją, są chyba dziwnie podobne do solennego milczenia? Czy można się jeszcze bardziej oddystansować od heterodoksyjnych myśli? Jeśli się mówi o tych książkach, o tych wystąpieniach, jako cudzych - to tyle prawie, co mówić - milcząc. Zwłaszcza gdy odbywa się to w scenerii żartu. A więc z wynoszonych pod sercem długoletnich głodów za pożywnym realizmem, z myśli zbyt zuchwałych względem poglądów własnych, aby można je wprost wypowiedzieć, ze wszystkiego, o czym się roi nadaremnie - wynika właśnie „Doskonała próżnia”. Teoretyczny wstęp, co niby uzasadnia „nowy gatunek literatury” - to manewr dla odwrócenia uwagi, to ruch eksponowany rozmyślnie, jakim prestidigitator odwodzi nasz wzrok od tego, co naprawdę robi. Mamy uwierzyć, że odbędą się pokazy zręczności, kiedy jest inaczej. To nie chwyt „pseudorecenzji” zrodził owe utwory, to one, domagając się - na próżno - wyrazu, posłużyły się tym chwytym jako ekskuzą i pretekstem. Pod nieobecność chwytu wszystko to pozostałoby w sferze przemilczeń. Chodzi bowiem o zdradę fantazjowania na rzecz dobrze uziemionego realizmu, o zaprzaństwo w empirii, o herezję w nauce. Czyżby Lem myślał, że nie zostanie przejrany w swej machinacji? Jest wcale prosta: ze śmiechem wykrzykiwać to, czego by się nie śmiało poważnie wyszeptać. Wbrew temu, co mówi wstęp, krytyk nie musi być „przykuty do książki jak katorżnik do tacek”: nie w tym jego wolność, że może książkę wywyższyć lub poniżyć, lecz w tym, że może przez nią spojrzeć, jak przez mikroskop, w autora, a wówczas „Doskonała próżnia” okazuje się opowieścią o tym, czego się chce, ale czego się nie ma. To książka marzeń nie spełnionych. I jedynym fortem, jakiego mógłby jeszcze użyć kluczący Lem, byłby kontratak: w postaci twierdzenia, że to nie ja, krytyk, lecz on sam, autor, napisał niniejszą recenzję i uczynił z niej kolejną część „Doskonałej próżni”.

„LES ROBINSONADES”

par Marcel Coscat

(Ed. du Seuil - Paris)

Po Robinsonie Defoego przyszedł, dla dziatwy okrojony, Robinson szwajcarski oraz mnóstwo dalej infantylizowanych wersji bezludnego żywota; parę zaś lat temu „Olimpia” paryska opublikowała, idąc z duchem czasu, „Życie seksualne Robinsona Crusoe”, rzecz trywialną, której autora i nazywać nie warto, ukrył się bowiem pod jednym z tych pseudonimów, co stanowią własność samego wydawcy, angażującego wyrobników pióra w wiadomym celu. Lecz na „Robinsonady” Marcela Coscat warto było poczekać. Jest to Robinsona Crusoe życie towarzyskie, prace społeczno-charytatywne, jego żywot mozolny, trudny i tłumny, albowiem chodzi o socjologię samotności - o masową kulturę wyspy bezludnej, wprost pękającej od tłoku pod koniec powieści. Pan Coscat nie napisał, jak rychło spostrzeżę czytelnik, utworu o charakterze plagiatowym ani komercyjnym. Nie zajmuje się ani sensacją, ani pornografią bezludzia, kierując chuć rozbitka ku drzewom palmowym z ich włochatymi kokosami, ku rybom, kozom, siekierom, grzybom i wędlinom, uratowanym ze strzaskanego statku. W tej książce, na przekór „Olimpii”, Robinson nie jest już rozjuszonym samcem, który niczym falliczny jednorozec tratując krzewy, zasiewy trzciny cukrowej i bambusu, gwałci piaski plaży, szczyty górskie, wody zatoki, skwiry mew, wyniosłe cienie albatrosów czy rekiny, burzą ku brzegowi zapędzane. Łaknący takich treści nie znajdzie w tej książce pożywienia dla rozjątrzonej wyobraźni. Robinson Marcela Coscat jest to logik w stanie czystym, skrajny konwencjonalista, filozof, który wyprowadził z doktryny wnioski tak daleko, jak to było możliwe, rozbitcie zaś statku - trójmasztowca „Patrycji” - było dlań jedynie otwarciem wrót, przecięciem sznurów, przygotowaniem laboratoryjnej aparatury pod eksperyment, bo to był akt, który umożliwił mu dotarcie do własnego jestestwa, nie skażonego obecnością Innych. Sergiusz N., rozpoznawszy swe położenie, nie tyle godzi się ulegle, ile postanawia zostać prawdziwym Robinsonem, zaczynając od dobrowolnego przyjęcia tego właśnie imienia, co jest o tyle racjonalne, że z dotychczasowego żywota nie będzie mógł już czerpać żadnych korzyści. Los rozbitka, w całokształcie bytowych niewygód, jest dostatecznie już niemiły, żeby go jeszcze warto było doprawiać daremnymi z góry wysiłkami pamięci, rozżęsknionej za utraconym. Taki świat, jaki się zastaje, trzeba po ludzku urządzić; a więc zarówno wyspę, jak i siebie postanawia były Sergiusz N. urobić od zerowego początku. Nowy Robinson p. Coscat nie ma żadnych złudzeń; wie, że bohater Defoego był fikcją, jego zaś życiowy wzorzec - marynarz Selkirk - okazał się, odnaleziony przypadkiem po latach przez jakiś bryg, istotą tak

dokumentnie zbydlęconą, że wyzbytą mowy. Robinson Defoego ocalił się nie dzięki Piętaszkowi - ten przybył zbyt późno - ale że sumiennie liczył na kompanię surową wprawdzie, lecz najlepszą z możliwych dla purytanina - samego Pana Boga mianowicie. To ów towarzysz narzucił mu srogi pedantyzm zachowania, uporczywą pracowitość, rachunki sumienia i tę zwłaszcza skromność schludną, która tak rozjuszyła autora paryskiej „Olimpii”, że ją frontalnie wziął na rogi wyuzdania. Sergiusz N., czyli Nowy Robinson, czując w sobie niejaką moc twórczą, jednego nie sporządzi na pewno i o tym wie z góry: Najwyższy na pewno mu nie wyjdzie. Jest to racjonalista i jako racjonalista zabiera się do dzieła. Rozważyć chce wszystko, a więc zaczyna od tego, czy może nie byłoby rzeczą najroztropniejszą nic zgoła nie robić; najpewniej doprowadzi to do obłąkania, lecz kto wie, czy ono nie będzie pozycją wcale wygodną; Ba, gdybyż to można sobie było dobrać typ szaleństwa niczym krawat do koszuli; euforię chłopomaniakalną z jej trwałą radością, Robinson chętnie by nawet sobie zaszczeplił, ale skąd pewność, czy nie zdryfuje w depresję, kończącą się próbami samobójstwa? Ta myśl zraza go, zwłaszcza pod względem estetycznym, a poza tym bierność nie leży w jego naturze. Na powieszenie się czy utopienie też zawsze będzie miał chwilę czasu - więc i taki wariant odkłada ad acta. Świat snów - mówi sobie na jednej z pierwszych stron powieści - to jest owo Nigdzie, które może być wręcz doskonałe; to utopia, osłabiona w wyrazistości, bo słabowicie rozcapierzona, tonąca w nocnych pracach mózgu, który nie stoi wówczas na wysokości zadań jawy. „We śnie odwiedzają mnie - rzecze Robinson - rozmaite osoby i zadają mi pytania, na które nie znam odpowiedzi, póki nie padnie z ich ust. Miałołby to oznaczać, że te osoby są kawałkami, odsznurowującymi się od mego jestestwa, jego pepowinowym przedłużeniem? Mówić tak to popadać w okropny błąd. Jak nie wiem, czy owe już smaczne dla mnie glisty, tłusciutkie białe robaki znajdują się pod tym oto płaskim kamieniem, który poczynam troskliwie podważać dużym palcem bosej nogi, tak też nie wiem, co kryje się w umysłach osób, wizytujących mnie we śnie. Względem mojego Ja są zatem te osoby równie zewnętrzne jak te glisty: nie o to wcale idzie, żeby zatrzeć różnicę między snem i jawą - to jest droga szaleństwa! - lecz o to, żeby wytworzyć nowy, lepszy porządek. Co we śnie udaje się tylko niekiedy, byle jako, pokrętnie, chwiejnie i od wypadku, należy naprostować, ścisnąć, dokojarzyć i umocnić; sen do jawy przycumowany, na jawę jako metoda wyprowadzony, jawie służący, jawę zaludniwszy, napchawszy ją samym najlepszym towarem, przestanie być snem, a jawa, pod wpływem takiej kuracji, stanie się i po staremu trzeźwa, i po nowemu ukształtowana. Ponieważ jestem sam, nie muszę liczyć się już z nikim; ale, ponieważ zarazem wiedza o tym, iż sam jestem, to dla mnie trucizna, przeto nie będę sam; faktycznie na Pana Boga mnie nie stać, ale to jeszcze nie znaczy od razu, że nie stać

mnie na Nikogo!” I dalej powiada nasz logiczny Robinson: „Człowiek bez Innych to ryba bez wody, ale jak większość wód jest brudna i zapaskudzona tak i moje środowiska były śmietnikami. Krewnych, rodziców, szefów, nauczycieli nie sam sobie wybierałem, nawet kochanek to dotyczy, bo się nawijały, jak popadło: w tym przebierałem (jeśli w ogóle przebierałem), co traf dał. Skoro, jak byle śmiertelnik, skazany byłem na porodowo-rodzinno-towarzyskie okoliczności przypadkowe, to i nie ma czego żałować. A przeto: niech się rozlegnie pierwsze słowo Genesis: »Precz z tym chłamem! «”. Wypowiada, widzimy, te słowa z namaszczeniem, dorównującym Stwórczemu: „Niech się stanie...” Gdyż właśnie świat sobie zaczyna stwarzać Robinson od zera. Już nie tylko za sprawą akcydentalnej katastrofy oczyszczony od ludzi, lecz z postanowienia rozpoczyna kreację na całego. Tak doskonały logicznie bohater Marcela Coscat nakreśla program, który go potem zniszczy i wyszydzi - czyżby, niczym ludzki świat, swojego Stwórcę? Robinson nie wie, od czego zacząć: miałaby otoczyć się istotami idealnymi? Aniołami? Pegazami? (Przez kilka chwil ma chrapkę na centaura.) Ale, wyzbyty złudzeń, pojmuje, że obecność istot jakoś doskonałych bokiem mu wyjdzie. Toteż na początek przydaje sobie tego, o kim dotąd, dawniej, tylko mógł roić, mianowicie wiernego sługę, butlera, garderobianego i lokaja w jednej osobie - tłustego (tłusci są pogodni!) Glumma. W toku tej pierwszej Robinsonady rozmyśla nasz czeladnik na Kreatora o demokracji, którą, jak każdy człowiek (tego jest pewien), znosił jeno z konieczności. Jeszcze chłopcem marzył przedseinnie o tym, jak by to lubo było urodzić się wielkim panem w jakowymś średniowieczu. Teraz nareszcie marzenia może ziścić. Glumm jest porządnie głupi, bo tym pana swego samoczynnie wywyższa; do głowy nic mu oryginalnego nie przychodzi, więc służb nigdy nie wymówi; wszystko spełnia w lot, to nawet, czego pan jeszcze nie zdążył zażądać. Autor nie wyjaśnia wcale, czy Robinson i jak za Glumma pracuje, ponieważ opowieść płynie od pierwszej (Robinsona) osoby: jeżeli więc nawet ów (a jak może być inaczej?) wszystko to sam ciszkciem-milczkiem czyni, co uchodzi potem za wyniki lokajskich służb, działa wówczas w doskonałej bezmyślności, toteż dostrzegalne są tylko rezultaty owych mozołów. Ledwo Robinson przetrze rankiem oczy, jeszcze snem sklezione, już leżą u jego wezglowia troskliwie przygotowane ostryżki, jakie najbardziej lubi, morską wodą lekko posolone, kwaskiem szczawiovych ziół przyprawione do smaku, a na przekąskę - glisty miękkie, jak maselko białe, na schludnych talerzykach-kamykach; a ot opodal i buciki się świecą do blasku wyczyszczone kokosowym włóknem, i odzież czeka, głazem gorącym od słońca wyprasowana, gdzie i u spodni kant, i u surduta świeży kwiatusek, ale pan i tak zwykle trochę pozrzedzi, śniadając i ubierając się, na obiad zamawia rybitwę, na kolację - mleczko kokosowe, ale dobrze wychłódłe - Glumm, jak na

dobrego butlera przystało, rozkazów słucha, jasna rzecz, w kornym milczeniu. Pan zrzędzi - sługa słucha; pan każe - sługa musi; miłe to życie, spokojne, trochę jak jakiś wczas wioskowy. Robinson chodzi na spacer, zbiera kamyki co ciekawsze, kolekcję nawet sobie ich zakłada, Glumm tymczasem posiłki szykuje - a przy tym sam w ogóle nic nie je: co za oszczędność na ekspensie i wygoda! Lecz niebawem wewnątrz stosunków Pana i Sługi pojawia się pierwsze ziarno piachu. Istnienie Glumma nie jest do zakwestionowania: wątpić w nie to tyle, co wątpić w to, że drzewa stoją i chmury płyną także, kiedy nikt na nie nie patrzy. Lecz służbistość lokaja, staranność jego, wierny posłuch, uległość stają się wręcz nużące. Buty zawsze czekają wyczyszczone, ostryżki pachną u twardego łoża co rana, Glumm nic nie gada - jeszcze by też, Pan nie znosi służących rezonerów, ale z tego widać, że Glumma jako osoby w ogóle na wyspie nie ma; Robinson postanawia coś takiego dodać, co sytuację, zbyt prostą, więc prymitywną, podrafinuje. Dorobić Glummowi opieszałości, przekory, figli w głowie się nie da: już przecież taki jest, jaki jest właśnie; zbyt mocno zaistniał; angażuje tedy Robinson jako pomocnika-kuchcika małego Smena. Brudne to, ale przystojne, rzekłbyś - niemal cygańskie chłopię, trochę leniuch, ale bystry, skłonny do psich figlów, i teraz nie Pan, lecz Lokaj zaczyna mieć coraz więcej roboty - nie z obsługiwaniami Pana, lecz z ukrywaniem przed pańskim okiem wszystkiego, czego ten smarkacz nie wymyśli. W efekcie Glumma, że jest wciąż zajęty kurtyzowaniem Smena, nie ma w wyższym nawet stopniu niż dotąd, Robinson może czasem, od niechcienia, słuchać odgłosów połajanek Glummowych, niesionych w jego stronę wiatrem morskim (głos Glumma, skrzeczący - dziwnie przypomina głos dużych rybitw), ale sam przecież w te swary sług wkraczać nie będzie! Smen odciąga Glumma od Pana? Smen pójdzie precz, już został wygoniony na cztery wiatry. Nawet ostrygi podjada! Pan gotów zapomnieć o małym epizodzie - cóż, kiedy Glumm nie całkiem potrafi. Opuszcza się w pracach: łajanie nic nie pomaga; lokaj dalej milczy, cichszy od wody, niższy od trawy, ale coś, teraz to jasne, sobie zaczął myśleć. Nie będzie Pan brał na spytki lokaja ani się jego szczerości dopraszał - komuż ma być spowiednikiem?! Nie idzie wszystko jak z płatka, surowe słowo nie skutkuje - a więc i ty, stary durniu, zmiataj mi z oczu! Naści trzymiesięczną pensję - bodajęś szczeż!

Robinson, dumny jak każdy Pan, cały dzień zmarnuje, żeby tratwę sklecić, tak dostaje się na pokład roztrzaskanej u raf „Patrycji”: pieniędzy, na szczęście, bałwany nie zabrały. Rachunki wyrównane, Glumm znika, cóż - kiedy pieniądze odliczone pozostawił. Robinson, tak zelżony przez lokaja, nie wie, co czynić. Czuje popełniony błąd, chociaż na razie tylko samą intuicją: co, co takiego się nie udało!/? Jam Pan, ja wszystko mogę! - rzecze sobie zaraz na pokrzepienie i angażuje Sierodkę. Jest ona - domyślamy się - zarazem przywołaniem

paradygmatu Pietaszka i jego opozycją (Piętaszek tak się ma do Sierodki, jak Piątek do Środy). Lecz to młode, dość sobie proste dziewczę mogłoby wystawić Pana na pokusy. Mógłby łatwo zginać w jej objęciach cudownych, ponieważ nieosiągalnych, zatracić się gorączką w rui i porubstwie, oszaleć na punkcie bladego, zagadkowego uśmiešku, nikłego profilka, pięt bosych, gorzkich od popiołu ogniska, woniejących baranim tłuszczem płatków uszu. Więc od razu, z dobrego natchnienia, czyni Sierodkę trójnogą; w zwykleszej, to jest trywialnie obiektywnej codzienności nie mógłby tego uczynić! Lecz tu jest Panem Stworzenia. Zrobił tak, jak ten, kto, mając beczkę metylowego alkoholu, trującego, a zapraszającego do opilstwa, sam ją przed sobą zagwaźdza, albowiem będzie żył w podległości pokusy, której nigdy nie zaspokoi; zarazem będzie miał mnóstwo roboty myślowej, bo jego chuć wciąż będzie jurnie odejmowała beczce jej szpunt hermetyczny. Tak to będzie odtąd Robinson żył obok trójnogiej dziewczyny, zdolny, owszem, imaginować ją sobie bez środkowej nogi, lecz to i wszystko. Zostanie bogaczem uczuć nie wydatkowanych, umizgów nie strwonionych (bo niby po co je trwonić przy kimś takim?). Mała Sierodka, kojarząc mu się i z sierotką, i ze Środkiem (Mittwoch, środek tygodnia: Sexus jawnie w tym usymboliczniony), zostanie jego Beatrycą. Czy ta durna dzierlatka-czternastolatka wiedziała w ogóle cokolwiek o dantejskich skurczach pożądliwości Dantego? Robinson jest prawdziwie z siebie zadowolony. Sam ją stworzył i sam ją przed sobą - trójnożnością - w tymże akcie zabarykadował. Rychło atoli rzecz trzeszczeć zaczyna. Skoncentrowawszy się na skądinąd ważnym problemie, Robinson zarazem zaniedbał tytułu ważnych rysów Sierodki! Najpierw idzie o rzeczy jeszcze dosyć niewinne. Chciałby czasem podpatrywać małą, ale dość ma dumy na to, żeby się tej chęci przeciwstawić. Lecz potem rozlażą się mu po mózgu myśli rozmaite. Dziewczyna robi to, co dawniej do Glumma należało. Ostryg zbieranie nic to; ale pielęgnacja garderoby Pana, nawet jego osobistej bielizny? W tym już można dostrzec pierwiastek dwuznaczności - nie! - jednoznaczności zgoła! Więc wstaje chyłkiem, całkiem ciemną nocą, kiedy ona jeszcze śpi na pewno, żeby ineksprymable wyprać w zatoczce. Ale, skoro zaczyna tak wcześnie wstawać, właściwie dlaczego nie mógłby raz jeden, ot tak, dla śmiechu (ale tylko swojego, pańskiego, samotnego śmieszku) wyprać jej rzeczy? Czy nie obdarował jej nimi? Sam, na przekór rekinom, wypływał parokrotnie, aby spenetrować kadłub „Patrycji” - jakoż znalazł nieco damskich fatałaszków, spódniczek, sukienek, majteczek; a kiedy je wypierze, trzeba wszak wszystko powiesić na sznurku między pniami dwu palm. Niebezpieczna zabawa! I to tym bardziej niebezpieczna, że choć Glumma już na wyspie nie ma jako lokaja, nie szczeł on przecież do końca. Robinson prawie że słyszy jego sapiący oddech, myśli się jego domyśla: mnie to jakoś Wielmożny Pan nic nigdy nie wyprał.

Istniejąc, Glumm nigdy by nie považył się powiedzieć czegoś taką zuchwałą aluzją nadzianego, lecz nieobecny okazuje się fatalnie gadatliwy! Nie ma Glumma, w samej rzeczy: lecz jest pustka po nim! Nie widać go w żadnym konkretnym miejscu, ale i kiedy służył, chował się skromnie, wszak i wtedy nie włąził Panu w drogę, na oczy nie śmiał się pokazywać. Teraz Glummem wprost straszy: jego patologiczny słuźalczy wytrzeszcz, jego skrzekliwy głos - wszystko nadciąga; odległe sprzeczki ze Smenem - skrzeczą w skwirach byle rybitwy; to Glumm nadstawia włochatą pierś w dojrzałych kokosach (do czego prowadzi bezwstyd takich aluzji!), wygina się łuską palmowych pni i rybimi oczami (wytrzeszcz!) jak topielec spod fali wypatruje Robinsona. Gdzie? Ano tam, gdzie skała na cyplu - bo miał swoje małe hobby Glumm: lubił siadywać u przylądka i przeklinać chrapliwie stare, a przez to całkiem osłabłe wieloryby, puszczające swoje fontanny w ramach rodzinnego życia na oceanie. Żeby to się można było z Sierodką dogadać, a przez to stosunki, już bardzo niesłuźbowe, osadzić, zawęzić, uprzystojnić wedle posłuchu i rozkazu, surowości i dojrzałości pańsko-męskiej! Ależ to prosta w gruncie rzeczy dziewczyna; o Glummie ani słuźszała; mówić do niej to tyle, co gadać do obrazu. Jeśli nawet sobie jakieś swoje pomysły - na pewno nigdy nic nie powie. Niby to z prostoty, nieśmiałości (toż słuźy!), ale naprawdę taka dziewczynskość jest instynktownie chytra, wybornie całą skórą pojmuje, ku czemu - nie: przeciwko czemu Pan rzeczowy, spokojny, opanowany i wyniosły! Znika nadto na całe godziny: do nocy jej nie widać. Może Smen? No, bo nie Glumm, to wykluczone! Nie ma go na wyspie na pewno! Naiwny czytelnik (takich niestety nie brak) już tu zdolen pomyśleć sobie, że Robinson cierpi od omamów, że wkroczył w szaleństwo. Nic podobnego! Jeśli jest niewolnikiem, to tylko własnej kreacji. Nie może bowiem powiedzieć sobie tej rzeczy jedynej, która podziałałaby nań w sposób radykalny - ozdrowieńczo. A mianowicie, że Glumma w ogóle nigdy nie było, tak jak i Smena. Po pierwsze, tym samym ta, która jest teraz - Sierodką - uległaby, jako bezbronna ofiara, niszczącemu przyplýwowi tak jawnej negacji. Ponadto zaś, raz tak złożone wyjaśnienie kompletnie, na zawsze już Robinsona sparaliżuje jako Stwórcę. Toteż bez względu na to, co jeszcze się stanie, on się tak samo nie może przyznać przed samym sobą do nicości stwarzanego, jak się rzetelny, prawdziwy Stwórca nigdy nie przyzna do stworzonego - złości. Gdyż to by znaczyło, w obu wypadkach, klęskę całkowitą. Bóg zła nie stworzył; i Robinson w jakowymś nic przez analogię też nie pracuje. Każdy jako więzień swojej Genesis z ducha. Tak to jest Robinson bezbronnym na Glumma wydany. Glumm jest - ale zawsze dalej, niżby go można dosięgnąć kamieniem, pałką, i nie pomoże nawet zastawianie nań przywiązanej po ciemku do palika Sierodki (do czego już Robinson dochodzi!). Wgnany lokaj jest nigdzie, a przeto wszędzie. Nieszczęsny Robinson,

co tak chciał uniknąć bylejakości, tak otoczyć się zamierzał wybrańcami, zanieczyścił sobie, bo zaglummił całą wyspę. Bohater cierpi istne katusze. Doskonale są zwłaszcza opisy nocnych sprzeczek z Sierodką, owych dialogów, rytmicznie poprzedzielanych jej nadąsanym, samiczym, kuśliwie pęczniejącym milczeniem rozmów, w których Robinson zatracca wszelką miarę, hamulce, cała pańskość opada z niego, już jest jej po prostu własnością - od jej jednego skinienia, od mrugnięcia, od uśmiechu zależny. A czuje przez ciemność ten mały, nikły uśmiech dziewczyny, kiedy zaś, znużony, zlany potem, przewraca się do świtu na twardym posłaniu, nachodzą go myśli rozwiązłe i szalone; poczyną sobie roić, co też by mógł uczynić z Sierodką... może zadziałać w sposób rajski? Stąd - w jego roztrząsaniach - aluzje, poprzez pychę z chustki i pytona, do biblijnego węża, stąd odcinanie, na próbę, głowy mewie, żeby z niej, po odjęciu litery „M”, pozostała sama tylko Ewa, której Adamem, jasna rzecz, zostałby Robinson. Lecz wie dobrze, że jeśli Glumma pozbyć się nie może, choć ten był mu wysoce obojętny w czasie swego lokajstwa, to już plan usunięcia Sierodki oznaczałby katastrofę. Każda forma jej obecności lepsza jest od rozstania: to jasne. Więc przychodzi historia upodlenia. Conocne pranie fatalaszków staje się jakowymś misterium prawdziwym. Zbudzony w środku nocy, pilnie nasłuchuje jej oddechu. Wie zarazem, że teraz może przynajmniej walczyć z sobą o to, aby nie poruszyć się z miejsca, aby w tamtym kierunku nie wyciągnąć ręki - ale, gdyby wygonił małą okrutnicę, a, wówczas koniec! W pierwszych promieniach słońca jej bielizna, tak sprana, wybielona słońcem, dziurawa (o, lokalizacja tych dziur!), frywolnie furkoce na wietrze; Robinson poznaje wszystkie możliwości męczarni najbanalniejszych, jakie są przywilejem nieszczęśliwie zakochanego. A jej nadtluczone lusterko, a jej grzebyk... Robinson zaczyna uciekać z jaskini-mieszkania, już nie brzydzi się rafy, z której lżył Glumm stare, leniwe wieloryby. Lecz dłużej tak być nie może: a więc niech nie będzie. I oto podąża na plażę, aby czekać na wielki, biały kadłub „Pherganica”, parowca transatlantyckiego, który burza (też chyba poręcznie wyimaginowana?) wyrzuci na ciężki piach, parzący stopy, zasnuty lśnieniem umierających perłopławów. Cóż to jednak oznacza, że niektóre perłopławy kryją w sobie szpilki do włosów, a inne wypływają miękkośluzowym mlaśnięciem - pod nogi Robinsona - niedopałki zmoczonych cameli? Czy nie wskazuje rzecz wyraźnie, znakami tymi, na to, że nawet plaża, piach, drgająca woda i jej piany, ściekające w toń po gładziźnie, także nie są już częstkami materialnego świata? Lecz czy tak jest, czy nie jest - przecież ów dramat, który rozpoczyna się na plaży, gdy kadłub „Pherganica”, prujący się na rafach w potwornym łoskocie, wysypuje swoją niewiarygodną zawartość przed tańczącym Robinsonem, ten dramat jest całkiem realny, jako płacz uczuć nie odwzajemnionych... Od tego miejsca, wyznajmy, książka staje się coraz trudniejsza do

zrozumienia i wymaga nie byle jakiego wysiłku odbiorcy. Linia rozwojowa, dotąd precyzyjna, wikła się i pętli. Czyżby autor umyślnie chciał dysonansami zamącić wymowę romansu? Do czego służą oba stołki barowe, które urodziła Sierodka - domyślamy się, że ich trójnożność jest prostą cechą dziedziczną, to jasne, dobrze, ale kto był ojcem tych stołków? Byłaby już rzecz w stanie niepokalanego poczęcia mebli?? Dlaczego Glumm, który poprzednio tylko pluł na wieloryby, okazuje się ich krewnym (Robinson mówi o nim do Sierodki per „kuzyn waleni”)? A dalej: na początku drugiego tomu Robinson ma od trojga do pięciorga dzieci. Niepewność liczby pojmujemy jeszcze: to jedna z cech halucynatorycznego świata, kiedy się już bardzo skomplikował: Stwórca nie jest już pewno w stanie wszystkich naraz szczegółów stworzonego utrzymać porządnie w pamięci. Bardzo dobrze. Lecz z kim miał te dzieci Robinson? Czy stworzył je czystym aktem intencjonalnym, jak poprzednio Glumma, Sierodkę, Smena, czy też począł je w akcie pośrednio wyimaginowanym - z niewiastą? O trzeciej nodze Sierodki w drugim tomie ani jedno słowo nie pada. Znaczyłyby to rodzaj antykreacyjnej ekstrakcji? W ósmym rozdziale rzecz zdaje się potwierdzać ten fragment rozmowy z kocurem „Pherganica”, w którym ów powiada do Robinsona „ty wyrwinogo”. Ale skoro tego kocura Robinson wcale nie odnalazł na statku ani inaczej nie stworzył, bo kota wymyśliła ta ciotka Glumma, o której żona Glumma mówi, że była „położnicą Hiperborejów”, nie wiadomo, niestety, czy Sierodka miała oprócz stołków jakieś dzieci, czy nie. Sierodka do dzieci się nie przyznaje: przynajmniej w ten sposób, że nie odpowiada na żadne pytania Robinsona podczas wielkiej sceny zazdrości, w której nieszczęśnik plecie już stryczek z włókna kokosowego. „Nierobinsonem” zowie siebie bohater w tej scenie, a nawet „NICNIEROBINSONEM”. Ale skoro tyle rzeczy zrobił dotąd (tj. stworzył), jak ów passus należałoby pojmować? Dlaczego Robinson powiada, że nie będąc tak dokładnie trójnożnym; niczym Sierodka, przecież jest pod tym względem do niej poniekąd odległe podobny - to jedno jeszcze jako tako da się wyrozumieć, lecz uwaga owa, zamykająca pierwszy tom, nie ma w drugim ani kontynuacji anatomicznej ani artystycznej. Dalej, historia ciotki od Hiperborejów wygląda raczej niesmacznie, jak i chór dziecięcy, co akompaniuje jej metamorfozie: („Nas tu trzy, cztery i pół, Piętachu stary” - przy czym Piętach jest to stryj Sierodki - ryby o nim bulgocą w III rozdziale, znów chodzi o jakieś aluzje do pięt, ale nie wiadomo, czyich). Im dalej w drugi tom, tym bardziej zbija on z pantafyku. Robinson wprost z Sierodką w ogóle już nie rozmawia w drugiej jego części: ostatni akt komunikacji - to ów list, nocą, w jaskini, w popiele ogniska przez nią napisany po omacku, list do Robinsona, który ten odczytuje ze świtem - ale drży już poprzednio, domyślając się jego treści w mrokach, kiedy wodzi palcami po wystygłym żużlu... „żeby jej dał wreszcie spokój!” - napisała, a on

nie śmiać nic już odpowiedzieć, uciekł jak niepyszny - po co? Żeby organizować wybory Miss Perłopławów, żeby okładać kijem palmy, wyzywając je od ostatnich, żeby na promenadzie plażowej krzyczyć swój program zaprzęgnięcia wyspy do wielorybich ogonów! Wtedy też, w ciągu jednego przedpołudnia, powstają owe tłumy, które Robinson powołuje do egzystencji byle jako, od niechcienia, wypisując nazwiska, imiona, przydomki, gdzie popadnie - po czym zdaje się następować chaos kompletny: jako sceny ze zbijaniem tratwy i z jej rozbijaniem, ze stawianiem domu dla Sierodki i jego kładzeniem, z rękami, co tyleż tyją, ile nogi chudną, z niemożliwą orgią bez buraków, kiedy bohater nie potrafi odróżnić uszu od uszek ani krwi od barszczu! Wszystko to razem - nieomal sto siedemdziesiąt stron, nie licząc epilogu! - wywołuje wrażenie, że albo Robinson zaparł się pierwotnych planów, albo że się sam autor zagubił w dziele. Jakoż Jules Nefastes oświadczył w „Figaro Litteraire”, że utwór jest „kliniczny po prostu”. Obłędowi, wbrew swojemu prakseologicznemu planowi Kreacji, Sergiusz N. ująć nie mógł. Skutkiem prawdziwie konsekwentnej kreacji solipsystycznej musi być schizofrenia. Tę banalną prawdę książka stara się zilustrować. Toteż Nefastes uważa ją za intelektualnie jałową, jakkolwiek zabawną miejscami - a to dla autorskiej inwencji. Anatol Fauche natomiast w „La Nouvelle Critique” kwestionuje osąd swego kolegi z „Figaro Litteraire” powiadając, naszym zdaniem zupełnie do rzeczy, że Nefastes, bez względu na to, o czym prawią „Robinsonady”, jest niekompetentny psychiatrycznie (po czym następuje długi wywód o braku wszelkiego związku między solipsyzmem a schizofrenią, lecz my, mając ten problem za całkiem dla książki nieistotny, odsyłamy Czytelnika do „Nowej Krytyki” w tym względzie). A Fauche tak następnie wyklada filozofię powieści: dzieło ukazuje, że akt kreacji jest asymetryczny, bo wprawdzie wszystko da się myśłą stworzyć, lecz nie wszystko (nic prawie) da się potem unicestwić. Na to nie pozwala sama pamięć tworzącego, niepodległa jego woli. Podług Fauche'a powieść nie ma co prawda nic wspólnego z historią kliniczną (pewnego szaleństwa na bezludziu), ale pokazuje stan zabłąkania w kreacji: działania Robinsona (w drugim tomie) są o tyle tylko bezsensowne, że on sam już z nich nic nie ma; natomiast psychologicznie tłumaczą się całkiem jasno. To szamotanina, typowa dla człowieka brnącego w sytuację, jakie tylko częściowo antycypował; sytuacje te, krzepnąc podług praw sobie właściwych, biorą go w niewolę. Z realnych sytuacji - podkreśla Fauche - można realnie uciec; z myślanych natomiast się nie wycofasz; toteż „Robinsonady” wyjawiają to tylko, że człowiekowi prawdziwy świat jest niezbędny („prawdziwy świat zewnętrzny jest prawdziwym światem wewnętrznym”). Robinson pana Coscat wcale nie był szalony - to tylko jego plan sporządzenia sobie syntetycznego uniwersum na wyspie bezludnej był już w powiciu skazany na klęskę. Siłą tych wniosków Fauche także odmawia „Robinsonadom”

głębszych wartości, bo - tak wyłożone - dzieło istotnie okazuje się nader ubogie. Zdaniem niniejszego recenzenta obaj cytowani krytycy przeszli obok utworu, nie odczytawszy należycie jego zawartości.

Autor wyłożył, naszym zdaniem, rzecz daleko mniej banalną zarówno od historii obłędu na wyspie bezludnej, jak i od polemiki z tezą o kreacyjnej wszechmocy solipsyzmu. (Polemika ostatniego typu byłaby w ogóle nonsensem, ponieważ w systemowej filozofii nikt nigdy twierdzenia o solipsystycznej wszechmocy twórczej nie głosił; gdzie jak gdzie, ale w filozofii walka z wiatrakami na pewno nie popłaca.) Podług naszego przekonania to, co czyni Robinson, kiedy „szaleje”, żadną wariacją nie jest - i nie jest to też jakoweś polemiczne głupstwo. Wstępna intencja bohatera powieści jest racjonalnie zdrowa. Wie on o tym, że ograniczeniem każdego człowieka są Inni; mniemanie, pochopnie stąd wyprowadzane, jakoby likwidacja Innych dostarczała podmiotowi wolności doskonałej, jest psychologicznym fałszem, odpowiadającym fałszowi fizycznemu, co by głosił, iż skoro kształty nadają wodzie ukształtowania naczyń, w jakich ją trzymać, to strzaskanie wszelkich naczyń dostarczy wodzie „absolutnej wolności”. Tymczasem jak woda, wyzbyta naczyń, rozlewa się w kałużę, tak też eksploduje całkowicie osamotniony człowiek, przy czym eksplozja ta jest formą kompletnej dekulturacji. Jeśli się nie ma Boga i jeśli się ponadto nie ma ani Innych, ani nadziei ich powrotu, trzeba się ratować zbudowaniem systemu jakiejś wiary, który względem tworzącego ją musi być zewnętrzny. Robinson p. Coscat zrozumiał tę prostą naukę. A dalej: dla zwykłego człowieka istotami najbardziej pożądanymi, a zarazem całkowicie realnymi są istoty nieosiągalne. Każdy wie o królowej angielskiej, o jej siostrze, księżniczce, o byłej prezydentowej USA, o słynnych gwiazdach filmowych, to jest w rzeczywistości istnienie takich osób nikt normalny ani trochę nie wątpi - jakkolwiek tego ich istnienia nie może doświadczyć bezpośrednio (namacalnie). Z kolei ten, kto może się poszczycić bezpośrednią znajomością takich osób, już nie będzie widział w nich fenomenalnych ideałów bogactwa, kobiecości, władzy, urody itd.. ponieważ wchodząc z nimi w kontakty doświadcza, siłą codziennych *rzeczy*, zupełnie zwykłej, normalnej, ludzkiej ich ułomności. Albowiem osoby takie w zbliżeniu wcale nie są przecież istotami boskimi czy inaczej nadzwyczajnymi. Więc prawdziwie szczytujące perfekcją, prawdziwie otchłannie przez to pożądane, wytęsknione, upragnione mogą być tylko istoty dalekie aż do pełnej nieosiągalności. Magnetycznego uroku przydaje im wyniesienie ponad tłumy; nie przymioty ciała czy ducha, lecz nieprzenikliwy dystans społeczny wytwarza ich kuszącą aureolę. Otóż ten rys rzeczywistego świata usiłuje Robinson powtórzyć na swojej wyspie, wewnątrz królestwa bytów przez siebie wyimaginowanych. Zrazu działa błędnie, a to, gdyż po prostu fizycznie odwraca się plecami

ku tworzonemu - Glummom, Smenom itp. - dystans wszakże, dość naturalny między panem i sługą, rad by przełamać, kiedy przydaje sobie kobietę. Glumma ani mógł ani chciał wziąć w objęcia; teraz - wobec dziewczyny - już tylko nie może. I nie o to chodzi (bo to nie jest żaden intelektualny problem!), że on niebyłej nie mógł w objęcia chwycić. Ma się rozumieć, że to niemożliwe! Szło o to, żeby utworzyć myślą taką sytuację, której własne, naturalne prawo po wiek udaremni erotyczny kontakt - a przy tym musi to być takie prawo, które nieistnienie dziewczyny doskonale ignoruje. To prawo ma Robinsona powściągnąć, a nie banalny, prostacki fakt nieistnienia partnerki! Gdyż zwyczajnie przyjąc do wiadomości jej nieistnienie - to wszystko zrujnować. Robinson zatem, domyśliwszy się, co należy uczynić, zabiera się do roboty - czyli do sporządzenia całego, zmyślonego społeczeństwa na wyspie. To ono stanie między nim a dziewczyną; to ono wytworzy system barier, przeszkód, da więc ów nieprzekraczalny dystans, z którego będzie ją mógł kochać, będzie mógł jej trwale pożądać - nie narażony już na żadną okoliczność trywialną, jako na chętkę wyciągnięcia ręki dla dotknięcia jej ciała. On wie przecież, że jeśli jeden jedyny raz ulegnie w walce, toczonej sam na sam, jeśli spróbuje jej dotknąć - cały świat, który stworzył, w tymże okamgnieniu runie. A więc dlatego zaczyna „szaleć”, w zapamiętałym, dzikim pośpiechu wyrażając ze swej imaginacji tłumy - owe przydomki, nazwiska, byle jakie imiona wymyślając i wypisując na piasku, bredząc o żonach Glumma, o ciotkach, starych Piętachach itd., itp. A że owo mrowie jest mu tylko jako pewna niepokonana przestrzeń potrzebne (co by stało między Nim a Nią) - tworzy byle jako, koślawo, partacko i chaotycznie; działa w pośpiechu - i ten pośpiech dyskredytuje tworzone, wyjawia jego bełkotliwość, jego nieprzemyślaną tandetę. Gdyby mu się powiodło, zostałby wiecznym kochankiem, Dantem, Don Kichotem, Werterem, i tym samym postawiłby na swoim. Sierodka - czy to nie oczywiste? - stałaby się wówczas kobietą równie realną co Beatrycze, co Lotta, co jakaś królowa czy księżniczka. Będąc całkowicie realną, byłaby zarazem - nieosiągalna. Dzięki temu mógłby żyć i marzyć o niej, albowiem zachodzi dogłębna różnica pomiędzy sytuacją, w której ktoś z jawy tęsknił do własnego snu, a taką, w której jawa kusi jawę - swoją niedościgłością właśnie. Bo tylko w tym drugim przypadku wciąż można przecież żywić nadzieję... skoro tylko dystans społeczny lub inne podobne przegrody przekleślają szansę spełnienia miłości. Stosunek Robinsona do Sierodki mógł więc ulec normalizacji tylko, gdyby ona jednocześnie się urealniła oraz uniedostępniła - dla niego. Klasycznej bajce o połączeniu kochanków, rozłączonych złym losem, Marrel Coscat przeciwstawił tedy bajkę ontyczną o konieczności trwałej rozłąki, jako jedynej gwarantce duchowych ślubów - trwałych. Pojawszy całą trywialność błędu „trzeciej nogi” Robinson (a nie autor, ma się rozumieć!) milczkiem o niej „zapomina” w drugim tomie. Panią

swojego świata, królową z lodowej góry, kochanką niedotykalną chciał uczynić Sierodkę, tę samą, która zaczynała u niego edukację jako mała służąca, prosta następczyni grubego Glumma... . I to się właśnie nie udało. Czy wiecie już, czy domyślacie się dlaczego? Odpowiedź brzmi prosto: ponieważ Sierodka, inaczej niż jakaś królowa, wiedziała o Robinsonie, ponieważ kochała go. Toteż nie chciała zostać boginią-westalką: to rozdwojenie popycha bohatera do zagłady. Gdyby to tylko on ją kochał, ba! Ale ona odwzajemniła uczucia... Kto nie rozumie tej prostej prawdy, kto myśli, jak pouczyły naszych dziadów ich wiktoriańskie guwernantki, że umiemy kochać innych, a nie siebie w tych innych, ten niech lepiej nie bierze do ręki zasmucającego romansu, jakim obdarzył nas pan Marcel Coscat. Jego Robinson wymarzył sobie dziewczynę, której nie chciał oddać jawie do końca, ponieważ ona była nim, ponieważ z tej jawy, która nigdy nas nie opuszcza, nie ma innego, niż śmierć, przebudzenia.

„GIGAMESH”

Patrick Hannahan

(Transworld Publishers - London)

Oto autor, który pozazdrościł laurów Joyce'owi. „Ulisses” zogniskował odyseję w jednym dniu dublińskim, podszewką *La belle époque* uczynił piekielny pałac Kirke, ściągnął w stryk dla akwizytora Blooma majteczną konfekcję Gerty McDowell, pochodem czterystu tysięcy słów obruszył się na wiktorianizm, rozwalony wszystkimi stylistykami, jakimi dysponowało pióro od strumienia świadomości po śledczy protokół. Czy nie było to jeszcze kulminacją powieści, a zarazem jej monumentalnym złożeniem do rodzinnego grobowca sztuk (w „Ulissesie” nie brak i muzyki!). Widać nie; widać sam James Joyce tak nie sądził, skoro postanowił iść dalej, pisząc książkę, która ma być nie tylko zogniskowaniem kultury w jednym języku, lecz soczewką wszechjęzykową, zejściem do fundamentów wieży Babel. Znakomitości „Ulissesa” i „Finnegans Wake”, aproksymującej dubeltowym zuchwalstwem nieskończoność, ani tu nie potwierdzamy, ani nie negujemy. Samotna recenzja nie może być już niczym innym niż ziarnkiem, dorzuconym do góry hołdów i przekleństw, co urosła na tych obu książkach. Pewne jest atoli, że Patrick Hannahan, rodak Joyce'a, nigdy by nie napisał swego „Gigamesha”, gdyby nie wielki przykład, który uznał za wyzwanie. Mogło się zdawać, że ta myśl jest z góry skazana na klęskę. Dać drugiego „Ulissesa” tak samo nie warto, jak drugiego „Finnegana”. Na szczytach sztuki liczą się tylko pierwsze osiągnięcia, tak jak w historii alpinizmu - tylko pierwsze przejścia nie zdobytych ścian. Hannahan, dość wyrozumiały dla „Finnegans Wake”, nie ceni „Ulissesa”. „Co za pomysł - powiada - pakować dziewiętnastowieczność europejską, jako Irlandię, do sarkofagowego kształtu »Odysei«! Oryginał Homera sam jest wątpliwej wartości. To komiks starożytny, opiewający Ulissesa jako Supermana, który ma swój happy end. Ex ungue leonem: po wyborze wzoru poznajemy kaliber pisarza. »Odyseja« jest wszak plagiatem »Gilgamesza«, doprawionym pod gust greckiej publiczki. Co w eposie babilońskim stanowiło tragedię walki zwieńczonej klęską, to Grecy obrócili w malowniczą awanturę jazdy po Morzu Śródziemnym. »Navigare necesse est«, »życie - podróżą«, a to mi wielkie mądrości życiowe. »Odyseja« jest degrengoladą w plagiacie, bo gubi całą wielkość Gilgameszowego boju”. Przyznać trzeba, że „Gilgamesz” - jak poucza nas o tym sumerologia - naprawdę mieści w sobie wątki, z jakich korzystał Homer, np. wątek Odysa, Kirke czy Charona, i że jest bodaj najstarszą wersją ontologii tragicznej, ponieważ ukazuje to, co Rainer Maria Rilke w trzydzieści sześć wieków później zwał wzrostem, który polega na tym, by „der Tiefbesiegte von immer Groesserem zu sein”. Los

ludzki, jako walka, nieuchronnie wiodąca ku przegranej, to przecież ostateczny sens „Gilgamesza”. Patrick Hannahan postanowił więc na babilońskim eposie rozciąć swoje płótno epickie, dość osobliwe, zaznaczmy, ponieważ jego „Gigamesh” jest historią bardzo ograniczoną w czasie i miejscu. Notoryczny gangster, płatny morderca, żołnierz amerykański czasu ostatniej wojny światowej, G. I. J. Maesch (tj. „Dzi Aj Dżo” - Government Issue Joe - „Joe w wydaniu państwowym” - tak zwano szeregowych armii USA), zdemaskowany w swej zbrodniczej działalności przez donos niejakiego N. Kiddy'ego, ma być powieszony z wyroku wojskowego trybunału w małej miejscowości hrabstwa Norfolk, gdzie stacjonowała jego jednostka. Cała akcja obejmuje 36 minut, jako czas potrzebny dla przewiezienia skazańca z więzienia na miejsce egzekucji. Rzecz zamyka obraz stryczka, który czarną pętlą - widziany na tle nieba - spada na kark spokojnie stojącego Maescha. Otóż ów Maesch jest Gilgameszem, półboskim bohaterem eposu babilońskiego, ten zaś, kto wydał go szubienicy - stary druh N. Kiddy - to najbliższy przyjaciel Gilgamesza, Enkidu, stworzony przez bogów po to, aby bohatera zgubić. Gdy tak rozprawiamy, widoczne staje się zwłaszcza podobieństwo kreatywnej metody „Ulissesa” i „Gigamesha”. Sprawiedliwość nakazuje skoncentrować się na różnicach obu tych dzieł. Zadanie mamy o tyle ułatwione, że Hannahan - inaczej niż Joyce! - zaopatrzył książkę w „Wykładnię”, która jest dwakroć pojemniejsza od samej powieści (dokładnie - „Gigamesh” liczy 395 stronic, „Wykładnia” zaś - 847). O tym, jak wygląda metoda Hannahana, dowiadujemy się od razu z pierwszego, siedemdziesięciostronicowego rozdziału „Wykładni”, który tłumaczy nam wielokierunkowość odniesień, tryskających z jednego, jedyne słowa - mianowicie z tytułu. „Gigamesh” pochodzi najpierw, jawnie, od Gilgamesza: tym samym ujawnia się mityczny prawzór, jak u Joyce'a, bo wszak i jego Ulisses podaje klasyczny adres, nim czytelnik zapozna się z pierwszym słowem tekstu. Opuszczenie litery „L” w nazwie „Gigamesh” nie jest przypadkiem; „L” - to Luciferus, Lucyfer, Książę Ciemności, obecny w dziele, jakkolwiek w nim - osobowo - nie występuje. Litera więc (L) tak się ma do nazwy (Gigamesz), jak Lucyfer do zajęć powieściowych: znajduje się tam, ale niewidzialnie. Poprzez Logos wskazuje „L” na Początek (Sprawcze Słowo Genesis); poprzez Laokoon - na Koniec (bo Laokoonowi koniec sprawiły węże: został uduszony, jak będzie uduszony - przez strangulację - bohater „Gigamesha”). „L” ma dalszych 97 koneksji, ale nie możemy ich tu wyłożyć. Dalej - „Gigamesh” to - „A GIGAntic MESS” - okropny zamęt, bieda, w jakiej tkwi bohater, skazany wszak na śmierć. Na słowo to składają się też: „gig”, mała szalupa (Maesch topił ofiary w gigu, oblawszy je cementem); GIGgle - chichot, potępieńczy - to odnośnik (No. 1) do muzycznego lejtmotywu zjazdu do piekieł według „Klage Dr. Fausti”; powiemy o tym osobno; GIGA - to:

a/ włoskie „giga” - skrzypce: znów aluzja do muzycznych podtekstów eposu,

b/ GIGA - to przedrostek oznaczający miliardy mocy (np. w słowie GIGAWATY) - tu: mocy Zła - technicznej cywilizacji. „Geegh” - to staroceltyckie „precz mi stąd”, resp. „won”. Od włoskiego „Giga” poprzez francuskie „Gigue” dochodzimy do „geigen”: gwarowe oznaczenie kopulacji w niemieckim. Dalszą etymologiczną wykładnię musimy z braku miejsca urwać. Odmienny podział nazwy, w postaci: „Gi-GAME-Sh” - zapowiada inne aspekty dzieła: „Game” - to gra, ale i polowanie (na człowieka: tu na Maescha). Jest tego więcej; za młodu był Maesch żigolakiem (GIG-olo); „Ame” to starogermańska mamka, „Amme”, z kolei - MESH - to sieć: np. ta, w którą Mars schwytał boską małżonkę z jej kochankiem, a zatem - wnyki, więcierz, PUŁAPKA (stryczek), a nadto system kół zębatach (np. „synchroMESH” - skrzynia biegów). Osobny akapit zajmuje się tytułem czytany wspak - ponieważ podczas jazdy na stracenie podąża Maesch myślami wstecz, poszukując wspomnienia takiej potwornej zbrodni, które okupi powieszenie. W umyśle jego toczy się tedy gra (Game!) o najwyższą stawkę: jeśli wspomni czyn nieskończenie ohydny, to dorówna nieskończonej Ofierze Odkupienia boskiego, tj. stanie się Antyodkupicielem. To - metafizycznie; oczywiście Maesch świadomie nie ima się takiej antyteodycei lecz - psychologicznie - szuka potworności, co by go uczyniła niewzruszonym wobec stryka. G. I. J. Maesch jest to więc taki Gilgamesz, który w klęsce osiąga perfekcję - negatywną. Oto doskonała symetria asymetrii wobec babilońskiego bohatera. Otóż czytany wspak, „Gigamesz” brzmi „Szemagig” „Szema” - to starohebrajskie słowo wyjęte z Pentateuchu („Szema Israel!” - „Słuchaj, Izraelu, twój Bóg jest Bogiem jedynym!”). Ponieważ mamy odwrotność, chodzi o Antyboga, tj. personalizację Zła. „Gig” teraz - to, naturalnie, „Gog” (na „Goga i Magoga!”). „Szem” - to właściwie „Szym” - pierwsza część imienia Szymona Słupnika: stryczek zwisa ze słupa, więc Maesch, powieszony, zostanie „stylitą a rebours”, bo nie na słupie stanie, lecz będzie pod słupem (ze słupa) zwiślał. Oto dalszy krok antysymetrii. Tym sposobem wyliczywszy, w swej egzegezie, 2912 wyrazów starosumeryjskich, babilońskich, chaldejskich, greckich, starocerkiewnych, hotentockich, Bantu, południowokurylskich, sfardyjskich, dialektu Apaczów („Igh” albo „Hugh” zwykle wołają, jak wiadomo, Apacze), wraz z ich zapleczem sanskryckim i odsyłaczami do przestępczego slangu, Hannahan podkreśla, że to nie jakaś przypadkowa rupieciarnia, lecz precyzyjna róża semantyczna wiatrów, tysięcwymiarowy kompas i plan dzieła, jego kartografia - albowiem chodzi o zapowiedź tych wszystkich powiązań, które powieść ziszcza polifonicznie. By pójść na pewno lepiej i dalej, niż to Joyce uczynił, Hannahan postanowił uczynić książkę węzłem (stryczek!) nie tylko wszechkulturowym, wszechetnicznym, jako też wszechjęzykowym.

Takie dokonanie jest konieczne (ot, jedna choćby litera „M” w „Giga-Meshu” odnosi nas do historii Mayów, do boga Vitzli-Putzli, do wszystkich azteckich kosmogonii, a także irrumacji), ale nie jest wystarczające! Książka bowiem utkana jest z całości wszelkiej wiedzy ludzkiej. I znów: nie idzie tylko o wiedzę aktualną, lecz o historię nauki, a zatem o arytmetyki klinowo-babilońskie, o spopielone, wygasłe obrazy świata - chaldejskie, egipskie, od ery ptolemeizmu po einsteinowską, o rachunek macierzowy i pacierzowy, o algebrę tensorów i grup, o sposoby wypalania waz dynastii Ming, o maszyny Lilienthala, Hieronymousa, Leonarda, o balon straceńczy Andreego i o balon generała Nobile (to, że podczas wyprawy Nobilego zaszły wypadki kanibalizmu, ma swój głęboki, osobny sens dla powieści: stanowi ona bowiem coś jak miejsce, w którym pewien fatalny ciężar wpadł do wody i naruszył jej lustro: - otóż - kręgami fal, koncentrycznie coraz dalszych, otaczających „Gigamesza” - jest „całe wszystko” ludzkiego bytowania na Ziemi, od Homo Javanensis i od Paleopiteka). Całość tej informacji spoczywa wewnątrz „Gigamesza” - ukryta, lecz do odnalezienia - jak w rzeczywistym świecie. Dochodzimy tak kompozycyjnej myśli Hannahana: po to, by prześcignąć wielkiego rodaka i poprzednika, chce zawrzeć w beletrystycznym dziele nie tylko językowo-kulturowy, lecz nadto jeszcze dorobek dziejów - wszechpoznawczy i wszechinstrumentalny (Pangnosis). Niemożliwość tego zamiaru zdaje się bić w oczy, zakrawać na uroszczenie głupca, bo i jakże jedna powieść, historia powieszenia jakiegoś gangstera, potrafi stać się ekstraktem, matrycą, kluczem i skarbcem tego, co rozsądza biblioteki globu! Pojmując doskonale takie zimne, szydercze wręcz niedowiarstwo czytelnika, Hannahan nie ogranicza się do składania obietnic, lecz dowodzi swego w „Wykładni”. Niepodobna jej streścić, toteż metodę kreacji Hannahanowej możemy tylko pokazać na jakimś drobnym, marginalnym przykładzie. Pierwszy rozdział „Gigamesza” - to osiem stron, na których skazaniec załatwia potrzebę w latrynie wojskowego więzienia, odczytując - nad pisuarem - niezliczone graffiti, jakimi upstrzyli inni żołnierze, przed nim, ściany tego przybytku. Jego myśli mimochodem tylko zatraćają o napisy. Ich skrajna obsceniczność okazuje się - właśnie przez niedostatek poświęconej im uwagi - pozornym dnem, gdyż przedostajemy się poprzez nie prosto w niechlujne, gorące, olbrzymie wnętrza rodzaju ludzkiego, do piekła jego koprofalicznej i fizjologicznej symboliki, sięgającej, przez Kamasutrę i chińskie „walki kwiatów” - ciemnych jaskiń, ze steatopygicznymi Wenerami praludzi, bo to ich nagie przyrodzenie wygląda spod plugawych aktów, niezdarnie wydrapanych na murze: zarazem falliczna jednoznaczność innych rysunków prowadzi ku Wschodowi, z jego rytualną sakralizacją Phallosa-Lingama, przy czym Wschód oznacza miejsce pierwotnego Raju jako mizernego kłamstwa niezdolnego osłonić prawdy, że na

początku była kiepska informacja. Tak właśnie: albowiem Płec i „grzech” powstały tam, gdzie praameby straciły dziewictwo jedнопłciowości; gdyż ekwipolentność i dwubiegunowość Płci wyprowadzić trzeba prosto z Teorii Informacji Shannona; i oto okazuje się, czemu służyły dwie ostatnie litery (SH) w nazwie eposu! A zatem droga ze ściany latryn biegnie w otchłań naturalnej ewolucji... której za listek figowy posłużyło mrowie kultur. Lecz i to jest kropla z oceanu, ponieważ rozdział ów zawiera jeszcze:

a) pitagorejską liczbę „Pi”, symbolizującą żeńskość (3,14159265359787...), jaką wyraża ilość liter zawartych w tysiącu słów tego rozdziału;

b) kiedy weźmiemy liczby, wyznaczające daty urodzin Weismanna, Mendla i Darwina, i zastosujemy je do tekstu jak klucz do szyfru, okaże się, że pozorny chaos klozetowej skatologii jest wykładem seksualnej mechaniki, w której ciała kolidujące zastępują ciała kopulujące, przy czym ten cały tok sensów teraz poczyna się już zazębiać (SYNCHROMESH!) z innymi partiami dzieła, a to: poprzez rozdział III (Trójca!) odnosi się do rozdziału X (ciąża trwa 10 miesięcy księżycowych!), ten zaś ostatni, czytany wspak, okazuje się freudyzmem, wyłożonym po aramejsku. To nie wszystko: jak dowodzi rozdział III - jeśli nałożymy go na IV, odwróciwszy książkę do góry nogami - freudyzm, to jest - psychoanalityczna doktryna - stanowi naturalistycznie zeświecczoną wersję chrystianizmu. Stan sprzed Nerwicy = Rajowi; uraz Dzieciństwa - to Upadek; Neurotyk - to Grzesznik; Psychoanalityk - to Zbawiciel, a freudowska kuracja - to Zbawienie, dzięki łasce.

c) Opuszczając latrynę, u końca I rozdziału, gwizdże J. Maesch szesnastotaktową melodyjkę (16 lat miało dziewczę, które zhańbił i udusił w szalupie); jej słowa - nader wulgarne - tylko myśli sobie. Eksces ten ma uzasadnienie, psychologiczne w danej chwili; ponadto, piosenka, rozpatrzona sylabotonicznie, daje nam prostokątną macierz przekształceń dla następnego rozdziału (ma on dwa różne znaczenia, wedle tego, czy stosujemy doń macierz, czy nie).

Rozdział II to rozwinięcie bluźnierczej piosenki, zagwizdanej przez Maescha w pierwszym, lecz po zastosowaniu macierzy bluźnierstwa przekształcają się w pienie anielskie. Całość ma trzy odsyłacze - 1) do „Fausta” Marlowe'a (akt H, scena VI i nn.), 2) do „Fausta” Goethego (alles vergaengliche ist nur ein Gleichniss) oraz 3) do „Doktora Faustusa” T. Manna - przy czym odsyłacz do Mannowskiego „Faustusa” jest majstersztykiem! Albowiem cały II rozdział, kiedy wszystkim kolejno literom jego słów przyporządkujemy nuty podług klucza starogregoriańskiego, okazuje się kompozycją muzyczną, na którą Hannahan z powrotem (bo z opisu Manna) przełożył „Apocalypsis cum Figuris”, utwór przypisany, jak wiemy, przez Manna - kompozytorowi Adrianowi Leverkuehnowi. Ta muzyka piekielna zarazem jest w

dziele Hannahana obecna i nieobecna (jawnie jej przecież nie ma) - niczym Lucyfer (litera „L”, pominięta w tytule). Rozdziały IX, X i XI (zejście z ciężarówki, pociecha duchowna, szykowanie szubienicy) - też mają muzyczny podtekst (mianowicie - „Klage Dr. Fausti”), ale tylko, jeśli tak rzec - mimochodem. Potraktowane bowiem jako system adiabatyczny w rozumieniu Sadi-Carnota, okazują się one Katedrą, zbudowaną w oparciu o stałą Boltzmanna, w której odprawia się Czarna Msza. (Rekolekcjami są reminiscencje Maescha na ciężarówce, zamknięte przekleństwem, którego zawiesiste glissanda ucinają rozdział VIII). Rozdziały te są doprawdy Katedrą, ponieważ proporcje międzydaniowe i międzyfrazologiczne mają składniowy szkielet, który jest rzutem na płaszczyznę urojoną - w projekcji Monge'a - katedry Notre Dame ze wszystkimi jej pinaklami, wspornikami, przyporami, z monumentalnym portalem, ze słynną Różą gotycką, itd., itp. Tak więc w „Gigameshu” znajduje się i teodyceą natchniona architektura. W „Wykładni” ujrzy czytelnik (str. 397 i nn.) cały rzut katedry, jak go zawiera tekst nazwanych rozdziałów, w skali 1:1000. Gdyby jednak, zamiast projekcji stereometrycznej Monge'a, zastosować projekcję nierównokątną, z wyjściową dystorsją podług macierzy z I rozdziału, uzyskamy Pałac Kirke, a jednocześnie Czarna Msza przemieni się w karykaturę wykładu doktryny augustiańskiej (znów obrazoburstwo: augustianizm - w Pałacu Kirke, a za to w Katedrze - Czarna Msza). Katedra czy augustianizm nie są więc tylko mechanicznie wetknięte do dzieła, bo stanowią elementy wywodu.

Ten jeden przykład tłumaczy nam, w jaki sposób autor, dzięki irlandzkiej uporczywości, wkojarzył w jedną powieść cały świat człowieka z jego mitami, symfoniami, kościołami, fizykami zmierza wszak podług II prawa termodynamiki ku ostatecznemu chaosowi. Entropia musi wzrastać i dlatego końcem wszelkiego bytu jest klęska. Tak więc nie tylko to, co się zdarzyło jakiemuś byłemu gangsterowi, jest „a GIGAntic Mess”, ponieważ „a Gigantic Mess” - to zarazem cały Wszechświat (gwarowo nieporządek - to „bajzel”; dlatego obrazem Kosmosu są wszystkie domy publiczne, jakie wspomina Maesch po drodze do stryczka). Jednocześnie zaś odprawia się „a Gigantic Mess” - gigantyczna msza - transsubstancjacji Ładu w finalny Beżład. Stąd połączenie Sadi-Carnota z Katedrą, stąd - wcielenie w nią stałej Boltzmanna: Hannahan musiał tego dokonać, bo chaos będzie Sądem Ostatecznym! Oczywiście mit o Gilgameszu znajduje pełne wcielenie w utworze, lecz ta wierność Hannahana - babilońskiemu wzorcowi - jest fraszką wobec otchłani interpretacyjnych, ziejących za każdym z 241 000 słów powieści. Zdrada, jakiej N. Kiddy (Enkidu) dopuszcza się względem Maescha-Gilgamesza, jest kumulatywną zbitką wszystkich zdrad historii; N. Kiddy to także Judasz, G. I. J. Maesch - to także Odkupiciel itp., itd.

Otwierając na oślep książkę, znajdujemy na str. 131, w. 4 od góry, wykrzyknik „Bah” - jakim Maesch kwituje ofiarowanego mu przez szofera - camela. W indeksie „Wykładni” znajdujemy 27 różnych „bah!”, a temu ze stronicy 131 odpowiada następujący ciąg: Baal, Bahia, Baobab, Bahleda (można by pomyśleć, że Hannahan pomylił się, dając nam fałszywą ortografię nazwiska polskiego górala, lecz nic podobnego! Opuszczone w tym nazwisku „c” odnosi się według znanej już zasady do Cantorowskiego „c” jako symbolu Continuum w jego transfinałności!), Baphomet, Babeliski (babilońskie obeliski - neologizm typowy dla autora), Babel (Izaak), Abraham, Jakub, drabina, straż pożarna, motopompa, ruchawka, Hippiesi (h!), Badmington, rakietka, księżyc, góry, Berchtesgaden - to ostatnie, gdyż „h” w „Bah” wskazuje i na adoratora Czarnej Mszy, jakim w XX wieku był Hitler. Tak pracuje na wszystkich wysokościach i szerokościach jedno słówko, zwyczajny wykrzyknik, jakże entymematycznie niewinny! Cóż dopiero za labirynty semantyczne otwierają się na wyższych piętrach tej językowej budowli, jaką jest „Gigamesh”! Teorie preformizmu walczą tam z teoriami epigenezy (rozdz. III, str. 240 i nn.); ruchy rąk kata, który wiąże pętlę stryczka, mają za syntaktyczny akompaniament - teorię Hoyle'a-Milne'a dwóch skal czasowych zapętlenia się Galaktyk Spiralnych; reminiscencje zaś Maescha - jego zbrodni - są totalną rejestracją - wszystkich upadków człowieka („Wykładnia” przedstawia, jak przyporządkowane są jego występkom - krucjaty, imperium Karola Młota, rzeź Albigensów, rzeź Ormian, spalenie Giordana Bruna, kaźnie czarownic, zbiorowe opętania, flagellentyzm, mór, holbeinowskie tańce śmierci, arka Noego, Arkansas, ad calendae graecas, ad nauseam itp.). Ginekolog, którego Maesch skopał w Cincinnati, nazywał się Cross B. Androydyss: za imię miał więc Krzyż, za nazwisko - synglomerat Człekokształtności (Android, Androi, Anthropos) i Ulissesa (Odys), litera zaś środkowa - B - to znów tonacja B-moll - „Skargi Dra Fausta”, którą ta partia tekstu wciela. Tak: bezdenną topielą jest ta powieść; w którymkolwiek miejscu jej dotknąć, otwiera się bezmiar dróg (systematyka przecinków w VI rozdziale to wszak odpowiednik mapy Rzymu!), nigdy byle jakich, ponieważ wszystkie one, swymi rozdrzewieniami, splatają się harmonijnie w jedną całość (czego Hannahan dowodzi metodami algebry topologicznej - por. „Wykładnia”, Appendix Metamatematyczny, str. 811 i nn.). A więc wszystko uległo spełnieniu. Powstaje jedna już tylko wątpliwość, taka oto: czy Patrick Hannahan dziełem swoim dociągnął do wielkiego poprzednika, czy też przeholował i siebie - ale razem z nim! - zakwestionował w królestwie sztuk? Chodzą słuchy, jakoby Hannahanowi pomagał w kreacji zespół komputerów, dostarczonych mu przez International Business Machines. Jeśli to i prawda, nie widzę w niej kamienia obrazy; obecnie kompozytorzy nagminnie posługują się komputerami - czemu ma to być pisarzom wzbronione? Niektórzy mówią, że tak zbudowane

książki są czytelne tylko dla innych z kolei maszyn cyfrowych, ponieważ żaden człowiek nie jest w stanie ogarnąć umysłem podobnego oceanu faktów i ich relacji. Proszę mi pozwolić na pytanie: a czy jest na świecie człowiek zdolny analogicznie ogarnąć „Finnegans Wake” lub tylko „Ulissesa”? Zaznaczam: nie w planie dosłowności, lecz wszystkich odsyłaczy, wszystkich skojarzeń i kulturowomitycznych odnośników, wszystkich razem paradygmatyk i archetypistyk, jakimi te dzieła stoją i w sławę porastają. Na pewno nikt tego nie uczyni w pojedynkę! Przecież nikt nie zdąży nawet przeczytać całej literatury interpretacyjnej, której dorobiła się już proza Jamesa Joyce'a! Tak więc spór o prawomocność udziału komputerów w kreacji jest całkowicie nieistotny. Zoile powiadają, że Hannahan wyprodukował największy logogryf literatury, monstrualny rebus semantyczny, iście piekielną szaradę czy łamigłówkę. Że natkanie miliona albo miliarda wszystkich owych odnośników w beletrystyczny utwór, że zabawa w korowody etymologiczne, frazeologiczne, hermeneutyczne, że nawarstwianie nie kończących się, przewrotnie antynominalnych sensów to nie kreacja literacka, lecz wytwarzanie rozrywek umysłowych dla osobliwie paranoicznych hobbystów, dla maniaków i kolekcjonerów, rozjątrzonych bibliograficznym szperactwem. Że to jest, jednym słowem, kompletne zboczenie, patologia kultury, a nie jej rozwojowe zdrowie. Bardzo przepraszam - ale gdzie właściwie należy przeprowadzić granicę między wieloznacznością, która stanowi wyraz genialnej integracji, a takim wzbogacaniem dzieła sensami, które przedstawia czystą schizofrenię kultury? Podejrzewam antyhannahanowe stronnictwo literaturoznawców o lęk przed bezrobociem. Joyce bowiem dostarczył swych wspaniałych szarad, ale nie dołączył do nich żadnych wykładni własnych: toteż swoje duchowe bicepsy, dalekosiężną przenikliwość czy aż odtwórczą genialność może objawić każdy krytyk wykładniami, jakie przystawia do „Ulissesa” i do „Finnegana”. Natomiast Hannahan zrobił wszystko sam. Nie zadowolony się stworzeniem dzieła, przydał mu - dwakroć od niego pojemniejszy aparat interpretacyjny. W tym tkwi główna różnica, a nie w takich okolicznościach, że np. Joyce wszystko „sam powymyślał”, gdy Hannahanowi sekundowały komputery przystawione do Biblioteki Kongresowej (23 miliony tomów). Tak więc nie widzę wyjścia z matni, w jaką nas wpędził zabójczy skrupulatnością Irlandczyk: albo „Gigamesh” jest summą nowożytnej literatury, albo ani on, ani opowieść o Finneganie razem z Odyseją Joyce'owską nie mają prawa wstępu na beletrystyczny Olimp.

„SEXPLOSION”

Simon Merril

(Walker and Company - New York)

Jeżeli wierzyć autorowi - a coraz częściej każą nam wierzyć autorom Science Fiction! - obecny przybór seksu stanie się potopem w latach osiemdziesiątych. Lecz akcja powieści „Seksplodzja” rozpoczyna się w dwadzieścia lat później - w Nowym Jorku, zawałonym zaspami podczas srogiej zimy. Starzec nieznanego nazwiska, brnąc przez śniegi, objając się o kadłuby zasypanych samochodów, dociera do martwego wieżowca, kluczem wyjętym z zanadru, ogrzany ostatnią resztką ciepła, otwiera żelazne wrota i schodzi do podziemi, a jego wędrówka i wtrącone w nią strzępy reminiscencji - to już cała powieść. To głuche podziemie, po którym błąka się promyk latarki, drżącej w ręku starca, było ni to muzeum, ni to działem ekspedycji (a raczej sekspedycji) potężnego koncernu - w latach, w których Ameryka raz jeszcze dokonała inwazji Europy. Na pół rzemieślnicza manufaktura Europejczyków starła się z nieubłaganym chodem taśmowej produkcji i naukowo-techniczny kolos postindustrialny natychmiast zwyciężył. Na placu boju pozostały trzy konsorcja - GENERAL SEKOTICS, CYBORDELICS oraz LOVE INCORPORATED. Gdy szczytowała produkcja tych gigantów, seks - z prywatnej rozrywki, gimnastyki zbiorowej, z hobby i chałupniczego kolekcjonerstwa - zamienił się w filozofię cywilizacyjną. MacLuhan, który jako krzepki staruch dożył jeszcze tych czasów, udowodnił w swojej GENITOCRACY, że właśnie takie było przeznaczenie ludzkości, gdy wstąpiła na drogę techniczną, że już antyczni wioślarze, przykuci do galer, że drwale Północy ze swymi piłami, że parowa maszyna Stephensona, swoim cylindrem i tłokiem, wyznaczyły rytm, kształt i sens ruchów, z jakich składa się seks, to jest sens człowieka. Gdyż bezosobowy przemysł USA wchłoniął pozycyjne mądrości Wschodu i Zachodu, uczynił z okowów średniowiecznych pasy niecnoty, zaprzął sztukę do projektowania spółkowców, seksariów, magnopenów, megaklitów, wagnetek, pornotek, puścił w ruch wysterylizowane konweje, z których schodzić poczęły sadowobile, kohabitory, domowe sodomniki i publiczne gomorkady, a zarazem uruchomił badawcze instytuty naukowe, żeby podjęły walkę o wyzwolenie płci od służb podtrzymania rodzaju. Seks przestał być modą, bo stał się wiarą, orgazm - bezustannym obowiązkiem, jego liczniki, z czerwonymi strzałkami, zajęły miejsce telefonów w biurze i na ulicy. Kim był wtedy starzec, błąkający się przejściami podziemnych hal? Radcą prawnym GENERAL SEXOTICS? Wspomina przecież sławne procesy, co oparły się o Sąd Najwyższy, bitwę o prawo powielania - manekinami - fizycznego wyglądu sławnych osób,

poczynając od First Lady USA. GENERAL SEXOTICS wygrała kosztem dwunastu milionów dolarów i oto błędne światło latarki odbija się w przykurzonych plastikowych kloszach, pod którymi trwają pierwsze filmowe gwiazdy i pierwsze panie światowego towarzystwa, księżniczki i królowe we wspaniałych toaletach, bo podług sentencji wyroku nie wolno było ich wystawiać inaczej. W ciągu dekady przeszedł syntetyczny seks piękną drogę od pierwszych modeli, nadmuchiwanym i nakręcanym ręcznie, aż do prototypów z termoregulacją i sprzężeniem zwrotnym. Oryginały albo zmarły dawno, albo są zgrzybiałymi staruchami, lecz teflon, nylon, dralon i Sexofix oparły się działaniu czasu i jak w muzeum figur woskowych, wyrwane z mroku światłem latarki, wytworne damy uśmiechają się nieruchomo do błędzącego starca, trzymając w uniesionej dłoni kasetę ze swoim syrenim tekstem (wyrok Sądu Najwyższego wzbraniał sprzedawcy włożenia taśmy do manekina, ale każdy nabywca mógł to prywatnie uczynić w domu). Powolny chwiejny krok starego samotnika wzbija kłęby pyłu, przez które bladą różowizną przeświecają z głębi sceny grupowego erosa, niektóre trzydziestoosobowe, podobne do wielkich strucli lub do starannie zaplecionych kołaczy. Może to sam prezes GENERAL SEXOTICS idzie przejściami pośród gomorkad i przytulnych sodomników, może główny projektant koncernu, ten, co uczynił genitokształtną całą Amerykę najpierw, a potem świat cały? Oto wizuaria z ich nastawniami i programami, z tą ołowianą plombą cenzury, o którą toczyły się sprawy na sześciu wokandach, oto sterty pojemników, gotowych do wysyłki w kraje zamorskie, pełne japońskich kul, olisbosów, maści przedpieszczotowych i tysiąca podobnych artykułów, zaopatrzonych w instrukcje i książki obsługi. Była to era demokracji nareszcie zniszczonej: wszyscy mogli wszystko - ze wszystkimi. Słuchając porady własnych futurologów, konsorcja, wbrew przeciw-kartelowej ustawie podzieliwszy między siebie po cichu ziemski rynek, oddały się specjalizacji. GENERAL SEXOTICS dążyła do równouprawnienia normy i dewiacji, a pozostałe dwa koncerny inwestowały w automatyzację. Flagelliczne cepy, bijalnie, młockarnie pojawiły się prototypami, aby przekonać publiczność, że o nasyceniu rynku nie ma mowy, bo potrzeb wielki przemysł, jeśli jest naprawdę wielkim przemysłem, nie zaspokaja po prostu: on je stwarza! Dawne środki domowego porubstwa przyszło złożyć tam, gdzie znalazły się krzemienie i pałki neandertalczyków. Uczzone gremia ułożyły sześć- i ośmioletnie kursy, potem studia wyższej szkoły obojga erotyk, wynalazły neurosexator, a potem dławiki, tłumiki, masy izolacyjne i specjalne pochłaniacze dźwięku, żeby jedni lokatorzy nie zakłócali innym spokoju ani rozkoszy nieopanowanymi wywrzaskami. Lecz dalej trzeba było iść, śmiało a bezustannie naprzód, ponieważ stagnacja jest śmiercią produkcji. Planowano już i modelowano Olimp do indywidualnego użytku, już pierwsze

androidy o postaciach bogiń i bogów greckich formowano z plastyków w rozjarzonych atelier CYBORDELICS. Mówiło się też o aniołach, utworzywszy finansową rezerwę na procesy z Kościołami, nadto pozostawały do rozwiązania pewne kwestie techniczne: z czego skrzydła; naturalne pierze może łaskotać w nos; czy mają być ruchome; czy to nie przeszkadza; co z aureolą, jaki wyłącznik jej świecenia i gdzie go umieścić - etc. Wtedy uderzył grom. Owa substancja chemiczna, zwana - kodowo - NOSEX - została zsyntetyzowana już dawno, bodajże w latach siedemdziesiątych. O jej istnieniu wiedziało grono wtajemniczonych fachowców. Preparat ten uznano zrazu za rodzaj tajnej broni, a sporządziły go laboratoria niewielkiej firmy związanej z Pentagonem. Zastosowanie NOSEXU jako aerozolu mogło, w samej rzeczy, zdziesiątkować populację każdego kraju, ponieważ preparat ten, zażyty w ilości ułamków miligrama, znosił wszystkie doznania towarzyszące aktom płciowym. Akt ów był wprawdzie dalej możliwy, lecz tylko jako rodzaj pracy fizycznej, dosyć wyczerpującej, niby wyżymanie, pranie czy maglowanie. Potem znów wentylowano projekt użycia NOSEXU dla przyhamowania eksplozji demograficznej w Trzecim Świecie, lecz uznano ten projekt za niebezpieczny. Jak przyszło do ogólnoświatowej katastrofy - nie wiadomo. Czy doprawdy składy NOSEXU wyleciały w powietrze wskutek krótkiego spięcia i pożaru zbiornika z eterem? Czy w grę wchodziła akcja przemysłowych wrogów trzech kompanii, władających rynkiem? Czy też może maczała w tym palce jakaś organizacja wywrotowa, ultrakonserwatywna bądź religijna? Odpowiedzi nie poznamy. Znużony wędrówką po milowych podziemiach starzec, przysiadłszy na gładkich kolanach plastikowej Kleopatry, ale uprzednio zaciągnąwszy jej hamulec, zmierza myślą - jak ku przepaści - ku wielkiemu krachowi 1998 roku. Publiczność z dnia na dzień odwróciła się w odruchu repulsji od wszystkich produktów, co zawałały rynek. To, co wczoraj kusiło, dziś było tym, czym jest widok siekiery dla utrudzonego drwala, czym balia dla praczki. Wiekuisty (zdawało się) czar, owo zaklęcie, nałożone przez biologię na ród ludzki, prysło. Odtąd pierś przypominała już tylko o tym, że ludzie - to ssaki, nogi - o tym, że mogą chodzić, pośladki - że jest i na czym usiąść. Nic więcej, ale to zupełnie nic! Szczęśliwy MacLuhan, że nie dożył tej katastrofy, on, który w swych kolejnych dziełach wyinterpretował katedrę i kosmiczną raketę, silnik odrzutowy, turbinę, wiatrak, solniczkę, kapelusz, teorię względności, nawiasy matematycznych równań, zera i wykrzykniki jako surogaty i namiastki owej jedynej czynności, która jest doznaniem istnienia w stanie czystym. Argumentacja ta straciła moc w godzinach. Ludzkości zagroziło bezpotomne wymarcie. Zaczęło się od ekonomicznego kryzysu, wobec którego ten z roku 1929 był fraszką. Podpałała się i zginęła w płomieniach, jako pierwsza, cała redakcja PLAYBOYA; głodowali i skakali z okien pracownicy lokali

stripteasowych; zbankrutowały ilustrowane wydawnictwa, wytwornie filmowe, wielkie konsorcja reklamy, instytuty piękności, zatrzeszczał cały przemysł kalotechniczno-perfumeryjny, potem bieliźniarski, w roku 1999 Ameryka liczyła 32 miliony bezrobotnych.

Co teraz zdolne było jeszcze zainteresować publiczność? Pasy przepuklinowe, syntetyczne garby, siwe peruki, trzęsące się postaci w wózkach paralitycznych, bo tylko one nie kojarzyły się z wysiłkiem seksualnym, tą zmorą, tą mordęgą, tylko one zdawały się gwarantować erotyczną niezagrażalność, więc wytchnienie i spokój. Albowiem rządy, świadome niebezpieczeństwa, przystąpiły do mobilizacji wszystkich sił, żeby ratować gatunek. Z łamów prasy apelowano do rozumu, do poczucia odpowiedzialności, kapłani wszystkich wyznań występowali w telewizji ze szczytną perswazją, przypominając o wyższych ideałach, lecz ten chór autorytetów był wysłuchiwany przez ogół niechętnie. Nie pomagały wezwania, namowy wzywające ludzkość, żeby się przemogła. Wyniki byty nędzne: jeden tylko, wyjątkowo karny, naród japoński, poszedł, zacisnąwszy zęby, za takimi wskazaniem. Jęto wtedy ustanawiać specjalne bodźce materialne, honorowe dyplomy i wyróżnienia, premie, nagrody, odznaczenia, ordery i konkursy fornikacyjne; gdy i ta polityka zbankrutowała, przyszło do nieodzownych represji. Lecz z kolei ludność całych prowincji jęła wymigiwać się od obowiązku prokreacyjnego, młodzież dekowała się po okolicznych lasach, starsi przedstawiali fałszywe świadectwa niemocy, społeczne komisje kontroli i nadzoru podgryzało przekupstwo, każdy był gotów kontrolować ewentualnie sąsiada, czy się nie wykręca, ale sam, jak tylko mógł, unikał tej męczącej pracy. Czas katastrofy jest już tylko wspomnieniem, przepływającym przez umysł samotnego starca na kolanach Kleopatry w podziemiu. Ludzkość nie zginęła; obecnie płodzenie zachodzi sposobem sanitarno-sterylnym i higienicznym, przypominając jakieś szczepienia; po latach ciężkich prób zapanowała tedy niejaka stabilizacja. Lecz kultura nie znosi próżni; a przeraźliwe ssanie w obrębie pustki, spowodowanej implozją seksu, wprowadziło na to miejsce opustoszałe - gastronomię. Dzieli się ona na normalną i sprośną; istnieją perwersje obżarskie, albumy restauracyjnej pornografii, a przyjmowanie posiłków w pewnych pozycjach uchodzi za niewymownie wszeteczne. Nie wolno na przykład spożywać owoców na klęczkach (lecz właśnie o tę wolność walczy sekta zboczeńców-klęczycieli), nie wolno szpinaku ani jajecznicy jeść z nogami zadartymi do powały. Lecz istnieją - rozumie się! - tajne lokale, w których znawców i smakoszy czekają sprośne widowiska; na oczach widzów specjaliści rekordziści zażerają się tak, że patrzącym ślina cieknie po brodzie. Z Danii przemyca się albumy pornożywienniowe, w których są istne horrendy - łącznie z konsumpcją jajecznicy przez rurkę, podczas kiedy konsument, wiercąc palcami w ostro czosnkowanym szpinaku i zarazem wachając paprykę

roztartą z gulaszem, leży na stole, owinięty w obrus, mając nogi związane sznurem, podczepionym do maszynki z kawą, zastępującej w tej orgii - żyrandol. Nagrodę Feminy zdobyła w tym roku powieść o facecie, który najpierw nacierał podłogi pastą truflową, potem zaś zlizywał ją, uprzednio wytarzawszy się do syta w spaghetti. Zmienił się też ideał urody: teraz należy być stutrydziestokilogramowym tłusciochem, bo świadczy to o niezwyklej wydolności przewodu pokarmowego. Zaszły zmiany i w modzie: kobiet w ogóle niepodobna odróżnić od mężczyzn podług stroju. W parlamentach co oświecieńszych państw dyskutuje się atoli kwestię, czy byłoby możliwe szkolne uświadamianie dzieci o tajnikach procesów trawiennych? Jak dotąd, temat ten, że nieprzyzwoity, obłożony jest hermetycznym tabu. I wreszcie nauki biologiczne zbliżyły się do likwidacji płci, zbędnego przeżytku prehistorycznego. Płody będą poczynane syntetycznie i hodowane podług programów genowej inżynierii. Wyrosną z nich osobniki bezpłciowe, i to dopiero położy kres koszmarnym wspomnieniom, co wciąż kołaczą się jeszcze w pamięci wszystkich, którzy przeżyli katastrofę seksu. W jasnych laboratoriach, tych świątyniach postępu, powstanie wspaniały hermafrodyt, a raczej bezpłciowiec, i ludzkość, odcięta od dawnej hańby, będzie się mogła coraz smaczniej zażerać wszelkim owocem - tylko gastronomicznie zakazanym.

„GRUPPENFUHRER LOUIS XVI”

Alfred Zeller mann

(Suhrkamp Verlag)

„Gruppenfuhrer Louis XVI” to debiut powieściowy Alfreda Zeller manna, znanego historyka literatury, niemal sześćdziesięciolatka, doktora antropologii i człowieka, który regnum hitlerianum przeżył w Niemczech, na wsi u swoich teściów, odsunięty podówczas od uniwersyteckich godności, więc jako bierny obserwator żywota Trzeciej Rzeszy; odważamy się nazwać tę powieść utworem znakomitym, dodając, iż chyba tylko taki Niemiec, z takim kapitałem życiowych doświadczeń - i taką wiedzą teoretyczną o literaturze! - mógł ją napisać. Wbrew tytułowi, wcale nie mamy przed sobą utworu fantastycznego. Miejscem akcji jest Argentyna w pierwszej dekadzie po zakończeniu wojny światowej. Pięćdziesięcioletni Gruppenfuhrer Siegfried Taudlitz, uciekinier z rozbitej i okupowanej Rzeszy, dostaje się do Ameryki Południowej, uwożąc z sobą część „skarbu” zgromadzonego przez osławioną Akademię SS („Ahnenerbe”) pod postacią obitego stalowymi wstęgami kufra, pełnego banknotów dolarowych. Zebrawszy wokół siebie grupę innych uciekinierów z Niemiec, a też rozmaitych obieżyświatów i awanturników, zaangażowawszy nadto, do służb zrazu bliżej nie określonych, kilkanaście kobiet wątpliwego prowadzenia (niektóre wykupuje sam Taudlitz z publicznych domów w Rio de Janeiro), organizuje były generał SS wyprawę w głąb argentyńskiego interioru, ze sprawnością poświadczającą jego talenty sztabowego oficera.

W okolicy oddalonej o kilkaset mil od ostatnich miejsc cywilizowanych odnajduje ta wyprawa ruiny liczące sobie co najmniej dwanaście wieków, ruiny budowli wzniesionych podobno przez drużyny azteckie; w nich się też osiedla. Skuszeni możliwością niejakiego zarobku ściągają do tego miejsca, nazwanego od razu (a niezrozumiale jeszcze) „Paryżą” przez Taudlitz a - Indianie i Metysi z okolicy. Były Gruppenfuhrer czyni z nich sprawne grupy robocze, nadzorowane przez jego zbrojnych. Po upływie kilku lat wylania się z takich poczynań kształt władztwa, jakie sobie Taudlitz zamarzył. Łączy on w swojej osobie bezwzględność, nie cofającą się przed niczym, z pomyłką koncepcją odtworzenia - w sercu dżungli interioru - państwa francuskiego z czasów monarchicznej świetności, albowiem on sam właśnie ma zostać reinkarnacją Ludwika XVI. Tu nawias: nie streszczamy powieści powyższymi słowami ani tymi, co nastąpią, bo porządek zdarzeń nie jest w niej tak poddany kalendarzowej chronologii, jak nasza relacja; rozumiejąc atoli dobrze wymagania natury artystyczno-kompozycyjnej, jakimi powodował się autor, z rozmysłu chcemy odtworzyć jakby kronikarsko bieg zdarzeń, ponieważ w ten sposób zamysł naczelny, idea utworu

zostanie wydobyta na światło ze szczególną siłą; mnóstwo wydarzeń pobocznych i drugoplanowych pominiemy przy tym w naszej „uchronologiczniejszej” rekonstrukcji dzieła, ponieważ całego wprost niepodobna żadnym skrótem objąć - skoro liczy w dwóch tomach ponad 670 stron. Zresztą postaramy się w omówieniu niniejszym zdać też sprawę z tej sekwencji zajęć, jaką urzeczywistnił Alfred Zellermann w swojej epopei. Powstaje tedy - wracamy do wątku - dwór królewski, z rzeszą dworaków, rycerstwa, duchowieństwa, lokajów, z pałacową kaplicą, z salami balowymi, pośród fortecznych blanków, w jakie przeobrażono czcigodne ruiny gmachów azteckich, przebudowawszy ich resztki sposobem architektonicznie bezsensownym. Mając u boku trzech ludzi bezwzględnie mu wiernych, Hansa Mehrera, Johanna Wielanda i Ericha Palatzky'ego (wnet zmieniają się oni w kardynała Richelieu, księcia de Rohan i ks. de Montbaron), potrafi „nowy Ludwik” nie tylko utrzymać się na swoim sfingowanym tronie, ale ukształtować toczące się wokół niego życie zgodnie z własnymi zamysłami. A przy tym, i to jest w powieści istotne, historyczne wiadomości byłego Gruppenfuhrera nie są jedynie fragmentaryczne i pełne luk; właściwie takich wiadomości nie posiada on wcale; jego głowa jest nie tyle napchana urywkami historii Francji siedemnastowiecznej, ile rupieciami, wyniesionym z czasów szczeniackich, kiedy to zaczytywał się w powieściach Dumasa poczynając od „Trzech muszkieterów”, a potem, jako wyrostek o „monarchistycznych” (we własnym mniemaniu - a naprawdę sadystycznych tylko) skłonnościach, pochłoniął książki Karola Maya. A ponieważ na wspomnienia owych lektur potem nałożyły mu się pożerane łączywie romanse brukowe, nie historię Francji umie wcielać w życie, lecz tylko ów brutalnie sprymitywizowany, wręcz kretyński galimatias, który ją mu zastąpił i stał się wyznaniem wiary. Właściwie, o ile można się tego domyślić z licznych szczegółów i wspominków rozrzuconych po całym dziele, hitleryzm był dla Taudlitz tylko wyborem z konieczności, jako szansa względnie jeszcze najbardziej mu odpowiadająca, najbliższa „monarchistycznemu” rojeniu. Hitleryzm przybliżał się w jego oczach do średniowiecza - co prawda nie tak, jak by się to jemu najbardziej podobało! Lecz był w każdym razie miłszy mu od wszelkiej formy demokracji ustrojowej. Mając zaś swój prywatny, zatajony w III Rzeszy „sen o koronie”, Taudlitz nigdy magnetyzmowi Hitlera nie uległ; nigdy w jego doktrynę nie uwierzył i właśnie dzięki temu nie musiał wcale oplakiwać upadku „wielkich Niemiec”, a jedynie, mając dość sprytu, aby go przewidzieć w porę, zwłaszcza iż nigdy się nie utożsamiał z elitą III Rzeszy (choć należał do niej), przygotował się do klęski, jak należało. Jego, znany powszechnie, kult Hitlera nie był nawet skutkiem samozakłamania; Taudlitz grał przez dziesięć lat cyniczną komedię, bo miał swój „własny mit”, obdarzający go odpornością względem hitlerowskiego, i właśnie to było dlań

szczególnie wygodne, ponieważ ci wyznawcy „Mein Kampf”, którzy choć trochę starali się brać poważnie doktrynę, niejednokrotnie, jak na przykład Albert Speer, poczuli się później odstrychnięci od Hitlera, natomiast Taudlitz, jako człowiek, który czysto zewnętrznie wyznawał każdego dnia na ten dzień zalecone poglądy, żadną herezją zarazić się nie mógł. Taudlitz wierzy do końca i bez zastrzeżeń tylko w siłę pieniądza i gwałtu; wie, że można ludzi dobrami materialnymi nakłonić do tego, co sobie zaplanuje dostatecznie hojny pan, byle był też należycie twardy i bezwzględny w egzekwowaniu raz zadzierzgniętych zobowiązań. Nie wgląda wcale w to, czy jego „dworacy”, czy ta wielobarwna ciżba, złożona z Niemców, Indian, Metysów, Portugalczyków, doprawdy bierze na serio owo olbrzymie, latami narzucane przedstawienie, które Taudlitz wyreżyserował w sposób dla postronnego widza niewymownie płaski, tępy, szmirowaty, czy i jak ktoś z takich aktorów wierzy w sensowność dworu Ludwików, czy też odgrywa tylko świadomie komedię, licząc na zapłatę, a może i na rozdrapanie „królewskiej szkatuły” po śmierci władcy. Problem taki zdaje się dla Taudlitz nie istnieć. Żywot zbiorowości dworskiej jest w tak jaskrawy sposób jednym fałszerstwem, i to nieudolnym, taką nieautentycznością, że przynajmniej co bystrzejsi ludzie, później przybyli do Paryżu, jak też wszyscy ci, którzy własnymi oczami widzieli powstawanie pseudomonarchy i pseudoksiąży, nie mogą w tym względzie żywić ani przez chwilę wątpliwości. Toteż, zwłaszcza w zaraniu swoim, przypomina królestwo jakby istotę schizofrenicznie rozdartą na dwoje: inaczej mówi się na pałacowych audiencjach i balach, zwłaszcza w pobliżu Taudlitz, inaczej zaś pod nieobecność monarchy i trzech jego zauszników, egzekwujących w sposób bezwzględny (torturami nawet) kontynuowanie gry narzuconej. A jest to gra odziana w niezwykłą świetność, bijąca blaskami już nie sklamanymi, bo strumienie karawanowych dostaw, opłacanych dobrą walutą, na przestrzeni dwudziestu miesięcy wznoszą zamczyste mury, powlekają je freskami i gobelinami, okrywają posadzki wykwinem dywanów, rozstawiają niezliczone sprzęty, lustra, złożone zegary, komody, budują sekretne drzwi i skrytki w ścianach; alkowy, pergole, tarasy, okalają zamek ogromnym, wspaniale utrzymanym parkiem, a dalej częstokołem i fosą, bo każdy, kto będąc Niemcem, jest nadzorcą siłą utrzymywanych w ryzach Indian-niewolników (to z ich trudu i potu powstaje sztuczne królestwo), ten chodzi wprawdzie odziany jak siedemnastowieczny rycerz, lecz nosi za złocistym pasem wojskowy pistolet marki „Parabellum”, ostateczny argument wszelkich sporów między feudalizującym się kapitałem dolarowym a pracą. Jednakże powoli, a zarazem systematycznie monarcha oraz jego zausznicy likwidują w otoczeniu wszystkie objawy i znaki, które demaskowałyby natychmiast fikcyjność dworu i królestwa. Powstaje tedy najpierw specjalny język, w którym mogą być formułowane

wszelkie wiadomości, docierające przecież okólnie ze świata zewnętrznego, o tym, na przykład, czy nie zagraża „państwu” jakaś interwencja argentyńskiego rządu, przy czym sformułowania te przekazywane królowi przez dostojników nie śmia obnażać, więc nazywać, niesuwerenności monarchy i tronu. Argentynę na przykład nazywa się zawsze „Hiszpanią” i traktuje ją jako państwo ościenne. Pomału wszyscy tak wrastają w owe sztuczne skóry, uczą się obracać tak swobodnie w świetnych szatach, tak sprawnie powodują mieczem i językiem, że fałsz schodzi niejako głębiej - w osnowy i korzenie tej budowli, owego żywego obrazu. Nadal pozostaje on brednią, lecz teraz już taką, która pulsuje krwią autentycznych pożądań, nienawiści, sporów, rywalizacji, albowiem na fałszywym dworze lęgną się prawdziwe intrygi, bo jednych dworaków usiłują inni obalić, po ich ciałach przybliżyć się do tronu, by przyjąć z rąk króla godności obalonych, więc plotka, trucizna, donos, sztylet rozpoczynają swe skryte, zupełnie realne działanie, jakkolwiek monarchistycznego i feudalnego pierwiastka nadal tkwi w tym wszystkim tyle, ile Taudlitz, nowy Ludwik XVI, umiał go tchnąć we własny sen o władzy absolutnej, odtwarzany przez czeredę byłych esesmanów. Taudlitz przypuszcza, że gdzieś w Niemczech żyje jego siostrzeniec, ostatni osobnik jego rodu, Bertrand Guelsenhirn, który liczył sobie trzynaście lat w chwili klęski Niemiec. Na poszukiwania tego młodzieńca (teraz dwudziestojednoletniego) wysłał Ludwik XVI księcia de Rohan, czyli Johanna Wielanda, jedyne „intelektualistę” w swym otoczeniu, bo Wieland był lekarzem Waffen SS i dokonywał w obozie Mauthausen „prac naukowych”. Scena, w której król udziela księciu sekretne polecenie, by ten odnalazł chłopaka i przywiózł go na dwór jako infanta, należy do świetniejszych w powieści. Najpierw wyklada monarcha dosyć miłościwie, jak troska się bezdzietnością własną, ze względu na dobro tronu, to jest sukcesji; te wstępne frazy pomagają mu utrzymać się w tonie i dalej; smak prawie obłąkańczy sceny w tym, że teraz król nawet sam przed sobą nie przyznaje się do tego, iż nie jest prawdziwym królem: nie umie wprowadzić po francusku, lecz, posługując się niemieckim, panującym na dworze, twierdzi, jak wszyscy za nim, kiedy na to przyjdzie, że jest mówiącym właśnie po francusku siedemnastowiecznym Francuzem. Nie jest to żaden obłąd, bo właśnie obłądem byłoby teraz przyznać się do niemieckości, chociażby tylko w języku; Niemcy w ogóle nie istnieją, skoro jedynym sąsiadem Francji jest Hiszpania (to znaczy Argentyna)! Kto by odważył się powiedzieć cokolwiek po niemiecku, dając do zrozumienia, że właśnie tak mówi, ryzykuje życie: z rozmowy arcybiskupa Paryża i diuka de Salignac można wnosić (str. 311, t.I), że ks. Chartreuse, ścięty za „zradę stanu”, w istocie po pijanemu nazwał pałac nie po prostu „burdelem”, lecz „burdelem niemieckim”. Notabene, obfitość francuskich nazwisk w powieści, przypominających żywo nazwy koniaków i win - chociażby taki „markiz Chateau-

Neuf du Pape”, mistrz ceremonii! - wynika niechybnie, jakkolwiek tego autor nigdzie nie mówi, stąd, że w pamięci Taudlitz kołatało się, dla łatwo zrozumiałych względów, więcej nazw likierów i wódek aniżeli francuskiej szlachty. Przemawiając do swego wysłannika mówi zatem Taudlitz tak, jak sobie wyobraża, że przemawiałby król Ludwik do zaufanego, wysłanego w podobnej misji. Nie każe zrzucić fikcyjnych szat księciu panu, lecz, na odwrót, „przebrać się za Anglika lub Holendra”, co oznacza po prostu starania o normalny, współczesny przydzwiek. Słowo „współczesny” paść jednak nie może - należy do takich, które nadwątłajaco atakowałyby fikcję królestwa. Nawet dolary są nazywane zawsze „talarami”. Zaopatrzony w poważną ilość gotówki, Wieland jedzie do Rio, gdzie działa handlowy agent „dworu”; uzyskawszy dobre fałszywe dokumenty, płynie wysłannik Taudlitz do Europy. Perypetie jego poszukiwań dzieło przemilcza. Wiemy tylko, że wieńczy je sukces po jedenastu miesiącach i powieść, w właściwej sobie oryginalnej wersji, rozpoczyna się właśnie od drugiej rozmowy pomiędzy Wielandem a młodym Guelsenhirnem, który pracuje jako kelner w dużym hamburskim hotelu. Bertrand (imię to będzie wolno mu zachować: ma, w opinii stryja Taudlitz, dobre brzmienie) słyszy zrazu tylko o stryju-krezusie, który gotów go usynowić, i ten argument wystarczy, by rzucił pracę i pojechał z Wielandem. Podróż tej osobliwej pary, jako introdukcja powieści, spełnia doskonale swoje zadanie, ponieważ chodzi o takie posuwanie się w przestrzeni, które jednocześnie jest jakoby cofaniem się w czasie historycznym: podróżnicy przesiadają się wszak z transkontynentalnego odrzutowca do pociągu, potem do auta, z auta do konnego powozu, aby wreszcie ostatnich 230 kilometrów przebyć wierzchem. W miarę jak niszczy się ubranie Bertranda, „znikają” jego zapasowe sztuki, a w ich miejsce pojawiają się części archaicznej garderoby, zapobiegliwie przygotowane i podkładane na takie okazje przez Wielanda, przy czym ów jednocześnie przedzierzga się w księcia de Rohan. Ta metamorfoza nie jest bynajmniej jakąś makiaweliadą - zachodzi, od postoju do postoju, z dziwaczną prostotą: można się domyślić (później w tym się upewnimy), że Wieland przebieranki takie, tyle że nie aż na raty, przechodził już wielokrotnie jako totumfacki poseł Taudlitz. Gdy więc Wieland, który do Europy pojechał jako pan Heinz Karl Muller, staje się zbrojnym i konnym księciem de Rohan, analogicznej przemianie, zewnętrznej przynajmniej, podlega i Bertrand. Bertrand jest oszołomiony i ogłupiały. Jechał do stryja, o którym dowiedział się, że to pan ogromnych włości, porzucił zawód kelnera, by stać się dziedzicem milionów, a wprowadzają go teraz w krąg kolorowej komedii czy farsy, której nie może zrozumieć. Pouczenia, jakich Wieland-Muller-de Rohan udzielał mu po drodze, powiększają tylko zamęt panujący w jego głowie. Raz wydaje mu się, że towarzysz zwyczajnie z niego kpi, raz, że pcha go do zguby, to znów, że wtajemniczają go w małą

częstkę niepojętej afery, której całości poznać na razie nie może; przyjdą chwile, w których będzie bliski obłędu. Pouczenia nie są wszak nigdy nazwaniem rzeczy po imieniu; ta instynktowna mądrość jest własnością wspólną dworu. „Trzeba - głosi de Rohan - zachowywać formy, jakich wymaga stryj (»pan stryj«, potem »JWielmożny«, nareszcie - »Jego Wysokość«!); imię jego brzmi »Ludwik«, a nie »Zygfyrd« - tego ostatniego nie wolno nigdy wymawiać. Odłożył je na bok - tak być musi!” - oświadcza Muller, stając się księciem. „Majątek” przekształca się w „latyfundia”, a te - w „państwo” - tak, po trochu, podczas długich dni konnej jazdy przez dżunglę, a potem, w ciągu ostatnich godzin, przebytych w złoconej lektyce, niesionej przez ośmiu nagich, muskularnych Metysów, widząc z jej okna orszak konnych rycerzy w szyszakach, Bertrand przekonuje się o prawdzie słów zagadkowego towarzysza. Potem przerzuca podejrzenia o szaleństwo na niego właśnie i liczy już tylko na widzenie ze stryjem, którego zresztą prawie nie pamięta - widział go po raz ostatni jako dziewięcioletni malec. Lecz spotkanie jest ośrodkiem wspaniałej, efektownej uroczystości, stanowiącej amalgamat wszelkich ceremonii, rytów i obyczajów, jakie był w stanie zapamiętać Taudlitz, więc chór śpiewa i grają srebrne fanfary, więc wchodzi król w koronie, a przedtem lokaje wołają przeciągle „król!”, „król!” - odmykając rzeźbione podwoje; Taudlitza otacza dwunastu „parów królestwa” (których wskutek omyłki pożyczył, gdzie nie należało) i następuje podniosła chwila - Ludwik krzyżem żegna synowca, nazywa go swym Infantem i daje mu do ucałowania pierścieni, dłoń i berło. Gdy zaś pozostają sami na śniadaniu, obsługiwani przez wyfraczonych Indian, wobec cudownego widoku, co roztacza się z wysokości zamku na park i bijące w nim świetliste szeregi wodotrysków, Bertrand, patrząc na ów przepych, to znów na odległy pas majaczącej okrutną zielenią dżungli, która otacza całą posiadłość, nie ma po prostu odwagi pytać stryja o cokolwiek i gdy ten łagodnie go tak poucza, poczyną mówić mu: „Najjaśniejszy Panie”... „Tak trzeba... tego wymagają wyższe racje... moje dobro w tym i twoje...” - miłościwie mówi doń Gruppenfuhrer SS w koronie. Niezwykłość tej książki bierze się stąd, że jest ona zespoleniem takich elementów, które wydają się absolutnie do siebie nieprzystające. Albo coś jest autentyczne, albo nieautentyczne, albo fałszywe, albo prawdziwe, albo jest grą udawaną, albo spontanicznym życiem, a tu mamy przed sobą skłamaną prawdę i autentyczny nieautentyk, a więc to, co jest naraz i prawdą, i fałszem. Gdyby dworacy starego Taudlitza tylko odgrywali swoje role, dukając wyuczone na pamięć teksty, mielibyśmy przed sobą martwe, kukielkowe widowisko, lecz oni sobie formę przyswoili, każdy po swojemu w nią wrósł, i tak już przywykli do niej przez lata, że teraz, kiedy wnet po przyjeździe Bertranda poczynają spiskować przeciw Taudlitzowi, już nie potrafią całkowicie wyzwolić się z narzuconych schematów, tak że sam

spisek również jest dziwną mieszaniną psychologiczną, niby tort z powidłami, zakalcem, makaronem i trupkami myszy, co się orzechami podławiły. Albowiem autentyczną swoją pasję, rzetelną namiętność panowania oblekł był Gruppenfuhrer w zlepek nonsensownie poprzekręcanych wspomnień o historii francuskich Ludwików, historii branej z trzeciej ręki - romansideł sensacyjno-awanturnych; na wstępie posłuszeństwa dla swojej manii nie wymuszał, bo nie mógł, a jedynie opłacał je, i w tym czasie musiał udawać, że nie słyszy, co byli szoferzy, podoficerowie, wachmani SS o nim i o tej całej „imprezie” mówią tuż za jego plecami; a miał tyle rozsądku, by wszystko to spokojnie ścierpieć - do momentu, w którym było mu już łatwo strachem, przymusem, torturą zdobywać posłuch; wtedy to zarazem dolary, jedyny czar dotychczasowy, stały się „talarami”... Ta prymitywna faza składanki, niejako prehistoria królestwa, nie jest w powieści pokazana inaczej, niż w strzępkach przypadkowych rozmów - a warto pamiętać, że za takie wspominki można drogo zapłacić. Akcja powieści zaczyna się w Europie, gdy niewiadomy wysłannik kaptuje młodego kelnera Bertranda, i dopiero w drugiej części narracja pozwala nam domyślać się tego, cośmy dotąd usiłowali odtworzyć. Oczywiście byli żandarmi, obozowi strażnicy i lekarze, kierowcy i strzelcy wozów pancernych dywizji SS „Grossdeutschland”, jako dworacy, księżęta i duchowni dworu Ludwika XVI, to tak koszmarne, takim obłędem buchająca mieszanina, tak nie przystająca do niepisanych ról, jak to w ogóle jest możliwe, ale też oni wszyscy nie tyle źle grają dobrze ułożone role, bo tych nigdy nie było, ile po swojemu, w sposób często kretyński, przecież radzą sobie z zadaniem, jako że nic innego nie są w stanie uczynić... A ponieważ to, co było fałszywe już w powieści, oni fałszywie i tępo odgrywiają, powinna powstać taka miszkulancja, która uczyniłaby książkę jednym stekiem bredni. Tak jednak wcale nie jest, ponieważ tym hitlerowskim oprawcom było może kiedyś i głupio naciągać na grzbiety kardynalskie purpury, fiolety biskupie i blachy złożone pancerzy, lecz już mniej głupio było im, bo zabawnie, przemianować prostytutki z marynarskich burdeli na swoje księżęce małżonki, gdy szło o panów świeckich, albo na księżniczki i hrabiny-nałożnice, gdy szło o duchowieństwo króla Ludwika. Jakoż role te im nawet samym zasmakowały; tonąc w fikcyjnym dostojeństwie, wszelka taka kreatura lubowała się nim i pyszniła, a zarazem podciągała się do takiego ideału świętej osobistości, jaki mogła wymyślić. Toteż owe partie powieści, w których dochodzą do głosu owe byłe zbiry w duchownych kapeluszach i w żabotach koronkowych, są niewiarygodnymi wprost pokazami psychologicznej sprawności autora. Hołysze ci cierpią ze swych stanowisk rozkosz, obcą autentyzmowi arystokratów, bo w dwójnasób spotęgowaną tym, co można najprościej określić jako uszlachcenie czy wręcz uprawomocnienie zbrodni. A to, gdyż łotr owoce zła spożywa z najwyższą uciechą dopiero,

kiedy czyni to w majestacie prawa; tym etatowym zawodowcom sadyzmu kacetowego wyraźną satysfakcję sprawia możliwość repetowania niejednej z dawniejszych praktyk - w aureoli i glorii dworskiego przepychu, w jego świetle, potęgującym niejako każdy plugawy czyn: dlatego właśnie, robiąc rzeczy haniebne, wszyscy oni już własnowolnie starają się o to, żeby przynajmniej w słowach nie wypaść z biskupiej czy książęcej roli. Gdyż dzięki temu hańbią zarazem i całą majestatyczną symbolikę owych najwyższych godności, którymi się przyozdobili. Dlatego też zazdroszczą ci najtępsi, jak Mehrer, księciu de Rohan, który potrafi tak zgrabnie usprawiedliwić swoją słabość do znęcania się nad indiańskimi dziećmi, że zadawanie im tortur przemianowuje na czynność ze wszech miar „dworską”, niejako w najwyższym stopniu właściwą. (Nawiasem mówiąc, wszystkich Indian zwie się konsekwentnie „Murzynami”, bo niewolnik-Murzyn „lepiej leży w stylu”.) Rozumiemy też starania o kapelusz kardynalski - Wielanda (księcia de Rohan): już tylko tego jednego mu niedostaje, żeby mógł uprawiać swoje zwyrodniałe igraszki - jako jeden z namiestników samego Pana Boga na ziemi. Co prawda, Taudlitz mu tego przywileju odmawia: jak gdyby zdawał sobie sprawę z otchłani ohydy, stojącej za tym uroszczeniem Wielanda. Gdyż Taudlitz w owej grze inaczej gustuje: on nie chce być współświadomym obecnego wyniesienia oraz dawnej przeszłości esesowskiej, ponieważ miał „inny sen, inny mit” - on łącznie królewskiej purpury prawdziwej, więc wielandowski sposób korzystania z okoliczności odtrąca z gniewem rzetelnego oburzenia. Mistrzostwo autora - w ukazaniu niezwyklej różnorodności lotrostw ludzkich, owego bogactwa, różnorodności zła, które wcale nie daje się sprowadzić do jakiejś jedynej, prostej formuły. Taudlitz nie jest bowiem od Wielanda ani o włos „lepszy”, jest tylko zajęty czymś innym, bo dąży do - niemożliwej, lecz zupełnej - transfiguracji. Stąd też jego „purytanizm”, który tak ma mu za złe najbliższe otoczenie. Co się tyczy dworaków, widzimy, że starali się być nimi - z odmiennych powodów... a potem, kiedy w dziesięciu jęli knuć spisek przeciw monarsze-Gruppenfuhrerowi, chcąc go okraść z kufra pełnego dolarów, a też i zamordować, przecież było im żal, że rozstaną się z senatorskimi krzesłami, tytułami, orderami, godnościami, więc byli w istnej matni. Nie chcieli zarznąć starego i uciec z łupem, chociaż właśnie chcieli; i nie tylko dotychczasowe pozory hamowały ich knowania. Oni w niemożliwość swej dostojnej pozycji, chwilami już sami wierzyli, ponieważ ta niemożliwość w najwyższym stopniu im odpowiadała, przeszkadzało zaś (to wprawdzie obłąd, ale doskonale logiczny, w psychologicznej konsekwencji sprawdzalny) im najbardziej już nie rozeznanie, jako pamięć, że nie są tymi, za jakich się podają, ale po prostu owo bezwzględne okrucieństwo Taudlitz jako monarchy: gdyby z niego Gruppenfuhrer SS tak w każdym calu nie wyłaził, gdyby nie dawał im tak - milcząc- do zrozumienia, że oni

wszyscy są z niego, z aktu jego woli i chwilowej łaski, toby pewno trwalszą się okazała żywotność Francji Andegawenów w argentyńskim interiorze. A więc, doprawdy, aktorzy mieli już za złe reżyserowi widowiska - jego niewystarczającą autentyczność; ta banda chciała być plus monarchique, niż jej na to sam monarcha zezwalał... Naturalnie - byli wszyscy w błędzie, bo nie mogli zestawić siebie, w tych rolach, z prawdziwą, lepszą autentycznością wspaniałego dworu; nie mogąc się należycie podciągnąć do wysokich ról, przecież uczynili je swoimi, życiowymi, każdy włożył we własną to, co miał i mógł, czym mu dusza śpiewała. Nie ma przy tym mowy o sztucznej koturnowości, widzimy przecież nieraz, jak ci diukowie odzywają się do swoich diusz, jak markiz de Beaujolais (były Hans Wehrholz) grzmoci swoją małżonkę i jak jej wypomina kurewską przeszłość. W tych scenach wysiłek pisarza zmierza do uprawdopodobnienia tego, co wydaje się tak absolutnie nieprawdopodobne - kiedy tylko streszczane. Zapewne, owe kreatury po trosze męczą się przedstawieniami, które muszą dawać, a już szczytem wszystkiego są ci, co odgrywają wysokie duchowieństwo Kościoła rzymskokatolickiego. Katolików w kolonii w ogóle nie ma, a o jakiegokolwiek religijności byłych esesmanów niepodobna mówić; utarło się więc, że tak zwane nabożeństwa w pałacowej kaplicy są niezwykle krótkie i sprowadzają się do śpiewnego odczytania kilku wersetów z Biblii; sugerował ten też i ów monarsze, że właściwie można by i takie służby boże zlikwidować, lecz Taudlitz okazał się nieubłagany; zresztą obaj kardynałowie, arcybiskup Paryża i pozostali biskupi przecież tak właśnie „usprawiedliwiają” swoje wysokie tytuły, ponieważ tych kilka minut tygodniowo - potwornej parodii mszy - uzasadnia przede wszystkim w ich własnych oczach prawa do piastowania kościelnych dostojęństw; więc jakoś to wszystko razem godzą, i trwają przy ołtarzach przez minuty, aby sobie wetować to godzinami przy biesiadnych stołach i pod baldachimami łożnic wspaniałych. Dlatego też pomysł owego aparatu projekcyjnego, przeschmuglowanego (z niewiedzą króla!) do pałacu z Montevideo, którym w piwnicy zamkowej wyświetla się pornograficzne filmy, przy czym funkcje operatora pełni arcybiskup Paryża (onże były szofer gestapo Hans Schaeffert), a taśmy pomaga mu zmieniać kardynał du Sauterne (eksintendent), ów pomysł jest zarazem makabrycznie śmieszny i wiarygodny - jak wszystkie inne elementy tej tragifarsy, która może dlatego trwać, bo nic nie jest w stanie podważyć jej od wnętrza. Ludziom tym już się po prostu wszystko ze wszystkim godzi, wszystko im do wszystkiego pasuje, i nie wolno się temu dziwić, kiedy się wspomni na przykład sny niektórych - bo czyż komendant III bloku z Mauthausen nie miał „największej kolekcji kanarków w całej Bawarii”, którą tęsknie wspomina, i czy nie próbował karmić tych kanarków podług zalecenia pewnego kapo, który go zapewniał, że kanarki, żywione ludzkim mięsem, najpiękniej śpiewają? Więc to jest

zbrodniczość doprowadzona do takiego stopnia samoniewiedzy, że właściwie chodzi o byłych morderców niewinnych, gdyby kryterium zbrodniczości człowieka zasadało się wyłącznie na autodiagnozie, na samodzielny rozpoznaniu win. Być może, w niejakiem sensie kardynał du Sauterne wie, że prawdziwy kardynał nie tak się zachowuje, że on pewno wierzy w Boga i raczej nie gwałci indiańskich chłopaczków, służących w komzach do mszy, lecz ponieważ w promieniu czterystu mil nie ma na pewno żadnego innego kardynała, refleksja taka nie doskwiera mu wcale. Kłamstwo, żywiąc się kłamstwem, daje w efekcie tę rozplenioną bujność form, która przewyższa wszelki obraz autentycznego dworu jako diagnoza ludzkiego zachowania, bo jest niejako podwójnie naraz wiarygodna. Autor nie pozwala sobie na najmniejsze przerysowania i realizm rzeczy trwa niewzruszony; kiedy powszechne pijaństwo przekracza pewną granicę, koronowany Gruppenfuhrer zawsze oddala się do swych apartamentów, bo wie, że stare, wachmańsko-esesowskie nawyki brać będą górę nad pozorem oglady i z pijackiej czkawki poczną wyskakiwać te zarazem groteskowe i koszarne powiedzonka, których wyrazistość wynika z kontrastu, aż dławiącego, mentalności przybranej i realnej. Właściwie cała genialność Taudlitz, gdyby tak wolno rzec - w tym, że miał on taką odwagę i siłę konsekwencji, aby „domknąć” system, który stworzył. Ten system, przeraźliwie kaleki, funkcjonuje tylko dzięki swojej hermetyczności jednak, gdyż jeden podmuch realnego świata byłby jego totalnym zagrożeniem. I właśnie kandydatem na zagrażającego jest młody Bertrand, który nie czuje w sobie wszakże dostatecznej siły, by przemówić prawdziwym głosem przerażenia, nazywającego rzeczy po imieniu. Bertrand tej najprostszej ewentualności, która całość rzeczy wyklada, nie śmie wziąć pod uwagę. Po prostu ordynarne, latami kontynuowane, systematyczne, natrzęsające się ze zdrowego rozsądku kłamstwo? Nie; nigdy; już raczej pospólna paranoja albo jakowaś niepojęta, tajemna gra o niewiadomym mu przeznaczeniu, o racjonalnej podszevence, opatrzona rzetelnymi, pełnymi sensu motywami, wszystko, byle nie czyste łgarstwo, samo sobą zachwycone, w siebie zapatrzone, sobą bezgranicznie rozdęte. Konstatacja, jakiej poświęciliśmy nasz wywód, jest dlań niedostępna. Bertrand tedy kapituluje zrazu: daje się przyodziać w szaty następcy tronu, wyuczyć dworskiej etykiety, to jest owego rudymenarnego zbioru ukłonów, gestów, słów, który wydaje mu się dziwacznie znajomy, nic osobliwego, ponieważ on też czytał podobne brukowe romanse i pseudohistoryczne powieścicdła, co były natchnieniem króla i jego mistrza ceremonii. Jest wszelako oporny, chociaż nie zdaje sobie sam sprawy z tego, jak jego bezwład, jego bierność, drażniące nie tylko dworaków, ale i króla, są wyrazem instynktownego sprzeciwu wobec sytuacji, wymuszającej na nim potulne zidiocenie. Bertrand nie chce utonąć w fałszerstwie, chociaż sam nie pojmuje, z jakich źródeł płynie jego opór,

więc tylko zarabia na docinki, na uwagi ironiczne, na owe majestatyczno-kretyńskie odezwania się gości, szczególnie podczas drugiej wielkiej uczty, kiedy to król, rozwścieczony podtekstem ślamazarnych niby słów Bertranda, słów, których ukrytej złośliwości chłopiec sam nie domyślił się od razu, kiedy więc król zaczyna wówczas - w ataku prawdziwej furii - ciskać w niego gnatami ogryzanej właśnie pieczeni, przy czym jedna część sali sekunduje rozwścieczonemu aprobującym rechotem, ciskając w biedaka zatłuszczonymi kośćmi, porywanymi ze srebrnych talerzy, podczas kiedy druga milczy w niepokoju, niepewna, czy aby Taudlitz swym ulubionym sposobem nie zastawił na obecnych jakiejś pułapki, czy nie działa w zмовie z infantem?

Albowiem najtrudniej jest nam tutaj wyrazić to, że przy całej tępacie gry, przy całej płaskości przedstawienia, które, kiedyś zeskładawszy się byle jako, tak urosło w moc, że się nie chce skończyć, a nie chce, bo nie może, bo poza nim czeka już teraz tylko całkowita nicość (oni już nie mogą przestać być biskupami, księżętami krwi, markizami, ponieważ nie mają odwrotu na pozycje szoferów gestapo, straży krematoryjnej, obozowych komendantów, tak jak król, nawet gdyby chciał, nie mógłby wrócić do SS Gruppenfuhrera Taudlitz), przy całej, powtarzamy, banalnej i spotworniałej płaskości tego państwa i dworu, drga w nim jednocześnie, jednym czujnym, napiętym nerwem, owa bezustanna chytrność, owo wzajemne podejrzewanie się, które pozwala toczyć w fałszywych formach prawdziwe bitwy, podchody, podgryzać pozycje ulubieńców tronu, pisać donosy i w milczeniu wrywać sobie łaskę pańską; albowiem w samej rzeczy nie kapelusze kardynalskie, nie wstęgi orderowe, koronki, żaboty, pancerze usprawiedliwiają taki kreci wysiłek, te podkopy intryg, cóż bowiem w końcu wygom ze stu bitew i tysiąca mordów po zewnętrznych oznakach fikcyjnej chwały? Same te podjazdy, matactwa, zastawiane na przeciwników pułapki, doprowadzanie ich do tego, żeby się przed królem zasypali, żeby na pysk wypadli z nadętej roli, stanowią największą pospólną namiętność... Tak tedy owo przepieranie się, odnajdywanie właściwych chodów na dworskim parkiecie, w lustrzanych salach, których zwierciadła odbijają ich pysznie wystrojone sylwetki, ta bezustanna a bezkrwawa (wyjątki - w piwnicach zamku) bitwa jest ich racją bytu, ona nadaje sens temu, co byłoby bez niej - jedną karnawałową dziecinadą, godną może jakichś bezwąsych szczeniaków, ale nie mężczyzn, znających uciechę krwi... Nieszczęsny Bertrand tymczasem nie może już być dłużej sam ze swoim niewysłowionym dylematem; jak tonący brzytwy szuka duszy bratniej, której by się mógł zwierzyć z zamiaru, jaki w nim narasta. Albowiem, i to jest nowa zasługa autora, Bertrand staje się pomału Hamletem tego zwariowanego dworu. On jest tu z instynktu ostatnim sprawiedliwym („Hamleta” nie czytał nigdy!), więc uważa, że jego obowiązkiem jest zwariować. Nie posądza wszystkich o cynizm

- na to ma właśnie zbyt mało intelektualnej odwagi; Bertrand, nie wiedząc tego sam, chce uczynić rzecz - na mniej plugawym dworze zapewne realną: pragnie mówić to, co mu bezustannie pali język i tłoczy się na usta, a wie już, że jako normalny powiedziec tego bezkarnie nie może. Lecz gdyby oszalał, a, wówczas inna sprawa; zaczyna tedy nie symulować obłędu na zimno, niczym Szekspirowski Hamlet: nie, jako prostak, naiwny, trochę histeryk, próbuje po prostu oszaleć z dobrą wiarą w potrzebę własnego obłędu! Tak będzie wypowiadał słowa prawdy, które go duszą... lecz diuszesa de Clicot, stara prostytutka z Rio, mając ochotę na młodego chłopca, wciąga go do łóżka i kształcą w sposobach, zapamiętanych podczas nieksiężęcej przeszłości, jakie przejęła od pewnej burdel-mamy, przestrzega go surowo, aby nie mówił rzeczy, które mogą go kosztować gardło. Gdyż ona dobrze wie, że na coś takiego, jak respekt przed nieodpowiedzialnością psychicznej choroby, nie ma tutaj miejsca; w gruncie rzeczy, jak widać, stara dobrze życzy Bertrandowi. Lecz ta rozmowa pod pierzyną, w której księżna okazuje się wprawdzie biegłą kurwą, chociaż zarazem już nie umie całkiem jak kurwa przemawiać do młodzieńca (nie umie, bo jej ograniczony umysł maceruje się na dworze od siedmiu lat i wchłonął niemałą porcję pseudoszychu i etykiety), ta rozmowa nie zdoła naturalnie odmienić planów Bertranda, któremu jest już wszystko jedno. Albo zwariuje, albo ucieknie; sekcja podświadomości tamtych wykazałaby chyba, że wiedza o realnym świecie, co czeka na nich z wyrokami zaocznymi, więzieniami i trybunałami, jest niewidzialną siłą, zagrzewającą do kontynuowania gry; ale Bertrand, który nie ma z taką przeszłością nic przecież wspólnego, jej nie chce. Równolegle spisek wchodzi w fazę działań: już nie dziesięciu, lecz czternastu dworaków, gotowych na wszystko, zyskawszy sojusznika w dowódcy straży pałacowej, po północy wtargnie do sypialni królewskiej. Zamiar główny ulegnie storpedowaniu w kulminacyjnym momencie - okazuje się, że dobre dolary dawno już wydano, zostały tylko - w słynnej „drugiej przegrodzie kufra” - same fałszywe. Król dobrze o tym wiedział. Więc nie ma właściwie o co się bić - ale mosty zostały spalone: muszą zabić króla, dotąd tylko patrzącego ze sznurów na łożu, jak wywracają do góry nogami schowany pod łożem „skarbiec”. Mieli go zatłuc z rozsądku, aby udaremnić pogoń, aby ich nie mógł ścigać: teraz zabijają go z nienawiści, za to, że ich znecił fałszywym skarbem. Gdyby to nie zabrzmiało szkaradnie, powiedziałbym, że scena mordu jest cudowna; w niezawodnej doskonałości rysunku znać mistrza. Aby bowiem osiągnąć starca jak najboleśniej, nim się go zadławi postronkiem, spiskowcy zaczynają ryczeć do niego językiem obozowych kucharzy i gestapowskich szoferów, tym językiem wyklętym, skazanym na wieczną banicję z królestwa. A gdy ciało duszonego jeszcze drga na podłodze (świetny motyw ręcznika!), mordercy, ochłonawszy,

wracają do języka dworaków, właściwie nierozmyślnie, ale tylko, ponieważ nie mają już innego wyjścia: dolary są fałszywe, nie ma z czym, nie ma za co uciekać, Taudlitz spętał ich, chociaż sam nieżywy, nie wypuści nikogo ze swego państwa! Muszą tedy przystać na kontynuację gry podług hasła „le roi est mort, vive le roi!” - i tam, zaraz, nad trupem muszą wybrać - nowego króla. Następny rozdział (Bertrand ukryty u swej „księżnej”) jest dużo słabszy; dopiero ostatni, w którym patrol konnej policji dobija się do zamkowych wrót, ta wielka niema scena, ostatnia w powieści, jest wspaniałym jej zamknięciem. Zwodzony most, policjanci w wymiętych mundurach z coltami pod pachą, w szerokich, z jednej strony podwiniętych kapeluszach, a naprzeciw nich strażnicy w półpancerzach, z halabardami, jedni w drugich patrzący w zdumieniu, jakby dwa czasy, dwa światy niemożliwie sprowadzone na jedno miejsce... po dwu stronach kraty, która zaczyna się powoli, ciężko unosić przy odgłosach piekielnego zgrzytania... finał godny dzieła! Lecz swego Hamleta, Bertranda, autor, niestety, zgubił, nie wykorzystał wielkich szans tkwiących w tej postaci. Nie powiadam, że należało go uśmiercić - rzecz Szekspira nie może tu posłużyć za paradygmat - ale szkoda tej zaprzepaszczonej szansy - nieświadomej samej siebie wielkości, która tkwi w normalnym, przychylnym światu sercu ludzkim. Wielka szkoda.

„RIEN DU TOUT, OU LA CONSEQUENCE”

par Solange Marriot (Ed. du Midi)

„Nic, czyli konsekwencja” to nie tylko pierwsza książka pani Solange Marriot, ale i pierwsza powieść, co dotknęła kresu możliwości pisarskich. Nie, żeby była arcydziełem piękna: jeśli koniecznie już, nazwałbym arcydziełem uczciwości. A właśnie potrzeba uczciwości jest tym robakiem, który wyjada nam dziś całą literaturę. Główną jej dolegliwość stanowi bowiem wstyd, że nie można być jednocześnie pisarzem i człowiekiem całkowicie, tj. z pełną powagą, uczciwym. Wtajemniczenie w istotę literatury sprawia bowiem dolegliwość bardzo podobną do tej, od jakiej cierpi wrażliwe dziecko, gdy seksualnie uświadomione. Szok dziecka jest formą niezgody wewnętrznej na genitalną biologię naszych ciał, która zdaje się domagać potępienia ze stanowiska dobrego smaku, a wstyd i szok pisarza są uświadomieniem nieuchronności kłamstwa, jakie popełnia się pisząc. Istnieją kłamstwa konieczne, np. uzasadnione moralnie (tak kłamię lekarz śmiertelnie choremu), lecz do nich literackie nie należy. Ktoś musi być lekarzem, więc ktoś tym samym musi jak lekarz kłamać; lecz żaden mus nie przybliży piór do czystego papieru. Przeszłość nie znała tego zażenowania, bo nie była wolna; literatura w epoce wiary nie kłamię, lecz tylko służy. Jej emancypacja z takich, to jest: koniecznych służb, zapoczątkowała kryzys, którego formy bywają dziś żałosne, jeśli nie od razu - obsceniczne. Żałosne: bo powieść, opisująca własne powstawanie, to pół spowiedź, a pół błaga. Trochę, a nawet sporo kłamstwa i w niej zostaje: a czując to, kolejni literaci o tym, jak się pisze, pisali stopniowo coraz więcej, na niekorzyść tego, co mianowicie było fabularnie pisane, i po równi pochyłej zjechała ta metoda do utworów głoszących epicką niemożność. A więc powieść zaprosiła nas zrazu do swojej garderoby. Lecz takie zaproszenia zawsze muszą być dwuznaczne - jeżeli nie są aż stręczeniem do nierządu, to okazują się kokieterią; lecz mizdrzyć się, zamiast kłamać, to przejść z deszczu pod rynną. Antypowieść usiłowała stać się bardziej radykalna; postanowiła mianowicie podkreślić, że żadną iluzją niczego nie jest; „samopowieść” była jak magik, pokazujący publiczności podszewkę swych sztuczek; antypowieść miała być już nieudawaniem niczego - nawet samodemaskującego się czarnoksiężnika. A więc? Obiecała niczego nie komunikować, o niczym nie powiadamiać, nic nie oznaczać - lecz tylko być jak chmura, stółek, jak drzewo. W teorii to ładne. Zawiodła jednak, bo nie każdy może być zaraz Panem Bogiem, stwórcą autonomicznych światów; a już na pewno nie może nim być literat. Decyduje o klęsce sprawa kontekstów: od nich, czyli od tego, co nie wypowiedziane wcale, zależy sens tego, co powiadamy. Świat Pana Boga żadnych kontekstów nie ma, więc tylko taki mógłby go skutecznie zastąpić, który jest równie

samowystarczalny. Żebyście się na głowie postawili, nigdy się to nie uda - w języku. Cóż pozostało tedy literaturze po fatalnym uświadomieniu własnej nieprzystojności? Autopowieść jest cząstkowym stripteas'em; antypowieść, de facto, jest (niestety) formą autokastracji. Jak skopcy, obrażeni w swym moralnym sumieniu własną genitalnością, dokonują na sobie koszmarnych operacji, tak trzeba antypowieść nieszczęsne cielsko tradycyjnej literatury. Co więc pozostało jeszcze? Nic oprócz romansu z nicością. Kto bowiem kłamie (a, jak wiemy, pisarz musi kłamać) o niczym, ten już na pewno kłamcą być przestaje. Należało tedy - i w tym właśnie doskonałość konsekwencji - napisać nic. Czy jednak zadanie to może być sensowne? Napisać nic - wszakże to tyle samo, co nic nie napisać. A zatem?... Roland Barthes, autor starawego eseju „Le degre zero de l'écriture”, ani tego nie podejrzewał (ale to umysł przy znamienitej błyskotliwości płytki). Nie pojął tedy, że literatura to zawsze pasożytnictwo na umysłowości czytelnika. Miłość, drzewo, park, westchnienie, ból ucha - czytelnik rozumie, bo tego doznawał. Książką można czytelnikowi głowę, owszem, przemeblować o tyle, o ile jakieś meble już w niej przed lekturą stały. Nie pasożytuje na niczym ten, kto realnie działa: jak technik, lekarz, budowniczy, krawiec, pomywaczka. Co, przy takim zestawieniu, wytwarza pisarz? Pozory. Czy to poważne zajęcie? Antypowieść chciała się wzorować na matematyce: ta przecież niczego realnego nie tworzy! Tak, ale matematyka nie kłamie, bo robi to tylko, co musi. Działa pod naciskiem konieczności, jakich nie zmyśla sobie na poczekaniu; metoda jest jej dana; dlatego prawdziwe są odkrycia matematyków i dlatego też prawdziwe jest ich przerażenie, kiedy metoda doprowadza ich do sprzeczności. Pisarz, ponieważ nie działa pod taką koniecznością, ponieważ jest taki wolny, zawiera tylko z czytelnikiem swoje ciche ugody; namawia, żeby czytelnik zechciał założyć... żeby uwierzył... żeby przyjął za dobrą monetę... ale to jest zabawa, a nie owa cudowna niewola, w której matematyka się rozrasta. Wolność zupełna jest zupełnym paraliżem literatury. O czym mówimy? Ależ o powieści pani Solange. Zaczniemy od tego, że to piękne imię można rozumieć rozmaicie, wedle tego, w jaki kontekst je włożyć. We francuskim może to być Słońce i Anioł (Sol, Ange). W niemieckim będzie to jedynie nazwa interwału czasowego (So lange - tak długo). Zupełna autonomiczność języka jest brednią, w którą uwierzyli humaniści, z naiwności, do jakiej prawa nie mieli już głupi cybernetycy. Maszyny do wiernego tłumaczenia, rzeczywiście! Ani słowa, ani całe zdania nie znaczą same z siebie, we własnych okopach i granicach; Borges zbliżył się do tego stanu rzeczy, kiedy w opowiadaniu „Pierre Menard, autor »Don Kichota« opisał fanatyka literatury, pomyłonego Menarda, który mocą duchowych przygotowań napisał „Don Kichota” raz jeszcze, słowo w słowo, nie ściągając z Cervantesa, lecz niejako wrastając idealnie w jego kreacyjną sytuację.

Miejszem zaś, w którym nowela dotyka tajemnicy, jest ten oto fragment: „Porównanie stronic Menarda i Cervantesa jest rewelacyjne. Ten ostatni, na przykład, napisał (»Don Kichot«, część pierwsza, rozdział XIX): »... prawda, której matką jest historia, spółzawodniczka czasu, depozytariuszka czynów, świadek przeszłości, przykład i monit dla terażniejszości, i nauka dla wieków przyszłych«. Zredagowane w siedemnastym wieku, napisane przez »genialnego laika«, Cervantesa, wyliczenie to jest po prostu retoryczną pochwałą historii. Menard natomiast pisze: »prawda, której matką jest historia, spółzawodniczka czasu, depozytariuszka czynów, świadek przeszłości, przykład i monit dla terażniejszości, i nauka dla wieków przyszłych«. Historia matką prawdy; pomysł jest zadziwiający. Menard, współczesny Williamowi Jamesowi, nie określa historii jako badania rzeczywistości, ale jako jej źródło. Prawdą historyczną, dla niego, jest nie to, co się wydarzyło, jest to, co uważamy, że się wydarzyło. Końcowe zwroty - przykład i monit dla terażniejszości, nauka dla wieków przyszłych - są bezwstydnie pragmatyczne”. To coś więcej niż żart literacki i kpina; to szczerą prawdą, której nonsens samego pomysłu („napisać »Don Kichota« raz jeszcze!”) bynajmniej nie podważa. Albowiem, w samej rzeczy, sensami wypełnia każde zdanie - kontekst epoki; to, co było „niewinną retoryką” w siedemnastym wieku, doprawdy jest cyniczne sensami - w naszym stuleciu. Zdania nie znaczą z siebie; to nie Borges tak żartobliwie postanowił; moment historyczny kształtuje znaczenia językowe, taka jest nieodwołalna rzeczywistość. I teraz, literatura: o czymkolwiek nam opowie - to się kłamstwem musi okazać, bo wszak nie prawdą literalną; faustowskiego diabła nie ma tak samo, jak balzakowskiego Vautrina; mówiąc prawdę rzetelną, literatura przestaje być sobą, staje się pamiętnikiem, reportażem, donosem, raptularzem, listem, czym chcecie, tylko nie pięknym piśmiennictwem. W tym to czasie przybywa pani Solange ze swoim „Rien du tout, ou la consequence”. Tytuł? Nic, czyli konsekwencja? Czyja? Oczywiście, literatury; dla niej, być uczciwą, to jest, nie kłamać, znaczy tyle samo, co - nie być. Tylko o tym jeszcze można dziś uczciwie napisać książkę. Wstyd nieuczciwości już nie wystarczy, dobry był wczoraj; teraz rozpoznamy go: to zwykłe udanie, chwyt wprawnej stripteaserki, która dobrze wie, że udana skromność, fałszywy rumieniec, pensjonarskie zasromanie przy zdejmowaniu majtek podnieca dodatkowo gości! A więc temat został określony. Lecz teraz jakże pisać o niczym? Trzeba, a niepodobna. Powiedzieć „Nic”? Powtórzyć to słowo tysiąc razy? Czy też zacząć słowami: „Nie urodził się, więc się i nie nazywał; przez to ani w szkole nie podpowiadał, ani się później do polityki nie mieszał”? Taki utwór mógł być powstać. Lecz byłby sztuczką, a nie dziełem sztuki, podobnie jak liczne książki, napisane w drugiej osobie liczby pojedynczej; każdą z nich można bez trudu wytrącić z takiej „oryginalności” i zmusić do powrotu na miejsce należne. Wystarczy tę

drugą osobę na powrót pierwszą uczynić: nic zupełnie to rzeczy nie zaszkodzi, w niczym to jej nie odmieni. Podobnie i w naszym przykładzie fikcyjnym: usuńcie wszystkie negacje, owe uprzykrzone „nie”, co pseudonihilistyczną wysypką tekst pocętkowały, ów tekst, jakiśmy tu zmyślili na poczekaniu, a wyjawi się, że to jest jeszcze jedna kolejna historia o markizie, co wyszła z domu o piątej. Powiedzieć, że nie wyszła - to ci dopiero objawienie! Pani Solange na lep takiego triku nie poszła. Zrozumiała bowiem (a musiała zrozumieć!), że wprawdzie niezaszłościami da się opisać pewną historię (powiedzmy, romans) nie gorzej aniżeli zajściami, lecz ten pierwszy zabieg jest tylko wybiegiem. Zamiast pozytywu otrzymamy dokładny negatyw, i to wszystko. Natura innowacji musi być ontologiczna, a nie tylko - gramatyczna! Gdy powiadamy „nie nazywał się, bo się nie urodził”, poruszamy się wprawdzie już poza bytem, ale w tej najcieńszej błoncie nieistnienia, która szczelnie przywiera do rzeczywistości. Nie urodził się, chociaż mógł się urodzić, nie podpowiadał, chociaż mógł podpowiadać. Mógłby wszystko, gdyby był. Utwór będzie stał cały na owym „gdyby”. Z tej mąki chleb się nie wypieczę. Z bytu do niebytu nie wolno przeskakiwać takimi manewrami. Należało zatem porzucić błonkę prymitywnych zaprzeczeń, czyli negatyw akcji, aby zanurzyć się w nicości - bardzo głęboko, aby runąć w nią, nie na oślep, zapewne; zujemniać niebyt coraz potężniej - to musi być znaczny trud, wielki wysiłek; i oto ratunek dla sztuki, ponieważ chodzi o całą ekspedycję w otchłań coraz bardziej dokładnego, coraz większego Nic, a zatem o proces, którego dramatyczną perypetię, zmaganie można opisać - byle się udało! Pierwsze zdanie „Rien du tout, ou la consequence” brzmi: „Pociąg nie przyszedł”; w następnym okresie znajdujemy: „On nie przyjechał”. Spotykamy tedy negację, ale czego właściwie? Pod względem logicznym są to negacje totalne, ponieważ tekst absolutnie niczego bytowo nie utwierdza, wszak wyłącznie o tym prawi, co nie nastąpiło. Czytelnik jest jednak stworzeniem bardziej ułomnym od doskonałego logika. Jakkolwiek więc nic o tym tekst nie mówi, mimo woli powstaje w jego wyobraźni scena dziejąca się na jakimś dworcu, scena oczekiwania kogoś, kto nie przyjechał, a że zna płęć autora (autorki), oczekiwanie nieprzybyłego wypełnia się od razu nikłą antycypacją sprawy erotycznej. Co z tego? Wszystko! Cała odpowiedzialność za te domysły spada bowiem, od pierwszych słów, na czytelnika: powieść jest i pozostanie uczciwa w metodzie; słyszałem już opinie, że jest miejscami wręcz pornograficzna. Otóż nie ma w niej ani jednego słowa, które by afirmowało seks w dowolnej postaci; jakże by taka afirmacja była możliwa, jeśli powiedziane jest właśnie, że ani Kamasutry w domu nie ma, ani czyichkolwiek narządów rodnych (a przy tym są one bardzo szczegółowo zanegowane!). Niebyt jest nam znany już z literatury, lecz tylko jako pewien Brak-Czegoś-Dla-Kogoś. Na przykład - wody dla spragnionego. To samo

dotyczy głodu (także erotycznego), samotności (jako braku Innych) etc. Cudownie piękny niebyt Paula Valery jest to urokliwy brak bytu dla poety; z nicości takich zbudowano nie jeden poetycki utwór. Lecz zawsze idzie wyłącznie o Nicość-Dla-Kogoś, czyli o niebyt czysto prywatny, doznawany jednostkowo, partykularny zatem, rojeniowy, a nie ontologiczny (kiedy nie mogę się napić, spragniony, wody, nie oznacza przecież jej nieobecność - jakoby coś takiego jak woda w ogóle nie egzystowało!). Taka nicość, nieobiektywna, tematem skrajnego utworu być nie może: pani Solange i to pojęła. W pierwszym rozdziale, po nieprzybyciu pociągu i niezjawieniu się Kogoś, narracja, płynąc dalej bezosobowo, ukazuje, że nie ma wiosny ani zimy, ani lata. Czytelnik decyduje się na jesień, ale znów tylko dlatego, ponieważ ta ostatnia szansa klimatyczna nie uległa zaprzeczeniu (ulegnie i ona, lecz później!). Czytelnik jest więc zdany wciąż i wyłącznie na siebie, ale to problem jego własnych antycypacji, domysłów, hipotez ad hoc. W powieści nie ma ich nawet śladowo. Rozmyślenia o niekochanej w przestrzeni bezgrawitacyjnej (tj. takiej, w której nie ma ciężenia), zamykające pierwszy rozdział, mogą się, zapewne, wydać obsceniczne - ale znów tylko temu, kto sobie pewne rzeczy sam, na własną rękę pomyśli. Utwór powiada wszak jedynie, czego by taka niekochana nie mogła zrobić, a nie, co by uczynić mogła w pewnych pozycjach. Ten drugi człon, ten domysłny, znowuż jest osobistą własnością czytelnika, jego całkowicie prywatnym zyskiem (czy stratą, jak kto woli). Utwór nawet podkreśla, że niekochana nie znajduje się w obecności jakowegoś samca. Początek następnego rozdziału wyjawia zresztą od razu, że ta niekochana jest po prostu dlatego niekochana, ponieważ nie istnieje, sprawa całkiem logiczna - nieprawdaż? Potem zaczyna się ów dramat redukcji przestrzeni, także przestrzeni falliczno-waginalnej, który nie spodobał się pewnemu krytykowi, członkowi Akademii. Uznał akademik, że to jest „piła anatomiczna, jeśli nie wulgarność”. Uznał, zauważmy, na własną rękę, ponieważ w tekście mamy tylko dalsze stopniowe zaprzeczenia, coraz bardziej generalnej natury. Jeżeli brak waginy może jeszcze kogoś urazić w przystojności, tośmy już daleko zaszli. Jak może być niesmaczne to, czego wcale nie ma!? Potem dół nicości, jeszcze płytki, poczyną się niepokojąco powiększać. Centrum książki - od czwartego do szóstego rozdziału - to świadomość. Tak, jej strumień, ale, zaczynamy rozumieć, to nie jest strumień - myślenia o niczym: stare, było. To jest strumień niemyślenia. Sama składnia pozostaje jeszcze, nietknięta, niezmożona, i przenosi nas nad czeluściami, jak groźnie uginający się most. Co za pustka! Ale - myślimy - nawet świadomość bezmyślna wciąż jeszcze jest świadomością, czy nie tak? Gdyż bezmyślność owa ma granice... lecz to złuda: ograniczenia stwarza bowiem sam czytelnik! Tekst nie myśli, nie daje nam niczego, wręcz przeciwnie, po kolei odbiera to, co było jeszcze naszą własnością, i emocje lektury są właśnie rezultatem bezwzględności takiego

odejmowania: horror vacui poraża nas, a zarazem kusi; lektura okazuje się nie tylko i nie tyle zagładą skłamanego bytu powieściowego, ile formą unicestwienia samego czytelnika jako psychicznego jestestwa! Kobieta napisała tę książkę? Rzecz nie do wiary, gdy zważyć na jej nieubłaganą logikę. W ostatniej partii utworu przychodzi zwątpienie, czy da się on jeszcze kontynuować: przecież od tak dawna mówi już o niczym! Pochód dalszy, ku centrum nieistnienia, wydaje się niemożliwy. Ale nie! Znowu zasadzka, znowu eksplozja - a raczej: implozja, zapaść kolejnej nicości! Narratora, jak wiemy, nie ma; zastępuje go język, to, co się nim mówi samo, jako fikcyjne „ono” (to właśnie „ono”, które „grzmi” lub „błyska”). W przedostatnim rozdziale postrzegamy z zawrotem głowy, że został właśnie osiągnięty absolut ujemny. Sprawa nieprzybycia jakiegoś mężczyzny, jakimś pociągiem, niebyt pór roku, klimatu, murów domu, mieszkania, twarzy, oczu, powietrza, ciał - wszystko to pozostało daleko za nami, na powierzchni, która, skonsumowana dalszym rozwojem, ową rakowatością zachłanną Niczego, przestała istnieć nawet jako negacja. Widzimy, jak było prostackie, naiwne, wręcz śmieszne liczyć na to, że nam cokolwiek tutaj opowiedzą o faktach, że tu coś się stanie! Jest to zatem redukcja tylko wstępnie dozerowa; potem, wypustkami negatywnej transcendencji opuszczająca się w głębiny, redukcja istnień także transcendentalnych, gdyż już żadne metafizyki nie są możliwe, a przecież neontyczne centrum jeszcze przed nami. Próżnia otacza tedy narrację ze wszech stron; i oto jej pierwsze wtręty, intruzje, w samym języku. Opowiadający głos zaczyna bowiem wątpić w siebie - nie, źle mówię: „to, co siebie opowiada samo”, zapada się i gdzieś leci; już wie, że go nie ma. Jeśli istnieje jeszcze, to jak cień, który jest czystym brakiem - światła: tak te zdania są brakiem - egzystencji. To nie brak wody na pustyni, kochanka dziewicy, to brak siebie. Gdyby to była powieść napisana klasycznymi, tradycyjnymi sposobami, byłoby nam łatwo opowiedzieć, co zachodzi: bohater byłby to ktoś taki, kto poczyna snuć podejrzenia, że ani się sobie nie jawi, ani nie śni, lecz jest śniony i jawiony - przez kogoś, ukrytymi aktami intencjonalnymi (jakby był tym, kto się komuś śni, i tylko dzięki śniącemu *może* istnieć prowizorycznie). Stąd trysnęłoby przerażenie, że te akty ustaną, a mogą wszak ustać w każdej chwili - po czym on wówczas sczeźnie! Tak by się działo w zwykleszej powieści, ale nie u pani Solange: narrator nie może się niczego przestraszyć, bo go wszak nie ma. Cóż więc zachodzi? Sam język zaczyna podejrzewać, a potem rozumieć, że nikogo poza nim nie ma, że znacząc (o ile znaczy) dla każdego, dla wszystkich, tym samym nie jest i nigdy nie był, nie mógł być ekspresją osobową; odrąbany od wszystkich naraz ust, jako wszechwypluty tasiemiec, jako cudzołóżny pasożyt, który pożarł swych gospodarzy, który zabił ich tak dawno temu, że w nim wszelka pamięć zbrodni owej, nieświadomie dokonanej, wygasła i starła się, ten język, niczym powłoka balonu, dotąd

prężna, jędrna, z której niewidzialnie, coraz szybciej uchodzi powietrze, poczyną się zapadać. To zaćmienie mowy nie jest jednak bełkotem; nie jest i strachem (lęka się znów - tylko czytelnik, to on, niejako per procura, przeżywa tamtą, totalnie zdepersonalizowaną męczarnię); pozostają jeszcze przez parę stron, parę chwil maszynerie gramatyki, młyńskie kamienie rzeczowników, tryby składniowe, mielące coraz wolniej, lecz do końca precyzyjnie, nicość, która je przeżera na wylot - i tak się to kończy, w pół zdania, w pół słowa... Ta powieść nie kończy się: ona ustaje. Język, zrazu, na pierwszych stronach pewny siebie, naiwny, zdroworozsądkowo wierzący we własną suwerenność, podmyty w milczeniu zdradą, nie, raczej - docierający do prawdy o swoim zewnętrznym nieprawym pochodzeniu, o swym nadużyciu haniebnym (bo to jest Sąd Ostateczny literatury), język, dorozumiawszy się, iż stanowi formę incestu - kazirodczego związku niebytu z bytem - sam się siebie, samobójczo, wypiera. Kobieta napisała tę książkę? Niezwykle. Powinien ją był napisać jakiś matematyk, lecz taki tylko, który swoją matematyką sprawdził - i przeklął - literaturę.

„PERYCALYPSIS”

Joachim Fersengeld

(Editions de minuit - Paris)

Joachim Fersengeld jest Niemcem, który napisał swą „Perykalipsę” po holendersku (języka tego prawie nie zna, co sam we wstępie przyznaje), a wydał ją we Francji, słynącej z podłych korekt. Piszący te słowa też właściwie nie zna holenderskiego, lecz podług tytułu książki, angielskiego wstępu i nielicznych zrozumiałych w tekście wyrażen uznał, że się na recenzenta przecież nadaje. Joachim Fersengeld nie chce być intelektualistą w epoce, w której może być nim każdy. Nie pragnie też uchodzić za literata; wartościowa twórczość możliwa jest tam, gdzie panuje opór tworzywa albo ludzi, do których kreacja jest skierowana. Ale skoro po śmierci zakazów religijnych i cenzuralnych można powiedzieć wszystko, czyli cokolwiek, a po zaniku uważnych, drżących o słowo słuchaczy można byle co do byle kogo wyrzeshzczeć, literatura i całe jej humanistyczne pokrewieństwo jest trupem, którego rozkład postępujący uporczywie zataja najbliższa rodzina. Należy więc poszukiwać nowych terenów dla twórczości, takich, w których odnajdzie się opór, dający sytuację zagrożenia i ryzyka - a przez to powagi i odpowiedzialności. Taką dziedziną, taką działalnością może być dziś tylko prorokowanie. Ponieważ niemożliwy, prorok, czyli ten, kto z góry wie, że nie będzie ani wysłuchany, ani rozpoznany, ani zaakceptowany, a priori winien przystać na sytuację niemoty. A niemy jest zarówno ten, kto milczy, jak ten, kto po holendersku, Niemcem będąc, zwraca się do Francuzów po angielskich wstępach. Toteż Fersengeld działa zgodnie z własnymi założeniami. Potężna cywilizacja nasza - powiada - dąży do wytwarzania możliwie nietrwałych produktów w możliwie trwałym opakowaniu. Nietrwały produkt wnet musi być zastąpiony nowym, co ułatwia zbyt; a trwałość opakowania utrudnia jego usunięcie, co sprzyja dalszemu rozwojowi techniki i organizacji. Toteż z seryjną tandetą nabywcy dają sobie radę w pojedynkę, natomiast dla usuwania opakowań niezbędne są specjalne programy antypolucyjne, asenizatory, koordynacja wysiłków, planowanie, kombinaty oczyszczające itp. Dawniej można było liczyć na to, że przybór śmiecia utrzyma się na umiarkowanym poziomie dzięki żywiołom natury, jako to deszczom, wichurom, rzekom i trzęsieniom ziemi. Obecnie to, co niegdyś splukiwało i rozmywało śmieci, samo stało się cywilizacyjnym ekskrementem: gdyż trują nas rzeki, wypala nam płuca i oczy atmosfera, wiatry posypują nam głowy popiołem przemysłowym, a plastikowym opakowaniom, że elastyczne, nawet trzęsienia ziemi nie dają rady. Toteż krajobrazem normalnym jest teraz cywilizacyjna wydalina, a rezerваты przyrody są chwilowym z niej wyjątkiem. W pejzażu z opakowań,

jakie złuszczyły z siebie produkty, żywo krzątają się tłumy, zajęte konsumpcją rozpakowanego, jako też ostatnim naturalnym produktem, jakim jest seks. Wszelako i jemu przydano moc opakowań, bo niczym innym nie są stroje, widowiska, róże, kredki i inne reklamowe otuliny. Przez to cywilizacja godna jest podziwu tylko w poszczególnych fragmentach, podobnie jak godna podziwu jest precyzja serca, wątroby, nerki czy płuc organizmu, gdyż wartka praca tych narządów ma dobry sens, jakkolwiek żadnego sensu nie ma działalność ciała złożonego z tych doskonałych części - o ile to jest ciało wariata.

Ten sam proces - głosi prorok - biegnie też w dziedzinie duchowych dóbr, gdyż potworna maszyna cywilizacji, rozkręciwszy się, została mechaniczną dojarką muz. Toteż rozsadza biblioteki, zatapia księgarnie i kioski gazetowe, zdębia telewizyjne ekrany, piętząc się nadmiarem, którego sama moc numeryczna jest solidną zgubą. Jeśli na Saharze znajduje się czterdzieści ziarenek piasku, od których znalezienia zależy ocalenie świata, to się ich nie odnajdzie tak samo jak czterdziestu zbawicielskich dzieł, które dawno już zostały napisane, lecz utonęły w pokładach makulatury. A te dzieła na pewno zostały napisane, ponieważ poręcza to statystyka prac ducha, po holendersku - matematycznie - wyłożona przez Joachima Fersengelda, co recenzent powtarza na wiarę, ani holenderskiego, ani matematycznego języka nie znając. Tak tedy, zanim napoimy dusze tymi rewelacjami, udławimy je śmieciem, bo tego jest cztery biliony razy więcej. Zresztą one się już udławiły. Już zaszło to, co obwieszcza pro-roctwo, a tylko nie zostało dostrzeżone wskutek ogólnego pośpiechu. Proroctwo jest tedy retro-roctwem i dlatego zwie się Perykalipsą, nie Apokalipsą. Chód jej poznajemy po Znakach: znużeniu, spłyceniu i ośpieniu, a także - akceleracji, inflacji i masturbacji. Masturbacja duchowa to zadowalanie się zapowiedziami w miejsce spełnień: najpierw do dna zonanizowała nas reklama (która jest tą zwyrodniałą formą objawienia, na jaką stać Myśl Towarową - w przeciwieństwie do Osobowej), a potem samogwałt objął - jako metoda - resztę sztuk. A to, ponieważ w skuteczność zbawicielską Towaru nie można uwierzyć z tym samym rezultatem, co w skuteczność Pana Boga. Umiarkowany wzrost talentów; ich powolne z przyrodzenia dojrzewanie; ich troskliwa selekcja; ich dobór naturalny w zasięgu pieczołowitych i wnikliwych gustów - są to fenomeny czasu przeszłego, zgasłe bezpotomnie. Ostatnim bodźcem działającym jeszcze jest potężny ryk; ale skoro coraz więcej osób ryczy, używając coraz silniejszych wzmacniaczy, pierwiej bębenki trzasną, nim się duch czegoś dowie. Imiona dawnych geniuszów, coraz daremniej przywoływane, są już pustym dźwiękiem; tak tedy Mane Tekel Fares, chyba że uczynione zostanie to, co Joachim Fersengeld zaleca. Należy ustanowić Humanity Salvation Foundation, Fundusz Zbawienia Ludzkości, jako szesnastobilionowy wkład z parytetem złota, oprocentowany według stopy

cztery od sta rocznie. Z funduszu tego należy opłacać wszystkich twórców: wynalazców, uczonych, techników, malarzy, pisarzy, poetów, dramaturgów, filozofów i projektantów, a to następującym sposobem. Ten, kto nic nie pisze, nie projektuje, nie maluje, nie patentuje ani nie proponuje - pobiera stypendium dożywotnie w wysokości rocznej 36 000 dolarów. Ten, kto cokolwiek z wymienionego czyni, dostaje odpowiednio mniej. „Perykalipsa” zawiera pełny zestaw tabelaryczny potrąceń dla wszystkich form twórczości. Przy jednym wynalazku albo dwóch książkach wydanych rocznie nie dostaje się ani grosza; przy trzech tytułach trzeba już do tworzonego samemu dopłacać. Dzięki temu tylko prawdziwy altruista, tylko asceta ducha, miłujący bliźnich, a siebie ani trochę, będzie tworzył cokolwiek. Ustanie natomiast produkcja śmiecia sprzedajnego, o czym Joachim Fersengeld wie z własnego doświadczenia: albowiem własnym kosztem - ze stratą! - wydał swą „Perykalipsę”. Wie tedy, że nierentowność totalna wcale nie oznacza totalnego zlikwidowania wszelkiej kreacji. Egoizm przejawia się atoli jako chciwość mamony połączona z chciwością sławy: by i tę ostatnią zaczopować, Program Zbawienia wprowadza zupełną anonimowość twórców. Aby udaremnić wysuwanie wniosków stypendialnych przez osoby nieutalentowane. Fundacja będzie, odpowiednimi organami, badała kwalifikacje kandydatów. Merytoryczna wartość pomysłu, z jakim się zgłasza kandydat, nie ma najmniejszego znaczenia. Ważne jest to tylko, czy projekt ów posiada wartość towarową, to jest, czy dałby się sprzedać. Jeśli tak, stypendium przyznaje się niezwłocznie. Za podziemną działalność twórczą ustanawia się system kar i represji w ramach sądowego ścigania przez aparat Nadzoru Ratunkowego; wprowadza się też nową formę policji, mianowicie Ślepanty (Śledcze Patrole Antykreacyjne). Podług kodeksu karnego - kto potajemnie pisze, rozpowszechnia, przechowuje lub nawet milczkiem tylko sygnalizuje publicznie wszelki plód twórczy, pragnąc ciągnąć z tego procederu zyski lub sławę, karany jest odosobnieniem, pracami przymusowymi, a w wypadku recydywy - ciemnicą, obostrzoną twardym łóżem i chłostą w każdą rocznicę występku. Za przemycenie w obręb społeczeństwa takich idei, których tragiczny wpływ na życie porównywalny jest z plagą samochodową, kinematograficzną, telewizyjną itp., przewiduje się kary aż do głównej ze stawianiem pod pręgierz i dożywotnim przymusem używania własnego wynalazku. Karalne są też usiłowania, a premedytacja pociąga za sobą oznakowanie hańbiące, w postaci opieczętowania czoła niezmywalną farbą ułożoną w głoski „Wróg Człowieka”. Natomiast nie licząca na zysk grafomania, nazwana Duchowym Nierządem, karalna nie jest; osoby tak obciążone odosabnia się wszakże od społeczeństwa, jako groźne dla ładu, w specjalnych zamkniętych instytucjach, humanitarnie dostarczając im znanych ilości atramentu i papieru. Oczywiście kultura światowa od takiej reglamentacji wcale nie straci, lecz właśnie pocznie rozkwitać. Ludzkość

zwróci się ku wspinałym dziełom własnej historii; gdyż ilość rzeźb, obrazów, dramatów, powieści, aparatów i maszyn jest już dość wielka, by mogła zaspokoić długie stulecia. Nikomu się też nie będzie wzbriało dokonywania tak zwanych epokowych odkryć, pod warunkiem, że będzie cicho siedział. Uregulowawszy tym sposobem sprawy, to jest ocaliwszy ludzkość, przechodzi Joachim Fersengeld do ostatniego problemu: co czynić z tym potwornym nadmiarem, który już powstał? Jako człowiek niezwyklej odwagi cywilnej, powiada Fersengeld: to, co stworzone dotąd w XX wieku, jeśli nawet zawiera brylanty myśli, nic nie jest warte, gdy zbilansowane w całości, ponieważ i tak się nie znajdzie tych brylantów w oceanie śmiecia. Toteż postuluje zniszczenie wszystkiego w kupie, co tylko powstało jako filmy, magazyny ilustrowane, pocztówki, partytury, książki, prace naukowe, gazety, albowiem ten akt będzie rzetelnym oczyszczeniem stajni Augiasza - przy pełnym zbilansowaniu historycznych „Ma” i „Winien” ludzkiego budżetu. (Między innymi zniszczeniu ulegną dane o energii atomowej, co zlikwiduje aktualne zagrożenie świata.) Joachim Fersengeld zaznacza, że haniebnosc palenia książek czy aż całych bibliotek jest mu dobrze znana. Lecz auto da fe, urządzane w historii - np: w III Rzeszy - były haniebne jako wsteczne. Wszystko zależy od tego, z jakich pozycji się pali. Proponuje więc auto da fe ratownicze, postępowe, zbawicielskie, a ponieważ Joachim Fersengeld to prorok do końca konsekwentny, w ostatnim słowie zaleca, aby najpierw rozszarpać i podpalić jego własne proroctwo!

„IDIOTA”

Gian Carlo Spallanzani

(Mondadori Editore)

Włosi mają więc młodego pisarza z tych, których tak nam brakowało, przemawiającego pełnym głosem. A bałem się, że młodych zarazi kryptonihilizm znawców, głoszących, jakoby cała literatura została już napisana, a teraz można tylko podbierać ogryzki ze stołu dawniejszych mistrzów, zwane mitami lub archetypami. Ci prorocy jałowizny inwencyjnej (nic już nowego pod słońcem) głoszą swoje nie z rezygnacją, lecz tak, jakby wizja pustych na przestrzał wieków, oczekujących Sztuki, napawała ich jakąś przewrotną satysfakcją. Mają bowiem za złe dzisiejszemu światu jego techniczny wzlot i spodziewają się złego z tą samą wredną uciechą, z jaką stare ciotki liczą na katastrofę lekkomyślnie zawieranego małżeństwa z miłości. Toteż mamy teraz cyzelatorów jubilerskich (bo Italo Calvino wywodzi się od Benvenuto Celliniego, a nie od Michała Anioła) oraz naturalistów, którzy, zawstydzony się naturalizmu, udają, jakoby pisali coś innego niż to, na co ich stać (Alberto Moravia), ale brak zuchwalców. Trudno o nich tam, gdzie każdy może udawać zucha, byle mu gęba obradzała zbójcko wyglądającą brodą. Młody prozaik, Gian Carlo Spallanzani, jest zuchwały do bezczelności. Przyjmuje jakoby za dobrą monetę opinie znawców, żeby na nich zdechłe koty potem wieszać. Gdyż jego „Idiota” nie tylko tytułem nawiązuje do powieści Dostojewskiego: sięga dalej. Nie wiem, czy innym: mnie łatwiej pisać o książce, jeśli znam twarz autora. Spallanzani na zdjęciu nie jest sympatyczny, to młokos z niskim czołem i podpuchłymi oczami, jego małe, czarne oczka są złe - a już filigranowy podbródek przyprawia o niepokój. Enfant terrible, nikczemny chytrus i okrutnik, weredyk w skórze niewiniątka? Nie znajduję właściwego określenia, ale pozostaję przy wrażeniu pierwszej lektury „Idioty”: taka perfidia staje się już klasą dla siebie. Czyżby pisał pod pseudonimem? Bo wielki, historyczny Spallanzani był przecież wiwisektorem - a ten trzydziestolatek jest nim również. Trudno uwierzyć w zupełną przypadkowość takiej zbieżności nazwisk. Młody autor jest impertynentem: zaopatrzył swego „Idiotę” we wstęp, w którym z pozorną szczerością tłumaczy, czemu porzucił myśl pierwotną - napisania „Zbrodni i kary” raz jeszcze, jako „Soni”, historii opowiedzianej w pierwszej osobie przez córkę Marmeladowa. Tupet, nie pozbawiony wdzięku w tym, jak wyjaśnia, że się powstrzymał, bo nie chciał zaszkodzić oryginałowi. Choćby wbrew sobie - musiałby (mówi) nadwreżyć posąg, jakim uczcił Dostojewski swoją świetlaną prostytutkę. Sonia w „Zbrodni i karze” pojawia się okresowo, boż to „trzecia osoba”; narracja w pierwszej wymusiłaby jej stałą

obecność, także podczas pracy zarobkowej, a to jest taki rodzaj pracy, który dobiera się do duszy jak żaden inny. Aksjomat o jej dziewictwie duchowym, nie pokalany doświadczeniami upadłego ciała, nie ostałby się bez szwanku. Usprawiedliwiwszy się tym pokrętnym sposobem, autor niczego nie zapowiada w kwestii właściwej - „Idioty”. To już perfidia: zrobił, co chciał, bo ukazał nam generalny adres; bezczelność w tym, że ani nie wspomniał o konieczności, o tym imperatywie, który zniewolił go do podjęcia tematu - po Dostojewskim! Historia, realistyczna, rzeczowa, zdaje się zrazu osadzona na dość niskiej kondygnacji. Bardzo zwyczajna, średnio zamożną rodziną, przeciętne, porządne małżeństwo, zacne, lecz wyprane z polotu, ma niedorozwinięte umysłowo dziecko. Zapowiadało się, jak każde dziecko, przemile; pamięć o jego pierwszych słowach, o tych mimowolnie świeżych powiedzonkach, co są pobocznymi efektami wrastania w mowę, zachowała się pieczołowicie w relikwiarzu wspomnień rodzicielskich. Te błogie, pieluszkowe naiwności, oprawne w terazniejszy koszmar, wytyczają amplitudę między tym, co mogło być, i tym, co się stało. Dziecko jest idiotą. Życie z nim, opieka nad nim to udreka, tym okrutniejsza, że wyrosła z miłości. Ojciec starszy od matki niemal o dwadzieścia lat; są małżeństwa, co w analogicznej sytuacji próbują raz jeszcze - tu nie wiadomo, co akt taki udaremnia - fizjologia czy psychologia. Lecz chyba jednak miłość. W warunkach normy nigdy nie mogłaby ulec takiemu spotęgowaniu. Właśnie przez to, że jest idiotą, dziecko ugenialnia swoich rodziców. Doskonali ich w tym samym stopniu, w jakim zbywa mu na normalności. Mógłby to być sens powieści, jej przewodni motyw, ale to tylko przesłanka. W kontaktach z otoczeniem zewnętrznym, z krewnymi, lekarzami, prawnikami, ojciec i matka to zwyczajni ludzie, głęboko zatroskani, ale z powściągliwością, boż stan taki trwa od lat: było dość czasu, żeby się opanować! Era rozpacz, nadziei, wyjazdów do różnych stolic, do pierwszych specjalistów medycyny - dawno minęła. Rodzice pojęli brak szans. Nie mają żadnych złudzeń. Wizyty u lekarza, u adwokata mają zapewnić jakiś godziwy, znośny modus vivendi idioty, kiedy nie stanie naturalnych opiekunów. Trzeba znaleźć testatora, zabezpieczyć majątek. Idzie to powoli, bo rzeczowo, z namysłem i rozwagą. Nudnie i rzetelnie: nic naturalniejszego pod słońcem. Gdy jednak wracają do domu, gdy zostają sami we troje, sytuacja zmienia się błyskawicznie. Powiedziałbym: jak kiedy aktorzy wchodzi na scenę. Dobrze: ale nie wiadomo, gdzie jest scena. To się dopiero pokaże. Nie zważając się nigdy, nigdy nie porozumiawszy się ani słowem - to byłoby psychologicznie niemożliwe - rodzice wytworzyli, z upływem lat, system takiej interpretacji zachowań idioty, który je urozumnia, w każdej minucie i w każdym calu. Załączek takiego postępowania znalazł Spallanzani w normie. Wiadomo wszak, że otoczenie, rozmiłowane w małym dziecku, wychodzącym z okresu

niemowlęcego, ciągnie jego reakcje i słowa w górę, jak może; bezmyślnej echolalii przydaje się sensów; w niewyraźnym gaworzeniu odkrywa się inteligencję, ba, nawet dowcip; niedostępność psychiki dziecka dostarcza ogromnej swobody obserwatorom, zwłaszcza zaślepionym. Nie inaczej musiało się kiedyś zacząć wykładanie uczynków idioty. Pewno ojciec z matką prześcigali się w odkrywaniu symptomów świadczących o tym, że mówi coraz lepiej, coraz jaśniej, że sam jest coraz lepszy, promieniujący dobrocią i uczuciem. Mówiłem „dziecko”, ale gdy zaczyna się akcja, to już chłopiec czternastoletni. Jaki właściwie system dezinterpretacji, jakie wybiegi, jakie formy wykładni - wprost humorystycznie obłudne - trzeba uruchomić, żeby ocalić fikcję, kiedy rzeczywistość tak nieustannie jej zaprzecza? Otóż to się wszystko daje zrobić - iż takich czynów składa się ofiara rodzicielska - na rzecz idioty. Izolacja musi być doskonała: świat nic mu nie da, nie pomoże, więc mu niepotrzebny, tak: świat - jemu, nie on - światu. Jedynymi wykładaczami jego zachowania muszą być wtajemniczeni, ojciec z matką: dzięki temu wszystko da się przetworzyć. Nie dowiemy się, czy idiota zabił, czy dobił chorą babkę; można jednak poskładać obok siebie poszlaki: nie wierzyła w niego (to jest w tę jego wersję, którą ustanowili rodzice - co prawda nie pojmujemy, jak wiele owej „niewiary” mógł idiota pochwyć); miała astmę; jej piania i rżenia w atakach nie tamowały nawet obite wojłokiem drzwi; on nie mógł spać, kiedy ataki się nasilały; wprawiały go we wściekłość; znaleziono go spokojnie śpiącego w sypialni zmarłej, pod jej łóżkiem, na którym stygły już jej zwłoki. Pierwej przeniesiono go do dzieciennego pokoju, nim się ojciec zajął własną matką; czy podejrzewał coś? Tego się nie dowiemy. Rodzice nigdy nie tkną tego tematu, bo pewne rzeczy robią nie nazywając ich; jakby pojawił się, że wszelka improwizacja ma swoje granice, kiedy już nieodwołalnie muszą brać się do „tych rzeczy”, śpiewają. Robią, co niezbędne, a zarazem zachowują się jak tatuś z mamusią, śpiewający kołysanki, gdy jest wieczór, albo stare pieśni ich dzieciństwa, gdy interwencja konieczna bywa za dnia. Śpiew okazał się lepszym wyłącznikiem intelektu niż milczenie. Słyszymy go na samym początku, to znaczy - słyszy go służba, ogrodnik, „smutna piosenka”, mówi, a grubo później zaczynamy się domyślać, jakim makabrycznym czynnościom akompaniował zapewne - ten właśnie śpiew: to było z samego rana, kiedy odkryto zwłoki. Co za infernalna szlachetność uczuć! Idiota zachowuje się okropnie - z wynalazczością, właściwą nieraz głębokiemu ośpieniu, które umie być chytre; w ten sposób jeszcze dopinguje rodziców, bo oni muszą znaleźć się na wysokości każdego zadania. Czasem ich słowa dokładnie są dopasowane do uczynków, ale to rzadko; najniesamowitsze efekty powstają, kiedy robiąc jedno, mówią drugie, bo tu się jednej, kretynoidalnej pomysłowości przeciwstawia parująco inna, poświętliwie czuwająca, miłosna, pełna oddania, i tylko dystans,

dzielący obie, musi obracać te ofiarne akty w makabrę. Lecz rodzice już tego chyba nie widzą: to przecież latami szło! Wobec wszelkiego nowego zaskoczenia (eufemizm: idiota niczego im nie oszczędzi) jest najpierw ułamek sekundy, w którym wraz z nimi odczuwamy udar grozy: dojmujący strach, że to roztrzaska nie tylko aktualny moment, lecz wywróci za jednym zamachem całą budowlę, pieczołowicie wzniesioną przez ojca i matkę w ciągu miesięcy i lat. Omyłka: po pierwszej wymianie spojrzeń, czysto odruchowej, przerzutkami lakonicznych uwag, w tonie naturalnej rozmowy, zaczyna się dźwiganie tego nowego ciężaru, wpasowywanie go w stworzony układ - niesamowity komizm i frapująca wzniosłość jest w takich scenach - dzięki ich psychologicznej trafności, rzecz jasna. Słowa, jakich wazą się używać, kiedy nie można wreszcie nie włożyć „kaftanika”! Kiedy nie wiadomo, co robić z brzytwą; albo kiedy matka, wyskoczywszy z wanny, barykaduje się w łazience, a potem, zrobiwszy krótkie spięcie w całym domu, przez co zapada ciemność, po omacku rozbiera barykadę z mebli, bo obecność tej ostatniej byłaby wszak dla obowiązującej ją wersji dziecka bardziej szkodliwa niż błąd instalacji elektrycznej. W przedpokoju, ociekająca wodą, owinięta w gruby dywan, zapewne przez wzgląd na brzytwę, czeka na powrót ojca - chropawo i nieporęcznie, gorzej, niewiarygodnie to brzmi tak streszczone, tak wyrwane z kontekstu. Rodzice działają podług wiedzy, że doprowadzenie takich zajęć do normy - dowolnymi interpretacjami - stanowi niemożliwość; toteż lekko, ani pojmując sami kiedy, przekroczyli granicę tej normy, wchodząc w obszar niedostępny dla zwykłych biurowych i kuchennych śmiertelników. Nie w kierunku obłędu, nic podobnego: to nieprawda, że każdy może oszaleć. Ale każdy może uwierzyć. Aby nie zostać rodziną zhańbioną, musieli zostać świętą. To słowo w książce nie pada; idiota nie jest też, podług wiary rodziców, bo tak trzeba nazwać rzecz, ani bogiem, ani bóstwem; jest tylko inny od wszystkich istot; jest samoswój, niepodobny do żadnego dziecka i chłopca; i w owej inności jest ich, nieodwołalnie kochany i jedyny. Wykluczone? A więc przeczytajcie „Idiotę” sami; zobaczycie, że wiara nie jest tylko metafizyczną zdolnością umysłu. Sytuacja jest całą swoją substancją tak wkorzeniona ciągle w drastyczność, że tylko absurd wiary może ją zbawić od potępienia, to znaczy, tutaj: od psychopatologicznej nomenklatury. Jeżeli świętych pańskich brali psychiatrzy za paranoików, to czemu właściwie nie może być i na odwrót? Idiota? To słowo pojawia się w akcji, ale tylko kiedy rodzice wchodzą między innych ludzi. Mówią o dziecku językiem owych innych, lekarzy, adwokatów, krewnych, lecz dla siebie wiedzą lepiej: więc to innym właśnie kłamią, ponieważ ich wierze brak znamion posłannictwa, a więc i agresywności, domagającej się konwersji pogan. Ojciec i matka są zresztą zbyt trzeźwi, aby mogli choć przez sekundę uwierzyć w możliwość takiej konwersji: nie dbają o nią, nie cały świat ma być przecież

ocalony, lecz tylko troje istot. Póki ich życia - póty wspólnego kościoła. Nie idzie o wstyd ani o prestiż, ani o szaleństwo starzejącej się pary, zwane folie en deux: to tylko doczesny, chwilowy, zachodzący w domu z centralnym ogrzewaniem triumf miłości, której wyrazem są słowa „credo, quia absurdum est”. Jeśli to obłąd, tym samym musi się z nim zrównać każda wiara. Spallanzani stąpa cały czas po linii, bo największym niebezpieczeństwem była dla powieści - karykatura świętej rodziny. Ojciec jest stary? Więc to Józef. Matka o tyle młodsza? Maria. A wówczas dziecko... Otóż myślę, że gdyby Dostojewski nie napisał był „Idioty”, ten kierunek alegoryczności w ogóle by się nie pojawił - lub tak stuszowany, że zaledwie, przez nielicznych, dostrzegalny. Jeżeli wolno tak powiedzieć, Spallanzani absolutnie nic nie ma przeciw Ewangelii; nie chce tedy wcale dotknąć i świętej rodziny, a jeśli mimo wszystko powstaje - nie da się tego w zupełności uniknąć - taki właśnie znaczeniowy rykoszet, to „winę” ponosi wyłącznie Dostojewski swoim „Idiotą”. Ależ tak: tylko w ten sposób został skoncentrowany burzący nabój utworu, tylko jako atak wymierzony w genialnego pisarza! Książę Myszkina, święty epileptyk, ascetyczny młodzianek zapoznawany, Jezus ze stygmatami grand mal - on jest tutaj łącznikiem, punktem przekaźnikowym. Idiotą Spallanzaniego przypomina go chwilami - odwróceniem znaków! To jakby wariant furiacki, i tak właśnie można by sobie wyobrazić dojrzewanie bladego wyrostka Myszkina, kiedy epileptyczne ataki, z ich mistyczną aurą, z ich bydlęcym przykurczeni, rozwalają po raz pierwszy, angeliczną młodziankowatość. Malec jest kretyńcem? Nieustannie, tak, ale dochodzi do komunii jego tępoty ze wzniosłością, jak choćby kiedy oczadziały od muzyki rozbija, raniąc się, płytę gramofonową i usiłuje ją pożreć razem z własną krwią. Toż to jest forma - jako próba - transsubstancjacji: widocznie coś dokołatało się do jego zmętniałej świadomości z Bacha - jeśli chciał go uczynić częścią siebie - zjadając go. Gdyby rodzice oddali całą sprawę instytucjonalnemu Panu Bogu; albo, gdyby po prostu wytworzyli trójosobową namiastkę religii, jakąś sektę z niedorozwiniętym, podstawionym za Boga, klęska byłaby pewna. Lecz oni nie przestają być ani na mgnienie zwykłymi, dosłownymi, z maltretowanymi rodzicami, nie pomyśleli nawet o drodze uroszczeń sakralnych, w ogóle - żadnych się nie dopuścili, niczego, co nie było doraźne, natychmiast konieczne. Oni więc wcale właściwie systemu żadnego nie zbudowali: to on, poprzez sytuację, narodził się im i objawił, nie chciany, nie planowany, nie podejrzewany nawet. Nie zaznali przecież żadnego objawienia, byli sami na początku i sami pozostali. A więc ziemską, tylko ziemską miłość. Odwykliśmy od takiej jej potęgi w literaturze, która, pobrawszy nauki cynizmu, mając swój stary romantyczny grzbiet pogruchotany razami doktryn psychoanalitycznych, oślepiła na tę część amplitudy ludzkich przeznaczeń, którą żywiła się, która wyhodowała nam klasykę historyczną. Okrutna powieść:

najpierw o bezgranicznym talencie kompensacji, a więc i twórczości, której mieszkaniem jest każdy, byle jaki, byle kto, jeśli los zderzy go z torturą odpowiedniego zadania. A dalej: o formach, w jakich przejawić się może miłość, jeśli wyzbyta nadziei, jeśli doprowadzona do dna rozpaczy, lecz nie rezygnująca ze swego obiektu. W tym kontekście słowa „credo quia absurdum” są doczesnym odpowiednikiem słów „finis vitae, sed non amoris”. Powieść o tym (to już sprawozdanie antropologiczne, a nie tragedia ojca i matki), jak powstaje, w mikroskopowych mechanizmach, czysta intencjonalność nazywającego stwarzania świata, a więc nie transcendencja po prostu, nie: chodzi o to, żeby świat, nienaruszony w jego dowolnie gwałtownej hańbie i brzydocie, można przeinaczyć - czyli o to, co ujmują słowa: przemienienie, transfiguracja. Gdybyśmy nie potrafili przerabiać potworności w korelaty anielstwa, nie moglibyśmy trwać: i o tym jest ta książka. Wiara w transcendencję może być całkowicie zbędna, i bez niej da się dostąpić łaski (lub męki) teodycei, bo nie w rozpoznaniach stanów *rzeczy*, lecz w ich przeinaczalności żyje wolność człowieka. Jeśli to nie jest wolność prawdziwa (idzie wszak o skrajne zniewolenie - miłością!), to żadnej innej być nie może. „Idiota” Spallanzaniego nie jest obojnaczą alegorią chrystianicznego mitu, lecz ateistyczną heterodoksją. Spallanzani, jak psycholog dokonujący eksperymentów na szczurach, poddał swoich bohaterów doświadczeniu, które miało sprawdzić jego hipotezę antropologiczną. Zarazem książka ta jest zaatakowaniem Dostojewskiego takim, jakby żył i pisał dziś właśnie. Spallanzani napisał swego „Idiotę”, żeby udowodnić Dostojewskiemu kiepską herezję. Nie mogę powiedzieć, żeby się ten zamach udał, ale rozumiem intencję; chodzi o wyjście z zaklętego kręgu problematyki, w którym swoją i następną epokę zamknął wielki Rosjanin. Chodzi o to, że sztuka nie może patrzeć tylko wstecz ani zadowalać się ekwilibrystyką, potrzebne są nowe oczy, nowe spojrzenia, a przede wszystkim nowa myśl. Pamiętajmy przy tym, że to pierwsza książka. Będę oczekiwał następnej powieści Spallanzaniego, jak dawno już na żadną nie czekałem.

„DO YOURSELF A BOOK”

Napisanie historii wzejścia i upadku „Do yourself a book” byłoby rzeczą pouczającą. Ów nowotwór wydawniczego rynku stał się przedmiotem polemik tak zaciekle, że przesłoniły samo zjawisko. Toteż przyczyny, dla których przedsięwzięcie skrachowało, do dziś są niejasne. Nikt nie pokusił się o przeprowadzenie badań opinii publicznej w tym względzie. Może i słusznie; może publiczność, która przesądziła o losie imprezy, sama nie wiedziała, co czyni. Wynalazek ten wisiał w powietrzu od dobrych dwudziestu lat i tylko dziwić się należy, że go wcześniej nie urzeczywistniono. Pamiętam pierwsze egzemplarze tego „budownictwa powieściowego”. Było to pudełko o kształcie sporej książki, zawierające instrukcję, spis oraz zestaw „elementów budowlanych”. Elementami były paski papieru niejednakowej szerokości, zadrukowane fragmentami prozy. Każdy pasek miał na marginesie otworki, pomocne w introligatorce, oraz kilka cyfr, wytłoczonych różnymi kolorami. Ułożywszy wszystkie paski podług numeracji w kolorze „bazowym”, czarnym, zyskiwało się „tekst wyjściowy”, który składał się zwykle z dwóch co najmniej dzieł światowej beletrystyki, odpowiednio skróconych. Gdyby zestaw miał służyć tylko takiej rekonstrukcji, byłby pozbawiony sensu i komercyjnego waloru. Tkwił on w możliwości tasowania elementów. Instrukcja podawała zwykle kilka przykładowych wariantów rekombinacji i do nich się odnosiły kolorowe cyferki

na marginesach. Pomysł opatentował „Universal”, sięgając po książki, do których prawa autorskie już wygasły. Były to utwory klasyków, Balzaka, Tolstoja, Dostojewskiego, skracane odpowiednio przez anonimowy sztab wydawnictwa. Niechybnie wynalazcy adresowali ten melanz do pewnego rodzaju ludzi, którym może sprawić uciechę deformowanie i wyinaczanie arcydzieł (a raczej ich prymitywnych wersji). Dostajesz do ręki „Zbrodnię i karę”. „Wojnę i pokój” i możesz robić z postaciami, co zechcesz. Natasza może się puszczać przed ślubem i po nim, Swidrygajłow - ożenić się z siostrą Raskolnikowa. Ten ostatni - ująć sprawiedliwości i wyjechać z Sonią do Szwajcarii. Anna Karenina zdradzi męża nie z Wrońskim, lecz z lokajem itd. Krytyka jednogłośnie zaatakowała taki wandalizm: wydawca, jak mógł, bronił się, nawet dość zręcznie. Instrukcja, dołączona do zestawu, twierdziła, że tak można się nauczyć reguł komponowania materiału beletrystycznego („doskonałe dla początkujących pisarzy!”), można też zestaw stosować jako projekcyjny tekst psychologiczny („powiedz mi, co zrobiłeś z »Anią z Zielonego Wzgórza«, a powiem ci, kim jesteś”), jednym słowem - i „trenażer” dla kandydatów literatury i zabawa dla każdego jej

amatora. Nietrudno się było przekonać, że wydawcom patronowały mniej szlachetne intencje. „World Books” ostrzegały w instrukcji nabywcę przed stosowaniem kombinacji „niewłaściwych”. Chodziło o przestawienia ustępów tekstu, które nadawały przewrotny sens scenom pierwotnie jak śnieg białym: przez wtrącenie jednego zdania, niewinna rozmowa dwóch kobiet zaczynała sugerować afekty lesbijskie, można było doprowadzić i do tego, żeby w zacnych rodzinach Dickensa uprawiano kazirodztwo - co komu dusza zapragnie. „Ostrzeżenie” było, rozumie się, zachętą działania, sformułowaną tak, żeby nikt nie mógł oskarżyć wydawcy o obrazę przystojności. No, bo skoro zapowiadał w instrukcji, że tego robić nie należy. Rozwścieczony bezsilnością (pod względem prawnym rzecz była nie do zaatakowania, wydawcy się o to postarali), znany krytyk Ralph Summers pisał wtedy: „A więc współczesna pornografia już nie wystarczy. Trzeba analogicznie zohydzić wszystko, co dawniej powstało, nie tylko wyzbyte brudnych intencji, lecz właśnie im oponujące. Ta nędzna namiastka Czarnej Mszy, którą każdy może uprawiać w domowym ustroniu za cztery dolary na bezbronnych ciele pomordowanych klasyków, jest prawdziwą hańbą”. Niebawem okazało się, że Summers przesadził w swoim kassandrycznym wystąpieniu: interes wcale nie prosperował tak dobrze, jak tego oczekiwali wydawcy. Sporządzono wnet nowy wariant „budownictwa”, tom złożony z samych pustych kart, w którym od ręki można było układać paski z tekstami, ponieważ tak one, jak stronice tomu, powleczone były monomolekularną folią magnetyczną. Dzięki temu uprościła się znacznie robota „introligatorska”. Lecz innowacja ta również nie chwyciła. Czyżby, jak przypuszczali poniektórzy (bardzo już rzadcy dzisiaj) idealisci, publiczność odmawiała udziału w „znęcaniu się nad arcydziełami”? Doszukiwanie się postawy tak szlachetnej mam, niestety, za nieuprawnione. Cichym założeniem wydawców była nadzieja, że sporo osób zagustuje w nowej grze: na te ich myśli naprowadzają np. takie ustępy „instrukcji”: „»Do yourself a book« pozwala Ci zdobyć taką samą władzę nad losami ludzkimi, podobną do boskiej, jaka dotąd była przywilejem tylko największych geniuszów świata!” Co Ralph Summers w jednym ze swych napastliwych artykułów wykladał: „Możesz od ręki poniżyć każdą wzniosłość, zapaskudzić wszystko, co czyste, przy czym twej robocie będzie towarzyszyła przyjemna świadomość, że nie musisz już wysłuchiwać tego, co jakiś Tołstoj, jakiś Balzak miał do powiedzenia, bo możesz się w tym szarogęsić, jak tylko zechcesz!” Ale cóż - tych kandydatów „zanieczyścicieli” było jakoś osobliwie mało. Summers przewidywał rozkwit „nowego sadyzmu, przejawiającego się jako agresja wobec trwałych wartości kultury”, a tymczasem „Do yourself a book” ledwo się chciały sprzedawać. Przyjemnie byłoby wierzyć, że publicznością powodowała „ta naturalna szczypta rozsądku i prawości, którą drgawki subkulturowe skutecznie nam przesłoniły” (L.

Evans w „Christian Science Monitor”). Piszący te słowa nie podziela - chociaż chciałby! - opinii Evansa. Cóż się więc stało? Rzecz o wiele prostsza, jak wolno przypuszczać. Dla Summersa, Evansa, dla mnie, dla kilkuset krytyków, pochowanych po kwartalnikach uniwersyteckich, i jeszcze dla dalszych kilku tysięcy jajogłowych w całym kraju - Swidrygajłow, Wroński, Sonia Marmeladow czy też - Vautrin, Ania z Zielonego Wzgórza, Rastignac - to postaci doskonale znane, bliskie, nieraz wręcz bardziej plastyczne od wielu realnych znajomości. Dla szerokiej publiczności to puste brzmienia, nazwiska bez treści, więc dla Summersa, Evansa, dla mnie połączenie Swidrygajłowa z Nataszą byłoby rzeczą horrendalną, ale dla publiczności to akurat tyle, co związek pana X z panią Ypsilon. Nie mając dla tej szerokiej publiczności waloru utrwalonych symboli - czy to szlachetności uczuć, czy rozpustnego zła - postaci takie nie zapraszały ani do przewrotnej, ani do żadnej innej zabawy. Były po prostu doskonale neutralne. Nikogo nie obchodziły. Otóż wydawcy, jakkolwiek cyniczni, tego właśnie się nie domyślili, bo nie orientują się naprawdę w rynkowej sytuacji literatury. Jeżeli ktoś dopatruje się ogromnego waloru w pewnej książce, wówczas użycie tej książki jako słomianki do wycierania butów wyda mu się nie tylko wandalizmem, ale i aktem „Czarnej Mszy” - co właśnie myślał sobie Summers, bo tak przecież pisał. Lecz obojętnienie na takie wartości kultury zaszło w naszym świecie znacznie dalej, niż to sobie wystawili autorzy imprezy. Nikt się nie chciał bawić w „Do yourself a book” nie dlatego, że powstrzymywał się szlachetnie od znieprawiania cennej, ale po prostu dlatego, ponieważ między książką czwartorzędnego pismaka a epiką Tolstoja nie widział żadnej różnicy. Jedna pozostawiała go tak samo obojętnym, jak druga. Jeśli nawet tkwiła w publiczce „chęć deptania”, to - z jej stanowiska - „nie było do deptania nic interesującego”. Czy Wydawcy pojęli tę szczególną lekcję? W pewnym sensie tak. Nie sądzę, żeby sobie uświadomili stan rzeczy podług powyższych słów, ale - wiedzeni instynktem, nosem, wyczuciem - przecież zaczęli dostarczać na rynek warianty „budownictwa”, które już lepiej szły, ponieważ pozwalały po prostu sporządzać czysto pornograficzne i obsceniczne składanki. Niedobitki pięknoduchów odetchnęły z ulgą, że przynajmniej czcigodne zwłoki arcydzieł pozostawiono wreszcie w spokoju. Zarazem problem przestał ich interesować i znikły ze szpalt elitarnych kwartalników literackich artykuły, w których szaty rozdzierano i głowy (jajowate) popiołem posypywano. Gdyż to, co się dzieje w nieelitarnych kręgach czytelnictwa, nic, ale to zupełnie nic Olimpu sztuk i jego Zeusów nie obchodzi. Olimp przebudził się potem raz jeszcze, kiedy to Bernard de la Taille, zbudowawszy z przetłumaczonego na francuski zestawu „The Big Party” - powieść, otrzymał za nią „Prix Femina”. Doprowadziło to zresztą do skandalu, ponieważ zmyślny Francuz nie powiadomił jury o tym, że jego powieść nie jest całkowicie

oryginalna, lecz stanowi wynik składanki. Powieść de la Taille („Wojna po ciemku”) nie jest zresztą pozbawiona wartości; lecz budowa jej wymagała tak uzdolnień, jak zainteresowań, których normalnie nabywcy zestawów „Do yourself a book” nie przejawiają. Odosobniony ten wypadek nie odmienił niczego; od początku było jasne, że impreza oscyluje między głupią farsą a pornografią komercyjną. Majątku na „Do yourself a book” nikt nie zbił. Pięknoduchów, przyuczonych do mirumalizmu, raduje dziś to, że figury z brukowych romansów nie wkraczają już na parkiety tołstojowskich salonów, a szlachetne dziewice, w rodzaju siostry Raskolnikowa, nie muszą się już puszczać z oprychami i zwyrodnialcami. W Anglii wegetuje jeszcze farsowa wersja „Do yourself a book”; wydaje się tam zestawy, pozwalające budować króciutkie teksty według reguły „pure non-sense”; domorosły literat cieszy się tym, że w jego mikronowelce wlewają do butelki całe towarzystwo zamiast soku, że sir Galahad ucina romans z własnym koniem, że podczas mszy kapłan puszcza kolejki elektryczne na ołtarzu itp. Widać bawi to Anglików, skoro niektóre dzienniki umieszczają nawet stały kącik takich elukubracji. Na kontynencie jednak „Do yourself a book” praktycznie przestały się pojawiać. Możemy zacytować przypuszczenie pewnego krytyka szwajcarskiego, który inaczej niż my wyłożył klęskę tego interesu. „Publiczność - powiedział - jest już zbyt rozleniwiona, żeby jej się chciało własnoręcznie nawet zgwałcić kogoś, rozbierać lub męczyć. To wszystko robią teraz za nią fachowcy. »Do yourself a book« zrobiłyby, być może, karierę, gdyby powstały 60 lat temu. Narodziwszy się zbyt późno, zmarł w połogu”. Cóż można dodać do tej konstatacji - oprócz ciężkiego westchnienia?

„ODYS Z ITAKI”

Kuno Mlatje

Autor jest Amerykaninem; pełne nazwisko bohatera powieści brzmi Homer Maria Odys; Itaka, w której przyszedł na świat, to czterotysięczna miejscina w stanie Massachusetts. Niemniej idzie o wyprawę Odysa z Itaki, nie pozbawioną głębszych sensów i przez to nawiązującą do czcigodnego prawzoru. Co prawda początek nie zdaje się tego zapowiadać. Homer M. Odys staje przed sądem oskarżony o podpalenie auta, należącego do profesora E. G. Hutchinsona z Fundacji Rockefellera. Przyczyny, dla jakich musiał podpalić auto, wyjawia tylko pod warunkiem, że profesor osobiście stawi się na sali sądowej. Gdy to się dzieje, Odys, mając jakoby szepnąć profesorowi coś niezmiernie ważnego, gryzie go w ucho. Wybucho awantura; obrońca z urzędu domaga się badania psychiatrycznego, sędzia waha się, Odys zaś, z ławy oskarżonych, wygłasza przemowę, tłumacząc, że celował myślą w Herostratesa, bo auta są świątyniami naszych czasów, a profesora ugryził w ucho, bo tak uczynił Stawrogin i stał się przez to sławny. Jemu też jest niezbędny rozgłos, a to dla pieniędzy, które z sobą niesie: pozwolą mu sfinansować plan, ukuty dla dobra ludzkości. W tym miejscu sędzia przerywa mu orację. Odys zostaje skazany na dwa miesiące więzienia za zniszczenie auta i na dalsze dwa miesiące za obrazę sądu. Oczekuje go też cywilne powództwo ze strony Hutchinsona, któremu uszkodził małżowinę. Udaje się przecież Odysowi wręczyć swoją broszurę reporterom sądowym. Tym sposobem dopnie swego: prasa będzie o nim pisała. Idee, jakie Homer M. Odys zawarł w broszurze „Wyprawa po runo ducha”, są dość proste. Postęp zawdzięcza ludzkość geniuszom. Postęp myśli przede wszystkim, ponieważ wspólnie można wpaść na sposób ciosania krzemieni, ale nie można wynaleźć zespołowo zera. Ten, kto je wymyślił, był pierwszym geniuszem dziejów. „Czy podobna, aby zero wymyśliły cztery osoby wspólnie, każda po jednej ćwiartce?” - pyta z właściwym sobie sarkazmem Homer Odys. Ludzkość nie ma zwyczaju czułego obchodzenia się z geniuszami. „To be a genius is a very bad business indeed!” - powiada Odys swą koszmarną angielszczyzną. Geniuszom powodzi się kiepsko. Nie wszystkim jednakowo; a to, ponieważ geniusze nie są sobie równi. Odys postuluje taką ich klasyfikację. Najpierw idą geniusze mierni i zwyczajni, czyli trzeciej klasy, co nie potrafią wybiegać zbyt myślnie poza horyzont swego czasu. Tym stosunkowo najmniej zagraża, bywają często rozpoznani i dochodzą nawet pieniędzy i sławy. Geniusze drugiej klasy są już dla współczesnych zbyt trudni. Przez to gorzej się im powodzi. W starożytności podlegali przeważnie kamienowaniu, w wiekach średnich - całopaleniu, później, w związku z przejściowym złagodzeniem obyczajów, zezwalano im już umierać naturalną

śmiercią głodową, a czasem nawet żywiono ich na koszt ogółu w domach obłąkanych. Niektórym spośród nich podawały miejscowe władze truciznę; wielu poszło na zesłania, przy czym władze duchowne i świeckie walczyły o palmę pierwszeństwa w „geniocydzie”, jak nazywa Odys bogate formy gubienia geniuszów. Niemniej, w końcu geniuszów II klasy czeka rozpoznanie, jako zwycięstwo za grobem. W ramach rekompensaty imionami ich nazywa się biblioteki i publiczne place, stawia się im fontanny lub pomniki, a historycy wylewają powściągliwie łzy nad takimi lapsusami przeszłości. Ponadto - twierdzi Odys - istnieją, gdyż muszą istnieć, geniusze najwyższej kategorii. Tych pośrednich wykrywa albo następna generacja, albo jedna z późniejszych; geniuszów pierwszej klasy nie zna nigdy - nikt, ani za życia, ani po śmierci. Są to bowiem twórcy prawd tak niesłychanych, dostarczyciele propozycji równie przewrotowych, że na nich absolutnie nikt wyznać się nie umie. Toteż trwałe zapoznanie stanowi normalny los Geniuszów Ekstraklasy. Zresztą i słabszych duchem ich kolegów wykrywa się zwykle na skutek czystego przypadku. Ot, w zabazgranych papierach, którymi handlarki na targowisku owijają śledzie, odczytuje się jakieś teorematy, poematy, a gdy raz pójdą do druku, po chwili ogólnego entuzjazmu wszystko toczy się starą koleją. Taki stan rzeczy nie powinien dłużej trwać. Chodzi wszak o niepowetowane straty cywilizacji. Należy stworzyć Towarzystwo Opieki nad Geniuszami Pierwszej Klasy i wyłonić z niego Grupę Eksploracyjną, która podejmie trud planowanych poszukiwań. Homer M. Odys ułożył już cały statut Towarzystwa, a także projekt „Wyprawy po Runo Ducha”. Rozesłał te pisma licznym towarzystwom naukowym i dobroczynnym fundacjom, domagając się kredytów. Gdy te starania nie dały wyniku, wydał własnym sumptem broszurę, której pierwszy egzemplarz z dedykacją przesłał profesorowi Evelynowi G. Hutchinsowi z Rady Naukowej Fundacji Rockefellera. Nie udzieliwszy mu odpowiedzi, stał się prof. Hutchinson winnym wobec ludzkości. Okazał tępotę, czyli brak kompetencji do piastowania zajmowanego stanowiska: za to uroszczenie należało go ukarać, co też Odys uczynił. Jeszcze podczas odsiadki otrzymuje Odys pierwsze datki. Otwiera konto „Wyprawy po Runo Ducha”, a gdy opuszcza więzienie, przyzwoity fundusik, w wysokości 26 528 dolarów, pozwala mu rozpocząć działalność organizacyjną. Odys werbuje ochotników umieszczanymi w prasie ogłoszeniami; na pierwszym zebraniu amatorów-zapaleńców wygłasza do nich przemowę i wręcza im nową broszurę, zawierającą instrukcję eksploracyjną. Muszą przecież wiedzieć, gdzie, jak i czego właściwie winni szukać. Wyprawa będzie miała charakter ideowy, gdyż - Odys tego nie kryje - pieniędzy jest mało, a trud czeka ogromny. Spiritus flat, ubi vult, toteż geniusze nawet ekstraklasy mogą się rodzić wśród małych ludów, stanowiących egzotyczną peryferię świata. Geniusz nie przedstawia się ludzkości osobiście i bezpośrednio,

wychodząc na ulicę i biorąc przechodniów za tożę lub za guzik. Geniusz działa przez odpowiednich fachowców. Ci powinni go rozpoznać, uszanować i rozwinąć jego myśl, więc niejako rozhuścić rodaka tak, aby się stał sercem dzwonu, bijącego ludzkości początek nowej epoki. Jak zwykle to, co powinno być, wcale nie zachodzi. Specjaliści sądzą na ogół, że zjedli wszystkie rozumy; gotowi uczyć innych, sami uczyć się od nikogo nie chcą. Tylko gdy ich jest niewymownie dużo, trafi się, jak zwykle w ciżbie, dwóch, a to i trzech osobników roztropnych. Toteż w małym kraju geniusz zyska odzew, jak dziad gadający do obrazu. Natomiast w krajach wielkich szansa rozpoznania geniusza jest większa. Dlatego wyprawy ruszą do mniejszych ludów i do miast głuchej prowincji globu. Tam, kto wie, uda się odnaleźć może nawet nie rozpoznanych jeszcze drugoklasistów genialności. Przykład Bskovića z Jugosławii jest znamieny: uległ on nieprawdziwemu rozpoznaniu, bo zauważono to, co pisał i myślał przed wiekami, kiedy coś podobnego zaczęto myśleć i pisać obecnie. Na takich pseudoodkryciach Odysowi nie zależy. Poszukiwania winny objąć wszystkie biblioteki świata, z ich działami rzadkich druków i rękopisów, zwłaszcza zaś ich podziemia piwniczne, do których spycha się wszelki papierowy balast. Nie trzeba jednak liczyć tam zbyt na sukces. Na mapie, którą zawiesił Odys w swym gabinecie, czerwonymi kółkami zaznaczone są w pierwszej kolejności - sanatoria psychiatryczne. Także po kanalizacyjnych wykopaliskach i dołach kloacznych zesłowiecznych domów wariatów wiele sobie Odys obiecuje. Trzeba też przekopać śmietniska w pobliżu starych więzień, przetrząsnąć zbiornice z odpadkami, jako też innymi nieczystościami, spenetrować składy makulatury, wypada też uważnie zbadać wysypiska odchodów, głównie - ich skamielinę, ponieważ tam właśnie trafia wszystko, czym ludzkość wzgardziła i co wymiotła poza nawias egzystencji. Tak tedy dzielni heroje Odysa muszą ruszyć po Runo Ducha pełni samozaparcia, z kilofem, majzłem, łomem, ślepą latarką i sznurową drabinką, mając też na podorędziu geologiczne młotki, maski gazowe, sitka i lupy. Poszukiwania skarbów, znacznie cenniejszych od złota i brylantów, będą się toczyć w spetryfikowanym ekskremencie, w zawalonych studniach, w byłych lochach wszelkich inkwizycji, w grodach opustoszałych, przy czym koordynatorem tych światowych prac pozostanie Homer M. Odys w swojej Kwaterze Głównej. Za wskazówki, za drżącą igielkę kompasu należy mieć wszelkie echa płotek i gadek o zupełnie wyjątkowych kretykach i pomyślnych, o maniakałnych, namolnych dziwakach, upartych tumanach i idiotach, ponieważ, określając takimi nazwami genialność, ludzkość reaguje na nią wedle przyrodzonych możliwości. Odys, urządziwszy kilka dalszych skandali, dzięki którym gromadzi pięć nowych wyroków i dalszych 16 741 dolarów, udaje się, po odsiedzeniu dwu lat więzienia, na południe. Płynie na Majorkę, gdzie będzie miał Kwaterę Główną, ponieważ

panuje tam miły klimat, a zdrowie jego poważnie nadważyły pobyty w więzieniach. Nie ukrywa wcale tego, że rad by połączyć interes publiczny z prywatnym. Zresztą, skoro podług jego teorii można oczekiwać pojawiania się geniuszów I klasy wszędzie, to niby czemu miałoby ich nie być na Majorce? Żywot Odysowych herosów obfituje w niezwykle przygody, wypełniające znaczną część powieści. Odys przeżywa niejedno gorzkie rozczarowanie, np. kiedy się dowiaduje, że trzech jego najulubieńszych eksploratorów, działających w regionie śródziemnomorskim, to agenci CIA, która wykorzystwała wyprawę po Runo Ducha dla własnych celów. To znów inny poszukiwacz, który przywozi na Majorkę niesłychanie cenny dokument z XVII wieku - pracę mameluka Kardyocho o parageometrycznej strukturze Bytu - okazuje się fałszerzem. Pracy tej sam jest autorem, a nie mogąc jej nigdzie opublikować, wkradł się w szeregi wyprawy, aby tym sposobem, korzystając z Odysowego funduszu, nadać rozgłos swemu conceptowi. Rozwścieczony Odys rzuca manuskrypt do ognia, wypędza fałszerza i dopiero potem, ochłonawszy, zaczyna się zastanawiać, czy aby własnoręcznie nie zniszczył dzieła geniusza ekstraklasy?! Nękania wyrzutami sumienia, wzywa autora ogłoszeniami - niestety, daremnie. Inny eksplorator, niejaki Hans Zokker, bez wiedzy Odysa sprzedaje na aukcjach niezwykle cenne dokumenty, które odnalazł po starych bibliotekach Czarnogóry, i umknawszy z gotówką do Chile, oddaje się tam hazardowi. Lecz i do rąk Odysa trafia sporo niezwykle cennych dzieł, białych kruków, rękopisów, uznawanych powszechnie za zaginione, czy w ogóle nie znanych światowej nauce. Z archiwum akt dawnych w Madrycie przybywa na przykład osiemnaście pierwszych pergaminowych kart manuskryptu, który, pisany w połowie XVI stulecia, przewiduje, w oparciu o system „arytmetyki trójpłciowej”, daty narodzin osiemdziesięciu sławnych mężów nauki, przy czym daty, zawarte w tym dokumencie, rzeczywiście pokrywają się z datami narodzin takich osób, jak Isaac Newton, jak Harvey, Darwin, Wallace, z dokładnością do jednego miesiąca! Badanie chemiczne i ekspertyzy dowodzą autentyczności tej pracy, cóż, kiedy cały aparat matematyczny, jakim się posługiwał anonimowy autor, zaginął. Wiadomo tylko, że jego założeniem było przyjęcie zupełnie sprzecznej ze zdrowym rozsądkiem przesłanki o „trzech płciach” ludzkiego rodzaju. Odys znajduje tylko nieznaczną pociechę w fakcie, że sprzedaż tego manuskryptu na licytacji w Nowym Jorku poważnie zasila ekspedycyjny budżet. Po siedmiu latach trudów archiwa Kwatery Głównej na Majorce pełne są przedziwnych rękopisów. Jest wśród nich zwalisty tom niejakiego Mirala Essosa z Beocji, który zakasował pomysłowością Leonarda da Vinci; pozostawił projekty sporządzenia układu logicznego z rdzeni pacierzowych żab; grubo przed Leibnizem doszedł koncepcji monad oraz harmonii przedustawnej; zastosował trójwartościową logikę do pewnych fenomenów fizycznych, twierdził, że żywe istoty rodzą

podobne sobie, ponieważ w ich nasiennej cieczy tkwią listy, spisane mikroskopijnym pismem, a z kombinacji takich „listów” wynika wygląd dojrzałego osobnika; wszystko to - w XV wieku. Jest tam formalno-logiczny dowód niemożliwości Teodycei, opartej na argumentach rozumu, ponieważ przesłanką każdej Teodycei musi być logiczna sprzeczność: autor tej pracy, Bauber, zwany Katalońskim, został żywcem spalony po uprzednim odrąbaniu mu kończyn, wyrwaniu języka oraz wypełnieniu trzewi, przez lejek, ołowiem roztopionym. „Kontrargumentacja mocna, jakkolwiek innopłaszczyznowa, bo pozalogiczna” - zauważył młody doktor filozofii, który odnalazł ów rękopis. Praca Sophusa Brissengnade, który w oparciu o aksjomatykę „dwuzerowej arytmetyki” udowodnił możliwość niesprzecznego skonstruowania teorii mnogości czysto transfinałnej, znalazła uznanie świata naukowego, lecz i ona, w końcu, częściowo zbiega się z aktualnymi pracami matematyków. Tak więc Odys widzi, że rozpoznaniu podlegają, jak dotąd, tylko prekursorzy, jakich idee później inni ludzie odkryli ponownie albo mówiąc inaczej, tylko geniusze II klasy. Lecz gdzie są ślady trudu pierwszoklasistów? Zwątpienie nigdy nie gości w Odysowej duszy - a tylko obawa, że śmierć rychła - bo już jest u progu starości - nie pozwoli mu kontynuować poszukiwań. Wreszcie przychodzi afera manuskryptu florenckiego. Ten zwój pergaminowy z połowy XVIII wieku, odszukany w dziale wielkiej biblioteki Fiorencji, zdaje się - pełen tajemniczych znaczków - zrazu bezwartościowym dziełem alchemika-kopisty. Lecz pewne wyrażenia przypominają znalazcy - jest nim młody student matematyki - szeregi funkcjonałów, których w owym czasie na pewno nikt nie znał. Przedłożona znawcom praca budzi sprzeczne opinie. W całości nie rozumie jej nikt: jedni mają rzecz za jakieś bredzenie, z rzadkimi wtrętami logicznej jasności, inni - za plód schorzenia; dwóch najznakomitszych matematyków, którym Odys przesyła fotokopie rękopisu też nie może się zgodzić w opiniach. Jeden z nich tylko, zadawszy sobie wiele trudu, w jakiejś trzeciej części odcyfrowuje gryzmoły, sztukując luki własnym domysłem, i pisze Odysowi, że chodzi wprawdzie o koncepcje - jak się zdaje - nadzwyczajną, ale też bezwartościową. „Albowiem trzy czwarte istniejącej matematyki trzeba by unieważnić i od nowa postawić na nogi, żeby można było przyjąć za dobrą monetę ten pomysł. Jest to po prostu propozycja innej matematyki niż ta, którejśmy się dorobili. O tym, czy lepszej - nie mogę nic powiedzieć. Być może tak: ale żeby się tego dowiedzieć, trzeba by poświęcić życie stu najlepszych ludzi, którzy musieliby stać się dla florenckiego Anonima tym, czym Bolyai, Riemann, Łobaczewski byli dla Euklidesa”. W tym miejscu list wypada z ręki Homera Odysa, który z okrzykiem „Heureka” poczyną biegać po pokoju, patrzącym szklanymi oknami na lazur zatoki. W owej chwili Odys pojmuje, że to nie ludzkość straciła na zawsze geniuszów I klasy - ale że to oni ludzkość utracili, bo od niej odeszli. Nie jest tak, iż geniusze ci nie

istnieją po prostu: jest tak, że z każdym kolejnym rokiem nie istnieją coraz bardziej. Dzieła myślicieli zapoznanych drugiej kategorii zawsze można ocalić. Wystarczy je otrzepać z kurzu i przekazać drukarniom oraz uniwersytetom. Dzieł klasy pierwszej natomiast nic już nie uratuje, ponieważ stoją osobno - poza nurtem historii. Zbiorowy ludzki wysiłek drąży koryto w czasie historycznym. Geniusz to ten, czyj wysiłek działa na samej granicy owego koryta, u jego brzegu, kto proponuje swemu lub następnemu pokoleniu pewną zmianę ruchu, odmienne wygięcie łożyska, pochylenia szkarpy, pogłębienia dna. Geniusz pierwszej klasy nie tak uczestniczy w pracach ducha. Nie stoi ani w pierwszym szeregu, ani się nie wysforował o krok naprzód. Jest on po prostu gdzieś indziej - myślą. Jeśli postuluje inną formę matematyki albo inną formę systematyki filozoficznej bądź przyrodniczej, to chodzi o stanowiska w niczym niepodobne do istniejących - ale to w żadnym atomie! Jeżeli nie zostanie dostrzeżony i wysłuchany przez jedną, drugą generację - potem okaże się to już zupełną niemożliwością. Gdyż tymczasem rzeka ludzkiego trudu i myśli wyłobiła sobie koryto, poszła w swoją stronę, więc między jej kierunkiem a samotniczą inwencją geniusza rozziw powiększa się z każdym stuleciem. Nie rozpoznane, nie wysłuchane propozycje mogły wprawdzie odmienić bieg rzeczy w sztukach, w naukach, w całej historii świata, ale skoro tak się nie stało, ludzkość przegapiła nie tylko pewną osobliwą jednostkę z jej duchowym bagażem. Przegapiła zarazem pewną inną historię swoją, i na to już nie ma żadnej rady. Geniusze I klasy - to pominięte drogi, teraz kompletnie martwe i zarosłe, to takie wygrane na loterii niezwykłych trafów, po które gracz się nie zgłosił, skarbów nie podjął - aż ich kapitał wywietrzył i obrócił się w nicość - szans zmarnowanych. Geniusze pomniejsi nie odrywają się od pospólnego strumienia, pozostają w jego nurcie, odmieniają prawa ruchu, nie wykraczając poza krawędź wspólnoty - nie wykraczając poza nią zupełnie, do końca. Przez to są czczeni. Tamci, ponieważ tak wielu - pozostają niewidzialni na zawsze. Odys, poruszony do głębi tą rewelacją, siada niezwłocznie do nowej broszury, której esencja wyżej ujawniona jest nie mniej klarowna od idei Wyprawy. Dobiega ona, po trzynastu latach i ośmiu dniach, kresu. Nie była zmarnowanym mozołem, gdyż skromny mieszkaniec Itaki (Massachusetts) zstąpił w głąb przeszłości z gromadką zapaleńców, by dojść tego, że jedynym żyjącym geniuszem I klasy jest Homer M. Odys: największą bowiem wielkość dziejów - tylko taka sama wielkość jest rozpoznać w stanie. Polecam książkę Kunona Mlatje tym, którzy nie sądzą, że gdyby człowiek nie był wyposażony w płęć, toby i literatury pięknej być nie mogło. Co zaś do kwestii, czy autor kpi, czy o drogę pyta, każdy czytelnik sam winien sobie odpowiedzieć na to pytanie.

„TOI”

Raymond Seurat

(Ed. Denoel)

Powieść cofa się w autora, to jest z pozycji fikcyjnej rzeczywistości jedynej schodzi na pozycje powstawania tej fikcji. Tak dzieje się przynajmniej w czołówce europejskiej prozy. Fikcja zbrzydła pisarzom, bo stracili wiarę w jej konieczność, nadojadła im, stali się ateuszami własnej wszechmocy; już nie wierzą w to, że kiedy mówią „niech się stanie światło” - prawdziwa jasność oślepi czytelnika. To wszakże, że tak właśnie mówią, że mogą tak mówić, na pewno już fikcją nie jest. Powieść opisująca własne powstanie była tylko pierwszym krokiem odwrotu; teraz nie pisze się już utworu pokazującego, jak on powstaje, protokół konkretnej kreacji też nazbyt już ogranicza! Pisze się o tym, co by się mogło napisać... z wirujących w głowie wszechmożliwości wychwytuje się pojedyncze zarysy, i wędrówka pośród tych fragmentów, które zwykłymi tekstami nigdy się nie staną, jest aktualną linią oporu. Nie ostatnią, należy się obawiać, ponieważ rodzi się, w literatach, wrażenie, jakoby te odwroty kolejne miały kres, jakoby prowadziły drogą następujących po sobie uwstecznień tam, gdzie czuwa skryty, tajemniczy, „absolutny embrion” twórczości - wszelkiej, ów zarodek, z jakiego mogłyby się wylęgnać te miriady dzieł, których się nie napisze. Lecz wyobrażenie tego embriona jest złudą, ponieważ nie ma Genesis bez świata tworzonego i nie ma literackiej kreacji bez kreowanej beletrystyki. „Pierwsze źródła” są tak niedostępne, że nie istnieją: cofać się ku nim to popadać w błąd regressus ad infinitum; można jeszcze napisać książkę o tym, jak się próbowało pisać książkę o tym, co się pragnęło napisać, itd. „Ty” Raymonda Seurat jest próbą wyjścia z impasu w innym kierunku, nie następnym manewrem odwrotowym, lecz ruchem naprzód; autor zawsze zwracał się dotąd do czytelnika, jednakowoż nie po to, żeby o nim mówić: Seurat to sobie właśnie postanowił. Powieść o czytelniku? Tak, o czytelniku, ale już nie powieść. Gdyż zwracać się do odbiorcy znaczyło to - opowiadać mu coś, mówić cokolwiek - jeśli nie o czymś (antypowieść!) - to jednak, zawsze, dla niego. A więc, tym samym - służyć. Seurat uznał, że już dosyć tych służb wiekowych: postanowił się zbuntować. Ambitny pomysł, ani słowa. Utwór-bunt przeciw relacji „śpiewak-słuchacz”, „narrator-czytelnik”? Rebelia? Wyzwanie? Lecz w imię czego? Wygląda to od razu na bezsens: nie chcesz, pisarzu, służyć opowiadając, więc musisz zamilknąć, a tym samym przestaniesz być pisarzem; wyjścia z alternatywy nie ma, jakąż kwadraturą koła jest tedy utwór Raymonda Seurat? Zdaje mi się, że dalsze uszczegółowienie swego zamysłu podpatrzył Seurat u de Sade'a. De Sade najpierw stwarzał zamknięty świat - swych zamków, pałaców,

klasztorów - aby potem zatrzaśniętą w nich czeredę podzielić na katów i ofiary; unicestwiając ofiary w aktach męczarni, które dawały oprawcom rozkosz, ci ostatni rychło znajdowali się sami i aby iść dalej, musieli z kolei rozpocząć to samopożeranie się, które w epilogu daje hermetyczną samotność najżywotniejszego z katów - tego, który pożarł, pochłonął wszystkich, który zdradza wówczas, że jest nie tylko porte parole autora, ale samym autorem, samym uwięzionym w Bastylii markizem Alfonsem Donatem de Sade. On jeden pozostaje, bo on jeden nie jest wszak tworem fikcji. Otóż Seurat odwrócił niejako tę relację: oprócz autora jest na pewno, zawsze musi być ktoś niefikcyjny wobec utworu: czytelnik. Uczynił więc właśnie tego czytelnika - swoim bohaterem. Lecz to wszak nie czytelnik sam przemawia, wszelka oracja taka byłaby tylko mistyfikacją, podłożeniem; to autor mówi o czytelniku - wypowiadając służby. Chodzi o literaturę jako duchowy nierząd; i to tylko dlatego, ponieważ pisząc ją, trzeba służyć. Trzeba się przypodobać, umizgać, wykazywać się, demonstrować umięśnienie stylu, spowiadać, brać czytającego na powiernika, oddawać mu co się ma najlepszego, ubiegać się o jego zainteresowanie, przykuwać uwagę - jednym słowem, należy się mizdrzyć, dopraszać się łask, antyszambrować, sprzedawać się - obrzydliwość! Gdy wydawca jest sutenerem, literat - prostytutką, a czytelnik - klientem publicznego domu kultury, gdy ten stan rzeczy ulega uświadomieniu, dostarcza moralnej zgagi. Nie śmiać wszakże wypowiedzieć służb wprost, pisarze poczynają wykręcać się od nich: służą, ale pre-tensjonalnie; zamiast błaznująco rozbawiać - niezrozumiale nudzą; miast pokazywać rzeczy piękne - na złość czytelnikowi będą go raczyli ohydą; to jakby zbuntowany kucharz z rozmysłu zanieczyszczał potrawy idące na pański stół; jeśli państwu nie smakuje, niech nie jedzą! Jak gdyby dziewczyna uliczna, mając dość swojego procederu, lecz nie dość siły, by z nim zerwać, przestała zaczepiać gości, malować się, stroić, przymilnie uśmiechać; co z tego, kiedy dalej sterczy na rogu, gotowa pójść z klientem, nawet jeśli naburmuszona, ponura, zjadliwa: to nie prawdziwa rewolta, to sfingowany, połowiczny bunt, pełen zakłamania, samooszukiwania, kto wie, czy nie gorszy od normalnej, solidnej prostytucji, bo w tej przynajmniej nie są zachowywane żadne pozory, w niej się nie udaje szlachetnej kondycji, nietykalności, znakomitej cnoty! A więc? Służby należy wymówić; potencjalnego klienta, który otwiera tom jak drzwi burdelu i wpycha się nachalnie do środka pewien, że go tu z uniżonością obsłużą, tego draba, tę kanalię trzeba sprać po gębie, obrzucić wyzwiskami i - spuścić ze schodów? O nie, to byłoby za dobre dla niego, za łatwe, za proste, wstałby, otarłby ślinę z twarzy, kurz z kapelusza i poszedłby do konkurencyjnego interesu. Należy go właśnie wciągnąć do środka i dać należyte wciery. Tylko wtedy dobrze sobie popamięta swój był romansik z literaturą, te bezustanne „Seitensprungi” od książki do książki. A więc „creve,

canaille!”, jak powiada Raymond Seurat już na jednej z pierwszych stron „Toi”; zdychaj, kanalio, ale nie zdechnij aby przedwcześnie, musisz mieć dużo sił, bo musisz sporo przetrzymać; zapłacisz tu za swój snobistyczno-wyniosły promiskuityzm. Zabawne jako pomysł i, być może, nawet jako szansa powstania osobliwej książki - której jednak Raymond Seurat nie napisał. Nie pokonał dystansu między buntowniczym konceptem i artystycznie uwierzytelnioną kreacją; książka jego nie ma konstrukcji; wybitna jest przede wszystkim, niestety, nawet na dzisiejsze czasy fenomenalną niecenzuralnością słowa. Zapewne, werbalnej inwencji autorowi nie odmówimy; jego barok jest miejscami zmyślny. („Tak, pasimózgu, tak, wywłoko próchnicy wielozębnej, tak kandydacie na solidny rozkład, będziesz tu skołowany, bo potraktowany kołem, a jeśli myślisz, że to umizg karesy, zobaczysz, że cię wykończę. Niemile? Zapewne. Lecz niezbędne”. A więc zapowiadają tu nam tortury - malowane; to nastroja nieufnie. W swojej „Literaturze jako tauromachii” Michel Leiris celnie podkreślił doniosłość oporu, jaki winna pokonać literacka kreacja, żeby zyskała wagę czynu. Toteż Leiris poszedł na ryzyko autokompromitacji w swojej biografii - lecz wyzywanie czytelnika od ostatnich żadnym realnym ryzykiem nie jest, bo nieodparta staje się umowność inwektyw; głosząc bowiem, że nie będzie więcej służył i że już nie służy, Seurat przecież bawi nas - a więc odmową służb służy... Dokonał pierwszego kroku, lecz natychmiast ugrzązł. Czyżby zadanie, jakie sobie postawił, było nierozwiązalne? Co można tu było innego zrobić? Wystrychnąć czytelnika na dudka narracją wyprowadzającą go na dowolny manowiec? To już sto i tysiąc razy uczyniono. A przy tym najłatwiej jeszcze jest uznać zawsze, że ten wywichnięty, pomyłony tekst nie stanowi umyślnego manewru, że to jest wynik nie perfidii, lecz niedołęstwa. Książkę-inwektywę skuteczną, jako autentyczną obrazę, jako zniewagę, obarczoną właściwym takiemu postępkowi ryzykiem, można napisać tylko z konkretnym, pojedynczym adresem: ale wtedy będzie to list. Usiłując znieważyć nas wszystkich, jako czytelników, pogрузić tę właśnie rolę - odbiorcy literatury - Seurat nikogo nie dotknął, wykonał jedynie szereg akrobatycznych sztuczek językowych, które bardzo szybko przestają być nawet pocieszne. Kiedy się pisze - o wszystkich czy do wszystkich naraz - pisze się o nikim, do nikogo. Seurat przegrał, ponieważ jedyną prawdziwie konsekwentną formą pisarskiego powstania przeciw służbom, właściwym literaturze, jest milczenie; każdy inny rodzaj buntu to tylko małpi grymas. Pan Raymond Seurat napisze pewno następną książkę i nią już dokumentnie unicestwi tę pierwszą - chyba że będzie pod księgarniami policzkował swych czytelników. Gdyby do tego doszło, uszanuję konsekwencję postępowania, ale tylko ludzkiego, bo niewypału, jakim jest „Toi”, nic nie uratuje.

„BEING INC.”

Alistar Waynewright

(American Library)

Kiedy się angażuje służącego, w jego pobory wliczony jest - poza pracą - także szacunek, jaki sługa winien panu. Gdy się bierze adwokata, oprócz porad fachowych nabywa się poczucie bezpieczeństwa. Ten, kto kupuje miłość - a nie tylko ubiega się o nią - także oczekuje czułości i przywiązania. W koszt biletu lotniczego od dawna włączono uśmiechy i towarzyską jakby uprzejmość przystojnych stewardess. Ludzie skłonni są opłacać „private touch”, to poczucie rzekomej intymności opiekuńczej, życzliwego stosunku, które stanowi ważny składnik opakowania świadczonych usług w każdej dziedzinie życia. Lecz samo owo życie nie sprowadza się przecież do kontaktów ze służącymi, adwokatami, pracownikami hoteli, biur, linii lotniczych, sklepów. Przeciwnie: kontakty i stosunki, na jakich najbardziej nam zależy, znajdują się poza sferą płatnej usługi. Można sobie zamówić komputerowe pośrednictwo matrymonialne, ale nie można sobie zamówić wymarzonego zachowania żony czy męża po ślubie. Można kupić jacht, pałac, wyspę, gdy kto ma pieniądze, ale niepodobna nabyć upragnionych zdarzeń - w rodzaju: popisania się bohaterstwem lub inteligencją, ocalenia cudownej istoty ze śmiertelnego niebezpieczeństwa, wygrania wyścigów lub uzyskania wysokiego orderu. Nie da się też nabyć przychylności, sympatii spontanicznej, oddania innych; o tym, że właśnie tęsknota za taką bezinteresownością uczuć nęka potężnych władców i bogaczy, świadczą niezliczone opowieści; ten, kto może wszystko kupić lub wymusić, bo ma po temu środki, porzuca swe wyjątkowe stanowisko, w takich bajkach, aby w przebraniu - jak Harun al Raszyd, udający żebraka - szukać autentyczności ludzkiej, gdyż przywilej odgradza od niej nieprzenikliwym murem. A zatem dziedziną, która nie uległa jeszcze przerobieniu na towar, jest substancja codziennego żywota, intymna i oficjalna, prywatna, jak i publiczna - wskutek czego każdy jest narażony bezustannie na owe drobne klęski, ośmieszenia, zawody, animozje, na wzgardy, których nie da się odpłacić, na przypadkowość, jednym słowem, w obrębie osobistego losu: stan *rzeczy* nie do zniesienia, w najwyższym stopniu godny odmiany; a tę odmianę na lepsze ustanowi wielki przemysł życiowych usług. Społeczeństwo, w którym można zakupić - dzięki kampanii reklamowej - stanowisko prezydenta, stado białych słoni pomalowanych w kwiatki, tłum dziewcząt, hormonową młodość, stać na właściwe uporządkowanie kondycji człowieka. Nasuwające się od razu zastrzeżenie - że tak zakupione formy życia będąc nieautentycznymi, łatwo zdradzą swój fałsz w zestawieniu z dookólnym autentyzmem wydarzeń, zastrzeżenie to dyktuje

naiwność, wyzbyta śladu imaginacji. Kiedy wszystkie dzieci poczynane są w kolbie, kiedy więc żaden akt płciowy nie ma naturalnego dawniej skutku jako poczęcia, znika różnica między normą i aberracją w seksie, skoro żadne cielesne zbliżenie nie służy niczemu poza rozkoszą. Tam zaś, gdzie każdy żywot znajduje się pod pieczołowitą kontrolą potężnych przedsiębiorstw usługowych, znika różnica między zajściami autentycznymi i tajnie zaaranżowanymi. Dystynkcja między naturalnością i syntetyką przygód, sukcesów, klęsk przestaje istnieć, gdy nie można się już dowiedzieć, co zachodzi z czystego, a co - z opłaconego z góry przypadku. Tak przedstawia się z grubsza idea powieści A. Waynewrighta „Being Inc.”, to jest „Przedsiębiorstwo Byt”. Operacyjną zasadą tej korporacji jest działanie na odległość: jej siedziba nie może być nikomu znana; klienci kontaktują się z „Being Inc.” wyłącznie na drodze korespondencyjnej, ewentualnie przez telefon; ich zamówienia przyjmuje gigantyczny komputer; wykonanie uzależnia się od stanu konta, czyli należytej wysokości wpłat. Zdradę, przyjaźń, miłość, zemstę, szczęście własne i cudzy zły los można uzyskać także na raty, podług korzystnego systemu kredytowego. Los dzieci kształtują rodzice; lecz w dniu uzyskania pełnoletności każdy otrzymuje pocztą cennik, katalog usług oraz broszurę-instrukcję firmy. Broszura jest przystępnie, lecz rzeczowo napisanym traktatem światopoglądowym i socjotechnicznym, a nie zwykłym reklamowym drukiem. Jej klarowny, podniosły język głosi to, co niepodniośle można streścić podług następującej formuły: Wszyscy ludzie dążą do szczęścia, lecz w niejednaki sposób. Dla jednych szczęście - to górowanie nad innymi, to samodzielność, sytuacje stałych wyzwań, ryzyku i wielkiej gry. Dla innych - to podporządkowanie się, wiara w autorytet, brak wszelkiego zagrożenia, spokój, nawet lenistwo. Pierwsi lubią agresję przejawiać; drugim bywa milej, kiedy doznają jej właśnie. Gdyż wiele ludzi znajduje satysfakcję w stanie niespokojnego zmartwienia, co poznać po tym, że kiedy nie mają prawdziwych zmartwień, wymyślają sobie fikcyjne. Badania wykazały, że osób aktywnych i pasywnych jest zwykle tyle samo w społeczeństwie. Nieszczęściem dawnego społeczeństwa - głosi broszura - było wszakże to, że nie umiało ono wytworzyć harmonii pomiędzy przyrodzonymi skłonnościami i życiową drogą obywateli. Jakże często ślepy traf decydował o tym, kto ma zwyciężać, a kto - przegrywać, komu przypadnie rola Petroniusza, a komu - Prometeusza. Należy poważnie wątpić w to, jakoby Prometeusz nie spodziewał się sępa u swej wątroby. Jest raczej prawdopodobne, podług psychologii najnowszej, że on po to tylko skradł niebu ogień, żeby potem być dziobanym w wątrobę. Był masochistą; masochizm, podobnie, jak kolor oczu, jest cechą przyrodzoną; nie ma sensu się go wstydzić; należy go rzeczowo zastosować i wykorzystać dla społecznego dobra. Dawniej - wyklada uczenie tekst - ślepy los decydował o tym, kogo czekają

przyjemności, a kogo prywatnie; ludziom żyło się fatalnie, ponieważ temu, kto lubiąc bijać, jest bity, bywa tak samo nieprzyjemnie, jak temu, kto, łaknąc tęgiego lania, sam musi, zniewolony okolicznościami, lać innych. Zasady działania „Being Incorporated” nie pojawiły się na pustym miejscu: matrymonialne komputery od dawna już posługują się podobnymi regułami, kojarząc małżeństwa. „Being Inc.” gwarantuje każdemu klientowi aranżację żywota od uzyskania pełnoletniego wieku aż do śmierci, podług życzeń wyrażonych przezeń na załączonym formularzu. Firma pracuje w oparciu o najnowsze metody cybernetyczne, socjotechniczne i informatyczne. „Being Inc.” nie od razu wypełnia życzenia klientów, ponieważ ludzie często sami nie znają własnej natury i nie wiedzą, co dla nich dobre, a co złe. Każdego nowego klienta poddaje firma zdalnemu badaniu psychotechnicznemu; zespół ultraszybkich komputerów określa profil osobowościowy i wszystkie naturalne skłonności klienta. Dopiero po takiej diagnozie firma akceptuje zamówienia. Treści zamówień nie należy się wstydić: pozostaje ona na zawsze tajemnicą firmową. Nie należy się też obawiać, że zamówienia mogą, przy ich realizacji, wyrządzić komuś krzywdę. W tym, aby do tego nie doszło, głowa elektronowa firmy. Oto pan Smith życzy sobie zostać srogim sędzią, ferującym wyroki śmierci; a więc będą stawali przed nim jako podsądni - ludzie, którzy zasługują tylko na karę główną. Pan Jones pragnąłby dzieci swe chłostać, odmawiać im wszelkiej przyjemności i do tego trwać w przeświadczeniu, że jest ojcem sprawiedliwym? Wic będzie miał okrutne i złe dzieci, których karcenie zajmie mu pół życia. Firma spełnia wszystkie życzenia: czasem tylko trzeba czekać w kolejce, na przykład, kiedy się chce kogoś własnoręcznie zabić, gdyż amatorów takich jest dziwnie dużo. W różnych stanach rozmaicie zabija się ludzi skazanych na śmierć: w jednych się ich wiesza, w innych truje cyjanowodorem, w jeszcze innych - używa się do tego elektryczności. Ten, kto łaknie wieszania, dostanie się do stanu, w którym legalnym narzędziem egzekucji jest szubienica, i ani się obejrzy, jak zostanie czasowo katem. Projekt, umożliwiający klientom bezkarne mordowanie osób trzecich w szczerym polu, na łące, w zaciszu domowym, jeszcze nie został zatwierdzony ustawowo, lecz firma zmierza cierpliwie do urzeczywistnienia i tej innowacji. Biegłość firmy w aranżowaniu wypadków, udowodniona milionami syntetycznych karier, pokona trudności piętrzące się na drodze zamawianych mordów. Ot, skazaniec zauważy, że drzwi celi śmierci są otwarte, ucieknie, a pracownicy firmy, czuwając, tak ukształtują drogę jego ucieczki, że natknie się na klienta w najwłaściwszych dla obu warunkach. Będzie się na przykład starał ukryć w domu klienta, podczas gdy gospodarz będzie akurat zajęty ładowaniem myśliwskiej broni. Zresztą katalog możliwości, jaki opracowała firma, jest niewyczerpalny. „Being Inc.” to organizacja, jakiej nie znały dzieje. To dla niej niezbędne.

Matrymonialny komputer łączył zaledwie dwie osoby i nie troszczył się o to, co z nimi będzie po zawarciu małżeństwa. „Being Incorporated” musi natomiast organizować olbrzymie ugrupowania zajęć, wprowadzając w nie tysiące ludzi. Firma zastrzega się, że właściwe jej metody działania nie są wymienione w książeczce. Przykłady są czystymi fikcjami! Strategia aranżacji musi być absolutną tajemnicą, w przeciwnym wypadku klient nie może nigdy dojść tego, co mu się zdarza naturalnie, a co dzięki operacjom firmowych komputerów, czuwających niewidzialnie nad jego losem. „Being” posiada armię pracowników, występujących jako zwyczajni obywatele; jako szoferzy, rzeźnicy, lekarze, technicy, gospodynie domowe, niemowlęta, psy i kanarki. Pracownicy muszą być anonimowi. Pracownik, który raz zdradzi swe incognito, tj. wyjawia, że jest etatowym członkiem zespołu „Being Inc.”, nie tylko traci posadę, lecz jest ścigany przez firmę do grobu: znając jego upodobania, firma zaaranżuje mu życie tak, by przeklinał chwilę, w której dopuścił się haniebnego uczynku. Od kary za zdradę tajemnicy służbowej nie ma apelacji, ponieważ firma wcale nie głosi, jakoby powiedziane wyżej miało być pogróżką. Firma włącza bowiem sposoby realnego postępowania ze złymi pracownikami do swych sekretów produkcyjnych.

Rzeczywistość, ukazana w powieści, jest inna od tej, jaką maluje broszura reklamowa „Being Inc.” Reklamy milczą o tym, co najważniejsze. Zgodnie z ustawami przeciwkartelowymi nie wolno w USA monopolizować rynku, toteż „Being Inc.” nie jest jedynym aranżerem życia. Istnieją jej wielcy konkurenci, na przykład „Hedonistics” czy „Truelife Corporation”. I właśnie ta okoliczność prowadzi do zjawisk, jakich nigdy nie bywało w historii. Kiedy bowiem stykają się z sobą osoby będące klientami rozmaitych firm, realizacja zamówień każdej może napotkać nieprzewidziane trudności. Przejawiają się owe trudności jako tak zwany tajny parazytyzm, wiodący do zakamuflowanej eskalacji. Powiedzmy, że pan Smith chce błysnąć przed panią Brown, żoną znajomego, która mu się podoba, i wybiera pozycję „396 b” z cennika, to jest - ocalenie życia w katastrofie kolejowej. Z katastrofy mają wyjść oboje bez szwanku, ale pani Brown - tylko dzięki bohaterstwu Smitha. Firma musi tedy precyzyjnie zaaranżować wypadek kolejowy, a także przygotować całą sytuację, by nazwane osoby wskutek pozornej serii trafów jechały w tym samym przedziale; czujniki, znajdujące się w ścianach, podłodze i oparciach foteli wagonu kolejowego, dostarczając danych komputerowi, programującemu akcję, ukrytemu w toalecie, zadbają o to, by wypadek zaszedł dokładnie według planu. Musi on zajść tak, żeby Smith nie mógł nie uratować życia pani Brown. Żeby nie wiedzieć co robił, bok wywróconego wagonu rozpruje się dokładnie w tym miejscu, w którym siedzi pani Brown, przedział wypełni się duszącym dymem i aby wydostać się na zewnątrz, Smith będzie musiał najpierw wypchnąć

przez powstały otwór kobietę. Tym samym uratuje ją od śmierci wskutek uduszenia. Operacja ta nie jest zbyt trudna. Przed kilkudziesięciu laty trzeba było armii komputerów i drugiej - specjalistów, żeby osadzić prom księżycowy w odległości metrów od jego celu; obecnie jeden komputer, śledzący akcję dzięki zestrojowi czujników, bez kłopotu rozwiązuje postawione zadanie. Gdyby jednak „Hedonistics” bądź „Truelife Co.” przyjęły zamówienie od męża pani Brown, żądające, by Smith okazał się łotrem i tchórzem, dojdzie do nieprzewidzianych powikłań. Dzięki szpiegostwu przemysłowemu „Truelife” dowie się o planowanej przez „Being” operacji kolejowej: rzeczą najtańszą jest włączyć się do cudzego planu aranżerskiego: na tym właśnie polega „tajny pasożytnictwo”. „Truelife” wprowadzi w momencie katastrofy drobny czynnik odchyłający, którego będzie dość, żeby Smith, wypychając przez dziurę panią Brown, posiniaczył ją, podarł jej suknię oraz złamał na dokładkę obie nogi. Jeśli „Being Inc.” dzięki swojemu kontrwywiadowi dowie się o tym pasożytniczym planie, podejmie środki zaradcze: i tak rozpocznie się proces operacyjnej eskalacji. W przewracającym się wagonie dojść musi do pojedynku dwu komputerów - tego „Being”, w toalecie, i tego „Truelife”, schowanego, być może pod podłogą wagonu. Za potencjalnym zbawcą kobiety i za nią, jako potencjalną ofiarą, stoją dwa molochy elektroniki i organizacji. Podczas wypadku wybuchnie - w ułamkach sekund - potworna bitwa komputerów; trudno pojąć, jak olbrzymie siły będą interweniować z jednej strony po to, by Smith pchał bohatercko i zbawiennie, i z drugiej, żeby tchórzliwie i depreczaco. Wskutek wprowadzania coraz nowych posiłków to co miało być niewielkim popisem męstwa wobec kobiety, może się stać kataklizmem. Kroniki firm notują na przestrzeni dziewięciu lat dwie takie katastrofy, zwane eskarami (Eskalacje Aranżacji). Po tej ostatniej, która kosztowała zaangażowane strony 19 milionów dolarów, wydatkowanych w energii elektrycznej, parowej i wodnej w ciągu 37 sekund, doszło do ugody, mocą której ustalono górną granicę aranżacji. Nie może ona pochłonąć więcej niż 10^{12} dżulów na klientominutę; wyłączone są też z realizowania usług - wszystkie rodzaje energii atomowej.

Na takim tle toczy się właściwa akcja powieści. Nowy prezydent „Being Inc.”, młody Ed Hammer III, ma osobiście rozpatrzyć sprawę zamówienia, złożonego przez Mrs. Jessamyn Chest, ekscentryczną milionerkę, gdyż żądania jej, natury pozacennikowej i niezwyklej, wykraczają poza kompetencje wszystkich szczebli administracji firmowej. Jessamyn Chest łaknie pełnej autentyczności życia, oczyszczonego od wszelkich wtrętów aranżerskich; za spełnienie tych życzeń gotowa jest zapłacić każdą cenę. Ed Hammer, wbrew sugestiom doradców, propozycję przyjmuje; zadanie, które stawia przed swym sztabem - jak zaaranżować całkowity brak aranżacji - okazuje się trudniejsze od wszystkich dotąd

pokonanych. Badania wykazują, że nic takiego, jak żywiołowa spontaniczność życia, od dawna już nie istnieje. Usunięcie przygotowań dowolnej aranżacji wykrywa jako warstwę głębszą - resztki innych, dawniejszych; zdarzeń o biegu nie wyreżyserowanym brak nawet w łonie „Being Inc.” Wyjawia się bowiem, że trzy konkurencyjne przedsiębiorstwa do końca się nawzajem zaaranżowały, to jest obsadziły swoimi zaufanymi - kluczowe stanowiska w administracji i radzie nadzorczej konkurenta. Odczuwając zagrożenie, wywołane takim odkryciem, Hammer zwraca się do prezesów obu pozostałych przedsiębiorstw, po czym dochodzi do tajnej narady, podczas której występują jako doradcy - specjaliści mający dostęp do głównych komputerów. Ta konfrontacja pozwala wreszcie ustalić stan rzeczy. Mało, że w roku 2041 na całym terytorium USA nikt już nie może zjeść kurczęcia, zakochać się, westchnąć, wypić whisky, nie wypić piwa, skinąć, mrugnąć, splunąć - bez wyższego planowania elektronicznego, które na lata z góry wytworzyło dysharmonię przedustanowioną. Nie zdając sobie z tego sprawy, w toku walki konkurencyjnej trzy miliardowe korporacje utworzyły Jednego w Trzech Osobach, Wszechmocnego Aranżera Losu. Programy komputerów są Księgą Przeznaczeń; zaaranżowane są partie polityczne, zaaranżowana jest meteorologia i nawet samo przyjsię na świat Eda Hammera III też stanowiło rezultat określonych zamówień, które były skutkami innych zamówień z kolei. Nikt już nie może ani urodzić się, ani umrzeć spontanicznie; a także nikt już na własną rękę, sam, do końca niczego nie przeżywa, ponieważ każda jego myśl, każdy lęk, trud, ból - jest ogniwickiem algebraicznych kalkulacji komputerowych. Puste już są pojęcia winy, kary, odpowiedzialności moralnej, dobra i zła, ponieważ pełna aranżacja żywota wyklucza pozagiełdowe walory. W komputerowym raj, sporządzonym dzięki stuprocentowemu wykorzystaniu wszystkich cech ludzkich i włączeniu ich w niezawodny system, brakowało tylko jednego - wiedzy jego mieszkańców o tym, iż jest tak właśnie. Toteż sama narada trzech prezydentów także została zaplanowana przez główny komputer, który - dostarczając im tej wiedzy - przedstawia się jako zelektryfikowane Drzewo Wiadomości. Co się teraz stanie? Czy doskonale zaaranżowany byt należy porzucić w nowej, następnej ucieczce z raj, aby „wszystko zacząć jeszcze raz od początku”? Czy też przyjąć go, zrzekłszy się raz na zawsze brzemienia odpowiedzialności? Książka nie odpowiada na to pytanie. Jest więc groteską metafizyczną, której fantastyczność posiada niejaki powiązania ze światem realnym. Gdy odrzucimy humorystyczną błagę i elefantiaż autorskiej wyobraźni, pozostanie problem manipulowania umysłami, i to takiego manipulowania, które nie koliduje z pełnią subiektywnego poczucia spontaniczności i swobody. Rzecz na pewno się nie ziści w formie ukazanej przez „Being Inc.”, lecz nie wiadomo, czy los oszczędzi naszym potomkom innych postaci tego zjawiska - być może mniej

zabawnych w opisie, lecz kto wie, czy i mniej dręczących.

„DIE KULTUR ALS FEHLER”

Wilhelm Klopper
(Universitas Verlag)

„Kultura jako błąd” privat docenta W. Kloppera jest dziełem niewątpliwie godnym uwagi - jako oryginalna hipoteza antropologiczna. Nie mogę jednak - zanim przejdę do omówienia - powstrzymać się od uwagi w sprawie formy wykładu. Tę książkę mógł napisać tylko Niemiec! Umiłowanie klasyfikacji, tego sumiennego porządku, który zrodził niezliczone Handbuecher, przerobiło duszę niemiecką w segregator. Patrząc na niezrównany ład, jakim błyszczy spis rzeczy tej książki, nie sposób nie pomyśleć o tym, że gdyby Pan Bóg był narodowości niemieckiej, świat nasz okazałby się miejscem może niekoniecznie bytowo lepszym, ale na pewno ziszczeniem wyższej idei musztry i ładu. Perfekcja tego porządku wprost przytłacza, jakkolwiek nie budzi żadnych zastrzeżeń rzeczowych. Nie mogę tutaj wdawać się w rozważanie tego, czy owo czysto formalne rozlubowanie w ordynku, w symetrii, w równaniu w prawo nie wywarło istotnego wpływu także na pewne treści, typowe dla niemieckiej filozofii - dla jej ontologii zwłaszcza. Hegel kochał Kosmos jako Prusy, bo w Prusach był porządek! Nawet ten estetyką rozjątrzony myśliciel, jakim był Schopenhauer, pokazał, jak wygląda dryl wykładu, w swej rozprawie „Ueber die vierfache Wurzel des Satzes vom zureichenden Grunde”. A Fichte? Lecz muszę sobie odmówić przyjemności dywagacji, co dla mnie tym trudniejsze, że nie jestem Niemcem. Do rzeczy, do rzeczy! Klopper zaopatrzył swoje dwutomowe dzieło w przedmowę, wprowadzenie i wstęp. (Ideał formy: triada!) Wchodząc w meritum, rozprawia się najpierw z tym rozumieniem kultury jako błędem, które ma za fałszywe. Podług tej, niesłusznej (za autorem) wersji, typowej dla szkoły anglosaskiej, reprezentowanej zwłaszcza przez Whistle'a i Sadbotthama, wszystko, co jest taką formą zachowania organizmu, która ani mu nie przeszkadza, ani nie pomaga przeżywać, jest błędem. Jedynym kryterium sensowności zachowań jest bowiem w ewolucji przeżywalność. Zwierzę, zachowujące się tak, że przeżywa sprawniej niż inne, zachowuje się - w świetle owego kryterium - bardziej sensownie niż te, co wymierają. Trawożerne bezzębne są bezsensowne ewolucyjnie, bo ledwo się narodzą, muszą zginąć z głodu. Analogicznie, trawożerne, mające wprawdzie zęby, ale gryzące nimi kamienie zamiast trawy, też są ewolucyjnie bez sensu, bo i one muszą szczeznąć. Klopper cytuje dalej znany przykład Whistle'a: założmy, powiada angielski autor, że w jakimś stadzie pawianów pewien stary pawian, przewodnik stada, wskutek czystego przypadku napoczyna zjadane ptaszki raczej z lewego boku. Ot, powiedzmy, że miał skaleczony palec prawej ręki i gdy zbliżał ptaszka do

paszczy, wygodniej mu było dzierżyć łup lewym bokiem do góry. Młode pawiany, podpatrując zachowanie przewodnika, które jest dla nich wzorcowe, naśladują go, i niebawem, to jest po jednej generacji, wszystkie pawiany tego stada napoczynają chwytane ptaki z lewego boku. Pod względem adaptacyjnym zachowanie to jest bezsensowne, bo pawiany mogą z jednakową dla siebie korzyścią napoczynąć zdobycz z każdego boku; niemniej właśnie taki wzór behawioru utrwalił się w tej grupie. Czym on jest? To początek kultury (protokultura), jako zachowania adaptacyjnie bezsensownego. Jak wiadomo, tę koncepcję Whistle'a rozwinął już nie antropolog, lecz filozof angielskiej szkoły logiko-analitycznej J. Sadtbottham, którego poglądy - przed ich zakwestionowaniem - nasz autor streszcza w następnym rozdziale („Das Fehlerhafte der Kulturfehlertheorie von Joshua Sadtbottham”). Sadtbottham oświadczył w swym głównym dziele, że zbiorowości ludzkie tworzą kulturę wskutek błędów, fałszywych prób, niepowodzeń, potknięć, omyłek i nieporozumień. Ludzie, chcąc zrobić jedno, robią w istocie drugie; pragnąc zrozumieć mechanizm zjawisk rzetelnie, wykładają go sobie fałszywie; poszukując prawdy, docierają do fałszu, i tak powstają obyczaje, mores, wiara, sacra, tajemnica, mana, tak powstają nakazy i zakazy, totemy i tabu. Wytworzą ludzie fałszywą klasyfikację otaczającego świata - i powstanie totemizm. Utworzą fałszywe generalizacje i tak najpierw sporządzą pojęcie many, a potem - absolutu. Tworzą błędne wyobrażenia o własnej budowie cielesnej i tak powstaną pojęcia cnoty i grzechu; gdyby genitalia były podobne do motyli, zapłodnienie zaś do śpiewu (przenośnikiem informacji dziedzicznej byłyby określone drgania powietrza), toby się te pojęcia zupełnie inaczej ukształtowały. Ludzie tworzą hipostazy i tak powstają pojęcia bóstw; robią plagiaty i tak powstają eklektyczne przeplatanki mitów - czyli religie doktrynalne. Jednym słowem, zachowując się byle jako, niewłaściwie, niedoskonale pod względem adaptacyjnym, źle interpretując zachowania innych ludzi, własnego ciała, obiektów Natury, uważając to, co przypadkowo zachodzi, za to, co jest zdeterminowane, a to, co jest zdeterminowane za przypadkowe właśnie, czyli wymyślając rosnącą ilość fikcyjnych bytów, ludzie obudowują się kulturą, przeinaczają obraz świata podług jej ustaleń i potem, po tysiącletniach, dziwią się, że im w takim więzieniu nie całkiem wygodnie. Początki są zawsze niewinne i nawet z pozoru nieważne, ot, jak te pawiany, co zjadają ptaszki, nadgryzając pierś zawsze od lewej strony. Lecz gdy z takich okrucichów powstanie układ znaczeń i wartości, gdy błędów, omyłek, nieporozumień nagromadzi się dosyć, aby mogły sumą, w całości domknąć się - mówiąc po matematycznemu - człowiek sam już uwięził się w tym, co, będąc najzupełniej akcydentalną zbieraniną, jemu wydaje się wyższą koniecznością. Jako erudyta, Sadtbottham popiera swoje twierdzenia mnóstwem przykładów, zaczerpniętych z etnologii;

zestawienia jego, jak pamiętamy, narobiły też w swoim czasie sporo szumu (zwłaszcza owe tablice „przypadek versus determinizm”, na których zestawiał wszystkie kulturowe, błędne wykładnie zjawisk: w samej rzeczy mnóstwo kultur uważa śmiertelność człowieka za skutek pewnego przypadku - człowiek był podług nich pierwotnie nieśmiertelny, ale sam sobie upadkiem tę cechę odebrał albo odebrało mu ją wtargnięcie jakiejś złej mocy; na odwrót, to, co jest przypadkowe - ukształtowany w ewolucji fizyczny wygląd człowieka - wszystkie kultury opatrzyły mianem zdeterminowanej konieczności, a przez to do dzisiaj wiodące religie głoszą, że człowiek jest w wyglądzie ciała nieprzypadkowy, skoro sporządzony na boskie podobieństwo). Krytyka, jakiej poddaje docent Klopper hipotezę angielskiego kolegi, nie jest ani pierwsza, ani oryginalna. Jako Niemiec, rozdzielił Klopper tę krytykę na dwie części: immanentną i pozytywną. W immanentnej tylko neguje tezy Sadbotthama: tę partię dzieła pominiemy, jako mniej istotną, bo powtarzającą zarzuty już znane z literatury fachowej. W drugiej części krytyki, pozytywnej, przechodzi wreszcie Wilhelm Klopper do wyłożenia własnej kontrhipotezy „Kultury jako błędu”. Wykład zaczyna, naszym zdaniem skutecznie i trafnie, od dostarczenia takiego pogładowego przykładu. Rozmaite ptaki lepia gniazda z różnego materiału. Co więcej, ten sam gatunek ptaków w różnych okolicach nie lepi gniazda z takiego samego dokładnie materiału, ponieważ zdany jest na to, co znajdzie w otoczeniu. To, jaki materiał, w postaci źdźbeł trawy, płatków kory, listków, muszelek, kamyczków, znajduje ptak najłatwiej, zależy od przypadku. Toteż w jednych gniazdach będzie więcej muszelek, a w innych kamyczków; jedne będą budowane raczej z pasemek kory, gdy inne - z piórek i mchu. Lecz, jakkolwiek budulec ma niewątpliwy wkład swój w kształtowaniu formy gniazda, nie można powiedzieć z sensem, że gniazda są dziełem czystego przypadku. Gniazda są narzędziem adaptacji, jakkolwiek z przypadkowo znajdujących części byle czego budowane; i kultura jest także narzędziem adaptacji. Lecz - i tu nowa myśl autora - jest to adaptacja zasadniczo odmienna od typowej dla państwa roślin i zwierząt. „Was ist der Fall?” - pyta Klopper. „Co jest stanem rzeczy?” Stan rzeczy jest taki: w człowieku nie ma, jako w istocie cielesnej, nic koniecznego. Podług wiedzy współczesnej biologii, człowiek mógłby być zbudowany inaczej, niż jest; mógłby żyć 600, a nie 60 lat przeciętnie; mógłby posiadać inaczej ukształtowany tułów, kończyny, mieć inny aparat rozrodczy, inny typ układu trawienno, mógłby np. być wyłącznym roślinożercą, mógłby być jajorodny, mógłby być dwudyszny, mógłby okazywać zdolność rozplodową tylko raz w roku, przez okres rui, i tak dalej. Człowiek, co prawda, posiada jedną taką cechę, która jest o tyle konieczna, że bez niej nie byłby człowiekiem. Gdyż posiada mózg, zdolny do wytworzenia mowy i refleksji; a przyglądając się swemu ciału i losowi, który to ciało określa,

człowiek opuszcza sferę takiej refleksji mocno nieukontentowany. Żyje krótko; do tego jego bezwłasnowolne dzieciństwo trwa długo; jego wiek najsprawniejszej dojrzałości jest drobną częścią całego żywota; ledwie osiągnie pełną dojrzałość, zaczyna się starzeć, a w przeciwieństwie do wszystkich innych stworzeń wie wszak, dokąd go starość doprowadzi. W środowiskach naturalnych ewolucji panuje bezustanne zagrożenie życia; tak więc, aby przeżyć, trzeba się tam mieć na baczności; dlatego czujniki bólowe, organy cierpienia, jako sygnalizacji zachęcającej do rozwijania prac samozachowawczych, ewolucja bardzo silnie rozwinęła we wszystkim, co żywe. Natomiast nie było żadnego ewolucyjnego powodu, żadnej siły kształtującej organizmy, która by „sprawiedliwie” zrównoważyła ten stan rzeczy, przydając ustrojom odpowiednie mnóstwo organów przyjemności i rozkoszy. Każdy przyzna - powiada Klopper - że męki głodowe, że cierpienia, wywołane pragnieniem, że tortury duszności są niezrównanie bardziej dojmujące, okrutne, aniżeli satysfakcja, jakiej się doznaje normalnie oddychając, pijąc lub jedząc. Wyjątek z tej generalnej reguły asymetrii mąk i uciech przynosi tylko seks. Lecz to jest zrozumiałe: gdybyśmy nie byli istotami dwupłciowymi, gdybyśmy mieli aparat genitalny zorganizowany jak np. kwiaty, to on by funkcjonował poza wszelkim pozytywnym doznaniem zmysłowym, bo zachęta do aktywności byłaby wówczas zupełnie zbyteczna. To, że istnieje seksualna rozkosz i że nad nią się rozbudowały niewidzialne gmachy królestwa miłości (Klopper, kiedy przestaje być oschle rzeczowy, staje się od razu sentymentalnie poetyczny!), wynika jedynie z faktu dwupłciowości. Mylne jest mniemanie, jakoby homo hermafroditicus, jeśliby taki gatunek istniał, kochałby samego siebie erotycznie. Nic podobnego; dbałby o siebie wyłącznie w ramach instynktu samozachowawczego. To, co zwiemy narcyzmem i co sobie wyobrażamy jako pociąg, który hermafrodyta może odczuwać dla siebie, jest wtórną projekcją, jest skutkiem rykoszetu: osobnik taki lokuje myślą, we własnym ciele, obraz zewnętrznego, idealnego partnera (tu następuje około 70 stronic dogłębnych rozważań w kwestii jedno-, dwu- i wielopłciowych jako fakultatywnych szans ukształtowania ludzkiej natury seksualnej: i ten wielki ustęp pomijamy). Co ma do tego wszystkiego kultura? - stawia pytanie Klopper. Kultura jest narzędziem adaptacji nowego typu: ona bowiem nie tyle sama z przypadków powstaje - ile ona temu służy, żeby wszystko, co jest w naszej kondycji de facto przypadkowe - stanęło w blasku wyższej, doskonałej konieczności. A zatem: kultura działa tak religią tworzoną, obyczajem, prawem, zakazem i nakazem, żeby przerabiać niedosyty na ideały, minusy na plusy, niedomogi na perfekcje, kalectwa na doskonałości; cierpienie udręcza? Tak, ale ono uszlachetnia i nawet zbawia. Życie jest krótkie? Tak, ale byt pozadoczesny trwa wiecznie. Dzieciństwo jest mozolne i durne? Tak, ale za to sielskie, anielskie, wręcz święte.

Starość jest okropna? Tak, ale to przygotowanie do wieczności, a ponadto starych należy szanować za to, że są starzy. Człowiek jest potworem? Tak, ale on temu nie winien, to prarodzice narobili złego; czy też to się demon wmieszał w akt Boży; człowiek nie wie, czego chce, szuka sensów życia, jest nieszczęśliwy? Tak, ale to skutek wolności: ona jest wartością najwyższą, to więc, że za jej posiadanie przychodzi słono płacić, nie ma decydującego znaczenia: człowiek wyzbyty wolności byłby bardziej nieszczęśliwy niż ten, który jest! Zwierzęta - zwraca uwagę Klopper - nie czynią różnicy między ekskrementem i padłem: omijają jedno i drugie, jako wydalinę życia. Dla konsekwentnego materialisty zrównanie trupa z odchodem winno być tak samo ważne; lecz tych drugich pozbywamy się sekretnie, a tych pierwszych - z pompą, podniośle, opatrując zwłoki mnóstwem kosztownych, skomplikowanych opakowań. Tego domaga się kultura, jako system pozorów, ułatwiających nam godzenie się z faktami niegodnymi. Solenne ceremonie pogrzebowe są środkami uspokajającymi nasz naturalny protest i bunt, wywołany hańbą śmiertelności. Gdyż to jest hańba - że umysł, przez całe życie wypełniany coraz rozleglejszą wiedzą, zmierza do tego, aby się rozpląnąć w kałużę zgnilizny. Jest zatem kultura kościelką wszystkich zastrzeżeń, oburzeń, pretensji, jakie człowiek mógłby adresować do ewolucji naturalnej, do wszystkich owych własności cielesnych, przypadkowo powstałych, przypadkowo fatalnych, które, nie pytany o radę ani o zgodę, odziedziczył po miliardoletnim procesie doraźnych przystosowań. Z całą tą paskudną schedą, z tym jarmarcznym zbiegowiskiem przypadłości i znamion, powtykanych w komórki, poskręcanych kośćmi, powiązanych ścięgnami i mięśniami, kultura, w malowniczej tozde zawodowego obrońcy z urzędu, godzi nas niezliczonymi krętactwami, uciekając się do argumentów, wewnętrznie sprzecznych, apelujących raz do uczuć, raz do rozumu, bo wszystkie sposoby przekonywania są dla niej dobre, byle osiągnęła swój cel - przekształcenia znaków ujemnych w dodatnie, naszej nędzy, naszego kalectwa, naszej ułomności - w cnotę, perfekcję i oczywistą konieczność. Monumentalnymi akordami stylu, w miarę podniosłego, w miarę uniwersyteckiego, zamyka się pierwsza część rozprawy docenta Kloppera, tu przez nas lakonicznie streszczona. Druga wyjaśnia, jak ważne jest zrozumienie realnej funkcji kultury po to, żeby człowiek mógł, jak należy, przyjąć zwiastuny przyszłości, którą sobie sam zgotował, zbudowawszy naukowo-techniczną cywilizację. Kultura jest błędem! - oświadcza Klopper, i lakoniczność tego twierdzenia przywodzi nam na myśl Schopenhauerowskie „Die Welt ist Wille!” Kultura jest błędem nie w tym sensie, jakoby przypadkowo powstała, nie, ona powstała koniecznie, bo - jak wywiodła część pierwsza - ona służy przystosowaniu. Lecz ona służy mu czysto mentalnie tylko: ona nie przerabia wszak dogmatami wier i przykazaniami człowieka w istotę nieśmiertelną naprawdę, ona nie

dosztukowuje człowiekowi przypadkowemu, homini accidentali, realnego Stwórcy-Boga; ona nie anuluje realnie najmniejszego atomu osobniczych cierpień, boleści, męczarni (Klopper i tu jest wierny Schopenhauerowi!) - wszystko to czyni wyłącznie na płaszczyźnie ducha, wykładni, interpretacji, ona usensownia to, co w immanencji sensów żadnych nie ma; ona oddziela grzech od cnoty, łaskę od upadku, hańbę od wywyższenia. Lecz oto cywilizacja techniczna, krokami zrazu drobnymi, zrazu czołgając się żelastwem prymitywnych machin, podpełzła pod kulturę; zatrzęsła się budowla, trzasnęły ściany kryształowego rektyfikatora: cywilizacja techniczna obiecuje bowiem człowieka poprawić, jego ciało oraz jego mózg, jego duszę rzeczywiście zoptymalizować; ta niespodziewanie przybierająca olbrzymia siła (informacji, wiekami nagromadzonej, co w dwudziestym wieku wybuchła) głosi szansę długiego żywota, z granicą, może, w nieśmiertelności; szansę szybkiego dojrzewania i niestarzenia się; szansę bezliku rozkoszy cielesnych i dozerowego wręcz zredukowania mąk, boleści, tak „naturalnych” (senilnych), jak „przypadkowych” (chorobowych); głosi szansę wolności wszędzie, gdzie dotąd traf był ożeniony z nieuchronnością (jako swobodę komponowania cech natury ludzkiej; jako możliwość wzmacniania talentów, umiejętności, inteligencji; jako szansę przydania ludzkim członkom, twarzy, ciału, zmysłom dowolnych form, funkcji, nawet prawie że wiecznotrwałych itd.) Cóż należałoby uczynić w obliczu tych obietnic, poświadczonych już urzeczywistnionymi ziszczzeniami? Puścić się w triumfalny taniec; kulturę, tę pałkę kulawego, te szczudła chromych, ten fotel paralytyka, ten system łąt, nałożonych na hańbę naszego ciała, na ułomność naszej mozolnej kondycji, tę wysłużoną pomocnicę należałoby uznać za jeden anachronizm. Bo czyż potrzebne są protezy tym, którym mogą wyrosnąć nowe członki? Czy musi kurczowo przyciskać do serca białą łaskę ociemniały, gdy mu przywracamy wzrok? Czy ma żądać ponownego oślepienia ten, komu bielmo zdjęto z oczu? Czy nie należy raczej złożyć tego zbędnego rupiecia w muzeum przeszłości, aby ruszyć prężnym krokiem ku czekającym, trudnym, lecz wspaniałym zadaniom i celom? Dopóki natura ciał naszych, ich powolnego wzrostu, ich rychłego psucia się była murem nieprzebitym, bezwzględną barierą, granicą egzystencji, dopóty kultura ułatwiała, tysięcznym pokoleniom, adaptację do tego fatalnego stanu rzeczy. Godziła z nim, więcej, jak dowodzi autor, ona właśnie przerabiała mankamenty na wartości, wady na zalety; to jakby ktoś, będąc skazanym na rozpadający się, brzydki i marny pojazd, ukochał z wolna jego ułomność, poszukiwał w jego niezdatności - objawów wyższego ideału, w defektach bezustannych odnajdywał - prawo Natury, Stworzenia, dzieło samego Pana Boga dostrzegał w kichającym gaźniku i zgrzytających trybach. Dopóki nie było na widoku innego pojazdu - bardzo słusznego, bardzo właściwego, jedynie prawidłowego, nawet racjonalnego polityka. Zapewne!

Lecz teraz, gdy nowy wehikuł zajaśniał na horyzoncie? Teraz czepiać się połamanych szprych, desperować za brzydota, którą przyjdzie utracić, wołać ratunku przed sprawną urodą nowego modelu? To zrozumiałe psychologicznie, ależ tak. Bo zbyt długo - tysiąclecia! - trwał proces naginania się człowieka do własnej, ewolucyjnie posztukowanej natury, ów olbrzymi, sekularny wysiłek ukochania danej kondycji w jej całej biedzie, bezuroku, w jej nędzach i fizjologicznych zakamarkach. Tak się wszystkimi kolejnymi formacjami kulturowymi człowiek koło tego naharował, tak się sam zasugerował, tak sobie wmówił ostateczność, jedyność, wyjątkowość i zwłaszcza bezalternatywność losu, że teraz na widok wybawienia, cofa się, drży, zasłania oczy, wydaje okrzyki trwogi, odwraca się od technicznego Zbawiciela, chce uciekać gdziekolwiek, do lasu na czworakach chociażby, chce ten kwiat nauki, to cudo wiedzy własnymi rękami połamać, zniszczyć, stratować, byle nie oddać do składnicy złomu wartości prastarych, które wyhodował własną krwią, wyniańczył jawa i snem, aż wymusił na sobie samym - miłość do nich! Lecz tak absurdatne postępowanie, ten szok, ten strach jest przede wszystkim głupotą z każdego racjonalnego stanowiska. Tak, kultura jest błędem! Lecz tylko w owym sensie, w jakim jest błędem zamykanie oczu na światło, odtrącanie lekarstwa w chorobie, domaganie się kadzidła i czarów magii, kiedy światły lekarz stoi u łóża chorego. Ten błąd nie istniał, nie było go wcale dopóty, dopóki nie wstała i nie urosła na wysokość należytej wiedzy; ten błąd - to zapieranie się, to ośli opór, mułowata niechęć, to drgawki przerażenia, które współcześni „myśliciele” nazywają intelektualną diagnozą światowych przemian. Kulturowy system protez, należy odrzucić, aby oddać się w opiekę wiedzy, która nas przerobi, obdarzając doskonałością; a będzie to perfekcja nie wymyślona, nie wmówiona, nie wyprowadzona z sofistyki pokrętnych, sprzecznych wewnętrznie ustaleń i dogmatów, lecz czysto rzeczowa, materialna, doskonale obiektywna: samo istnienie stanie się doskonałe, a nie tylko jego wykładnia, jego interpretacja! Kultura, ten obrońca Ewolucyjnych Idiotyzmów Sprawczych, ten kauzyperda przegranej sprawy, ten adwokat prymitywizmu i bylejakości somatycznej, musi odejść precz, skoro sprawa człowieka wchodzi na inne, wyższe wokandy, skoro pada mur tylko dotąd nienaruszalnych konieczności. Rozwój techniczny rujnuje kulturę? Dostarcza swobody tam, gdzie dotąd panował mus biologii? Ależ tak! I zamiast oblewać łzami traconą niewolę, należy przyspieszyć kroku, aby wyjść z jej ciemnego domu. A zatem (rozpoczyna się finał - miarowymi konkluzjami): wszystko, co mówi się o zagrożeniu tradycyjnej kultury przez nową technologię, jest prawdą. Lecz nie należy się tym zagrożeniem troskać; nie trzeba łątać pękającej w szwach kultury, spinać dogmatów jej klamrami, bronić się przed inwazją lepszej wiedzy w nasze ciała i życia; Kultura, nie przestając być i teraz wartością, staje się wartością inną: mianowicie anachroniczną. To ona była bowiem wielką

wylęgarnią, ową macicą, tym inkubatorem, w którym zaległy się wynalazki i w mękach urodziły naukę. Owszem: jak rozwijający się zarodek pochłania bezwładną, bierną substancję białka jajowego, tak rozwijająca się technika pochłania, trawi i obraca we własne tworzywo - kulturę, bo taki jest los embrionów i jaj. Żyjemy w epoce przejściowej, powiada Klopper: i nigdy nie bywa tak niewymownie ciężko ogarnąć drogę przebytą i tę, co się w przyszłość rozpościera, jak właśnie w erach przejść, bo one są czasami pojęciowego zamętu. Lecz proces jest wszczęty nieubłaganie. Nie trzeba w każdym razie mniemać, jakoby przejście z państwa biologicznej niewoli do państwa samostwórczej wolności mogło być jednorazowym aktem. Udoskonalić siebie raz na zawsze człowiek nie zdoła i proces samoprzeinaczeń będzie wiekami kontynuowany. „Mam odwagę - powiada Klopper - zapewnić Czytelnika, że dylemat, o jaki rani sobie myśl tradycyjny humanista, spłoszony naukową rewolucją, jest tęsknotą psa do odejmowanej mu obroży. Dylemat ten sprowadza się do wiary, że człowiek jest kłębowskiem sprzeczności, których nie może się pozbyć nawet, gdyby się technicznie dało, czyli że nie wolno nam zmieniać kształtów ciała, osłabiać agresywnych chuci, potęgować intelektu, równoważyć emocji, przekomponować seksu, wyzwolić człeka od starości, od prac rozplodowych, a nie wolno tego uczynić, ponieważ tego się nigdy dotąd nie robiło, to zaś, czego się nigdy nie robiło, już właśnie przez to na pewno musi być bardzo złe. Przyczyn aktualnego stanu ducha i ciała ludzkiego nie wolno humaniście wyłożyć za nauką jako wypadkowej długiej serii losowych ciągnięć, wewnątrz miliardowych konwulsji ewolucyjnego procesu, którym na wszystkie strony rzucały wstrząsy górotwórcze, wielkie zlodowacenia, wybuchy gwiazd, zmiany biegunów magnetycznych i niezliczone inne przypadki. To, co ewolucja zwierząt najpierw, antropoidów potem, poskładały sposobem loteryjnym, co na jedną kupę cisnęły dobór z selekcją, co z dnia na dzień utrwaliło się w genach, jak w kościach, rzuconych na stół gry, mamy uznać za nietykalne do świętości, nienaruszalne po wiek wieków - i tylko nie wiedzieć, dlaczego tak ma być właśnie. Jak gdyby obelgą była dla kultury nasza diagnoza - o jej robocie, zacnej intencjonalnie, o tym największym, najtrudniejszym, najbardziej fantastycznym i fałszywym z kłamstw, jakich się homo sapiens dorobił - jakich się imał, wypchnięty w przestwór rozumnego bytu z tej mrocznej spelunki, w której trwa szacherka genowa, w której ewolucyjny proces utrwała swoje szulerskie pociągnięcia w chromosomach; o tym, iż ta gra jest plugawym matacmem, któremu nie przyświecały nigdy żadne wyższe wartości ani cele, świadczy fakt, iż w jaskini tej tylko o to idzie, żeby przeżyć dziś - za diabła ni Boga nie troszcząc się o to, co się z przeżywanym tak kompromisowo, tak oportunistycznie, więc haniebnie - stanie jutro. Lecz, ponieważ wszystko przebiega dokładnie na odwrót, niż marzy to sobie trzęsący portkami

humanista, ten tępak, ten nieuk, który bezprawnie podaje się za racjonalistę, kultura zostanie podmyta, rozparcelowana, rozebrana i zmelioryzowana, podług zmian, jakim się człowiek podda. Gdzie szulerka genów, gdzie oportunizm adaptacji o bycie decydują, tam żadnej tajemnicy nie ma, a jest jeno katzenjammer oszukanych, zgaga po małym przodku, wspinanie się do nieba po drabinie wymyślonej, z której zawsze lecisz na koniec w dół, biologią za pięty ściągany, czy sobie będziesz sztukował ptasie pierze, aureole, niepokalane poczęcia, czy utwierdzał się dorobionym heroizmem. A więc nic koniecznego nie zostanie zniszczone, lecz szczególnie, obumierając po trosze, rusztowanie przesądów, odtłumaczeń, wybiegów, mydleń oczu, jednym słowem - całej sofistyki, jakiej się ludzkość nieszczęsna od wieków imała, żeby sobie obrzydłą kondycję dosmaczyć. Z chmur informacyjnej eksplozji wychynie w następnym wieku Homo Optimisans Se Ipse, Autocreator, Samostwórca, który się nad naszymi Kassandrami roześmieje (o ile będzie miał czym się śmiać). Szansę tę wypada pochwalić, uznać ją za niewymownie korzystny zbieg kosmiczno-planetarnych okoliczności, a nie dygotać przed mocą, która sprowadzi nasz ród z szafotu, by rozbić te okowy, jakie wlecze każdy z nas, czekając, kiedy wyczerpie się wreszcie potencjał sił cielesnych i doznamy samozadławienia w agonii. A gdyby nawet cały świat wyrażał wciąż jeszcze zgodę na ów stan, którym ewolucja napiętnowała nas gorzej, niż my piętnujemy najgorszych zbrodniarzy, ja nigdy nań zgody nie udzielę i jeszcze z łoża śmieci wychrypię »Precz z Ewolucją, Vivat Autokraeacja!«”. Pouczający jest obszerny wykład, którego cytatem zwieńczyliśmy dotychczasowe omówienie. A jest on pouczający przede wszystkim przez to, że wyjawia, jak nie ma wprost takiej rzeczy, wydającej się jednym ludziom samym złem i nieszczęściem, której inni ludzie nie mogliby w tej samej chwili uważać za wprost zbawienną i wynosić na wyżyny perfekcji. Recenzent sądzi, że technoewolucja nie może być uznana za bytowe panaceum ludzkości, choćby dlatego, ponieważ kryteria optyimizacji są zbyt zawile zrelatywizowane, by można je uważać za wytyczną uniwersalną (to jest za kodeks postępowania zbawiennego nieomylnie, formułowany w języku empirii). W każdym razie polecamy uwadze Czytelników „Kulturę jako błąd”, gdyż jest to, typowa dla czasu, jeszcze jedna próba rozpoznania przyszłości - wciąż ciemnej, wbrew połączonym wysiłkom futurologów i takich jak Klopper myślicieli.

„DE IMPOSSIBILITATE VITAE”;

„DE IMPOSSIBILITATE PROGNOSENDI”

(2 tomy)

Cezar Kouska

(Praha, Statni Nakladatelstvi N. Lit.)

Autor, zwaćy się na okładce Cezarem Kouską, podpisuje przedmowę wewnątrz książki jako Benedykt Kouska. Błąd zecerski, nieuwaga korekty czy niepojęcie perfidny zamiar? Osobiście wolę imię Benedykt, opowiadam się tedy za nim. Tak więc - profesorowi B. Kousce zawdzięczam kilka najmilszych godzin mego życia, spędzonych na lekturze jego dzieła. Wyklada ono poglądy na pewno niezgodne z nauką ortodoksją; zarazem nie idzie jednak o czyste szaleństwo; rzecz znajduje się w pół drogi między obojgiem, w owej strefie przejściowej, w której nie ma ani dnia, ani nocy, a rozum, popuściwszy więzów logice, nie szarpie ich aż tak, by popaść w bełkot. Profesor Kouska napisał bowiem dzieło, w którym udowadnia, że zachodzi taki oto stosunek wykluczania się: albo z gruntu fałszywa jest teoria prawdopodobieństwa, na jakiej stoi przyrodoznawstwo, albo nie istnieje świat ożywiony z człowiekiem na czele. Następnie w drugim tomie wyklada profesor, że jeśli prognostyka, czyli futurologia ma stać się realnością, a nie cczą ułudą, świadomym bądź bezwiednym mydleniem oczu, to dyscyplina taka nie może się posługiwać rachunkiem prawdopodobieństwa, lecz wymaga sporządzenia rachuby całkiem innej, mianowicie - aby zacytować Kouskę - „na antypodalnych aksjomatach bazującej teorii dystrybucji ensambłów faktowo niebywałych w czasoprzestrzennym kontinuum zajęć porządków wyższych” (cytat służy zarazem wskazaniu, że lektura dzieła - w partiach teoretycznych - nastęrcza niejaki trudności). Benedykt Kouska zaczyna od wyjawienia, że teoria empirycznego prawdopodobieństwa jest pęknięta środkiem. Pojęciem prawdopodobieństwa posługujemy się, gdy nie wiemy czegoś na pewno. Lecz niepewność ta albo jest czysto subiektywna (ja nie wiem, co zajdzie, ale może ktoś inny wie), albo obiektywna (nikt nie wie i nikt wiedzieć nie może). Prawdopodobieństwo subiektywne jest kompasem informacyjnego kalectwa; nie wiedząc, który koń przyjdzie do mety, i zgadując podług ilości koni (gdy są cztery, każdy ma jedną szansę na cztery, że wygra wyścig), zachowuję się jak niewidomy w pokoju pełnym mebli. Prawdopodobieństwo jest niby laska ślepeca, którą on po omacku odszukuje drogę. Gdyby widział, nie potrzebowałby tej laski, a gdybym wiedział, który koń jest najszybszy, nie potrzebowałbym probablistyki. Jak wiadomo, spór o obiektywność lub subiektywność prawdopodobieństwa dzieli świat nauki na dwa obozy. Jedni twierdzą, że istnieją właśnie dwa

rodzaje prawdopodobieństwa, jak wyżej, inni, że istnieje tylko subiektywne, ponieważ cokolwiek ma zajść, my się nie umiemy dokładnie o tym dowiedzieć. Jedni więc lokują niepewność przyszłych zdarzeń po stronie naszej wiedzy o nich, a drudzy w obrębie samych owych zdarzeń. To, co zachodzi, jeśli rzeczywiście zachodzi, to zachodzi: takie jest naczelne sformułowanie profesora Kouski. Prawdopodobieństwo występuje tylko tam, gdzie jeszcze coś nie zaszło. Tako rzeczce nauka. Lecz każdy rozumie, że dwie kule pojedynkowiczów, rozplaszczające się o siebie w locie, lub wyłamanie sobie zęba przy jedzeniu ryby, na pierścionku, który niechcący utopiło się w morzu sześć lat temu i który połknęła akurat ta ryba, bądź też odegranie, w tempie trzy czwarte, sonatiny b-moll Czajkowskiego, w składzie kuchennych naczyń, przez wybuchające podczas oblężenia szrapnele, ponieważ ich kulki będą trafiały większe i mniejsze garnki akurat tak, jak tego wymaga utwór, że to wszystko, gdyby zaszło, stanowi zajścia nadzwyczaj nieprawdopodobne. Nauka powiada w tym względzie, że są to fakty występujące z bardzo niską częstotliwością w zbiorach zajść, do których owe fakty należą, a więc w zbiorze wszystkich pojedynków, w zbiorze jedzenia ryb i znajdowania w nich zgubionych rzeczy oraz w zbiorze ostrzałów artyleryjskich - sklepów z naczyń. Lecz nauka, powiada profesor Kouska, zawraca nam głowę, ponieważ gadanie o takich zbiorach jest zupełną fikcją. Teoria prawdopodobieństwa potrafi zwykle powiedzieć, jak długo musimy oczekiwać pewnego zajścia, o określonym, a niezwykle małym prawdopodobieństwie, czyli jak wiele razy trzeba by powtórzyć pojedynki, gubienie pierścionków oraz strzelanie do garnków, żeby zaszły wyżej nazwane dziwne rzeczy. Jest to bzdura, ponieważ do tego, aby zaszła bardzo nieprawdopodobna rzecz, wcale nie trzeba, by zbiór zajść, do jakich ona należy, stanowił serię ciągłą. Jeśli rzucam dziesięcioma monetami naraz, wiedząc o tym, że szansa wypadnięcia naraz dziesięciu orłów lub dziesięciu reszek wynosi zaledwie $1 : 1024$, wcale nie muszę rzucić co najmniej 1024 razy, aby prawdopodobieństwo wypadnięcia dziesięciu orłów lub reszek stało się równe jedności. Mogę bowiem zawsze powiedzieć, że moje rzuty stanowią dalszy ciąg doświadczenia, na które składają się wszystkie minione rzuty dziesięcioma monetami naraz. Takich rzutów musiała być w ciągu ostatnich 5000 lat historii ziemskiej niezliczona ilość, więc właściwie powinienem się spodziewać, że od razu poczną mi wszystkie monety padać orłami bądź reszkami do góry. Tymczasem, powiada profesor Kouska, spróbujcie jeno na tym rozumowaniu oprzeć swoje oczekiwania! Z naukowego punktu widzenia jest ono zupełnie poprawne, to bowiem, czy się rzuca monetami jednym ciągiem, czy też się je odkłada na chwilę, aby zjeść w przerwie knedliczka albo skoczyć na jednego do szynku, czy wreszcie w ogóle nie ta sama osoba rzuca, lecz coraz inna, i nie w jednym dniu, ale co tydzień lub co rok,

nie ma to najmniejszego wpływu ani znaczenia dla rozkładu prawdopodobieństwa, to więc, że już dziesięćmona monetami rzucali Fenicjanie, siedząc na baranich skórkach, i Grecy spaliwszy Troję, i rzymscy sutenerzy czasów Cesarstwa, i Gallowie, i Germanie, i Ostrogoci, i Tatarzy, i Turcy, pędząc jasyr do Stambułu, i kupcy dywanów w Galacie, i ci kupcy, co handlowali dziećmi z dziecięcej krucjaty, i Ryszard Lwie Serce, i Robespierre oraz paręnaście dziesiątków tysięcy innych hazardzistów, też jest całkiem nieistotne, i przez to, rzucając monetami, możemy uważać, że zbiór jest nadzwyczaj liczebny, przez co nasze szansę wyrzucania 10 orłów lub 10 reszek naraz są wprost ogromne! Spróbujcie jeno rzucać, powiada profesor Kouska, trzymając jakiegoś uczonego fizyka lub innego probablistę za łokieć, żeby nie uciekł, gdyż tacy nie lubią, gdy im wytykać fałsz ich metody. Spróbujcie, a zobaczycie, że nic z tego nie wyniknie. Następnie podejmuje profesor Kouska obszerny myślowy eksperyment, odnoszący się nie do jakichś zjawisk hipotetycznych, lecz do tego, co przedstawia część jego własnej biografii. Powtórzmy za nim skrótowo co ciekawsze fragmenty tej analizy. Pewien lekarz wojskowy podczas pierwszej wojny światowej wyrzucił za drzwi sali operacyjnej pielęgniarkę, bo dokonywał zabiegu chirurgicznego w chwili, gdy ona weszła omyłkowo do tej właśnie sali. Gdyby pielęgniarka była bardziej obyta ze szpitalem, toby nie pomyliła drzwi sali operacyjnej z opatrunkową, a gdyby nie weszła do operacyjnej, toby jej chirurg nie wyrzucił; gdyby jej nie wyrzucił, to przełożony jego, lekarz pułkowy, nie zwróciłby mu uwagi na niewłaściwe zachowanie względem damy (bo to była pielęgniarka amatorka, panna z wyższej sfery), a gdyby nie zwrócił uwagi, toby młody chirurg nie uważał za wskazane przeproszać pielęgniarki, nie poszedłby z nią do cukierni, nie zakochałby się w niej, nie ożenił, przez co i profesor Benedykt Kouska nie przyszedłby na świat jako dziecko tej właśnie małżeńskiej pary. Z podanego zdaje się wynikać, że prawdopodobieństwo przyjścia na świat profesora Benedykta Kouski (jako noworodka, nie jako kierownika katedry filozofii analitycznej) wyznaczone było przez prawdopodobieństwo zamiany lub niezamiany drzwi przez pielęgniarkę w danym roku, miesiącu, dniu i godzinie. Lecz tak wcale nie jest. Młody chirurg Kouska nie miał w owym dniu żadnych wyznaczonych operacji; lecz jego kolega, doktor Popichal, pragnąc odnieść swojej ciotce bieliznę z pralni, wszedł do domu, w którym wskutek przepalenia się bezpiecznika światło nie świeciło się na schodach, przez co spadł z trzeciego stopnia i skrzył nogę w kostkę; przez to też Kouska musiał go zastąpić na zabiegach. Gdyby się stopka nie przepaliła, toby Popichal nie skrzył nogi, na sali operowałby on, a nie Kouska, a jako osobnik znany z szarmanterii, Popichal nie użyłby silnych słów dla usunięcia z operacyjnej pielęgniarki, która weszła tam omyłkowo, a nie obraziwszy jej, nie widziałaby potrzeby umawiania się z nią na randkę; zresztą, randka czy

nie randka, w każdym razie jest zupełnie pewne to, że z wirtualnego związku Popichala z pielęgniarką nie powstałby Benedykt Kouska, ale ewentualnie ktoś całkiem inny, czyich szans przyjścia na świat praca nie bada. Statystycy zawodowi, świadomi skomplikowanego stanu światowych rzeczy, wymigują się zwykle od omawiania prawdopodobieństwa takich zajęć, jak czyjeś przyjście na świat. Powiadają na odczepnego, że tu chodzi o koincydowanie wielkiej ilości różnoprzyczynowych łańcuchów kauzalnych i że przez to punkt czasoprzestrzenny, w którym dane jajeczko zlewa się z danym plemnikiem, jest wprawdzie zdeterminowany w zasadzie, in abstracto, jednakże in concreto nigdy nie uda się nagromadzić wiedzy dość potężnej jako wszechogarniającej, aby realne wypowiedzenie prognozy (z jakim prawdopodobieństwem urodzi się osobnik X o cechach Y, czyli jak długo muszą się ludzie rozmnażać po to, żeby pewien osobnik o cechach Y na pewno przyszedł na świat z całkowitą pewnością) stało się możliwe. Lecz ta niemożliwość jest tylko techniczna, a nie pryncypialna, ona tkwi w trudnościach zbierania informacji, a nie w tym, jakoby takiej informacji w ogóle nie było na świecie. To łgarstwo statystycznej nauki zamierza profesor Benedykt Kouska przygwoździć i zdemaskować. Jak wiemy, to, żeby się profesor Kouska mógł narodzić, nie sprowadza się tylko do alternatywy „właściwe drzwi - drzwi niewłaściwe”. Nie podług jednej koincydencji trzeba by rachować szansę urodzin, ale podług wielu: tej, że pielęgniarkę skierowano do tego, a nie innego szpitala; tej, że uśmiech jej w cieniu, rzucanym przez kornet, przypominał z daleka uśmiech Mony Lizy; tej także, iż w Sarajewie został zastrzelony arcyksiążę Ferdynand, bo gdyby go nie zastrzelono, toby wojna nie wybuchła, a gdyby nie wybuchła, to panna ta nie zostałaby pielęgniarką, ponieważ zaś pochodziła z Ołomuńca, podczas kiedy chirurg - z Morawskiej Ostrawy, toby się raczej ani w szpitalu, ani gdzie indziej nigdy nie spotkali. Należy więc uwzględnić ogólną teorię balistyki strzelania do arcyksiążąt, ale ponieważ trafienie arcyksięcia było uwarunkowane ruchem jego samochodu, to i teorię kinematyki modeli samochodów z roku 1914 należałoby brać pod uwagę, jako też psychologię zamachowców, ponieważ nie każdy na miejscu owego Serba strzelałby do arcyksięcia, a jeśliby nawet strzelał, toby nie trafił, gdyby mu się ręce trzęsły ze zdenerwowania, więc to, że Serb miał pewną dłoń, oko i żadnych drzączek, też posiadało swój wkład w dystrybucję prawdopodobieństwa narodzin profesora Kouski. Nie wolno też pominąć ogólnej sytuacji politycznej Europy w lecie 1914. Zresztą małżeństwo nie doszło do skutku ani w tym roku, ani w 1915, gdy młoda para się na dobre poznała, bo chirurga odkomenderowano do twierdzy Przemyśl. Stamtąd miał jechać potem do Lwowa, gdzie mieszkała dziewczę Marika, które rodzice upatrzyli mu na żonę ze względu na zgodność interesów. Atoli skutek ofensywy Samsonowa oraz ruchów południowego skrzydła wojsk

rosyjskich, Przemyśl został oblężony i niebawem, zamiast do lwowskiej narzeczonej, chirurg udał się do niewoli rosyjskiej, kiedy twierdza padła. Otóż zapamiętał on pielęgniarkę lepiej od narzeczonej, ponieważ pielęgniarka nie tylko była przystojna, lecz śpiewała piosenkę „Mój ukochany, śpij na kwietnym łożu” znacznie ładniej niż Marika, która miała nie usuniętego polipa struny głosowej i przez to trwała chrypkę. Miała ona wprawdzie poddać się zabiegowi usunięcia polipa w roku 1914, lecz otorinolaryngolog, który winien był polipa usunąć, przegrawszy w lwowskim kasynie dużo pieniędzy i nie mogąc spłacić honorowego długu (był oficerem), zamiast strzelić sobie w łeb, ukradł kasę pułkową i uciekł do Włoch; wypadek ów nadzwyczaj zraził Marikę do otorinolaryngologów, a zanim się zdecydowała na innego, stała się narzeczoną, jako narzeczonej była zobowiązana śpiewać „Mój ukochany, śpij na kwietnym łożu”, i jej śpiew, a raczej wspomnienie tego ochryplego i sapliwego głosu, kontrastując na niekorzyść narzeczonej z czystym timbrem praskiej pielęgniarki, spowodowało, że ta ostatnia wzięła górę w pamięci doktora-jeńca Kouski w niewoli nad obrazem narzeczonej. Tak iż powracając do Pragi w roku 1919, nawet nie myślał szukać swojej byłej narzeczonej, lecz od razu pojechał do domu, w którym pielęgniarka mieszkała jako panna na wydaniu. Pielęgniarka owa miała zresztą czterech rozmaitych absztyfikantów; wszyscy pragnęli ją poślubić, z Kouską zaś nie łączyło jej nic konkretnego oprócz odkrytek, które ten posyłał jej z niewoli, i odkrytki owe same w sobie, popaćkane stemplami cenzury wojskowej, nie mogły wzniecić w jej sercu szczególnie trwałych uczuć. Lecz jej pierwszym poważnym absztyfikantem był niejaki Hamuras, pilot, który nie latał, ponieważ wciąż mu się robiła przepuklina, gdy poruszał nogami orczyk samolotu, a to ponieważ orczyki w ówczesnych samolotach poruszały się ciężko, gdyż była to wszak bardzo prymitywna epoka lotnictwa; otóż Hamuras był operowany raz, ale bezskutecznie, bo się przepuklina powtórzyła, bo się lekarz operator pomylił co do szwów z ketgutem; a pielęgniarka wstydziła się wyjść za takiego lotnika, który zamiast latać, siedzi stale albo na izbie przyjęć w szpitalu, albo szuka w gazetowych ogłoszeniach, gdzie można dostać prawdziwie przedwojenny pas przepuklinowy, gdyż liczył Hamuras na to, że podobny pas umożliwi mu jednak latanie, wszelako wskutek wojny porządne pasy były nieosiągalne. Należy zważyć, że w tym miejscu „być lub nie być” profesora Kouski wiąże się z dziejami lotnictwa w ogóle, a modelami aeroplanów, jakich używała armia austrowęgierska, w szczególności. Konkretnie, na urodziny profesora Kouski pozytywnie wpłynął fakt, iż rząd Austro-Węgier nabył w roku 1911 licencje budowy samolotów „monoplan”, których orczyki chodziły nader ciężko, a które produkować miała wytwórnia w Wiener-Neustadt, co rzeczywiście zaszło. Otóż konkurowała w toku przetargów z tą wytwórnią i jej licencją (pochodząca z Ameryki od Farmana) firma francuska Antoinette i

firma ta miała duże szanse, ponieważ generał-major Prchl, z C. K. Intendentury, przeważałby szalę na rzecz modelu francuskiego, albowiem miał kochankę Francuzkę, która była guwernantką jego dzieci, i przez to sekretnie lubił wszystko, co francuskie, to zaś odmieniłoby rozkład szans, gdyż francuska maszyna była dwupłatem z odginanymi lotkami i sterowym upierzeniem o bardzo lekko chodzącym orczyku, więc orczyk ten nie sprawiłby znanych kłopotów Hamurasowi, przez co może pielęgniarka wyszłaby jednak za niego. Co prawda w tym biplanie ciężko chodził knypel, a Hamuras miał dość delikatne ramiona, cierpiał nawet na tak zwany „Schreibkrampf” i miał stąd trudności z podpisywaniem się, bo pełne jego nazwisko brzmiało Adolf Alfred von Messen - Weydeneck zu Oryola und Munnesacks, baron Hamuras. Tak więc nawet bez przepukliny mógł Hamuras w związku ze słabowitymi rękami stracić urok w oczach pielęgniarki. Lecz napatoczył się guwernantce pewien trzeciorzędny tenor z operetki, zrobił jej nadzwyczaj szybko dziecko, generał-pulkownik Prchl usunął ją ze swego domu, stracił serce dla wszystkiego, co francuskie, i armia została przy licencji Farmana, którą posiadała firma z Wiener-Neustadt. Owego tenora guwernantka poznała na Ringu, kiedy chodziła tam ze starszymi dziewczynkami generała Prchla, ponieważ najmłodsze miało koklusz, więc starano się zdrowe dzieci odseparować od chorego, i gdyby nie ten koklusz, zawleczony przez pewnego znajomego kucharki Prchlów, który woził kawę do palarni i zawsze przed południem wstępował do Prchlów, tj. do kucharki, nie byłoby choroby, wyprowadzania dzieci na Ring, poznania tenora, zdrady, a przez to jednak zwyciężyłby w przetargu Antoinette. Hamuras dostał jednak kosza, ożenił się z córką dostawcy dworu i miał z nią troje dzieci, w tym jedno bez przepukliny. Drugiemu konkurentowi pielęgniarki, kapitanowi Miśni, nic nie brakowało, poszedł na front włoski i dostał reumatyzmu (było to zimą, w Alpach). Co do przyczyny jego zgonu wersje są sprzeczne; kapitan brał parówki, granat kalibru 22 trafił w łaźnię parową, kapitan wyleciał z niej nagi prosto na śnieg, reumatyzm, mówią, odjęło mu, lecz dostał zapalenia płuc. Gdyby jednak profesor Fleming wynalazł był swoją penicylinę nie w roku 1940, ale w 1910 na przykład, to Miśnię by z zapalenia płuc wyciągnięto, wróciłby do Pragi, ponieważ miałby do tego prawo jako rekonwalescent, i szansę przybycia na świat profesora Kouski nadzwyczaj by przez to zmalowały. A więc calendarium odkryć w dziedzinie leków przeciwbakteryjnych odegrało dużą rolę w powstaniu profesora B. Kouski. Trzeci konkurent był porządnym kupcem grosistą, lecz nie podobał się pannie; czwarty miał się z nią już na pewno ożenić, ale nie doszło do tego przez halbę piwa. Ten ostatni absztyfikant miał ogromne długi i nadzieję spłacenia ich z posagu, a także niezwykle bogatą przeszłość. Rodzina wraz z panną i konkurentem udała się na loterię fantową Czerwonego Krzyża, że zaś na obiad były zrazy po

węgiersku, ojciec panny cierpiał okrutne pragnienie, opuścił więc namiot, w którym przebywali pospołu, słuchając wojskowej orkiestry, i napił się piwa z beczki, przy czym spotkał szkolnego kolegę, który opuszczał właśnie tereny loterii fantowej, i gdyby nie piwo, na pewno by się nie zetknęli z ojcem panny; kolega ów znał, przez swoją szwagierkę, całą przeszłość konkurenta panny, i nie był od tego, żeby jej ojcu wszystko dokładnie opowiedzieć. Zdaje się, że jeszcze dodał to i owo od siebie, w każdym razie ojciec wrócił niezwykle wzburzony i narzeczeństwo, już prawie zawarte, rozleciało się bezpowrotnie. Gdyby atoli ojciec nie był jadł zrazów po węgiersku, nie odczuwałby pragnienia, nie wyszedłby na piwo, nie spotkałby kolegi ze szkół, nie dowiedziałaby się o długach konkurenta, narzeczeństwo doszłoby do skutku, a iż byłoby to narzeczeństwo czasu wojny, ślub też by prędko nastąpił. Nadmiar papryki w zrazach z dnia 19 maja 1916 roku uratował tedy życie profesorowi B. Kousce. Co się tyczy chirurga Kouski, to w randze lekarza batalionowego powrócił z niewoli i ruszył w konkury. Złe języki doniosły mu o konkurentach, a zwłaszcza o śp. kapitanie Miśni, który miał ponoć z panną solenny romans, jakkolwiek jednocześnie odpowiadała na kartki jenieckiej poczty. Będąc z natury dość gwałtownym, chirurg Kouska gotował się do zerwania już dokonanych zaręczyn, zwłaszcza iż otrzymał kilka listów, jakie panna pisała do Miśni (Bóg wie jak zawędrowały do rąk złośliwej osoby w Pradze), wraz z anonimem, wyjaśniającym, że służył pannie za piąte koło u wozu, to jest za żelazną rezerwę. Do zerwania zaręczyn nie doszło za sprawą rozmowy, jaką miał chirurg ze swoim dziadkiem, który był mu właściwie ojcem od dziecka, ponieważ jego rodzony ojciec jako utracjusz i szalawiła nie wychowywał go wcale. Dziadek był starcem przekonań niezwykle postępowych i uznał, że młodziutkiej dziewczynie łatwo zawrócić głowę, zwłaszcza kiedy zawracający nosi mundur i powołuje się na stale grożącą mu śmierć żołnierską. Kouska ożenił się więc z panną. Gdyby jednak miał dziadka innych przekonań albo gdyby liberał ów zmarł przed osiemdziesiątym rokiem życia, pewno by do ślubu nie doszło. Dziadek prowadził wszakże nader zdrowy tryb życia i systematycznie poddawał się kuracjom wodnym podług księdza Kneippa; to jednak, w jakim stopniu coranne lodowate tusze, przedłużając dziadkowi życie, zwiększyły szansę przyjścia na świat profesora B. Kouski, obliczyć się nie daje. Ojciec chirurga Kouski, apostoł mizoginizmu, z pewnością nie brałby zniesławionego dziewczęcia w obronę; nie miał jednak na syna żadnego wpływu od czasu, kiedy poznawszy pana Serge Mdivaniego, został jego sekretarzem, wyjechał z nim do Monte Carlo i wrócił, wierząc w system rozbicia ruletki, przekazany mu przez pewną hrabinę wdowę; dzięki temu systemowi stracił cały majątek, dostał się pod kuratelę i oddać musiał syna własnemu ojcu na wychowanie. Gdyby atoli ojciec chirurga nie uległ demonowi hazardu, to własny jego ojciec

by się go nie wyrzekł, i znów nie doszłoby do powstania profesora Kouski. Czynnikiem, który przechylił szalę narodzin profesora, był właśnie pan Serge vel Sergiusz Mdivani. Mając dość swego majątku w Bośni, żony i teściowej, wziął Kouskę (ojca chirurga) - na sekretarza i wyjechał z nim do wód, ponieważ Kouska-ojciec znał języki i był światowcem, natomiast Mdivani wbrew nazwisku nie posiadał żadnego języka poza chorwackim. Lecz gdyby pan Mdivani był za młodu lepiej pilnowany przez swojego ojca, toby zamiast gzić się z pokojówkami, uczył się języków, nie potrzebowałby tłumaczy, nie wywiózłby ojca Kouski do wód, ten by nie wrócił z Monte Carlo jako szuler, a tym samym nie zostałby wyklęty i wyrzucony z domu przez swego ojca, który nie wzięwszy do siebie chirurga, jako dziecka, nie wpoiłby mu zasad, chirurg zerwałby z panną, i znów nie pojawiłby się na świecie profesor Benedykt Kouska. Otóż ojciec pana Mdivaniego nie miał głowy do pilnowania postępów w nauce swego synka, gdy ten miał się języków uczyć, ponieważ swoim wyglądem ów syn przypominał mu pewnego dostojnika kościelnego, co do którego pan Mdivani-senior żywił podejrzenia, iż to on jest prawdziwym ojcem małego Sergiuszka. Czując tedy podświadomą niechęć do Sergiuszka, zaniedbywał opiekę nad nim; wskutek tego Sergiusz nie wyuczył się, jak należało, języków.

Sprawa jego ojca rzeczywiście była powikłana, ponieważ nawet matka Sergiuszka nie miała pewności, czy był on synem jej męża, czy synem popa, nie wiedziała zaś na pewno, czym był synem dlatego, ponieważ wierzyła w zapatrzanie. W zapatrzanie wierzyła, bo życiowym autorytetem była dla niej babka Cyganka; mówimy już, wypada zaznaczyć, o relacji między babką matki Sergiuszka Mdivaniego a szansami narodzin profesora Benedykta Kouski. Mdivani urodził się w 1861 roku; jego matka - w roku 1832; babka zaś Cyganka w 1798. Tak więc sprawy, które toczyły się na Bośni i Hercegowinie w latach końcowych osiemnastego wieku, czyli 130 lat przed narodzinami profesora Kouski, wywarły istotny wpływ na rozkład prawdopodobieństwa jego przyjścia na świat. Lecz babka Cyganka też nie pojawiła się na pustym miejscu. Nie chciała wyjść za prawosławnego Chorwata, tym bardziej że wówczas cała Jugosławia była wszak pod jarzmem tureckim, a małżeństwo z giurem nie wróżyło jej nic dobrego. Lecz miała owa Cyganka wuja, który był od niej o wiele starszy, wojował jeszcze pod Napoleonem; podobno brał udział w odwrocie Wielkiej Armii spod Moskwy. W każdym razie z wojaczki pod cesarzem Francuzów wrócił do domu z przeświadczeniem o znikomości różnic międzywyznaniowych, boż się był napatrzył różności wojennych, nakłaniał tedy bratanicę, aby wyszła za Chorwata, bo choć to giur, przecież dobry i miły chłopiec. Wydawszy się za Chorwata, babka od strony matki pana Mdivaniego zwiększyła tedy szansę urodzin profesora Kouski. Co do wuja, ów nie wojowałby pod

Napoleonem, gdyby nie przebywał podczas kampanii włoskiej w regionie Apeninów, dokąd wysłał go jego gospodarz, hodowca owiec, z partią kozuchów. Został ogarnięty przez patrol konny gwardii cesarskiej i miał do wyboru pójść w rekruty lub być ciurą obozowym: wolał tedy nosić broń. Otóż gdyby gospodarz wuja-Cygana nie hodował owiec albo gdyby, hodując je, nie wyrabiał baranich kozuchów, na jakie był popyt w Italii, i gdyby nie wysłał tego wuja z kozuchami do Włoch, to by konny patrol cygańskiego wuja nie pochwycił, po czym, nie nawojowawszy się po Europie, ten wuj, pozostając przy konserwatywnych przekonaniach, nie namówiłby swej siostrzenicy, żeby wyszła za Chorwata. Przez to zaś matka Sergiuszka, nie mając babki Cyganki i nie wierząc przez to w zapatrzenie, nie uważałaby, że od samego przyglądania się temu, jak pop rozkłada ręce, basem śpiewając u ołtarza, można mieć syna - wykapanego popa, a mając zupełnie czyste sumienie, nie lękałaby się męża, obroniłaby się przed zarzutami zdrady małżeńskiej, mąż, nie dopatrując się już złego w wyglądzie Sergiuszka, pilnowałby jego nauk, Sergiusz wyuczyłby się języków, nie potrzebowałby nikogo jako tłumacza, przez co ojciec chirurga Kouski nie pojechałby z nim do wód, nie zostałby hazardzistą i utracjuszem, namawiałby syna chirurga, jako mizogin, by rzucił pannę za flirtacje z śp. kapitanem Miśnią, przez co znowu nie byłoby na świecie profesora B. Kouski. Lecz zważmy teraz, że dotąd rozpatrywaliśmy widmo probabilistyczne narodzin profesora Kouski przy założeniu, że oboje jego fakultatywni rodzice istnieli, a prawdopodobieństwo tych narodzin redukowaliśmy jedynie przez wprowadzenie bardzo drobnych, zupełnie wiarygodnych zmian zachowania ojca lub matki profesora Kouski, zmian wywołanych postępkami osób trzecich (generała Samsonowa, babki Cyganki, matki Mdivaniego, barona Hamurasa, guwernantki-Francuzki generał-majora Prchla, cesarza Franciszka Józefa, arcyksięcia Ferdynanda, braci Wright, chirurga od przepukliny barona, otorinolaryngologa Mariki itd.). Lecz przecież dokładnie tego samego typu rozważania można zastosować do szansy pojawienia się na świecie panny, co jako pielęgniarzka wyszła za chirurga Kouskę, albo też do tego chirurga. Biliony, tryliony okoliczności musiały zajść, jak zaszły, po to, żeby panna ta na świat przyszła i żeby przyszedł na świat przyszły chirurg Kouska. I analogicznie niezliczone mrowie zajść warunkowało przyjście na świat ich rodziców, dziadków, pradziadków itd. Jest chyba rzeczą nie wymagającą argumentacji to, że gdyby np. nie przyszedł na świat krawiec Vlastimil Kouska, który urodził się w roku 1673, to tym samym nie mogłoby być ani jego syna, ani wnuka, ani prawnuka, więc i pradziadka chirurga Kouski, więc i jego, więc i profesora Benedykta. Ale rozumowanie analogiczne dotyczy też tych przodków rodu Kousków i rodu pielęgniarzki, którzy w ogóle nie byli jeszcze ludźmi, ponieważ byli istotami pędzącymi czwororekły żywot nadrzewny w młodszym eolicie,

kiedy pierwszy paleopithecus, dopadłszy jednego z tych czwororękich i zauważywszy, że ma do czynienia z czwororęką, posiadał ją pod drzewem eukaliptusowym, które rosło tam, gdzie dziś jest Mala Strana w Pradze. Wskutek zmieszania się chromosomów tego jurnego paleopiteka i tej czwororękiej praczłowiekini powstał ten typ mejozy i to sprzężenie genowych lokusów, które przenosząc się przez następnych 30 000 generacji wytworzyło właśnie na twarzy panny pielęgniarzki ów uśmiech, podobny odrobinę do uśmiechu Mony Lizy z płótna Leonarda, który oczarował młodego chirurga Kouskę. Lecz ten eukaliptus mógł jednak rosnąć cztery metry dalej; wówczas czwororęką, uciekając przed goniącym ją paleopiteką, nie przewróciłaby się, potknąwszy się o jego gruby korzeń, i tym samym, zdążywszy wleźć na drzewo, nie poczęłaby, a gdyby nie poczęła, to potoczywszy się odrobinę inaczej, pochod Hannibala przez Alpy, wojny krzyżowe, wojna stuletnia, opanowanie przez Turków Bośni i Hercegowiny, wyprawa moskiewska Napoleona oraz kilkanaście trylionów podobnych zajęć, uległszy minimalnym zmianom, doprowadziłyby do stanu, w którym żadną miarą nie mógłby już urodzić się sam profesor Benedykt Kouska, przez co widać, że dystrybucja szans jego egzystencji zawiera taką podklasę probabilizmów, w której mieści się rozkład wszystkich eukaliptusowych drzew, jakie rosły na miejscu dzisiejszej Pragi mniej więcej 349 000 lat temu. Otóż te eukaliptusy wyrosły tam, ponieważ, uciekając przed tygrysami szablatozębowymi, wielkie stada słabnących mamutów, co się były najadły eukaliptusowego kwiatu, mając od niego (ten kwiat silnie piecze podniebienie) zgałę, piły dużo wody z Wełtawy; a woda owa, mając podówczas własności czyszczące, spowodowała ich masowe wypróżnienia, dzięki którym zasadzeniu uległy ziarenka eukaliptusów tam, gdzie przedtem wcale ich nie było; lecz gdyby ta woda nie była zasiarczona dopływami górnego biegu ówczesnej Wełtawy, to mamuty, nie dostawszy od niej biegunki, nie spowodowałyby wyrosnięcia gaju eukaliptusowego na polach dzisiejszej Pragi, czwororęką nie przewróciłaby się, uciekając przed paleopiteką i nie powstałby ten genowy lokus, który dał licom panny uśmiech Mony Lizy, co skusił młodego chirurga; a zatem, gdyby nie biegunka mamutów, profesor Benedykt Kouska też by na świat nie przyszedł. Lecz zważyć trzeba, że wody Wełtawy uległy zasiarczeniu około roku dwu i pół milionowego przed naszą erą, a to za sprawą przemieszczenia się głównej geosynkliny górotworu, jaki wydawał centrum Tatr; górotwór ów spowodował wyparcie siarkowych gazów z głębi margli dolnojurajskich dlatego, ponieważ w okolicy Alp Dynarskich doszło do trzęsienia ziemi, które spowodował meteor o masie rzędu miliona ton; meteor ów pochodził z roju Leonidów, i gdyby nie spadł w Alpach Dynarskich, lecz nieco dalej, toby się geosynklina nie wygięła, pokład siarkowy nie wyostałby się na powierzchnię, nie zasiarczyłby Wełtawy, ta nie spowodowałaby biegunki

mamutów, przez co widać, że gdyby meteor nie upadł 2,5 miliona lat temu na Dynarskie Alpy, to by profesor Kouska też się nie mógł urodzić. Profesor Kouska zwraca uwagę na fałszywy wniosek, jaki niektórzy skłonni są wyciągać z jego wywodu. Ludzie tacy sądzą, że z wyłożonego wyniku, jakoby cały Kosmos był czymś w rodzaju maszyny ustawionej tak i pracującej po to, żeby profesor Kouska mógł się urodzić. Jest to, naturalnie, zupełnym nonsensem. Przedstawmy sobie, że ktoś chce obliczyć szansę powstania Ziemi na miliard lat przed jej genezą. Nie będzie mógł przewidzieć dokładnie, jakiej postaci wir planetogenetyczny utworzy jądro przyszłej Ziemi; nie obliczy jej przyszłej masy ani jej składu chemicznego z porządną dokładnością. Niemniej przepowie, w oparciu o wiedzę astrofizyczną, znajomość teorii grawitacji i teorii budowy gwiazd, że Słońce będzie miało rodzinę planetarną i że tym samym będzie wśród innych planet okrążała je planeta numer trzy, licząc od środka systemu: i ta właśnie Planeta może być uznana za Ziemię, gdyby nawet wyglądała inaczej, niż to głosiła przepowiednia, ponieważ planeta o dziesięć bilionów ton od Ziemi cięższa albo mająca dwa małe Księżycy zamiast jednego - dużego, albo pokryta oceanami w wyższym procencie powierzchni, przecież dalej byłaby Ziemią. Natomiast profesor Kouska, przepowiedziany przez kogoś pół miliona lat przed naszą erą, gdyby urodził się jako dwunogi torbaczk albo jako żółtoskóra kobieta, albo jako buddyjski mnich, najoczywiściej nie byłby już profesorem Kouską, jakkolwiek, być może, jeszcze byłby człowiekiem. Albowiem obiekty takie jak słońca, planety, chmury, kamienie nie są wcale unikalne; natomiast unikalne są wszystkie żywe organizmy. Każdy człowiek jest tedy jakby główną wygraną na loterii, i to na takiej, na której wygrywa jeden los na ich teragigamegamulticentyliony. Dlaczego atoli nie wyczuwamy na co dzień tej astronomicznie monstrualnej znikomości szans własnego i cudzego przyjscia na świat? Dlatego, odpowiada profesor Kouska, ponieważ nawet to, co najnieprawdopodobniej zachodzi, skoro zachodzi, to zachodzi! A także, ponieważ na zwyczajnej loterii widzimy mrowie losów pustych i ten jeden, który wygrywa; natomiast na egzystencjalnej loterii losów przegrywających nie widać. „Puste losy są na loterii bytu niewidzialne!” - tłumaczy profesor Kouska. Przegrana na tej loterii to wszak tyle, co nieurodzenie, a kto się nie urodził, tego nie ma ani troszeczkę. Teraz zacytujemy autora, który na str. 619. L t. „De impossibilitate vitae” powiada (wiersz 23 od góry): „Jedni ludzie przychodzą na świat, bo pochodzą ze związków małżeńskich, które rodziny ich po kądzieli i po mieczu od dawna sobie z góry planowały, tak że przyszły ojciec danej osoby i przyszła jej matka już będąc dziećmi zostali sobie przeznaczeni. Człowiek, co ujrzał światło dzienne jako dziecko takiego małżeństwa, może mieć wrażenie, iż prawdopodobieństwo jego egzystencji było znaczne, w przeciwieństwie do tego, kto się

dowiaduje, że ojciec jego poznał jego matkę w toku wielkich migracji czasu wojennego, albo wręcz, iż poczęty został, ponieważ jakiś huzar napoleoński umykając spod Berezyny oprócz kubka z wodą zabrał napotkanemu na skraju wsi dziewczęciu jeszcze i wianek. Człowiekowi takiemu może się wydawać, że gdyby huzar bardziej się spieszył, czując na karku kozackie sotnie, lub gdyby jego matka nie szukała nie wiedzieć czego na skraju wsi, lecz jak Bóg przykazał siedziała w domu na zapiecku, to i jego by nie było na świecie, czyli że szansa jego egzystencji wisiała na włosku w przeciwieństwie do szansy tego, czyi rodzice byli sobie z góry przeznaczeni. Mniemania takie są mylne, ponieważ nie ma najmniejszego sensu uznawać, iż rachubę prawdopodobieństwa czyichkolwiek narodzin należy rozpoczynać, jako od punktu zerowego skali probabilistycznej, od przyjścia na świat przyszłego ojca i przyszłej matki danego osobnika. Jeśli mamy labirynt, złożony z tysiąca pokoi, połączonych tysiącem drzwi, to prawdopodobieństwo przejścia od początku do końca labiryntu wyznacza suma wszystkich wyborów we wszystkich kolejnych pokojach, przez które idzie szukający drogi, a nie pojedyncze prawdopodobieństwo trafienia we właściwe drzwi w jakimś jednym pokoju. Jeśli się zmyli drogę w pokoju numer sto, to się tak samo zabłądzi i nie wyjdzie na wolność, jak kiedy się zmyli drogę w pokoju pierwszym lub tysięcznym z kolei. I podobnie, nie ma powodu, dla jakiego należałoby uznać, że tylko moje narodziny podlegały prawom szansy, natomiast nie podlegały im narodziny mych rodziców, ich rodziców, dziadków, pradiadków, babek, prababek itd., aż do narodzin życia na Ziemi. Nie ma sensu mówić, że egzystencjalny fakt istnienia ludzkiej jednostki dla każdego konkretnego osobnika jest zjawiskiem bardzo mało prawdopodobnym. Bardzo, względem czego? Skąd należy zaczynać rachubę? Bez ustalenia punktu zerowego, czyli początku skali obliczeń, pomiar, a więc i estymacja probabilizmu, staje się pustym dźwiękiem. Z mojego rozumowania nie to wynika, jakoby moje przyjście na świat było zapewnione przedustawnie, jeszcze nim się Ziemia uformowała; wręcz przeciwnie, i wynika z niego to, że mogło mnie wcale nie być i nikt by tego nawet nie zauważył. Wszystko, cokolwiek statystyka ma do powiedzenia w sprawie prognozy indywidualnych narodzin, jest nonsensem. Albowiem uważa ona, że każdy człowiek, jakkolwiek mało prawdopodobny oddzielnie, jest przecież możliwy jako realizacja pewnych szans; tymczasem udowodniłem, że mając przed sobą dowolną jednostkę, na przykład piekarza Mucka, można powiedzieć, co następuje: cofając się w czas sprzed jego urodzin można odnajdywać takie momenty czasowe, iż przepowiednia, wypowiedziana z danego czasowego momentu, jakoby piekarz Mucek miał powstać, będzie prawdopodobieństwem dowolnie mało różniącym się od zera. Gdy moi rodzice znaleźli się w ślubnym łożu, szansę mojego przyjścia na świat wynosiły, dajmy na to, jeden do stu tysięcy (biorąc pod uwagę m.

in. śmiertelność niemowląt, dość wysoką w czasie powojennym). Podczas oblężenia twierdzy Przemysł szansę mych narodzin wynosiły tylko jeden do biliona; w roku 1900 - jeden do trylionu; w roku 1800 - jeden do kwadrylionu i tak dalej. Obserwator, który obliczałby szansę mego narodzenia pod eukaliptusem, w czasie interglacjału na Malej Stronie, po migracji mamutów i ich rozstroju żołądkowym, ustaliłby szansę ujrzenia przeze mnie światła dziennego na jeden do centyliona. Wielkości rzędu giga pojawiają się, gdy cofnąć punkt estymacji o miliard lat, rzędu tera - gdy o trzy miliardy lat itd. Innymi słowy, zawsze można znaleźć taki punkt na osi czasowej, z którego ocena szans czyichś narodzin jest tak bardzo nieprawdopodobna, jak się tylko spodoba, czyli niemożliwa, ponieważ dowolnie mała różniące się od zera prawdopodobieństwo równa się dowolnie wielkiemu nieprawdopodobieństwu. Jeśli powiadamy to, nie głosimy jakoby ani nas, ani nikogo innego nie było na świecie. Na odwrót: ani w cudzy, ani we własny byt nie wątpimy. Powiadając powyższe, powtarzamy jedynie to, co głosi fizyka, albowiem to ze stanowiska fizyki, a nie zdrowego rozsądku na świecie nie ma ani jednego człowieka i nigdy żadnego nie było. A oto i dowód: fizyka uważa, że to, co jest jedną szansą na centylion, jest niemożliwe. To bowiem, co jest jedną szansą na centylion, przy założeniu, że oczekiwany wypadek należy do zbioru wypadków zachodzących co sekunda, w ogóle nie może być w Kosmosie oczekiwane. Ilość sekund, jakie upłyną między dzisiejszym dniem a końcem Wszechświata, jest mniejsza od centyliona. Gwiazdy wypromieniują swą energię dużo prędzej. A zatem czas trwania Kosmosu w obecnej postaci musi być krótszy niż czas niezbędny dla doczekania się tego, co zachodzi jeden raz na centylion sekund. Ze stanowiska fizyki czekać na zdarzenie tak mało prawdopodobne to tyle, co czekać na zdarzenie, które na pewno nie nastąpi. Zjawiska te zwie fizyka cudami termodynamicznymi. Należą do nich np. zamrożenie wody w garnku, co stoi na ogniu, podniesienie się z podłogi kawałków rozbitej szklanki i ich połączenie się w całą szklankę itp. Rachunek pokazuje, że takie »cuda« są przecież bardziej prawdopodobne, niż to, czego szansa równa się jeden do centyliona. Dodajmy teraz, że nasza rachuba uwzględniła dotąd tylko połowę estymacji, jako dane makroskopowe. Oprócz nich wyznaczają narodzenie konkretnej jednostki okoliczności mikroskopowe, tj. to, jaki plemnik połączy się z jakim jajeczkiem - u danej pary osób. Gdyby matka moja poczęła mnie w innym dniu i godzinie, niż to zaszło, to urodziłbym się nie ja, lecz ktoś inny, co widać stąd, że moja matka faktycznie poczęła w innym dniu i godzinie, mianowicie na rok przed moim urodzeniem, i urodziła wówczas dziewczynkę, moją siostrę, co do której raczej byłoby zbędne dowodzić, iż ona nie jest mną. Ta mikrostatystyka też musiałaby zostać uwzględniona w estymacji szans mego powstania, przy czym jej dołączenie do rachunku podnosi centyliony nieprawdopodobieństwa

do miralionów. Tak tedy, ze stanowiska termodynamicznej fizyki, egzystencja każdego człowieka jest zjawiskiem kosmicznie niemożliwym, skoro tak nieprawdopodobnym, że nieprzewidywalnym. Fizyka może przepowiadać, kiedy już założy, że istnieją jacyś ludzie, iż ci ludzie będą rodzili innych ludzi, lecz co do tego, jakie konkretne jednostki będą rodzone, fizyka musi albo milczeć, albo popaść w zupełny absurd. A zatem albo fizyka się myli, głosząc uniwersalną ważność swej teorii prawdopodobieństwa, albo nie istnieją ludzie, a również psy, rekiny, mchy, porosty, tasiemce, nietoperze i widłaki, gdyż powiedziane ważne jest dla wszystkiego, co żyje. *Ex physicali positione vita impossibilis est, quod erat demonstrandum*". Tymi słowy kończy się dzieło „De impossibilitate vitae”, stanowiące właściwie ogromne przygotowanie treści drugiego tomu dylogii. Autor ogłasza w nim daremność przewidywań przyszłości, opartych na probabilizmie. Pragnie wykazać, że historia nie zawiera żadnych innych faktów oprócz najzupełniej nieprawdopodobnych ze stanowiska probabilistycznego. Profesor Kouska stawia wyimaginowanego futurologa na progu XX wieku, obdarzywszy go całą wiedzą, jaka tylko była podówczas dostępna, by zadać owej postaci szereg pytań. Np.: „Czy uważasz za prawdopodobne, że niebawem odkryje się srebrzysty metal, podobny do ołowiu, zdolny zniszczyć życie na Ziemi, jeśli dwie półkule, sporządzone z tego metalu, zetknie się prostym ruchem rąk, aby uczyniło się z nich coś podobnego do dużej pomarańczy? Czy uważasz za możliwe, że ta oto stara bryczka, w którą imć pan Benz wprowadził terkocący silnik półtorakonnej mocy, rozmnoży się niebawem tak, iż od duszących wylotów i spalin motorowych będzie się w wielkich miastach dzień zamieniał w noc, a problem postawienia gdziekolwiek tego wehikułu, po zakończeniu przejażdżki, urośnie do głównego nieszczęścia najpotężniejszych metropolii? Czy uważasz za prawdopodobne, że dzięki zasadzie ogni sztucznych i kopniaków ludzie niebawem poczną spacerować po Księżycu, przy czym ich przechadzki w tej samej chwili będą mogły widzieć w domu setki milionów innych ludzi na Ziemi? Czy uważasz za możliwe, że niebawem da się sporządzić sztuczne ciała niebieskie zaopatrzone w urządzenia, dzięki którym da się z kosmicznej przestrzeni śledzić poruszenia każdego człowieka na polu czy na miejskiej ulicy? Czy sądzisz, że jest prawdopodobne zbudowanie maszyny, która będzie lepiej od ciebie grała w szachy, komponowała muzykę, przekładała z języka na język i wykonywała w ciągu kilku minut rachunki, jakich by nie wykonali do końca życia wszyscy rachmistrze, księgowi i buchalterzy świata razem wzięci? Czy uważasz za możliwe, że wnet powstaną w centrum Europy ogromne zakłady przemysłowe, w których będzie się paliło w piecach żywymi ludźmi, przy czym liczba tych nieszczęśliwych przekroczy miliony?” Jasne jest - głosi profesor Kouska - że w roku 1900 tylko wariat uznałby wszystkie takie zajścia za choć

odrobinę wiarygodne. A przecież wszystko to się stało. Jeśli więc zaszły same rzeczy nieprawdopodobne, dlaczego właściwie nagle ten porządek miałby ulec radykalnej odmianie, tak, by odtąd spełniało się już tylko to, co uważamy za wiarygodne, prawdopodobne i możliwe? Przepowiadajcie przyszłość, jak sobie chcecie - zwraca się do futurologów - byleście tylko nie opierali swoich przepowiedni na rachubie maksymalnych szans... Imponujące dzieło profesora Kouski zasługuje niechybnie na uznanie. Jednakowoż uczony ten w poznawczym ferworze uległ pomyłce, którą wytknął mu profesor Bedřich Vrchlicka w obszernym artykule krytycznym, jaki zamieściły „Zemledelske Nowiny”. Profesor Vrchlicka utrzymuje, że całe rozumowanie antyprobabilistyczne profesora Kouski opiera się na założeniu jednocześnie przemilczanym - i błędnym. Za fasadą rozumowania Kouski kryje się bowiem „metafizyczne zdumienie egzystencją”, które można by przyoblec w słowa: „Dlaczego istnieje właśnie teraz, właśnie w tym ciele, właśnie w takiej, a nie innej postaci? Dlaczego nie byłem żadnym z milionów ludzi, co istnieli dawniej, i nie będę żadnym z ludzi, jacy kiedykolwiek się urodzą?” Jeśli nawet założyć, iż pytanie takie ma jakiś sens, mówi profesor Vrchlicka, to nie ma on z fizyką nic wspólnego. Pozornie wydaje się, że ma i że można by je tak przeartykułować: „Każdy człowiek, jaki istniał, tj. żył dotąd, był cielesną realizacją pewnego wzoru, ułożonego z genów, czyli cegiełek dziedziczności. Można by w zasadzie wyrysować wszystkie te wzory zrealizowane do dnia dzisiejszego; będziemy wtedy stali naprzeciw olbrzymiej tablicy zapisanej szeregami genotypowych formuł: każda z nich dokładnie odpowiada pewnemu człowiekowi, jaki z niej powstał poprzez płodowy rozwój. Ciśnie się wtedy na usta pytanie: czym właściwie różni się ten genowy wzór na tablicy, który odpowiada mnie, mojemu ciału, od wszystkich innych wzorów, że wskutek owej różnicy ja właśnie jestem żywym jego wcieleniem w materię? To jest: jakie warunki fizyczne, jakie okoliczności materialne powinienem wziąć pod uwagę, aby dojść tej różnicy, aby zrozumieć, dlaczego o wszystkich formułach na tablicy mogę powiedzieć: »to chodzi o Innych Ludzi«, i tylko o jednej formule muszę rzec: »to chodzi o mnie, to JA JESTEM?«”. Nie ma mowy o tym - wyjaśnia profesor Vrchlicka - aby fizyka dzisiaj albo za wiek, albo za tysiąc lat mogła odpowiedzieć na tak sformułowane pytanie. Pytanie to w ogóle nic w fizyce nie znaczy, ponieważ fizyka nie jest sama osobą; więc, zajmując się badaniem czegokolwiek, np. ciał niebieskich albo ludzkich, fizyka nie robi żadnej różnicy między mną a tobą, tym i tamtym; to, iż mówię o sobie „ja”, a o drugim „on”, fizyka potrafi po swojemu wytłumaczyć (w oparciu o ogólną teorię automatów logicznych, teorię samoorganizujących się systemów itp.), lecz nie dostrzega ona właśnie egzystencjalnej dystynkcji pomiędzy „ja” i „on”. Owszem: fizyka potrafi wykryć unikalność pojedynczych ludzi, ponieważ każdy człowiek jest (jeśli

zapomnieć o bliźniętach!) wcieleniem odmiennej formuły genów. Lecz profesorowi Kousce wcale nie o to chodzi, że każdy z nas jest trochę inaczej zbudowany, że ma indywidualność fizyczną i duchową. Metafizyczne zdumienie, tkwiące za rozumowaniem Kouski, nie zmniejszyłoby się ani o włos, gdyby wszyscy ludzie byli wcieleniem jednej i tej samej genowej formuły, gdyby ludzkość składała się niejako z samych idealnie podobnych bliźniaków. Gdyż w dalszym ciągu można by wówczas pytać o to, co sprawia, że „ja” nie jestem „kimś innym”, że nie urodziłem się w epoce Faraonów ani w Arktyce, lecz teraz, tutaj, i w dalszym ciągu nie można by uzyskać na pytanie takiej żadnej odpowiedzi od fizyki. Te różnice, jakie zachodzą pomiędzy mną a innymi ludźmi, zaczynają się wszak dla mnie od tego, że jestem sobą, że nie mogę z siebie wyskoczyć ani zamienić się egzystencją z kimkolwiek i dopiero na dalszym planie dostrzegam różnice takie, iż mój wygląd, moje usposobienie jest odmienne, niż u wszystkich pozostałych żyjących (i zmarłych). Ta najważniejsza, pierwsza dla mnie różnica w ogóle dla fizyki nie istnieje i to już jest wszystko, co da się na ten temat powiedzieć. A więc nie powoduje ślepoty fizyków i fizyki - na ten problem - teoria prawdopodobieństwa. Wprowadzając kwestię oceny szans swego przyjścia na świat profesor Kouska siebie i czytelnika wyprowadził na manowce. Profesor Kouska sądzi, iż fizyka na pytanie „jakie warunki należało spełnić, abym ja, Kouska, urodził się?” - odpowiada słowami: „należało spełnić warunki nadzwyczaj nieprawdopodobne fizycznie!” Otóż to nie jest prawdą. Pytanie w istocie brzmi: „Jak widzę, jestem żywym człowiekiem, jednym z milionów ludzi. Chciałbym się dowiedzieć, czym to ja takim różnię się fizycznie od wszystkich innych ludzi, tych, co byli, co są i co będą, że nie byłem żadnym z nich ani żadnym nie jestem, lecz właśnie tylko siebie stanowią i o sobie mówię »Ja«?” Otóż fizyka nie odpowiada na to pytanie, powołując się na probabilizmy; oświadcza ona, że z jej stanowiska nie ma między pytającym a wszystkimi innymi ludźmi żadnej fizycznej różnicy. A zatem wywód Kouski nie dotyka ani nie narusza teorii prawdopodobieństwa: nie ma z nią bowiem nic wspólnego! Lektura tak sprzecznych poglądów dwu znakomitych myślicieli wprowadziła niniejszego recenzenta w dogłębną konfuzję. Nie umie rozstrzygnąć dylematu i jedyną pewnością, jaką wyniósł z lektury dzieła profesora B. Kouski, jest sumienna wiedza o wszystkich zdarzeniach, jakie doprowadziły do powstania uczonego o tak interesującej rodzinnej biografii. Co do sedna sporu, wypada go przekazać bardziej kompetentnym rzeczoznawcom.

„MON SERVIAM”

Arthur Dobb

(Pergamon Press)

Książka profesora Dobb'a poświęcona jest personetyce, którą fiński filozof Eino Kaikki nazwał najokrutniejszą nauką, jaką dotąd stworzył człowiek. Dobb, jeden z najwybitniejszych dziś personetyków, żywi podobne poglądy. Nie można - oświadcza - umknąć konkluzji, że personetyka jest w swej praktyce niemoralna; chodzi jednak o taką działalność, sprzeczną z wytycznymi etyki, która jest nam konieczna życiowo. W badaniach niepodobna uniknąć swoistej bezwzględności, gwałcenia naturalnych odruchów, i jeśli nie gdzie indziej, w tym miejscu pryska mit o doskonałej bezwinnosci uczonego jako badacza faktów. Idzie o dyscyplinę, którą z pewną emfatyczną przesadą nazywano wszak teogonią eksperymentalną. Recenzenta zastanawia co prawda to, że gdy prasa nadała rzeczy znaczny rozgłos - było to dziewięć lat temu - opinia publiczna została zaszokowana personetycznymi rewelacjami, choć wydawało się, że w naszych czasach nic już nie może zadziwić. Stulecia pobrzmiwały echem czynu Kolumbowego, podczas kiedy owładnięcie Księżycem w ciągu tygodni przyswoiła sobie zbiorowa świadomość jako rzecz niemal banalną. A jednak nierzeczywistości personetyki okazały się wstrząsem. Nazwa pochodzi od dwu łacińskich terminów: persona - osoba, i genetyka - w rozumieniu: stwarzanie, tworzenie. Dziedzina ta jest późnym odgałęzieniem cybernetyki i psychoniki lat osiemdziesiątych, skrzyżowanych z praktyką intelektualną. O personetyce wie dziś każdy; zainteresowany przechodzień odpowiedzialny, że to jest sztuczna produkcja rozumnych istot. Odpowiedź wprawdzie nie od rzeczy, ale nie sięgająca istoty sprawy. Obecnie dysponujemy niemal setką programów personetycznych. Dziewięć lat temu powstawały w komputerach osobowości-schematy, prymitywne zawiązki „liniowego” typu; ale też ówczesna generacja maszyn cyfrowych, o wartości dziś tylko muzealnej, nie dostarczała jeszcze pola dla prawdziwej kreacji personoidów. Jej teoretyczną możliwość przeczuł jeszcze Norbert Wiener, o czym świadczą ustępy jego ostatniej książki „Stwórca i robot”. Co prawda wspomniał o niej właściwym sobie na poły żartobliwym sposobem, lecz były to uwagi z żartobliwością podszytą dosyć ponurymi premonicjami. Nie mógł jednak Wiener przewidzieć tego, jaki obrót wezmą sprawy w dwadzieścia lat później. - Najgorsze stało się - powiedział sir Donald Acker - kiedy w MIT-cie zwarto krótko wejścia z wyjściami. Obecnie „świat” dla jego przyszłych „mieszkańców” można wyprodukować w ciągu dwu godzin. Tyle czasu bowiem zajmuje wprowadzenie do maszyny jednego z pełnowartościowych programów (takich jak BAAL 66, CREAN IV czy

JAHVE 09). Dobb szkicuje początki personetyki raczej pobieżnie, odsyłając czytelnika do historycznych źródeł, sam zaś, jako zdecydowany praktyk-eksperymentator, opowiada przede wszystkim, jak on sam pracuje - rzecz dość istotna, ponieważ między szkoła angielską, reprezentowaną właśnie przez Dobba, a grupą amerykańską z MIT-u zachodzą dość znaczne różnice w zakresie metodyki i ściganych doświadczalnie celów. Dobb nakreśla procedurę „sześcidniówki ściągniętej do 120 minut” następująco. Pierwej wyposaża się pamięć maszynową w zestaw minimalny danych, to jest - by pozostać w obrębie języka zrozumiałego dla laików - ładuje się ową pamięć tworzywem „matematycznym”. Tworzywo to jest zarodzią uniwersum „życiowego” na razie jeszcze nieobecnych personoidów. Istoty, co przyjdą na ten - maszynowy, cyfrowy - świat, które będą w nim, i tylko w nim, wegetowały, umiemy już wyposażyć w otoczenie o znamionach nieskończonościowych. Istoty te nie mogą się zatem poczuć uwięzione w sensie fizycznym, skoro otoczenie owo nie ma, z ich stanowiska, żadnych granic. Środowisko to posiada jeden tylko wymiar, mocno zbliżony do danego i nam, mianowicie wymiar upływu czasu (trwania). Czas ten nie jest jednak po prostu analogiczny z naszym, ponieważ tempo jego upływu podlega dowolnej kontroli ze strony eksperymentatora. Zazwyczaj tempo to maksymalizuje się w fazie wstępnej (tak zwanego „rozruchu światostwórczego”), aby nasze minuty odpowiadały całym eonom, podczas których dochodzi do szeregu kolejnych reorganizacji i krystalizacji - syntetycznego kosmosu. Kosmos to całkowicie bezprzestrzenny, jakkolwiek dysponujący wymiarami, lecz mają one czysto matematyczny, a więc pod względem obiektywnym jakby „urojony” charakter. Wymiary te są po prostu pewnymi konsekwencjami postanowień aksjomatycznych programisty i od niego zależy ich ilość. Jeśli się zdecyduje na przykład na dziesięciowymiarowość, będzie to miało dla struktury tworzonego całkiem odmienne konsekwencje - niż jeśli się założy tylko sześć wymiarów; wypada chyba powtórzyć z naciskiem, że nie są one spokrewnione z wymiarami przestrzeni fizycznej, lecz tylko z abstrakcyjnymi, logicznie prawomocnymi konstruktami, jakimi się posługuje matematyczna kreacja systemowa. Ten nieprzystępny dla matematyka punkt stara się Dobb wyjaśnić, odwołując się do prostych faktów znanych na ogół z nauki szkolnej: można, jak wiadomo, skonstruować zarówno poprawną geometrycznie bryłę trójwymiarową, choćby sześcian, posiadającą odpowiednik w realnej rzeczywistości pod postacią kostki; i można tak samo utworzyć geometryczną bryłę cztero-, pięcio-, n-wymiarową (czterowymiarowa to tak zwany tesseract). Te już nie posiadają realnych odpowiedników i o tym możemy się przekonać, ponieważ dla braku fizycznego wymiaru numer cztery nie da się zbudować prawdziwej czterowymiarowej kostki. Otóż ta różnica (między fizycznie konstruowalnym a tylko matematycznie dającym się zbudować) dla

personoidów nie istnieje w ogóle, ponieważ ich świat w całości ma czysto matematyczną konsystencję. Jest on z matematyki zbudowany, chociaż podłożem owej matematyki są już zwykłe, czysto fizyczne obiekty (przełączniki, tranzystory, obwody logiczne, jednym słowem - cała ogromna sieć cyfrowej maszyny). Jak wiadomo, zgodnie ze współczesną fizyką, przestrzeń nie jest czymś osobnym względem obiektów i mas, jakie się w niej znajdują. Przestrzeń jest w swym istnieniu uwarunkowana owymi ciałami; gdzie ich nie ma, gdzie „nic nie ma” - w materialnym sensie - tam i przestrzeń znika, zapadając się do zera. Otóż rolę materialnych ciał, co niejako „rozpychają się” i przez to wytwarzają „przestrzeń”, pełnią w personoidalnym świecie - systemy matematyki powołanej umyślnie po to do istnienia. Ze wszech możliwych „matematyk”, jakie w ogóle można by sporządzać, sposobem na przykład aksjomatycznym, programista wybiera, decydując się na konkretny eksperyment, pewną grupę, która będzie opoką „dnem bytowym”, „ontologicznym fundamentem” kreowanego Uniwersum. Zachodzi tu, zdaniem Dobba, uderzające podobieństwo względem ludzkiego świata. Wszak ten nasz świat „zdecydował się” na pewne formy i pewne typy geometrii, które najlepiej, bo najprościej, mu odpowiadają (trójwymiarowość, aby pozostać przy tym, od czego się zaczęło). Mimo to możemy sobie wyobrażać „inne światy”, z „innymi własnościami” - w geometrycznym i nie tylko geometrycznym zakresie. Tak samo personoidy: ta postać matematyki, którą badacz wybrał za „mieszkanie”, jest dla nich tym samym, czym dla nas „bazowy realny świat”, w jakim żyjemy i żyć musimy. I, podobnie jak my, mogą one sobie „wyobrażać” światy o odmiennych własnościach podstawowych. Dobb wyklada swoje metodą kolejnych przybliżeń i nawrotów; to, cośmy wyżej naszkicowali, a co odpowiada z grubsza dwu pierwszym rozdziałom jego książki, w dalszych ulega częściowemu odwołaniu, bo - powikłaniu. Nie jest tak - tłumaczy nam autor - jakoby personoidy po prostu natrafiały na jakiś gotowy, znieruchomiły, niby lodem ścięty świat w danej mu ostatecznie, do samego końca, postaci. To, jaki ów świat będzie w swoich „uszczegółowieniach”, już tylko od nich zależy, i to w rosnącym stopniu, w miarę tego, jak powiększa się ich własna aktywność, jak ich „eksploratywna inicjatywa” narasta. Porównywanie uniwersum personoidów do świata, który tylko o tyle istnieje fenomenami, o ile jego mieszkańcy je spostrzegają, też jednak nie jest właściwym obrazem stosunków. To porównanie, które można spotkać w pracach Saintera i Hughesa, uważa Dobb za „odchylenie idealistyczne”, za daninę, którą personetyka złożyła tak dziwnie zmartwychwstałej nagle - doktrynie biskupa Berkeleya. Sainter twierdził, że personoidy poznają swój świat niczym istota Berkeleya, która nie jest w stanie odróżnić „esse” od „percipi”, to znaczy, która między postrzeganym a tym, co postrzeganie powoduje w sposób obiektywny i od postrzegającego niezależny, nigdy nie wykryje różnicy. Dobb

atakuje taką wykładnię rzeczy z tym większą pasją, że my, jako stwórcy ich świata, wiemy wszak doskonale, iż postrzegane przez nich naprawdę istnieje - wewnątrz komputera - w niezawisłości od personoidów - jakkolwiek zgoda, wyłącznie tak, jak mogą istnieć obiekty matematyczne. I to jednak nie jest końcową stacją wyjaśnień. Personoidy powstają zawiązkowo dzięki programowi; rozrastają się w tempie narzuconym przez eksperymentatora, w tempie takim, na jakie tylko zezwala nowoczesna technika informacyjoprzetwórstwa operującego świetlnymi chyżościami. Matematyka, która ma być „mieszkanem bytowym” personoidów, nie oczekuje ich w pełni „gotowa”, lecz niejako „zwinięta”, „nie dopowiedziana”, „zawieszona”, „latentna”, ponieważ stanowi ona tylko zbiór pewnych perspektywnych szans, pewnych dróg zawartych w odpowiednio zaprogramowanych podzespołach maszyny cyfrowej. Te podzespoły, czyli generatory, „same z siebie” jednak niczego nie dają; konkretny typ aktywności personoida służy im jako mechanizm spustowy, uruchamiający wytwórczość, która będzie się stopniowo rozrastała i dookreślała, czyli świat otaczający te istoty będzie się ujednoznaczał zgodnie z ich własnymi czynnościami. Dobb stara się unaocznic powiedziane przywołaniem takiej analogii: człowiek może świat realny interpretować w rozmaity sposób. Może on poświęcić szczególną intensywność badawczą pewnym cechom tego świata, a wówczas zdobyta wiedza rzuci swoje światło także na pozostałe, nie uwzględnione w owym priorytetowym badaniu jego partie; jeżeli będzie się najpierw pilnie zajmował mechaniką, to sobie wytworzy obraz świata mechaniczny i ujrzy Uniwersum jako gigantyczny zegar doskonały, w niewzruszonym chodzie zmierzający od przeszłości w ściśle zdeterminowaną przyszłość. Ten obraz nie jest dokładnym odpowiednikiem realności, a jednak można się nim przez długi historycznie czas posługiwać i nawet dochodzić wielu praktycznych sukcesów, np. budowania maszyn, narzędzi itp. Podobnie personoidy - jeśli „nastawią się”, z wyboru i aktu woli, na pewien typ relacji i temu typowi nadadzą pierwszeństwo, jeśli będą w nim tylko upatrywać „istotę” swego kosmosu, wejdą na określoną drogę działań oraz odkryć, która nie jest ani fikcyjna, ani jałowa. „Wywabią” dzięki temu nastawieniu to wszystko, co najlepiej odpowiada mu w „otoczeniu”. To najpierw dojrzą, tym najpierw o władną. Świat bowiem, jaki je otacza, jest częściowo tylko zdeterminowany, z góry ustanowiony przez badacza-stwórcę; personoidy zachowują w nim pewien, i to niemały, margines wolności postępowania, zarówno czysto „myślowego” (w zakresie tego, co sobie o tym swoim świecie myślą, jak ten świat pojmują), jak i „realnego” (w obrębie swych „działań”, które nie są wprawdzie dosłownie, po naszymu realne, ale nie są czysto pomyślane tylko). Co prawda jest to najtrudniejsze miejsce wywodu i Dobbowi chyba nie udało się w pełni wytłumaczyć owych szczególnych jakości personoidowego bytowania,

które oddaje tylko język matematyki programów i ingerencji kreacyjnych. Musimy tedy nieco na wiarę przyjąć, że aktywność personoidów nie jest ani całkowicie swobodna (jak nie jest całkiem swobodna przestrzeń naszych uczynków, skoro ją ograniczają fizyczne prawa natury), ani całkowicie zdeterminowana (jak i my nie jesteśmy wagonami postawionymi na sztywno ustalonych torach). Personoid jest podobny do człowieka w tym, że „jakości wtórne” - barwy, dźwięki melodyjne, uroda rzeczy - pojawiają się dopiero wówczas, kiedy istnieją uszy słyszące i oczy widzące, lecz to, co umożliwia patrzenie i słyszenie, było wszak już wcześniej dane. Personoidy, postrzegając swoje otoczenie, „z siebie” dodają mu owych jakości przeżyciowych, które właśnie odpowiadają temu, czym są dla nas uroki oglądanego krajobrazu, tyle że im przydano czysto matematyczne pejzaże. O tym, „jak one je widzą”, nie możemy już orzekać w sensie „subiektywnej jakości ich doznawania”, bo jedynym sposobem doświadczenia jakości ich przeżyć byłoby - samemu zrzucić skórę ludzką i zostać personoidem. Tym bardziej że personoidy nie mają oczu, uszu, więc niczego nie widzą ani nie słyszą w naszym pojmowaniu, skoro w ich kosmosie nie ma ani światła, ani ciemności, ani pobliza przestrzennego, ani oddali, góry ni dołu - są tam wymiary nienaoczne dla nas, ale dla nich pierwsze, elementarne; postrzegają one na przykład - jako odpowiedniki składników ludzkiej zmysłowej percepcji - pewne zmiany potencjałów. Ale te zmiany potencjałów elektrycznych nie są dla nich czymś w rodzaju uderzeń prądu, powiedzmy, lecz raczej czymś takim, czym dla człowieka jest dostrzeżenie najpierwotniejszego zjawiska optycznego lub akustycznego, ujrzenie czerwonej plamy, usłyszenie dźwięku, dotknięcie twardego lub miękkiego przedmiotu. Tutaj - podkreśla Dobb - można mówić już tylko analogiami, przywołaniami; głosić, że personoidy są „kalekie” względem nas, skoro nie widzą ani nie słyszą jak my, jest pełnym absurdem, ponieważ z równym prawem można by orzekać, że to my jesteśmy zubożeni względem nich o umiejętność bezpośredniego doznawania matematycznej fenomenalistyki, którą wszak czysto intelektualnym tylko, umysłowym, wnioskującym sposobem poznajemy, tylko poprzez rozumowania z nią się kontaktujemy, tylko dzięki abstrakcyjnemu myśleniu „przeżywamy” matematykę. One w niej żyją, jest ona ich powietrzem, ziemią, chmurami, wodą i nawet chlebem, nawet żywnością, ponieważ one się nią w pewnym sensie „karmią”. Tak więc są personoidy „uwięzione”, hermetycznie pozamykane w maszynie wyłącznie z naszego stanowiska; jak one nie mogłyby przedostać się ku nam, w świat ludzki, tak i na odwrót, a symetrycznie, człowiek nie może żadnym sposobem wniknąć do wnętrza ich świata, aby w nim istnieć i doznawać go bezpośrednio. Matematyka stała się tedy w pewnych wcieleniach swoich życiową przestrzenią rozumu, tak uduchowionego, że totalnie bezcielesnego, niszą i kolebką jego egzystencji, jego bytowym

miejszem.

Personoidy są pod wieloma względami podobne do człowieka. Pomyśleć sobie pewną sprzeczność (że „a” i że „nie a”) mogą, ale urzeczywistnić jej nie potrafią - tak samo, jak my. Na to nie zezwala fizyka naszego, a logika - ich świata. Gdyż jego logika jest taką samą ramą ograniczającą działanie, jak fizyka - naszego świata! W każdym razie - podkreśla Dobb - nie ma mowy o tym, abyśmy mogli do końca, introspektywnie, pojąć, co „czują” i co „przeżywają” personoidy, zajmujące się intensywnymi pracami w swoim nieskończonym Uniwersum. Jego zupełna bezprzeznaczność nie jest żadnym uwięzieniem - to bzdura wymyślona przez żurnalistów; na odwrót: ta bezprzeznaczność jest gwarantką ich wolności, ponieważ matematyka, którą wysnuwają z siebie „podniecone” do aktywności generatory komputerowe - a „podnieca” je tak aktywność samych personoidów - ta matematyka to niejako urzeczywistniający się przestwór dla dowolnych czynności, praktyk budowlanych lub innych, dla eksploracji, dla heroiczych wypadów, dla śmiałych wtargnięć, domysłów, jednym słowem: personoidom nie uczyniliśmy krzywdy, dając im na własność taki właśnie, a nie inny wszechświat. Nie w tym wolno upatrywać okrucieństwo, niemoralność personetyki.

W siódmym rozdziale „Non serviam” przychodzi Dobb do zaprezentowania czytelnikowi mieszkańców cyfrowego uniwersum. Personoidy dysponują zarówno językiem artykułowanym, jak artykułowaną myślą, ponadto zaś - emocjami. Każdy z nich jest indywidualnością, przy czym ich wzajemne zróżnicowanie już nie jest prostą konsekwencją postanowień stwórcy-programisty, tj. człowieka. To zróżnicowanie wynika po prostu z nadzwyczajnej złożoności ich wewnętrznej budowy. Mogą być do siebie bardzo podobne, ale nie są jednak nigdy tożsame. Przychodząc na świat, zostają wyposażone w tak zwane „jądro” („nukleus personalny”). Już wówczas posiadają dar mowy i myśli, ale w stanie rudymenarnym. Dysponują słownikiem, ale nader szczupłym, i posiadają umiejętność konstruowania zdań zgodnie z regułami narzuconej składni. Zdaje się, że można będzie w przyszłości nie narzucać im nawet tych determinant i oczekiwać biernie, aż same, jak pierwotna grupa ludzka w toku socjalizacji wytworzą mowę. Lecz ten kierunek personetyki natrafia na dwa kardynalne szkopyły. Po pierwsze, czas oczekiwania rozwoju mowy musi być bardzo długi. Obecnie musiałby trwać 12 lat, i to nawet przy maksymalizacji tempa wewnątrzkomputerowych przekształceń (gdyż, mówiąc obrazowo i bardzo grubo, jednemu rokowi ludzkiego żywota odpowiadałaby jedna sekunda czasu maszynowego). Po wtóre, i to jest kłopot największy, wytwarzająca się spontanicznie w „grupowej ewolucji personoidów” mowa będzie niezrozumiała dla nas i jej zgłębianie musi przypominać mozolne rozłamywanie zagadkowego szyfru, utrudnione dodatkowo tym, że wszak szyfry, jakie zwykle się

odcyfrowuje, stworzyli ludzie dla innych ludzi, w świecie dzielonym rozszyfrowywaczami. Natomiast świat personoidów jest mocno odmienny w jakościach od naszego i przez to też język, najbardziej w nim odpowiedni, musi być daleko odstrychnięty od każdego języka etnicznego. Tak więc na razie kreacja „ex nihilo” jest tylko planem i marzeniem personetyków. Personoidy zderzają się, gdy już „okrzepną rozwojowo”, z zagadką elementarną i dla nich najpierwszą - własnego pochodzenia. To znaczy - stawiają sobie pytania znane nam z historii człowieka, z historii jego wierzeń, jego filozoficznych prób i mitycznych kreacji: skądemy się wzięli? dlaczego jesteśmy tacy, a nie inni? dlaczego świat, jaki postrzegamy, ma te oto, a nie jakieś inne całkiem własności? co my znaczymy - dla świata? co on znaczy - dla nas? Ostatecznie ciąg tych pytań w sposób wręcz nieuchronny prowadzi je ku fundamentalnym kwestiom ontologii, kulminującym w pytaniu o to, czy byt powstał „sam z siebie”, czy też jest skutkiem pewnego aktu stwórczego, czyli - czy się za nim kryje obdarzony wolą i świadomością, intencjonalnie aktywny, rzeczy świadomy Stwórca. Oto miejsce, w którym pojawia się całe okrucieństwo i niemoralność personetyki.

Nim jednak zajmie się Dobb, w drugiej części swego dzieła, zdawaniem sprawy z intelektualnych wysiłków, czy kiedy kto tego chce - z mąk rozumu wydanego na łup takich pytań - przedstawia w szeregu kolejnych rozdziałów charakterystykę „typowego personoida”, jego „anatomię, fizjologię i psychologię”. Samotny personoid nie potrafi wyjść poza stadium szczątkowego myślenia, skoro po prostu nie może się ćwiczyć w mówieniu, a bez niego wszak i myśl dyskursywna, nie rozwinąwszy się dostatecznie, musi zwiędnąć. Optymalne są, jak wykazały setki doświadczeń, grupy liczące od czterech do siedmiu personoidów - przynajmniej dla rozwoju mowy oraz typowych czynności eksploracyjnych, a także dla „kulturalizacji”. Natomiast zjawiska odpowiadające procesom socjalnym w ich większej skali - wymagają już grup silnie liczebnych. Można obecnie „pomieścić” do 1000 personoidów, mówiąc z grubsza, w dostatecznie pojemnym uniwersum komputerowym; lecz tego rodzaju badania, należące do wyodrębnionej już i samodzielnej dyscypliny - socjodynamiki - leżą poza obrębem głównych zainteresowań Dobba, a tym samym i jego książka zaledwie o nich marginesowo wspomina. Jak się rzekło, personoidy nie mają ciał, lecz mają „duszę”. „Dusza” taka - ze stanowiska zewnętrznego obserwatora mającego wgląd w maszynowe procesy (dzięki specjalnemu przysposobieniu, tj. dodatkowym urządzeniom typu sondy, wbudowanym w komputer) - przedstawia się jako „spójny obłok procesów”, jako agregat funkcjonalny z rodzajem „ośrodka”, dający się wyodrębnić dosyć dokładnie, tj. ograniczyć w sieci maszynowej (co notabene nie jest łatwe i co pod niejednym względem przypomina poszukiwania ośrodków lokalizacyjnych wielu czynności w ludzkim mózgu - przez

neurofizjologię). Centralny dla zrozumienia samej szansy kreowania personoidów, jest rozdział 11 „Non serviam”, który dość przystępnie wyklada podstawy teorii świadomości. Świadomość (każda, nie tylko personoida, więc ludzka także) jest pod względem fizycznym „informacyjną falą stojącą”, pewnym dynamicznym niezmiennikiem w strumieniu bezustannych przekształceń, o tyle dziwnym, że stanowi „kompromis” i zarazem „wypadkową”, jakiej, o ile pojmujemy, ewolucja naturalna wcale nie „zaplanowała”. Wręcz przeciwnie - ewolucja wytworzyła zrazu niesłychane kłopoty i trudności dla zharmonizowania pracy mózgow powyżej ich pewnej wielkości, tj. pewnego stopnia komplikacji, przy czym wtargnęła w obszar tych dylematów, rzecz jasna, nierozmyślnie, boż nie jest ona twórcą osobowym. Było po prostu tak, że pewne bardzo stare ewolucyjnie rozwiązania zadań sterowniczo-regulacyjnych, właściwych systemowi nerwowemu, „zaciągnęła” ewolucja aż na szczybel, na którym się rozpoczynała antropogeneza. Te stare rozwiązania należało z czysto racjonalnego, oszczędnościowo-inżynierskiego stanowiska po prostu radykalnie przekreślić, odrzucić i zaprojektować coś całkowicie nowego - jako mózg rozumnej istoty. Lecz zapewne ewolucja nie mogła tak postąpić, ponieważ uwalnianie się od schedy starych rozwiązań, liczących sobie nieraz i setki milionów lat, nie jest w jej mocy, skoro postępuje ona zawsze bardzo drobnymi kroczkami zmian przystosowawczych i „pełza”, lecz nie „skacze”. Jest tedy „włókiem”, który „ciągnie za sobą” niezliczone „archaizmy”, wręcz „śmieci” wszelakie, jak to dosadnie określili Tammer i Bovine - jedni z twórców komputerowego modelowania psychiki ludzkiej, modelowania, które było przesłanką narodzin personetyk. Świadomość człowieka jest skutkiem swoistego „kompromisu”, „łataniny”, jest, jak twierdził np. Gebhardt, wyborną egzemplifikacją znanego niemieckiego powiedzenia: „Aus einer Not eine Tugend machen” („jak obrócić pewną przywarę, pewien kłopot, w cnotę”). Maszyna cyfrowa nie może „z siebie” nigdy zdobyć świadomości, z tej prostej przyczyny, że nie dochodzi w niej do hierarchicznych konfliktów działania. Maszyna taka może najwyżej wpaść w pewien typ „drżączki logicznej” lub „logicznego stuporu”, gdy się w niej antynomie namnożą, i to wszystko. Sprzeczności, od jakich się w mózgu człowieka wprost roi, były jednak w ciągu setek tysięcy lat stopniowo przedmiotem „arbitrażowych procedur”. Powstały piętra wyższe i niższe, odruchowości i refleksji, popędu i kontroli, modelowania środowiska elementarnego („sposobem zoologicznym”) i pojęciowego („sposobem językowym”), przy czym one wszystkie razem nie mogą „nie chcą” się doskonale pokrywać, nakładać, zespolić w jedność. Czym jest tedy świadomość? Wybiegiem, wyjściem z matni, pozorowaną instancją ostateczną, trybunałem rzekomo (ale też tylko rzekomo!) najwyższego odwołania, a wykładana językiem fizyki i informatyki -

czynnością, która rozpoczynając się, nie może w ogóle ulec zamknięciu, tj. definitywnemu zakończeniu. Jest ona tedy projektem jedynie takiego zamknięcia, takiego zupełnego „pojednania” upartych sprzeczności mózgu. Jest jakby zwierciadłem, które ma za zadanie odbijać inne zwierciadła, te zaś z kolei odbijają znów inne - i tak w nieskończoność. To, po prostu fizycznie nie jest możliwe, i dlatego właśnie „regressus ad infinitum” stanowi rodzaj zapadni, nad którą szybuje i polata fenomen ludzkiej świadomości. „Pod świadomością” zdaje się trwale toczyć bój o pełną reprezentację - w niej - tego, co do niej nie może dotrzeć w pełni, a nie może dla braku miejsca po prostu: gdyż, aby w pełni dać równouprawnienie wszystkim tendencjom dobijającym się do ośrodków świadomej uwagi, byłaby właśnie niezbędna - nieskończona pojemność i przepustowość. Panuje tedy wokół świadomości nieustanny „tłok”, „przepychanie się”, i nie jest ona wcale najwyższą, chłodną, suwerenną sterniczką wszystkich umysłowych zjawisk, lecz bywa często raczej korkiem na wzburzonych falach, którego „górująca pozycja” nie ma nic wspólnego z doskonałym tych fal opanowaniem... Język współczesnej, informatycznie i dynamicznie interpretowanej teorii świadomości nie daje się, niestety, wyłożyć prosto i jasno, tak że wciąż jesteśmy zdani tutaj, przynajmniej w wykładzie przystępnym, na szereg naocznych przykładów i metafor. W każdym razie wiemy, że świadomość jest pewnym „wykrętem”, „wybiegiem”, do jakiego się ewolucja uciekła, podług właściwego jej niezbywalnie sposobu działania - oportunistycznego, tj. takiego, który musi naprędce, doraźnie, wyjść z powstających opresji. Gdyby tedy rozumną istotę budował doprawdy ktoś postępujący podług kanonów doskonale racjonalnej inżynierii i logiki, stosując kryteria technicznej sprawności, toby istota taka w ogóle nie otrzymała świadomości w darze... Zachowywałaby się ona w sposób doskonale logiczny, zawsze niesprzeczny, jasny, wybornie uporządkowany, i byłaby może nawet, dla obserwatora-człowieka, genialnie sprawna twórczo i decyzyjnie, ale ani trochę nie byłaby człowiekiem, wyzbyta jego „tajemniczej głębi”, jego wewnętrznych „pokrętności”, jego labiryntowej przyrody...

Nie opowiadamy tu o współczesnej teorii świadomego życia psychicznego, jak i nie czyni tego profesor Dobb: trzeba jednak było tych kilku słów, bo one są przesłanką struktury osobowej personoidów. Zbudowanie ich ziściło nareszcie jeden z najstarszych mitów o homunkulusie. Po to, aby podobieństwo człowieka, tj. jego psychiki, stworzyć, trzeba z rozmysłem wprowadzić w informacyjny substrat określone sprzeczności, trzeba mu nadać asymetrię, tendencje odśrodkowe, trzeba go, jednym słowem, zarazem i scalić - i skłócić. Czy to racjonalne? Zapewne, wręcz nieuchronne, kiedy nie chcemy budować po prostu jakichś syntetycznych rozumów, lecz imitować myśl, a z nią razem osobowość człowieka. Muszą się

tedy w pewnej mierze sprzeczać emocje personoidów z ich racjami; muszą one dysponować tendencjami samozgubnymi w jakimś stopniu przynajmniej; muszą doznawać wewnętrznych „napięć”, owej całej odśrodkowości, już to przeżywanej jako wspaniała nieskończoność duchowych stanów, już to jako ich bolesne nie do zniesienia rozdarcie. Receptura kreacyjna wcale nie jest przy tym aż tak beznadziejnie skomplikowana, jak by się mogło wydawać. Po prostu logika kreacji (personoida) musi być naruszona, musi zawierać pewne antynomie. Świadomość jest nie tylko wyjściem z ewolucyjnej matni - powiedział Hilbrandt - ale zarazem ucieczką z pułapek goedelizacji: sprzecznościami bowiem paralogicznymi rozwiązanie to uchylilo się od sprzeczności, którym musi być poddany każdy układ doskonały pod względem logicznym. Tak więc uniwersum personoidów jest w pełni racjonalne, ale nie są one jego w pełni racjonalnymi mieszkańcami. Niechaj nam to tutaj wystarczy - skoro i profesor Dobb nie zapuszcza się dalej w ten niezmiernie trudny temat. Jak wiemy już, personoidy nie mają ciał i nie doznają też przez to swej cielesności, lecz mają „duszę”. „Bardzo trudno to sobie wyobrazić” - mówiono o tym, co jest doznawane w pewnych stanach szczególnych umysłu, w zupełnej ciemności, przy najwyższym zredukowaniu dopływu zewnętrznych bodźców, ale - twierdzi Dobb - są to obrazy mylące. Przy deprivacji sensorycznej bowiem praca ludzkiego mózgu zaczyna się rychło rozpadać: bez strumieni impulsów ze świata zewnętrznego psychika ma tendencję lityczną. Personoidy, pozbawione zmysłów, nie „rozpadają się” przecież, ponieważ tym, co nadaje im zwartość, jest ich matematyczne środowisko, którego doznają - ale jak? Doznają go, powiedzmy, podług tych zmian własnych stanów, które są im przez tę „zewnętrzność” narzucane, indukowane przez nią. Umieją odróżnić zmiany pochodzące spoza siebie - od zmian wynurzających się z głębin psychiki własnej. Jak one to robią? Na to pytanie już tylko teoria dynamicznej struktury personoidów udziela wyrazistej odpowiedzi.

A jednak są do nas podobne, przy wszystkich przeraźliwych różnicach. Wiemy już, że maszyna cyfrowa nigdy by świadomością nie zapłonęła, bez względu na to, do jakiego zadania ją zaprzężemy, jakie fizyczne procesy będziemy w niej modelowali, pozostanie na zawsze trwale apsychniczna. Ponieważ chcąc człowieka wymodelować, trzeba powtórzyć pewne jego fundamentalne sprzeczności, tylko układ ciężających ku sobie antagonizmów, czyli personoid, przypomina - za Canyonem, którego cytuje Dobb - gwiazdę ściągana siłami ciężenia i zarazem rozpychaną ciśnieniem radiacji. Ośrodkiem grawitacyjnym jest osobowe „ja” po prostu - ale ono bynajmniej żadnej jedności w sensie logicznym ani fizycznym nie stanowi. To tylko nasze subiektywne złudzenie! Znajdujemy się, w niniejszej fazie wykładu, pośród mrowia zdumiewających zaskoczeń. Można wszak zaprogramować cyfrową maszynę

w ten sposób, aby się dało z nią prowadzić rozmowy, niczym z rozumnym partnerem. Maszyna będzie używała, gdy znajdzie tego potrzeba, zaimka „ja” i wszystkich jego gramatycznych pochodnych. Jest to jednak swoiste „oszustwo”! Maszyna wciąż będzie bliższa miliardowi gadających papug - choćby papug aż genialnie wytresowanych - aniżeli najprostszemu, najgłupszemu człowiekowi. Naśladuje ona zachowanie człowieka na czysto językowej płaszczyźnie i nic ponadto. Maszyny tej nic nie rozbawi, nie zdziwi, nie zaskoczy, nie przerazi, nie zmartwi, ponieważ jest ona psychologicznie i osobowo Nikim. Jest ona Głosem wypowiadającym kwestie, udzielającym odpowiedzi na pytania, jest Logiką zdolną pobić najlepszego szachistę, jest ona - to znaczy: może się stać - najdoskonalszym imitatorem wszystkiego, niejako doprowadzonym do szczytu doskonałości aktorem, grającym każdą rolę zaprogramowaną - ale aktorem i imitatorem wewnętrznie całkiem pustym. Nie można liczyć na jej sympatię ani na jej antypatię. Na jej życzliwość jak i na wrogość. Nie dąży ona do żadnego samoustanowionego celu; w stopniu dla każdego człowieka po wieczność niepojętym jest jej „wszystko jedno” - skoro nie ma jej po prostu jako osoby... To cudownie sprawny mechanizm kombinatoryczny, nic więcej. Stykamy się ze zjawiskiem przedziwnym. Zdumiewa myśl, że z „surowca” tak bezwzględnie opustoszałej, tak doskonale bezosobowej maszyny można, dzięki wprowadzeniu w nią specjalnego programu - personetycznego mianowicie - sporządzić autentyczne osobowości, i to nawet wiele ich naraz! Ostatnie modele IBM osiągają pojemność 1000 personoidów - termin ścisły matematycznie, ponieważ ilość elementów i połączeń, niezbędnych jako nośniki jednego personoidu, można wyrazić w jednostkach centymetr-gram-sekunda. Personoidy są odgraniczone od siebie wewnątrz maszyny także fizycznie. Nie „zachodzą” na siebie - chociaż to może się wydarzyć. Pojawia się jednak przy kontakcie odpowiednik „odpychania”, który utrudnia im wzajemną „osmozę”. Niemniej mogą się przenikać - jeśli ku temu dążą. Procesy stanowiące ich mentalne podłoże zaczynają się wówczas nakładać na siebie, dając szumy i zakłócenia. Gdy strefa przenikania jest szczupła, pewna ilość informacji staje się „wspólną własnością” obu częściowo „pokrywających się” personoidów, i zjawisko to jest dla nich dziwaczne. Jest subiektywnie zaskakujące - jak dla człowieka dziwaczne, a wręcz niepokojące byłoby usłyszenie „cudzych głosów” i „obcych myśli” we własnej głowie (co się zdarza w pewnych zaburzeniach psychicznych, tj. w umysłowych chorobach, albo pod wpływem środków halucynogennych). Dzieje się coś takiego, jakby dwu ludzi miało nie takie samo, lecz to samo wspomnienie. Jakby zachodziło coś więcej niż myślowy przekaz telepatyczny, bo „zespalenie się obwodowe jaźni”. Jest to jednak zapowiedzią groźnego w skutkach fenomenu, którego powinno się unikać. Po przejściowym stanie „brzeżnej osmozy” personoid

„napierający” może drugiego „zniszczyć” i „pochłonać”. Wówczas ten drugi ulega po prostu resorpcji, anihilacji - przestaje istnieć (nazywano to już morderstwem...). Unicestwiony personoid staje się przyswojoną, nieodróżnialną częścią „agresora”. Udało się nam - mówi Dobb - wymodelować nie tylko życie psychiczne, ale także jego zagrożenie i zagładę. Udało się nam tedy wymodelować także śmierć. Personoidy w normalnych warunkach doświadczeń unikają jednak takich „agresji”. „Duszojadów” (termin Castlera) raczej się wśród nich nie spotyka. Odczuwając początki osmozy, do której może dojść za sprawą czysto przypadkowych zbliżeń i fluktuacji, odczuwając to zagrożenie w sposób naturalnie bezmyślowy, zapewne tak, jak ktoś czuje „cudzą obecność”, a nawet słyszy „obce głosy” we własnym umyśle - personoidy wykonują aktywne ruchy unikowe, cofają się i rozchodzą. Dzięki temu zjawisku poznały wszakże sens pojęć „dobra” i „zła”. Jest dla nich ewidentne, że „zło” polega na niszczeniu drugiego, a „dobro” na jego ocalaniu. I zarazem jest tak, że „zło” jednego może być „dobrem” (tj. korzyścią, w już pozaetycznym sensie) tego, który by stał się „duszojadem”. Ekspansja taka, przywłaszczenie sobie cudzego „terytorium duchowego”, powiększa bowiem wyjściowo dany „mentalny areał”. Jest to jakiś odpowiednik naszych praktyk - przecież należąc do zwierząt musimy zabijać i żywić się zabijanymi. Personoidy natomiast nie muszą tak postępować, a jedynie mogą. Nie znają głodu, pragnienia, skoro żywi je energia stale dopływająca, o której źródła nie muszą się troszczyć, jak my nie musimy specjalnie zabiegać o to, aby nam słońce świeciło. W świecie personoidów nie mogą powstać terminy ani zasady termodynamiki rozumianej energetycznie, ponieważ ich świat podlega matematycznym, a nie termodynamicznym prawom. Rychło badacze przekonali się, że kontakty personoidów z ludźmi, zachodzące poprzez wejścia i wyjścia komputera, są dość jałowe poznawczo, a za to nastrożają moralne dylematy, które przyczyniły się do nazwania personetyki najokrutniejszą z nauk. Jest coś niegodnego w informowaniu personoidów o tym, że stworzyliśmy je w zamknięciach pozorujących nieskończoność, że są mikroskopijnymi „psychocystami”, „małymi otorbieniami” w naszym świecie. Co prawda żyją one w swej nieskończoności, więc Sharker czy inni psychonetycy (Falkenstein, Wiegeland) twierdzili, że sytuacja jest w pełni symetryczna: nie potrzebują naszego świata, naszej „przestrzeni życiowej” dokładnie tak, jak nam byłaby na nic ich „ziemia matematyczna”. Dobb uważa te argumenty za sofistykę. Na temat, kto kogo stworzył i kto kogo zamknął w sensie kreacyjnym, nie może być wszak żadnej dyskusji. Dobb należy w każdym razie do tych, którzy głoszą bezwzględną zasadę „nieinterweniowania” i „niekontaktowania się” - z personoidami. Są to behawioryści personetyki. Pragną obserwować syntetyczne istoty rozumne, przysłuchiwać się ich mowie i myślom, notować ich

działania, ich prace, ale nigdy się do nich nie wtrącać. Ta metoda jest już obecnie rozwinięta i dysponuje określonym oprzyrządowaniem technicznym, którego sprokurowanie nastęczało jeszcze kilka lat temu trudności pozornie wręcz nieprzezwyciężalne. Chodzi o to, aby słyszeć, aby rozumieć, aby, jednym słowem, być trwale podpatrującym świadkiem, ale by zarazem owe „nasłuchy” w niczym świata personoidów nie naruszały. Obecnie projektuje się w MIT-cie programy (AFRON II i EROT), które mają umożliwić personoidom - istotom, jak dotąd, bezpłciowym - „kontakty erotyczne”, odpowiedniki „zapłodnienia”, oraz dać im szansę rozmnażania się „płciowego”. Dobb nie ukrywa wcale, że nie jest entuzjastką tych amerykańskich projektów. Praca jego, całością doświadczeń, które relacjonuje w „Non serviam”, kieruje się w zupełnie inną stronę. Nie bez kozery nazwano właśnie angielską szkołę personetyczną - „poligonem filozoficznym”, „laboratoryjną teodyceą”. Tymi słowami przechodzimy do najbardziej chyba doniosłej - a na pewno najmocniej fascynującej każdego człowieka - ostatniej części omawianej książki. Do tej, która usprawiedliwia i zarazem tłumaczy jej, zrazu tylko dziwacznie brzmiący, tytuł. Dobb zdaje sprawę z własnego doświadczenia, które ciągnie się już od ośmiu lat bez przerwy. O samej kreacji wspomina lakonicznie; była, w końcu, dość zwykłym powtórzeniem działań typowych dla programu JAHVE VI z nieznacznymi tylko modyfikacjami. Dobb przedstawia w streszczeniu wyniki podsłuchiwania świata, który sam stworzył i który nadal śledzi w rozwoju. Podsłuchiwanie to uważa za nieetyczne, a nawet - wyjawia - chwilami ma je za praktykę haniebną. Niemniej czyni swoje, wyznając wiarę w konieczność przeprowadzania również i takich eksperymentów - w nauce - które żadną miarą nie dają się usprawiedliwić z czysto moralnego, a zarazem pozapoznawczego stanowiska. Sytuacja - powiada - jest już tak zaawansowana, że stare wykręty uczonych są na nic. Nie można udawać cudownej neutralności i odzęgnywać się od niepokoju sumienia, stosując na przykład wykręty, jakich dopracowała się wiwisekcja: że to nie pełnowymiarowej świadomości, nie suwerennym istotom sprawia się cierpienie czy tylko dolegliwość. Jesteśmy odpowiedzialni podwójnie, ponieważ stwarzamy - i zakuwamy stworzone w schemat naszych procedur badawczych. Cokolwiek byśmy uczynili i jakkolwiek byśmy wykładali to postępowanie - od pełnej odpowiedzialności nie ma już ucieczki. Wieloletnie doświadczenie Dobba i współpracowników z Oldport sprowadza się do sporządzenia uniwersum ośmiowymiarowego, które stało się mieszkaniem personoidów o mianach ADAN, ADNA, ANAD, DANA, DAAN i NAAD. Pierwsze personoidy rozwinęły zasadzoną w nich pierwocinę języka i miały „potomstwo” powstające drogą „podziałów”. Jak pisze Dobb, jawnie podkładając pod swoje słowa werset biblijny, „i zrodził ADAN ADNĘ. ADNA zaś

zrodziła DAANA, a DAAN począł EDANA, który spłodził EDNE...” - i tak to szło, aż liczba kolejnych generacji osiągnęła trzysta; ponieważ zaś komputer, jakiego użyto, nie miał pojemności ponad 100 jednostek personoidalnych, przychodziło okresowo do likwidowania „nadmiaru demograficznego”. W generacji trzechsetnej znów występują ADAN, ADNA, DANA, DAAN i NAAD, obdarzeni co prawda dodatkowymi liczbami określającymi ich pokoleniową kolejność, lecz dla prostoty w naszej rekapitulacji liczby owe pominiemy. Dobb powiada, że czas, jaki upłynął w uniwersum komputerowym od „początku świata”, wynosi mniej więcej - w szacunkowym przeliczeniu na nasze odpowiedniki - około 2 do 2,5 tysięcy lat. W tym okresie doszło do powstania, wewnątrz populacji personoidów, całego szeregu rozmaitych wykładni ich losu, jak również do utworzenia przez nie - rozmaitych konkurujących z sobą i wykluczających się nawzajem obrazów „wszystkiego, co istnieje”, czyli, mówiąc prosto, do wyniknięcia wielu rozmaitych filozofii (ontologii i epistemologii), a także do swoistych „prób metafizycznych”. Nie wiadomo, czy przez to, że „kultura” personoidów jest od ludzkiej nazbyt odmienna, czy też przez to, że eksperyment trwał nazbyt krótko - nie wykrystalizował się w populacji badanej żaden typ wiary doskonale zdogmatyzowanej, który odpowiadałby np. buddyzmowi bądź chrześcijaństwu. Natomiast już od ósmej generacji notuje się pojawienie pojęcia Stwórcy, rozumianego osobowo i monoteistycznie. Doświadczenie polegało na tym, że na przemian raz doprowadzano tempo przekształceń komputerowych do maksimum, a raz (mniej więcej co roku) spowalniano je tak, aby „bezpośredni nasłuch” był możliwy dla obserwatorów. Te zmiany tempa są jednak - wyjaśnia Dobb - całkowicie niepostrzegalne dla mieszkańców komputerowego uniwersum, tak jak dla nas byłyby niedostrzegalne podobne przekształcenia, ponieważ gdy za jednym zamachem ulega zmianie całość bytu (tutaj - wyłącznie w wymiarze czasowym), pogrążeni w nim nie są tego świadomi, jeśli nie dysponują żadnym niezmiennikiem, czyli takim układem odniesienia, który pozwala stwierdzić zachodzenie zmiany. Wyłączenie tych „dwóch biegów czasu” umożliwiło to, na czym najbardziej zależało Dobbowi, mianowicie - powstanie historii własnej personoidów, z właściwą jej głębią tradycji oraz perspektywą czasową. Streścić wszystkich wykrytych przez Dobba, często rewelacyjnych danych owej „historii” niepodobna. Ograniczymy się tedy do ustępów, z jakich niechybnie wypłynęła refleksja odzwierciedlona w tytule książki. Język, jakim się posługują personoidy, jest późną transformacją standardowego języka angielskiego, który im w pierwszej generacji leksykalnie i syntaktycznie zaprogramowano. Dobb w zasadzie tłumaczy go na „normalny angielski”, pozostawiając jednak nieliczne wyrażenia ukute przez personoidową populację. Należą do nich pojęcia „bożę” i „niebożę” w rozumieniu „wierzący w Boga i „ateista”. ADAN

dyskutuje z DAANEM i ADNĄ (personoidy nie mają płci i nie posługują się tymi imionami - są one czysto pragmatycznym chwytem ze strony obserwatorów, który ułatwia po prostu protokołowanie wypowiedzi) znany i nam problem, który w naszej historii pochodzi od Pascala, w historii zaś personoidów stanowił wynalazek EDANA 197. Ów myśliciel, zupełnie jak Pascal, orzekał, że wiara w Boga w każdym przypadku opłaca się lepiej od niewiary, ponieważ jeśli słuszność jest po stronie „niebożąt”, wierzący nic oprócz życia nie traci, schodząc ze świata; jeśli natomiast Bóg jest, zdobywa całą wieczność (światłość wiekuistą). Tak tedy w Boga należy wierzyć, gdyż to dyktuje po prostu taktyka egzystencjalna jako rachuba zmierzająca do osiągnięcia optymalnych sukcesów bytowych. ADAN 300 tak ustosunkowuje się do owej dyrektywy: EDAN 197 zakłada w swym rozumowaniu Boga, domagającego się czci, miłości i zupełnego oddania, a nie tylko i po prostu wiary w to, iż on sobie istnieje, i - ewentualnie - że on świat stworzył. Nie wystarczy wszak godzić się z hipotezą Boga-Sprawcy świata, aby zyskać zbawienie: trzeba ponadto być temu Sprawcy za akt stworzenia wdzięcznym, domyślać się jego woli i spełniać ją, czyli - jednym słowem - trzeba Bogu służyć. Otóż Bóg, jeżeli istnieje, jest mocen udowodnić własną egzystencję w sposób co najmniej tak samo pewny, jak poświadcza swój byt to, co można spostrzegać bezpośrednio. Nie mamy wszak wątpliwości co do tego, że pewne obiekty istnieją i że się z nich nasz świat składa. Najwyżej można żywić wątpliwości co do tego, jak one to robią, że istnieją, w jaki sposób istnieją etc. Lecz samemu faktowi ich bytowania nikt nie przeczy. Bóg mógł z taką samą mocą poświadczyć własną egzystencję. Nie uczynił tego jednak, skazawszy nas na uzyskiwanie w owym przedmiocie wiedzy okólnej, upośrednionej, wyrażanej pod postacią rozmaitych domniemań, zwanych nieraz objawieniami. Jeżeli tak postąpił, to tym samym równouprawnił stanowiska „bożąt” i „niebożąt”; nie przynaglił stworzonego do wiary bezwzględnej w swój byt, a tylko dał mu tę ewentualność. Zapewne, motywy, jakimi się powodował Stwórca, mogą być dla stworzonego nie znane. Powstaje atoli takie oto pytanie: Bóg albo istnieje, albo nie istnieje, i to, aby była trzecia możliwość (Bóg istniał, ale go już nie ma, istnieje okresowo, oscylacyjnie, istnieje raz „mniej”, a raz „bardziej”, etc.), zdaje się nader mało prawdopodobne. Tego nie można wykluczyć, lecz wprowadzenie wielowartościowej logiki w teodyceę tylko ją zamąca. Tak tedy Bóg jest bądź go nie ma. Jeśli on akceptuje sam sytuację naszą, w której każdy z członków alternatywy ma za sobą argumenty - wszak jedni dowodzą, jako „bożęta”, istnienia Stwórcy, a inni, jako „niebożęta”, temu oponują - to pod względem logicznym mamy sytuację gry, której partnerów tworzy z jednej strony pełny zbiór „bożąt” z „niebożętami”, a z drugiej Bóg jeden. Owa gra posiada taką logiczną charakterystykę, że za niewiarę w siebie Bóg nie jest w prawie nikogo ukarać.

Jeżeli nie wiadomo na pewno, czy istnieje jakaś rzecz, lecz tylko jedni mówią, że jest, a inni, że jej nie ma, i jeżeli w ogóle daje się uargumentować hipoteza, jakoby jej wcale nie było, to żaden sprawiedliwy sąd nie skaże nikogo za to, że będzie bytowi tej rzeczy zaprzeczał. Jest bowiem dla wszystkich światów tak oto: gdy nie ma zupełnej pewności, nie ma pełnej odpowiedzialności. Jest to sformułowanie czysto logicznie niepodważalne, ponieważ wytwarza symetryczną funkcję wypłaty w rozumieniu teorii gier: kto przy niepewności dalej żąda pełnej odpowiedzialności, ten narusza symetrię matematyczną gry (powstaje wówczas tak zwana gra o sumie niezerowej). Jest tedy tak: Albo Bóg jest doskonale sprawiedliwy; a wówczas nie może pojąć prawa karania „niebożąt” za to, że są „niebożętami” (tj. że weń nie wierzą). Albo jednak będzie karał niewierzących: znaczy to, że pod względem logicznym doskonale sprawiedliwy nie jest. Co wtedy? Wtedy może już czynić wszystko, co mu się żywnie spodoba, ponieważ, kiedy w logicznym systemie pojawi się jedna jedyna sprzeczność, to zgodnie z zasadą „ex falso quodlibet” - można z systemu wywnioskować to, co się komu żywnie spodoba. Inaczej mówiąc: Bóg sprawiedliwy nie może „niebożętom” włosy tknąć na głowie, a jeśli tak czyni, to tym samym nie jest ową wszechstronnie doskonałą i sprawiedliwą istotą, jaką zakłada teodycea. ADNA pyta, jak w tym świetle przedstawia się problem czynienia bliźnim zła.

ADAN 300 odpowiada: cokolwiek zachodzi tu, jest całkiem pewne; cokolwiek zachodzi „tam” - tj. poza obrębem świata, w wieczności, u Boga, etc. - jest niepewne jako tylko wnioskowane podług hipotez. Tutaj nie należy zadawać zła, mimo iż zasady niezadawania zła logicznie udowodnić się nie da. Lecz tak samo nie da się dowieść logicznie istnienia świata. Świat istnieje, chociaż mógłby nie istnieć; zło można zadawać, ale nie trzeba tego robić. Uważam - mówi ADAN 300 - że to wynika z naszej zgody opartej na regule wzajemności; bądź mi, jako ja tobie jestem. Nie ma to nic wspólnego z istnieniem lub z nieistnieniem Boga. Gdybym nie zadawał zła licząc się z tym, że „tam” będę za nie ukarany, albo gdybym wyrządził dobro licząc „tam” na nagrodę, opieram się na racjach niepewnych. Tutaj jednak nie może być pewniejszej racji od naszego porozumienia w tej sprawie. Jeżeli „tam” są inne racje, nie znam ich z taką dokładnością, z jaką tutaj znam nasze. Żyjąc prowadzimy grę o życie i jesteśmy w niej sojusznikami co do jednego. Tym samym gra jest między nami doskonale symetryczna. Postulując Boga, postulujemy dalszy ciąg gry poza światem. Uważam, że wolno postulować to przedłużenie gry tylko pod warunkiem, iż ono nie wpłynie w żaden sposób na przebieg gry tutaj. W przeciwnym razie dla kogoś, kto być może nie istnieje, poświęcić gotowiliśmy to, co istnieje tutaj - na pewno.

NAAD zauważył, że nie jest dlań jasny stosunek ADANA 300 do Boga. ADAN uznaje

wszak możliwość istnienia Stwórcy: co z niej wynika? ADAN: Nic zgoła. To znaczy: nic w zakresie powinności. Sądzę, że - znów dla wszystkich światów - ważna jest taka zasada: etyka doczesności jest zawsze niezależna od etyki transcendentnego. Znaczy to, że etyka doczesności nie może mieć poza sobą żadnej sankcji, co by ją uprawomocniała. Znaczy to, że ten, kto czyni zło, jest zawsze łotrem, jak ten, kto czyni dobro, jest zawsze sprawiedliwym. Jeżeli ktoś gotów jest służyć Bogu, uznając argumenty na rzecz jego istnienia za dostateczne, nie ma przez to tutaj żadnej naddatkowej zasługi. Jest to jego rzecz. Zasada ta opiera się na założeniu, że jeśli Boga nie ma, to nie ma go ani trochę, a jeśli jest, to jest wszechmocny. Wszechmocny mógłby bowiem stworzyć nie tylko inny świat, ale także inną logikę, nie tę, co jest fundamentem mego rozumowania. Wewnątrz takiej innej logiki hipoteza etyki doczesnej byłaby koniecznie uzależniona od etyki transcendentnego. Wówczas jeśli nie dowody naocznościowe, to dowody logiczne miałyby moc zniewalającą i przymuszałyby do przyjęcia hipotezy Boga pod groźbą grzeszenia przeciwko rozumowi. NAAD powiada, że, być może, Bóg nie pragnie sytuacji takiego zniewolenia do wiary w siebie, jaka powstałaby przy nastaniu owej innej logiki, postulowanej przez ADANA 300. Ten odpowiada na to: Bóg wszechmocny musi być i wszechwiedny; wszechmoc nie jest od wszechwiedzy niezawisła, ponieważ ten, kto wszystko może, ale nie wie, jakie skutki pociągnie za sobą uruchomienie jego wszechmocy, de facto nie jest już wszechmocny;” jeśli Bóg kiedyś kiedyś czynił cuda, jak o tym opowiadają, to rzucałoby na jego perfekcję nader dwuznaczne światło, ponieważ cud jest naruszeniem autonomii własnej stworzonego - jako nagła interwencja. Kto atoli produkt-kreacji wyreguluje doskonale i z góry zna do końca jego zachowanie, autonomii tej nie ma potrzeby naruszać; jeśli mimo to ją narusza, pozostając wszechwiednym, oznacza to, że nie poprawia bynajmniej swego dzieła (poprawka oznaczać musi wszak niewszechwiedność), lecz daje cudem znak swojego istnienia. Otóż to jest ułomne logicznie, ponieważ dając takie znaki, wytwarza się wrażenie, jakoby się jednak naprawiało stworzone w jego lokalnych potknięciach. Wówczas bowiem analiza logiczna powstałego obrazu wygląda następująco: stworzone podlega poprawkom, które nie wychodzą z niego, ale przybywają z zewnątrz (z transcendencji, tj. z Boga), a więc należałoby właściwie uczynić cud - normą, czyli stworzone tak udoskonalić, żeby już żadne cuda nigdy więcej nie okazały się potrzebne. Cuda bowiem jako doraźne interwencje nie mogą być tylko znakami Bożej egzystencji: one zawsze przecież oprócz tego, iż objawiają ich Sprawcę, wykazują swych adresatów (są do kogoś tu skierowane pomocnie). Tak więc pod względem logicznym musi być tak oto: albo jest stworzone doskonale, a wówczas cuda są zbędne, albo są niezbędne, a wówczas ono już doskonale nie jest na pewno (cudownie czy niecudownie

można wszak poprawić to tylko, co jakoś ułomne, bo cud wtrącający się do perfekcji potrafi ją jedynie naruszyć, czyli lokalnie pogorszyć). Inaczej mówiąc, sygnalizować cudami własną obecność to tyle, co używać najgorszego z możliwych logicznie sposobów jej zmanifestowania. NAAD pyta, czy Bóg nie może sobie właśnie życzyć alternatywy pomiędzy logiką a wiarą w siebie: może akt wiary powinien być właśnie rezygnacją z logiki na rzecz zupełnego zaufania. ADAN: Jeżeli raz jeden przyjmiemy, że rekonstrukcja logiczna czegokolwiek (bytu, teodycei, teogonii itp.) może być wewnętrznie sprzeczna, to jasne jest, iż wówczas da się już udowodnić absolutnie wszystko, czyli to, co się komu żywnie spodoba. Zważcie, jak wygląda rzecz: chodzi o to, by stworzyć kogoś, by obdarować go określoną logiką, a potem żądać złożenia z niej właśnie ofiary na rzecz uwierzenia w Sprawcę wszystkiego. Jeśli ten obraz sam ma pozostać niesprzeczny, domaga się zastosowania jako metalogiki zupełnie innego typu rozumowań aniżeli tych, co są właściwe logice stworzonego. Jeżeli tak nie przejawia się po prostu ułomność Kreatora, to przejawia się cecha, którą bym nazwał nieelegancją matematyczną, swoistą nieporządnością (niekoherencją) stwórczego aktu. NAAD upiera się przy swoim: Być może, Bóg czyni tak, pragnąc właśnie pozostać niedościgłym dla stworzonego, tj. nierekonstruowalnym podług logiki, jakiej mu dostarczył. Domaga się, jednym słowem, supremacji wiary nad logiką. ADAN odpowiada mu: Rozumiem. Oczywiście jest to możliwe, ale jeśli nawet tak by miało być, fakt, iż wiara okazuje się wówczas nie do pogodzenia z logiką, stwarza wielce niemiły dylemat natury moralnej. Trzeba bowiem w jakimś miejscu rozumowań zawiesić je i oddać prym niejasnemu domysłowi, czyli przełożyć domysł nad logiczną pewność. Ma to być zrobione w imię zaufania bezgranicznego; przez co wchodzimy w *circulus vitiosus*, ponieważ istnienie tego, komu tak wypadałoby zaufać, jest skutkiem rozumowań wyjściowo poprawnych logicznie; powstaje logiczna sprzeczność, nabierająca dla niektórych wartości dodatniej, nazywanej tajemnicą Boga. Otóż pod względem czysto konstrukcyjnym jest to rozwiązanie *liche*, a pod względem moralnym wątpliwe, ponieważ Tajemnica dostatecznie może być ufundowana na nieskończoności (a wszak nieskończonościowy jest charakter bytu), podtrzymywanie jej zaś i wzmacnianie kontrydykcją wewnętrzną jest ze stanowiska każdego budowniczego perfidne. Rzecznicy teodycei nie zdają sobie na ogół sprawy z tego, że tak jest, ponieważ do pewnych jej części stosują jednak zwyczajną logikę, a do innych już nie; chcę powiedzieć, iż jeśli się wierzy w sprzeczność¹ należy tym samym wierzyć już tylko w sprzeczność, a nie zarazem jeszcze i w jakowąś niesprzeczność (tj. w logikę) - gdziekolwiek indziej. Jeśli się jednak zachowuje taki dziwaczny dualizm (doczesność jest zawsze logice podległa, transcendencja

¹ Credo quia absurdum est (uwaga prof. Dobba w tekście)

tylko fragmentarycznie), to tym samym powstaje obraz stworzenia jako czegoś pod względem poprawności logicznej „łaciatego” i nie można już postulować jego perfekcji. Powstaje w sposób nieuchronny wniosek, że perfekcja to coś takiego, co musi być logicznie łaciate. EDNA pyta, czy spójnikiem owych niekoherencji nie może być miłość. ADAN: Gdyby i tak miało być nawet, to nie wszelka postać miłości, ale zaślepiająca tylko. Bóg, jeśli jest, jeśli stworzył świat, zezwolił, aby ów świat urządził się, jak umie i zechce. Za to, że Bóg istnieje, nie można mu być wdzięcznym: takie bowiem postawienie sprawy zakłada ustalenie wcześniejsze, iż Bóg może nie istnieć i że to byłoby złe; przesłanka ta prowadzi do innego rodzaju sprzeczności. A więc wdzięczność za akt kreacji? I ta się Bogu nie należy. Zakłada bowiem zniewolenie do wiary w to, że być jest na pewno lepiej aniżeli nie być; nie pojmuję, jak by to z kolei można było udowodnić. Temu wszak, kto nie istnieje, nie można wyrządzić ani przysługi, ani krzywdy; a już jeśli Stwarzający dzięki wszechwiedzy wie z góry, że stworzony będzie mu wdzięczny i będzie go miłował, albo że mu będzie niewdzięczny i że będzie go odtrącał, tym samym wytwarza przymus, tyle iż niedostępny bezpośrednio oglądowi stworzonego. Właśnie dlatego nie należy się Bogu nic: ani miłość, ani nienawiść, ani wdzięczność, ani wypominanie, ani nadzieja nagrody, ani lęk przed karą. Nie należy mu się nic. Kto łaknie uczuć, musi pierwiej upewnić ich podmiot w tym, że ponad wszelką wątpliwość istnieje. Miłość może być zdana na domysły co do wzajemności, jaką wzbudza; to zrozumiałe. Ale miłość zdana na domysły co do tego, czy miłowany istnieje, stanowi nonsens. Kto jest wszechmocny, mógł dać pewność. Skoro jej nie dał, jeśli jest, uznał to za zbędne. Czemu zbędne? Nasuwa się domniemanie, że wszechmocny nie jest. Niewszechmocny zasługiwałby prawdziwie na uczucia pokrewne litości, a też i miłości; lecz tego wszak żadna z naszych teodycei nie dopuszcza. A więc powiadamy: służymy sobie i nikomu więcej. Pomijamy dalsze rozważania na temat, czy Bóg teodycei jest raczej liberałem, czy raczej autokratą; trudno streścić wywody obejmujące dużą część książki. Rozważania i dyskusje, jakie protokołował Dobb, już to w kolokwiach grupowych ADANA 300, NAADA i innych personoidów, już to w solilokwiach (nawet czysto myślowy tok może eksperymentator notować dzięki odpowiednim urządzeniom włączonym w komputerową sieć), wypełniają niemal trzecią część dzieła „Non serviam”. W samym tekście nie znajdujemy żadnego do nich komentarza. Figuruje on jednak w posłowniu Dobba. Pisze on: *Argumentacja ADANA wydaje mi się przynajmniej o tyle niewywrotna, o ile jest do mnie zaadresowana: a wszak to ja go stworzyłem. W jego teodycei ja jestem Stwórcą. W samej rzeczy sporządziłem ów świat (o liczbie kolejnej 47) za pomocą programu ADONAI IX i stworzyłem zawiązki personoidów zmodyfikowanym programem JAHVE VI. Te wyjściowe istoty dały początek trzystu*

generacjom następnych. W samej rzeczy nie zakomunikowałem im jako pewnika ani tych faktów, ani mojej egzystencji poza granicami ich świata. W samej rzeczy dochodzą mego bytu tylko inferencyjnie, na prawach domysłów i hipotez. W samej rzeczy, gdy stwarzam rozumne istoty, nie czuję się w prawie żądania od nich jakichkolwiek przywilejów - miłości, wdzięczności czy aż jakowychś służb. Mogę ich świat powiększać lub redukować, jego czas przyspieszać lub zwalniać, zmieniać tryb i modus ich percepcji, likwidować je, dzielić, mnożyć, przekształcać im opokę ontologiczną bytu. Jestem więc względem nich wszechmocny, ale z tego doprawdy nie wynika, żeby mi się za to cokolwiek od nich należało. Uważam, że nie mają wobec mnie najmniejszych zobowiązań. Prawdą jest, że ich nie kocham. O miłości nie może być mowy, ale w końcu jakiś inny eksperymentator mógłby ją żywić dla swych personoidów. Uważam, że to w niczym nie odmieni rzeczy - ani na jeden włos. Wyobraźcie sobie, że do mojego BIX 310 092 dołączam ogromną przystawkę, która będzie „światem pozadoczesnym”. Kolejno przepuszczam przez łączący kanał „dusze” mych personoidów w obręb przystawki i tam nagradzam tych, co we mnie wierzyli, hołdy mi oddawali, okazywali mi wdzięczność i zaufanie, wszystkich zaś innych - wszystkie „niebożęta”, by użyć słownictwa personoidalnego - karzę, np. unicestwieniem bądź mękami (o karach wiekuistych nie śmiem nawet pomyśleć - aż takim potworem nie jestem!). Czyn mój uznano by niechybnie za wyskok niesamowicie bezwstydnego egotyzmu, za nikczemny akt zemsty irracjonalnej, jednym słowem - za ostatnie lotrostwo w sytuacji totalnego panowania nad bezwinnymi, którzy będą mieć przeciwko mnie rację niezbitą - logikę, co patronowała ich postępowaniu. Każdy, oczywiście, może sobie wyciągnąć z personetycznych doświadczeń takie wnioski, jakie uważa za słuszne i właściwe. Dr Ian Combay powiedział mi w prywatnej rozmowie, że mógłbym wszak upewnić społeczność personoidów o mym istnieniu. Otóż tego nie zrobię na pewno. Wyglądałoby mi to bowiem na jakieś dopraszanie się dalszego ciągu - to jest na oczekiwanie reakcji z ich strony. Ale co właściwie mogliby mi wyrzucić lub rzec takiego, abym nie poczuł się dogłębnie zawstydzony, ugodzony boleśnie jako ich nieszczęsny Stwórca? Rachunki za zużytą energię elektryczną przychodzi płacić kwartalnie i nadejście chwila, w której moja uniwersytecka zwierzchność zażąda zamknięcia eksperymentu, więc wyłączenia maszyny, czyli końca świata. Chwilę tą będę odraczał tak długo, jak się da. Jest to jedyna rzecz, na jaką mnie stać, lecz nie taka, którą uznaję za chwalebna. Idzie raczej o coś takiego, co potocznie zwą na ogół psim obowiązkiem. Mam nadzieję, że przy tych słowach nikt sobie nic nie pomyśli. Jeśli pomyśli jednak, jest to jego rzecz.

„NOWA KOSMOGONIA”

Alfred Testa

(Tekst przemówienia, wygłoszonego przez profesora Alfreda Testę podczas uroczystości wręczenia mu Nagrody Nobla, wyjęty z tomu pamiątkowego „From Einsteinian to Testan Universe”, publikujemy za zgodą wydawcy J. Wiley & Sons.)

Wasza Królewska Mość, Panie i Panowie. Pragnę skorzystać ze szczególnych własności miejsca, z którego przemawiam, aby opowiedzieć wam o okolicznościach, jakie doprowadziły do powstania nowego obrazu Wszechświata i tym samym wyznaczyły kosmiczne położenie ludzkości w sposób radykalnie odmienny od historycznego. Podniosłością tych słów zwracam się nie do własnej pracy, lecz do pamięci nieżyjącego już człowieka, któremu zawdzięczamy tę nowinę. Będę mówił o nim, ponieważ zaszło to, czego najbardziej nie chciałem, praca moja przesłoniła - w opinii współczesnych - dzieło Arystydesa Acheropouloza, i to tak, że historyk nauki, profesor Bernard Weydenthal, więc specjalista, zdawałoby się, kompetentny, napisał niedawno w swej książce „Die Welt als Spiel und Verschwörung”, że główna publikacja Acheropouloza, „The New Cosmogony”, nie była wcale hipotezą naukową, lecz fantazją na poły literacką, w której prawdziwość nie wierzył sam autor. Podobnie profesor Harlan Stymington w „The New Universe of the Games Theory” wyraził się, że pod nieobecność prac Alfreda Testy myśl Acheropouloza pozostałaby jedynie luźnym pomysłem filozoficznym, w rodzaju, na przykład, Leibnizowskiego świata harmonii przedustawnej, którego to obrazu nigdy wszak nauki ścisłe poważnie nie traktowały. Tak więc podług jednych wziąłem na serio to, czego poważnie nie brał sam twórca idei; podług innych wyprowadziłem na czyste wody przyrodoznawstwa myśl, zaplątaną w spekulatywność filozofowania pozanaukowego. Tak błędne osądy wymagają złożenia wyjaśnień, jakich potrafię udzielić. Prawdą jest, że Acheropoulos był filozofem przyrody, a nie fizykiem czy kosmogonistą, i że wyłożył swoje idee bezmatematycznie. Prawdą jest też, że pomiędzy intuicyjnym obrazem jego kosmogonii a moją sformalizowaną teorią zachodzi niemało różnic. Lecz prawdą jest przede wszystkim to, że Acheropoulos mógł się wybornie obyć bez Testy, natomiast Testa wszystko zawdzięcza Acheropoulosowi. Ta różnica nie jest bagatelna. Aby ją wyłożyć, muszę prosić was o nieco cierpliwości i uwagi. Kiedy garstka astronomów zajęła się w połowie XX wieku roztrząsaniem problemu tak zwanych cywilizacji kosmicznych, przedsięwzięcie ich było czymś zupełnie marginalnym dla astronomii. Uczony ogół traktował je jako hobby kilkudziesięciu oryginałów, których nie brak nigdzie, a więc i w nauce. Ogół ten nie sprzeciwiał się aktywnie poszukiwaniom sygnałów, pochodzących od

owych cywilizacji, zarazem jednak nie dopuszczał możliwości, aby istnienie tych cywilizacji mogło wpływać na obserwowany przez nas Kosmos. Jeżeli więc ten czy ów astrofizyk ważył się oświadczyć, że widmo emisji pulsarów lub energetyka kwasarowa bądź pewne zjawiska jąder galaktycznych wiążą się z rozmyślną działalnością mieszkańców Uniwersum, to żaden z poważnych autorytetów nie uznawał takiego oświadczenia za naukową hipotezę godną sumiennego badania. Astrofizyka i kosmologia pozostawały głuche na tę problematykę: w jeszcze wyższym stopniu dotyczyła taka obojętność fizyki teoretycznej. Nauki trzymały się tedy takiego mniej więcej schematu: jeśli chcemy poznać mechanizm zegara, to, czy na jego trybach i wagach znajdują się bakterie, nie ma najmniejszego znaczenia ani dla budowy, ani dla kinematyki zegarowego werku. Bakterie na pewno nie mogą wpłynąć na chód zegara! Tak właśnie uznawano wówczas - że istoty rozumne nie mogą wtrącić się w chód kosmicznego werku, toteż werk ów należy badać całkowicie ignorując ich ewentualną w nim obecność. Jeżeli nawet któryś z luminarzy fizyki ówczesnej przystałby na perspektywę wielkiego przewrotu w kosmologii i fizyce, przewrotu powiązanego z istnieniem w Kosmosie istot rozumnych, to jedynie pod takim warunkiem: o ile odkryte zostaną cywilizacje kosmiczne, o ile odbierze się ich sygnały, i tym sposobem pozyska się całkiem nowe wiadomości o prawach Natury, to, w samej rzeczy, taką drogą - lecz tylko taką! - może dojść do poważnych przekształceń w łonie nauki ziemskiej. To wszakże, żeby rewolucja astrofizyczna mogła nastąpić pod nieobecność podobnych kontaktów - więcej! - żeby brak takich kontaktów, zupełna nieobecność sygnałów i objawów tak zwanej „astroinżynierii” - miały zapoczątkować największą rewolucję w fizyce i radykalnie zmienić nasze poglądy na Kosmos - to na pewno nie powstało w głowie żadnemu z ówczesnych autorytetów.

A przecież za życia niejednego z tych wybitnych uczonych ogłosił Arystydes Acheropoulos swoją „Nową Kosmogonię”. Książka jego wpadła mi w ręce, kiedy byłem doktorantem matematycznego wydziału na uniwersytecie szwajcarskim, w tym samym mieście, w którym Albert Einstein niegdyś pracował jako urzędnik biura patentowego, zajmując się, w wolnych chwilach, tworzeniem podstaw teorii względności. Mogłem przeczytać tę książeczkę, ponieważ była wydana w tłumaczeniu angielskim, nadzwyczaj podłym, dodam, a ponadto była to pozycja opublikowana w serii Science Fiction przez wydawcę, który ogłaszał wyłącznie taką beletrystykę. Oryginalny tekst uległ przy tym skróceniu prawie o połowę - jak się dowiedziałem znacznie później. Zapewne okoliczności tego wydania (na które Acheropoulos nie miał wpływu) ukształtowały osąd, jakoby pisząc „Nową Kosmogonię” sam nie brał poważnie zawartych w niej tez. Obawiam się, że obecnie, w czasach pośpiechu i jednodniowej mody, nikt poza historykiem nauki i bibliografem nie

bierze do ręki „Nowej Kosmogonii”. Człowiek oświecony zna tytuł dzieła i słyszał o autorze: to wszystko. Tym samym człowiek taki sam siebie obrabowuje z niezwykłego przeżycia. Nie tylko treść „Nowej Kosmogonii” pozostała mi żywo w pamięci, jakem ją czytał dwadzieścia jeden lat temu, lecz wszystkie doznania, co towarzyszyły lekturze. Było to doświadczenie szczególne. Od chwili, kiedy chwyta się po raz pierwszy rozmiar autorskiego konceptu, kiedy w umyśle czytelnika zarysowuje się na dobre idea palimpsestowego Kosmosu-Gry, z jego niewidzialnymi, trwale obcymi sobie Graczami, nie opuszcza już czytającego wrażenie, że obcuje z czymś rewelacyjnie, wstrząsająco nowym - a jednocześnie, że to jest plagiatowa powtórka, w przekładzie na język przyrodniczych nauk, najstarszych mitów, stanowiących nieprzenikliwe dno ludzkiej historii. To przykre, a nawet udęcające wrażenie pochodzi, jak sądzę, stąd, że wszelką syntezę fizyki i woli mamy za niedopuszczalną, powiedziałbym - sprośną dla racjonalnego rozumu. Projekcją woli są bowiem wszystkie prastare mity kosmogoniczne, objawiające z namaszczonej powagą i w tonacji tej prostodusznej naiwności, która jest utraconym rajem człowieczeństwa, jak Byt powstawał z walki demiurgicznych pierwiastków, oblekanych podaniami w różne ciała i kształty, jak świat rodził się z miłośno-nienawistnego uścisku bogów-zwierząt, bogów-duchów czy nadludzi, i podejrzenie, że to właśnie starcie, będące najczystszy rzutowaniem antropomorfizmu w obszar kosmicznej zagadki, że sprowadzenie Fizyki do Żądź było prawzorem, jakim się posłużył autor - to podejrzenie już nie daje się unicestwić. Tak widziana Nowa Kosmogonia okazuje się niewymownie Starą Kosmogonia, a próba wyłożenia jej w języku empirii przedstawia się niczym kazirodztwo, rezultat trywialnej nieumiejętności trzymania osobno pojęć i kategorii, które nie mają prawa połączenia się w jednolitym związku. Książka ta dotarła podówczas do niewielu wybitnych myślicieli i wiem teraz, bo słyszałem to od niejednego, że była tak właśnie czytana: z rozdrażnieniem, irytacją, ze wzgardliwym wrzuceniem ramion, przez co nikt jej chyba nie doczytał do końca. Nie należy zbytnio się oburzać na taką aprioryczność, na taki bezwład uprzedzeń, gdyż, doprawdy, rzecz patrzy chwilami na dubeltowe głupstwo: zamaskowanych Bogów, przebranych za istoty materialne, prezentuje nam suchym językiem rzeczowych twierdzeń, a zarazem prawa Natury zwię skutkami ich konfliktu. W efekcie zostajemy obrabowani ze wszystkiego naraz: tak z wiary, pojmowanej jako szczytująca w doskonałości Transcendencja, jak z Nauki, w jej rzetelnej, laickiej i obiektywnej powadze. Ostatecznie nie pozostaje nam nic - wszystkie pojęcia wyjściowe okazują kompletną nieprzydatność po obu stronach; ma się uczucie, że zostało się potraktowanym po barbarzyńsku, okradzionym w ramach wtajemniczenia, które nie jest ani religijne, ani naukowe. Spustoszenia, jakiego ta książka narobiła w moim umyśle, nie potrafię

opisać. Zapewne - obowiązkiem uczonego jest być niewiernym Tomaszem w nauce; wolno kwestionować każde jej twierdzenie - lecz nie można przecież podawać w wątpliwość wszystkich naraz! Acheropoulos uchylał się rozpoznaniu swej wielkości bez rozmysłu własnego, zapewne, lecz nader skutecznie! Był to, nikomu nie znany, syn małego narodu; nie reprezentował rzetelnej fachowości ani na terenie fizyki, ani na terenie kosmologii; i wreszcie - a to już poprzednio przepelniało czarę - nie miał żadnych poprzedników - rzecz niebywała w dziejach: każdy bowiem myśliciel, każdy rewolucjonista ducha posiada jakichś nauczycieli, których przekracza - lecz zarazem, do których się odwołuje. Lecz ten Grek przyszedł sam: o samotności, co musiała być udziałem takiego prekursorstwa, świadczy całe jego życie. Nie znałem go nigdy i niewiele wiem o nim; sposób, w jaki zarabkował na chleb, był mu zawsze obojętny; pierwszą wersję „Nowej Kosmogonii” napisał mając trzydzieści trzy lata, już jako doktor filozofii, lecz nie mógł jej nigdzie opublikować; klęskę swojej idei, klęskę przyżyciową, zniósł po stoicku; próby ogłoszenia „Nowej Kosmogonii” bardzo szybko porzucił, zrozumiawszy ich daremność. Był kolejno odźwiernym tego samego uniwersytetu, na którym zyskał stopień doktora filozofii dzięki znakomitej pracy o kosmogonii porównawczej starożytnych ludów; studiował zaocznie matematykę i zarazem pracował jako pomocnik piekarza, potem jako woziwoda; nikt z tych, z którymi się stykał, nie usłyszał odeń jednego słowa o „Nowej Kosmogonii”. Był skryty i ponoć bezwzględny dla najbliższych i dla siebie. Otóż ta właśnie bezwzględność wypowiedzianych rzeczy w najwyższym stopniu wszetecznych jednocześnie względem nauki i wiary, ta wszechherezja, ta jego uniwersalna bluźnierczość, wypływająca z intelektualnej odwagi, musiała odstrychnąć od niego wszystkich czytelników. Przypuszczam, że przyjął propozycję angielskiego wydawcy tak, jak rozbiitek na bezludnej wyspie rzuca na fale morza butelkę z zawartym w niej sygnałem; chciał pozostawić ślad swojej myśli, ponieważ był pewien jej prawdziwości. Otóż, nawet okropnie okaleczona nędznym przekładem i bezmyślnymi skrótami, „Nowa Kosmogonia” jest dziełem niesamowitym. Acheropoulos zdruzgotał w niej wszystko, absolutnie wszystko, co nauka i co wiara utworzyły w przeciągu wieków; sporządził tę swoją pustynię, zasypaną odłamkami zmiażdżonych przez siebie pojęć, żeby wziąć się do roboty od początku, to jest, żeby Kosmos zbudować od nowa. To okropne widowisko wywołuje reakcje obronne: należy uznać, że autor jest to zupełny szaleniec albo zupełny nieuk. Jego naukowym tytułom nie daje się zwyczajnie wiary. Kto go odrzucał w ten sposób, odzyskiwał równowagę ducha. Pomiedzy mną a wszystkimi innymi czytelnikami „Nowej Kosmogonii” zaszła tylko ta różnica, że nie mogłem tego zrobić. Kto nie odrzuca tej książki w całości, od pierwszej do ostatniej litery, ten przepadł: nie uwolni się już od niej nigdy. Środek, jeśli gdziekolwiek, tu jest wyłączony na

pewno: jeżeli ani wariat, ani ignorant, to geniusz. Niełatwo udzielić zgody na taką diagnozę! Tekst mieni się bezustannie w oczach czytelnika: nietrudno spostrzec, że matryca konfliktowego starcia, więc Gry, jest szkieletem formalnym wszelkiej religijnej wiary, nie wyzbytej do końca pierwiastków manichejskich, a gdzież są takie religie, w których nie ma ich nawet śladowo? Z zamiłowania i wykształcenia jestem matematykiem; fizykiem zostałem za sprawą Acheropoulośa. Jest dla mnie całkiem pewne, że wszelkie związki, w jakie mógłbym wstąpić z fizyką, byłyby zawsze luźne i przypadkowe - gdyby nie ten człowiek. On mnie nawrócił: mogę nawet pokazać miejsce „Nowej Kosmogonii”, które tego dokonało. Chodzi o siedemnasty paragraf szóstego rozdziału książki, ten, który mówi o zdumieniu Newtonów, Einsteinów, Jeansów, Eddingtonów, że prawa Natury są do matematycznego uchwycenia, że matematyka, ten płód czystej roboty logicznej ducha, może sprostać Kosmosowi. Niektórzy z owych wielkich, jak Eddington, jak Jeans, sądzili, że sam Stwórca był matematykiem i ślady tej jego charakterystyki rozpoznajemy w dziele stworzenia. Acheropoulos wskazuje, że okres takiej fascynacji fizyka teoretyczna ma już za sobą, ponieważ zauważono, że formalizmy matematyczne mówią o świecie albo zbyt mało, albo zbyt wiele naraz: matematyka jest tedy takim przybliżeniem struktury Uniwersum, które nigdy niejako nie trafia w samo sedno, w sam cel, lecz zawsze tuż obok. Myśmy mieli ten stan rzeczy za przejściowy, on zaś odpowiada: nie udało się fizykom stworzyć ogólnej teorii pola, nie potrafili złączyć zjawisk makro- i mikroświata, ale to nastąpi. Dojdzie do pokrycia się świata i matematyki, nie dzięki temu, że dalszym rekonstrukjom ulegnie matematyczny aparat, nic podobnego. Do pokrywania się dojdzie, kiedy praca kreacyjna dosięgnie kresu: a ona jest jeszcze w toku. Prawa Natury jeszcze nie są takie, jakie „mają” być; staną się takie nie dzięki udoskonaleniu Matematyki, lecz dzięki właściwym przekształceniom Wszechświata! Panie i Panowie, ta największa ze wszystkich herezji, jakie spotkałem w życiu, urzekła mnie. Gdyż co takiego mówi właściwie Acheropoulos dalej w tymże rozdziale: ni mniej, ni więcej, tylko że fizyka Uniwersum jest skutkiem jego - to znaczy, Kosmosu - socjologii... Ale żeby właściwie zrozumieć takie horrendum, musimy cofnąć się do szeregu spraw podstawowych. Samotność myśli Acheropoulośa nie ma sobie równych w historii rozumu. Idea Nowej Kosmogonii wyłamuje się - wbrew pozorom plagiatawom, o jakich mówiłem - zarówno z porządków wszelkiej metafizyki, jak i wszelkiej metody przyrodoznawstwa. Wrażenie obcowania z plagiatem jest winą czytelnika: jego myślowej bezwładności. Czysto odruchowo sądzimy bowiem, że cały materialny świat ostro podlega takiej dychotomii logicznej: albo został stworzony przez Kogoś (a wtedy, stojąc na gruncie wiary, zwiemy tego Kogoś - Absolutem, Bogiem, Duchem Sprawczym) - albo też nie został

przez nikogo stworzony: a wówczas znaczy to, tym samym, gdy zajmujemy się światem jako uczeni - że go nikt nie stworzył. Otóż Acheropoulos powiedział: Tertium Datur. Świat nie został stworzony przez Nikogo, lecz został jednak sporządzony; Kosmos posiada Sprawców. Dlaczego Acheropoulos nie miał żadnego poprzednika? Podstawowa jego myśl jest wcale prosta - i nie odpowiada prawdzie to, jakoby nie można jej było wyartykułować przed powstaniem takich dyscyplin, jak teoria gier lub algebra struktur konfliktu. Jego myśl fundamentalną można było wypowiedzieć jeszcze w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku, a bodaj i wcześniej. Czemu nikt więc tego nie zrobił? Jak przypuszczam, dlatego, ponieważ nauka, wyzwalając się, w trakcie prac oswobodzicielskich, spod jarzma dogmatu religijnego, nabyła swoistej alergii pojęciowej. Pierwotnie Nauka zderzała się z Wiarą, co dawało znane, często okropne skutki, których Kościoły po dziś dzień co nieco się wstydzą, i to, chociaż Nauka wybaczyła im milcząco dawniejsze prześladowania. W końcu doszło do stanu ostrożnej neutralności między Nauką i Wiarą: jedna stara się nie wchodzić drugiej w parady. Skutkiem owej koegzystencji, dość drażliwej, dość naprężonej, stało się zaślepienie nauki - widome jako omijanie przez nią miejsca, w którym spoczywała idea Nowej Kosmogonii. Idea ta wiąże się ściśle z pojęciem Intencjonalności, czyli z tym, które jest niepozbywalne dla wiary w Boga osobowego, bo stanowi jej opokę. Przecież, podług religii, Bóg stworzył świat aktem woli i zamysłu, to znaczy - aktem intencjonalnym. Tym samym Nauka uznała owo pojęcie za podejrzane, a wręcz nawet zakazane. Stało się ono w niej tabu. Na terenie nauki nie wolno było się o nim nawet zająknąć, z obawy przed popadnięciem w śmiertelny grzech odchylenia irracjonalistycznego. Ten lęk zagwoździł nie tylko usta, lecz i mózgi uczonych. Zaczniemy teraz niejako jeszcze raz od początku. W końcu lat siedemdziesiątych XX wieku zagadka Silentium Universi zdobyła niejaką sławę. Interesował się nią najszerszy ogół. Po pierwszych, wstępnych próbach odebrania sygnałów kosmicznych (były to prace Drake'a w Green Bank), przysły następne projekty - realizowane tak w ZSRR, jak i w USA. Lecz Uniwersum, wysłuchiwane najsubtelniejszymi aparatami elektromagnetycznymi, zachowywało uporczywie milczenie, pełne jedynie szumu i trzasku żywiołowych wyładowań gwiazdnej energii. Kosmos objawiał swą martwość - we wszystkich naraz czeluściach. Nieobecność sygnałów „Innych”, a zarazem brak śladu ich astroinżynierskich prac stawały się udręką nauki. Biologia wykryła naturalne warunki, sprzyjające narodzinom życia z materii martwej. Udało się nawet laboratoryjnie doprowadzić do biogenezy. Astronomia wykryła częstość planetogenezy, mnóstwo gwiazd posiada - jak ustalono niezbitnie - rodziny planetarne. Tak więc nauki schodziły się w jednogłośnym twierdzeniu, że życie rodzi się w toku naturalnych przemian kosmicznych, że jego ewolucja winna

być pospolitym zjawiskiem Wszechświata, i zwieńczenie ewolucyjnego drzewa przez rozum organicznych istot uznano za prawidłowość przyrodniczą. Nauki sporządziły więc obraz Kosmosu zamieszkanego, a zarazem twierdzeniom tym uparcie przeczyły fakty obserwacyjne. Podług teorii otaczał Ziemię - co prawda w gwiezdnych oddaleniu - tłum cywilizacji. Podług praktyki obserwacyjnej ziała wokół nas martwa głusza. Pierwsi badacze problemu zakładali, że przeciętna odległość pomiędzy dwiema cywilizacjami kosmicznymi wynosi od 50 do 100 lat świetlnych. Dystans ten hipotetycznie zwiększono potem do 1000. W latach siedemdziesiątych radioastronomia tak się udoskonaliła, że można było szukać sygnałów idących z dziesiątka tysięcy lat świetlnych: lecz i tam rozlegał się jedynie szum słonecznych pożarów. W ciągu siedemnastu lat trwałych nasłuchów nie wyłowiono z nich ani jednego sygnału, ani jednego znaku, dającego podstawy do przypuszczenia, że stoi za nim rozumny zamysł. Acheropoulos powiedział sobie wtedy: fakty na pewno są prawdziwe, bo one stanowią fundament poznania. Czy być może, aby fałszywe były wszystkie teorie wszystkich nauk - żeby i chemia organiczna, i biochemia syntez, i biologia teoretyczna z ewolucyjną, planetologia, astrofizyka - co do jednej pozostawały w błędzie? Nie: aż tak wszystkie, aż tak bardzo nie mogą się mylić. A zatem: fakty, jakie dostrzegamy (czy: jakich nie dostrzegamy), widocznie wcale teoriom nie przeczą. Potrzebna jest nowa reinterpretacja zbioru danych i zbioru uogólnień. Tej syntezy właśnie się podjął. Wiek Kosmosu i jego rozmiary musiała nauka ziemską wielokrotnie rewidować w ciągu XX stulecia. Kierunek zmian był taki sam zawsze: nie doceniano właściwie ani starości, ani rozmiarów Uniwersum. Gdy Acheropoulos przystępował do pisania „Nowej Kosmogonii”, wiek i wielkość Wszechświata podlegały kolejnej rewizji: trwanie Kosmosu oceniano na co najmniej 12 miliardów lat; jego rozmiary widome - na 10 do 12 miliardów lat świetlnych. Otóż wiek systemu słonecznego wynosi około pięciu miliardów lat. Tak więc ten system nie należy do pierwszej generacji gwiazd, jaką zrodziło Uniwersum. Pierwsza generacja powstała daleko wcześniej, właśnie około dwunastu miliardów lat temu. W interwale czasowym, dzielącym powstanie owej pierwszej generacji od powstawania następnych pokoleń słońc, tkwi klucz zagadki. Doszło bowiem do rzeczy tyleż dziwnej, co zabawnej. Tego, jak może wyglądać, czym się może zajmować, jakie cele może stawiać sobie cywilizacja, rozwijająca się od miliardów lat (a właśnie o tyle muszą być starsze od ziemskiej cywilizacji „pierwszego pokolenia”!) - tego nikt nie umiał sobie przedstawić nawet w najśmielszym rojeniu. To, czego nikt sobie nie umiał wyobrazić, jako rzecz nader niewygodna uległo tedy kompletnemu zignorowaniu. W samej rzeczy: żaden z badaczy problemu psychozoików kosmicznych nie napisał ani jednego słowa o tak długowiecznych cywilizacjach. Najodważniejsi powiadali

czasem, że, być może, kwasary, pulsary - to objawy robót najpotężniejszych cywilizacji kosmicznych. Lecz prosty rachunek ukazywał, że Ziemia, gdyby się rozwijała aktualnymi tempami, mogłaby osiągnąć poziom tak skrajnych robót „astroinżynieryjnych” w przeciągu kilku tysięcy nadchodzących lat. Co jednak miałyby nastąpić potem? Co może czynić cywilizacja trwająca miliony razy dłużej? Astrofizycy, zajmujący się takimi kwestiami, uznali, że takie cywilizacje nic nie robią, jako że nie istnieją. Co się z nimi stało? Astronom niemiecki, Sebastian von Hoerner, twierdził, że wszystkie one dokonały samobójstwa. Chyba tak, skoro ich nigdzie nie widać! Ależ nie, odpowiedział Acheropoulos: nie widać ich nigdzie? To my tylko ich nie dostrzegamy, ponieważ one są już wszędzie. To jest, nie one - lecz owoce ich działania. Dwanaście miliardów lat temu, a, wówczas tak, wtedy przestwór był martwy - i rodziły się w nim pierwsze zalążki życia na planetach pierwszej gwiazdnej generacji. Lecz po upływie eonów nie pozostało nic z tamtej kosmicznej pierwociny. Jeżeli uznawać za „sztuczne” to, co przekształcone przez aktywny Rozum, to cały Kosmos, jaki nas otacza, już jest sztuczny. Tak zuchwała herezja budzi natychmiastowy sprzeciw: wiemy przecież, jak wyglądają obiekty „sztuczne”, produkowane przez Rozum, zajmujący się instrumentalnymi robotami! Gdzież pojazdy, gdzie molochoy maszynowe, gdzie - jednym słowem - tytaniczne technologie istot, co mają nas otaczać i stanowić gwiaździste niebiosy? Lecz to jest błąd wywołany inercją myśli, gdyż technik instrumentalnych potrzebuje tylko - powiada Acheropoulos - cywilizacja tkwiąca w embrionalnej fazie - jak ziemską. Cywilizacja miliardoletnia nie używa żadnych. Jej narzędziem jest to, co my nazywamy Prawem Natury. Sama Fizyka stanowi „maszynę” takich cywilizacji! I to nie „gotową maszynę”: nic podobnego. „Maszyna” ta (oczywiście z maszynami mechanicznymi nie ma ona nic wspólnego) powstaje od miliardów lat i jej budowa, choć wielce zaawansowana, jeszcze się nie zakończyła! Zuchwalstwo tego bluźnierstwa, jego potwornie rebeliancki smak, wytrąca wprost książkę Acheropoulosa z ręki czytającego - tak było na pewno z niejednym. A to przecież tylko pierwszy krok na drodze dalszych odstępstw autora, największego herezjarchy w dziejach nauki. Acheropoulos likwiduje różnicę między „naturalnym” (wytworem Przyrody) i „sztucznym” (wytworem techniki), idąc tak daleko, że znosi różnicę bezwzględną pomiędzy Prawem Stanowionym (jurydycznym) a Prawem Natury... Neguje sąd, jakoby podział dowolnych obiektów na sztuczne i naturalne z pochodzenia był obiektywną własnością świata. Uważa ten sąd za podstawową aberrację myśli, wywołaną efektem, jaki zwie „zamknięciem pojęciowego horyzontu”. Człowiek podpatruje przyrodę - powiada - i uczy się u niej działania; podgląda spadek ciał, pioruny, procesy spalania, Przyroda zawsze jest Nauczycielem, a on - Uczniem; po jakimś czasie poczyną wręcz imitować procesy

własnego ciała. Biologią bierze u niego korepetycje, lecz i wtedy, tak samo, jak jaskiniowiec, nadal uważa Przyrodę za stan graniczny doskonałości rozwiązań: mniema, iż kiedyś, kiedyś, być może prawie doścignie Naturę w perfekcji działania, ale to już będzie kres drogi. Dalej iść niepodobna, bo to, co istnieje jako atomy, jako słońca, jako ciała zwierząt, jego własny mózg - to jest w budowie nieprześcignione po wieczność. Naturalne stanowi tedy granicę ciągu prac, które je „sztucznie” powtarzają i modyfikują. Oto błąd perspektywy, mówi Acheropoulos, czyli „zamknięcie pojęciowego horyzontu”. Sama koncepcja „doskonałości Przyrody” jest złudzeniem, jak złudzeniem jest obraz szyn schodzących się na widnokręgu. Przyrodę można zmienić we wszystkim, oczywiście, dysponując po temu odpowiednią wiedzą; można sterować atomami, a potem można odmieniać i własności atomów; lepiej przy tym wcale nie rozważać, czy to, co będzie „sztucznym” wynikiem takich prac, okaże się „bardziej doskonałe” od tego, co było dotąd - „naturalne”. Będzie to po prostu Inne - podług planu i zamiaru Działających Stron; będzie o tyle „lepsze”, tj. „doskonalsze”, że ukształtowane zgodnie z zamysłem Rozumu. Lecz jaką „absolutną lepszość” mogłaby przejawiać kosmiczna materia po jej totalnym zrekonstruowaniu? Możliwe są „różne Kosmosy”, „różne Kosmosy”, ale urzeczywistniony został tylko jeden, konkretny wariant, ten, który nas zrodził, w którym egzystujemy; to wszystko. Tak zwane „Prawa Natury” są nienaruszalne tylko dla cywilizacji „płodowej”, jak ziemską. Podług Acheropoulosa droga wiedzy ze szczybla, na którym się prawa Natury wykrywa, ku szczyblowi, na którym prawa takie można ustanawiać. To właśnie zaszło - i zachodzi - od miliardów lat. Obecny Kosmos już nie jest polem gry sił żywiołowych, nietkniętych, ślepo rodzących i niszczących słońca czy ich systemy; nic podobnego. W Kosmosie nie da się już odróżnić tego, co „naturalne” (pierwotne), od tego, co „sztuczne” (przetworzone). Kto dokonał tych robót kosmogonicznych? Pierwsze pokolenie cywilizacji. W jaki sposób? Tego nie wiemy: nasza wiedza jest zbyt znikoma. Skąd więc i po czym można poznać, że tak jest właśnie? Gdyby pierwsze cywilizacje - odpowiada Acheropoulos - były w swoich poczynaniach od początku swobodne, tak jak był swobodny Stwórca Kosmosu w wyobrażeniu religii - to, istotnie, zjawisk przemiany, co zaszła, nigdy nie potrafilibyśmy rozpoznać. Bóg stworzył przecież świat, za religiami, czystym aktem intencjonalnym, w całkowitej wolności; lecz sytuacja Rozumu była inna; cywilizacje powstały ograniczone własnościami pierwotnej materii, co je zrodziła; te własności uwarunkowały ich kolejne czyny; po tym, jak się owe cywilizacje zachowują, można, w upośrednieniu, rozpoznać, jakie były startowe warunki Kosmogonii Psychozoicznej. Nie jest to rzeczą łatwą: albowiem, cokolwiek zaszło, cywilizacje nie wyszły nie zmienione z prac transformowania Wszechświata: stanowiąc jego części, nie mogły tym

samym odmieniać go, siebie nie tykając. Acheropoulos posługuje się takim modelem pogładowym: gdy na pożywce agarowej osadzimy kolonie bakterii, można zrazu rozróżnić pomiędzy wyjściowym („naturalnym”) agarem i tymi koloniami. Z czasem jednak procesy życiowe bakterii zmieniają agarowe środowisko, wprowadzając w nie jedne substancje, pochłaniając inne, tak że skład podścieliska, jego kwasowość, jego konsystencja ulega przekształceniom. Gdy zaś wskutek owych przemian - nowymi chemizmami obdarzony agar spowoduje powstanie nowych odmian bakterii, do niepoznaki wręcz przetworzonych względem rodzicielskich generacji, te nowe odmiany nie są niczym innym, jak skutkiem „biochemicznej gry”, co się toczyła pomiędzy wszystkimi koloniami naraz - a podłożem. Te późne odmiany bakterii nie powstałyby, gdyby wcześniejsze nie przemieniły środowiska; więc te późne są skutkami samej gry. A przytem pojedyncze kolonie wcale nie muszą się bezpośrednio ze sobą kontaktować; wpływają na siebie, lecz tylko poprzez osmozę, dyfuzję, przesunięcia równowagi kwasowo-zasadowej w podścielisku. Jak widać, wstępnie powstająca gra ma tendencję do znikania - bo zastępują ją jakościowo nowe, pierwotnie nie istniejące formy rozgrywki. Podstawcie za agar - Prakosmos, a za bakterie - Pracywilizację, a otrzymacie uproszczony obraz Nowej Kosmogonii. To, co dotychczas powiedziałem, jest ze stanowiska wiedzy, nagromadzonej historycznie, całkowicie obłądne. Nic jednak nie może nam wzbronąć przeprowadzania myślowych eksperymentów z najdowolniejszymi założeniami, byle były one logicznie niesprzeczne. Kiedy więc przystajemy na obraz Kosmosu-Gry, powstaje szereg pytań, na które trzeba udzielić niesprzecznych odpowiedzi. Są to pytania o stan początkowy przede wszystkim: czy możemy cokolwiek wnosić o nim, czy możemy dojść wnioskowaniem warunków wyjściowych Gry? Acheropoulos sądził, że to jest możliwe. Po to, aby w nim powstała Gra, musiał Prakosmos posiadać określone własności. Musiał być taki na przykład, aby mogły w nim powstać pierwsze cywilizacje: a zatem nie był fizycznym chaosem, lecz podlegał jakimś prawidłowościom. Te prawidłowości nie musiały jednak być uniwersalne, to jest wszędzie takie same. Prakosmos mógł być niejednorodny fizycznie, mógł stanowić jakby mieszaninę różnopościowych fizyk, nie w każdym miejscu tożsamy i nawet nie w każdym miejscu tak samo dookreślonych (procesy, zachodzące pod władzą niedookreślonej fizyki, nie przebiegają zawsze tak samo, chociaż ich startowe warunki mogą być analogiczne). Acheropoulos założył, że Prakosmos był właśnie taki „łaciaty” fizycznie i że cywilizacje powstać mogły tylko w jego nielicznych miejscach, znacznie od siebie oddalonych. Acheropoulos wyobrażał sobie Prakosmos jako fizyczny odpowiednik plastra pszczelego; czym w plastrze komórki, tym w Prakosmosie miały być regiony czasowo ustabilizowanej fizyki, odmiennej wszakże od fizyki regionów sąsiednich. Każda cywilizacja,

rozwijając się w takim zamknięciu, w izolacji od innych, mogła sądzić, że jest samotna w całym Uniwersum, a rosnąc w energię i wiedzę, starała się nadawać otoczeniu cechy stabilności, i to w rosnącym promieniu. Gdy się to jej udawało, po bardzo długim czasie cywilizacja taka zaczynała się stykać - swoimi odśrodkowymi pracami - z fenomenami, które nie były już tylko naturalną żywiołowością otaczającej czasoprzestrzeni, lecz były przejawami prac innej cywilizacji. Tak właśnie kończyła się, podług niego, pierwsza faza Gry, faza wstępna. Cywilizacje nie kontaktowały się bezpośrednio, lecz zawsze tylko tak, że fizyka, ustanowiona przez jedną, natrafiała podczas ekspansji na fizyki sąsiednich. Fizyki te nie mogły przechodzić w siebie bezkolizyjnie, ponieważ nie były tożsame; a nie były tożsame, ponieważ nie były takie również warunki startowe bytowania każdej oddzielnie wziętej cywilizacji. Zapewne, sądził Acheropoulos, poszczególne cywilizacje nie zdawały sobie przez dłuższy czas sprawy z tego, że nie wnikają już dłużej, swymi pracami, w materialny żywioł całkowicie obojętny, ale że się stykają ze sferami intencjonalnie poczętych robót - innych cywilizacji. Do zrozumienia tego stanu rzeczy doszło stopniowo. Ustalenia te, które nie zachodziły na pewno jednocześnie, otwały następną, drugą fazę Gry. Pragnąc uprawdopodobnić tę hipotezę, Acheropoulos przytacza w „Nowej Kosmogonii” szereg wymagowanych scen, ilustrujących ową epokę kosmiczną, kiedy to niejednakowe w naczelnym prawach Fizyki ścierały się z sobą, a fronty ich zderzeń stanowiły gigantyczne erupcje i pożary, bo wyzwalaly się w nich olbrzymie ilości energii - w anihilacjach i transformacjach różnej postaci. Miały to być kolizje tak potężne, że ich echo do dziś dnia jeszcze drga w Uniwersum - jako tak zwane promieniowanie residualne (śladowe), które astrofizyka rozpoznała w latach sześćdziesiątych i przypuszczała, iż są to ostatnie resztki udarowych fal, wywołanych eksplozywnym powstaniem Kosmosu z jego niemal punktowej zarodzi. Albowiem taki wybuchowy model kreacji był podówczas uważany przez wielu za wiarygodny. Lecz po dalszych eonach cywilizacje, każda niejako na własną rękę, doszły tego, że prowadzą antagonistyczną Grę nie z żywiołem Natury, lecz - bezwiednie - z innymi cywilizacjami; otóż tym, co określiło ich dalsze strategie, był fakt zasadniczej niekomunikowalności, braku łączności z innymi, ponieważ nie można z obszaru jednej Fizyki przesłać żadnej informacji w obszar innej. Każda z nich musiała więc działać w pojedynkę; kontynuacja dotychczasowej taktyki byłaby bezprzedmiotowa lub wręcz zgubna; zamiast trwonić wysiłki we frontalnych zderzeniach, należało się zjednoczyć, ale bez jakiegokolwiek porozumienia wstępnego. Decyzje takie, powzięte znów niejednocześnie, doprowadziły przecież w końcu do przejścia Gry w jej fazę trzecią, która toczy się jeszcze teraz. Albowiem praktycznie cały zbiór psychozoików Wszechświata prowadzi grę zarazem solidarystyczną i normatywną.

Członkowie tego zbioru zachowują się niczym załogi okrętów, lejących podczas burzy oliwę na rozhukane fale; jakkolwiek nie uzgodniły tego postępowania, będzie ono przecież korzystne dla wszystkich. Każdy gracz działa więc podług strategii minimaksowej: istniejące warunki zmienia tak, by maksymalizować pospólną korzyść, a minimalizować szkodę. Dlatego aktualny Kosmos jest homogeniczny i izotropowy (zarządzają nim te same prawa i nie ma w nim wyróżnionych kierunków). Własności, jakie Einstein wykrył w Uniwersum, są rezultatami decyzji podjętych z osobna, lecz tożsamy ze względu na tożsamą sytuację graczy, ale tożsama była ich sytuacja strategiczna na początku, a niekoniecznie - fizyczna. To nie jednorodna Fizyka zrodziła strategię Gry. Na odwrót się stało: to jednorodna strategia minimaksowa zrodziła jedyną Fizykę. Id fecit Universum, cui prodest. Panie i Panowie, podług naszej najlepszej wiedzy wizja Acheropouloza odpowiada zarysom rzeczywistości, jakkolwiek zawiera szereg uproszczeń oraz błędów. Acheropoulos zakładał, że w obrębie różnych Fizyk może powstać ten sam typ logiki. Gdyby bowiem cywilizacja A1, zrodzona w „kosmicznej komórce” A, miała inną logikę niż cywilizacja B1, powstała w „komórce” B, to nie mogłyby obie posługiwać się tą samą strategią, a tym samym - ujednorodnić swoich Fizyk. Zakładał tedy, że nietożsame Fizyki przecież mogą spowodować powstanie jedynej Logiki - inaczej nie umiał sobie wytłumaczyć tego, co zaszło kosmicznie. W intuicji tej tkwi ziarnko prawdy, ale sprawa jest bardziej skomplikowana, niż on sądził. Odziedziczyliśmy po nim program domagający się zrekonstruowania strategii Gry - dzięki wykonaniu „odwrotnego zadania”, albowiem, wychodząc od aktualnej Fizyki, staramy się dojść tego, co ją - jako decyzje Graczy - spowodowało. Zadanie to jest utrudnione przez fakt, że przebiegu zdarzeń nie można sobie wyobrazić jako liniowego ciągu: jakoby Prakosmos zdeterminował Grę, która, z kolei, zdeterminowała aktualną Fizykę. Ten, kto zmienia Fizykę, tym samym przekształca samego siebie, czyli tworzy zwrotne sprzężenie między transformacjami otoczenia i autotransformacją. To główne niebezpieczeństwo Gry spowodowało szereg taktycznych manewrów Graczy, bo musieli zdawać sobie z niego sprawę. Dążyli do przekształceń takich, by nie były radykalne powszechnie - czyli, by uniknąć wszechrelatywizmu, sporządzili Fizykę hierarchiczną. Fizyka hierarchiczna jest „nietotalna”: nie ulega na przykład wątpliwości, że mechanika pozostałaby nie naruszona nawet, gdyby materia w swojej warstwie atomowej nie miała własności kwantowych. Znaczący to, że poszczególne „poziomy” rzeczywistości posiadają ograniczoną suwerenność, czyli że nie wszystkie prawa danego poziomu muszą ulec zachowaniu po to, aby nad nim mógł powstać poziom następny. Znaczący to, że Fizykę można zmieniać „po trosze” i że nie każda zmiana grupy praw równa się zmianie całej Fizyki na wszystkich poziomach zjawisk. Tego rodzaju

kłopoty Graczy czynią prosty, piękny obraz Gry, jaki sporządził Acheropoulos - jako historii trójfazowej - nieprawdopodobnym. Acheropoulos domyślał się, że zachodzące w toku Gry „docieranie się” różnych Fizyk musiało unicestwić część Graczy - bo nie wszystkie wyjściowe stany były przywiedlne do jednolitości. Zamiar zniszczenia Partnerów, usytuowanych niekorzystnie, wcale nie musiał patronować poczynaniom innych Graczy. O tym, kto miał przetrwać, a kto szczeznąć, zadecydował czysty przypadek, obdarzający różne cywilizacje rozmaitymi otoczeniami - wedle zasady losowości. Acheropoulos przypuszczał, że ostatnie pożary owych straszliwych „walk”, w których kolidowały z sobą rozmaite Fizyki, możemy jeszcze dostrzec w postaci kwazarów, wydzielających energię rzędu 10^{63} ergów, energię, jakiej nie może wyzwolić żaden ze znanych nam procesów fizycznych, w tak względnie małej przestrzeni, jaką zajmuje kwazar. Myślał, że patrząc na kwazary, widzimy to, co działo się od 5 do 6 miliardów lat temu, w drugiej fazie Gry, bo właśnie tyle czasu pochłania bieg światła mknącego od kwazarów ku nam. Mylił się w takich hipotezach. Kwazary uważamy za zjawiska innego rzędu. Trzeba zrozumieć, że Acheropoulos nie miał danych, które umożliwiłyby mu rewizję takich poglądów. Całościowa rekonstrukcja początkowej strategii Graczy jest dla nas niemożliwa; uprawiać wsteczną retrospekcję potrafimy tylko do miejsca, w którym Gracze działali - mówiąc grubo - tak mniej więcej, jak dziś. Jeżeli Gra posiadała krytyczne punkty, wymuszające zasadniczą zmianę strategii, retrospekcja nie może się już cofać poza pierwszy taki punkt. A zatem nie umiemy dowiedzieć się niczego pewnego o Prakosmosie, co wydał Grę. Gdy jednak spoglądamy w Kosmos obecny, dostrzegamy w nim - wcielone w jego strukturę - główne kanony strategii, jaką się posługują Gracze. Kosmos rozszerza się trwale; posiada szybkość graniczną, czyli barierę świetlną; prawa jego Fizyki są wprawdzie symetryczne, ale to nie jest symetria doskonała; jest zbudowany „koagulacyjnie i hierarchicznie” - jako złożony z gwiazd, co się skupiają w gromady, te z kolei tworzą Galaktyki, zgrupowane w lokalne zgęszczenia, i wreszcie wszystkie owe zgęszczenia tworzą Metagalaktykę. Nadto posiada Kosmos całkowicie asymetryczny czas. Takie są fundamentalne rysy budowy Uniwersum: dla każdego z nich znajdujemy dogłębne wyjaśnienie w strukturze Gry Kosmogonicznej, Gry, pozwalającej nam pojąć zarazem, dlaczego jednym z jej kanonów naczelnych musi być przestrzeganie Silentium Universi. A zatem: dlaczego Kosmos jest urządzony tak właśnie? Gracze wiedzą, że w toku gwiazdnej ewolucji powstają nowe planety i nowe cywilizacje, więc dbają o to, by ci kandydaci na przyszłych Graczy, jakimi są młode cywilizacje, nie mogli naruszyć równowagi Gry. Dlatego Kosmos się rozszerza: gdyż tylko w takim Kosmosie, mimo że powstają w nim wciąż nowe cywilizacje, rozdzielający je dystans pozostaje

wielkością stałą. Porozumienie wiodące do „zmowy”, do powstania lokalnej koalicji nowych Graczy mogłoby jednak zajść i w takim, rozszerzającym się Kosmosie, gdyby nie miał wbudowanej bariery szybkości działań na odległość. Wyobraźmy sobie Kosmos o Fizyce zezwalającej na powiększenie szybkości rozchodzenia się działań w prorocji do zainwestowanej energii. W takim Kosmosie ten, kto by dysponował energią pięć razy większą od wszystkich innych, mógłby pięć razy szybciej informować się o stanie innych i z tą samą przewagą zadawać im ciosy. W takim Kosmosie powstaje szansa zmonopolizowania władzy nad jego Fizyką i nad wszystkimi innymi partnerami Gry. Taki Kosmos niejako zachęca do emulacji, do energetycznego współzawodnictwa, do urastania w potęgę. Otóż w realnym Kosmosie po to, by przekroczyć szybkość światła, trzeba energii nieskończenie wielkiej: inaczej mówiąc, bariery tej w ogóle nie można przebić. Tak więc nie popłaca w nim urastanie w moc energetyczną. Podobna jest motywacja asymetrii upływu czasu. Gdyby czas był odwracalny i gdyby odwrócenie jego biegu było do urzeczywistnienia dzięki dostatecznej inwestycji środków i mocy, można by znów zdominować partnerów, tym razem dzięki szansie anulowania każdego z ich ruchów. A więc zarówno Kosmos nie rozszerzający się, jak Kosmos bez bariery szybkości i wreszcie - Kosmos z odwracalnym czasem - nie pozwalają na pełną stabilizację Gry. Tymczasem szło właśnie o to, by ją stabilizować normatywnie: do tego sprowadzają się ruchy Graczy, wcielone w strukturę materii. Jest przecież rzeczą jasną, że udaremnienie wszelkiej perturbacji i wszelkiej agresji Fizyką ustanowioną to środek daleko pewniejszy i bardziej radykalny niż wszystkie inne sposoby zabezpieczające (np. za pomocą praw stanowionych, zagrożeń, nadzoru, przymusu, restrykcji, kar). Wskutek tego Kosmos stanowi ekran pochłaniający wszystkich, co dorastają do poziomu Gry, aby w niej brać pełnoprawny udział. Zastają bowiem reguły, którym muszą się podporządkować. Gracze udaremnili sobie łączność semantyczną, ponieważ porozumiewają się metodami uniemożliwiającymi złamanie reguł Gry: o ich zgodzie świadczy sama ustanowiona jedność Fizyki. Gracze udaremnili skuteczną łączność semantyczną, ponieważ utworzyli i utrwalili pomiędzy sobą takie dystanse, że czas zdobycia strategicznie ważnej informacji o stanie innych Graczy jest zawsze większy niż czas ważności aktualnej taktyki Gry. Gdyby więc ktoś z nich nawet „rozmawiał” z sąsiednimi Partnerami, to uzyska wiadomości zawsze zdezaktualizowane w momencie ich zdobycia. A zatem w Kosmosie nie ma żadnych możliwości powstawania antagonistycznych ugrupowań, konspirowania, tworzenia centrów władzy lokalnej, koalicji, zmów itp. Dlatego Gracze nie odzywają się do siebie: sami to sobie udaremnili. Był to jeden z kanonów ustabilizowania Gry - więc i Kosmogonii. Oto wyjaśnienie części zagadki Silentium Universi. Nie możemy podsłuchać rozmów Graczy,

ponieważ milczą zgodnie z rachubą strategiczną. Acheropoulos zdołał odgadnąć ten stan rzeczy. O jego sumienności świadczy zawarta w „Nowej Kosmogonii” antycypacja zarzutów, jakie może budzić ten obraz Gry. Sprowadzają się one do podkreślenia monstrualnej dysproporcji pomiędzy miliardoletnim trudem, jakoby zainwestowanym w przebudowę całego Wszechświata, a efektami tej przebudowy, która ma na celu spacyfikowanie Wszechświata - wbudowaną weń Fizyką. Jak to - mówi wyimaginowany przezeń krytyk - więc miliardy lat kulturowego rozwoju jeszcze nie wystarczą społecznościom tak niepojęcie długowiecznym, aby samorzutnie zrezygnowały z wszelkich form agresji, tak iż Pax Cosmica musi być gwarantowana umyślnie przerobionymi po temu Prawami Natury? Więc wysiłek, który mierzy się energiami, bijącymi moc milionów Galaktyk naraz, nie ma na celu niczego innego oprócz ustanowienia barier i restrykcji wojennego działania? Odpowiadał na to: ten typ Fizyki, która spacyfikowała Kosmos, był podczas narodzin Gry koniecznością, albowiem tylko jedyna strategia mogła ujednorodnić Uniwersum fizycznie; w przeciwnym razie ogromne jego połacie pochłonąłby chaos ślepych kataklizmów. Warunki egzystencji były w Prakosmosie daleko sroższe niż dziś, życie powstawać mogło w nim na prawach „wyjątku i reguły” i, losowo zrodzone, losowo w nim ginęło. Rozszerzająca się Metagalaktyka; jej asymetryczny upływ czasu; jej strukturalna hierarchia - wszystko to musiało być wstępnie ustalone; był to minimalny ład, niezbędny dla utworzenia pola prac następnych. Acheropoulos rozumiał, że skoro ta faza przekształceń stanowi historię bytu, Gracze winni mieć przed sobą jakieś nowe, dalekosiężne cele, i chciał do nich dotrzeć. To mu się niestety nie udało. Dotykamy tutaj rozdarcia, zatajonego w jego systemie. Acheropoulos starał się bowiem ogarnąć Grę nie poprzez rekonstrukcję jej formalnej struktury, tj. logicznie, lecz poprzez stawianie się w sytuacji Graczy, tj. psychologicznie. Człowiek nie może jednak dojść ich psychologii, tak samo jak ich kodeksu etycznego; brak mu do tego danych; nie możemy sobie wystawić, co myślą, co czują, czego łakną Gracze, tak samo, jak nie można budować Fizyki, wystawiając sobie, co to znaczy, kiedy „istnieje się jako elektron”. Immanencja bytu Gracza jest dla nas nieosiągalna tak samo, jak immanencja elektronowego bytu. To, że elektron stanowi martwą cząstkę procesów materii, a Gracz przedstawia istotę rozumną, więc ponoć taką jak my, nie ma istotnego znaczenia. Mówię o rozdarciu Acheropoulosowego systemu, ponieważ Acheropoulos wyraźnie oświadcza w pewnym miejscu „Nowej Kosmogonii”, że motywów Graczy nie da się odtworzyć w oparciu o introspekcję. Wiedział o tym, a jednak uległ stylowi myślenia, jaki go ukształtował, ponieważ filozof stara się najpierw zrozumieć, a potem generalizować; dla mnie było atoli od początku oczywiste, że tak tworzyć obrazu Gry nie wolno. Rozumiejący

pogląd zakłada spojrzenie na całość Gry z zewnątrz, czyli z takiego stanowiska obserwacyjnego, którego nie ma i nigdy nie będzie. Intencjonalnych działań wcale nie trzeba utożsamiać z motywacją psychologiczną. Etyka Graczy nie powinna być uwzględniona przez analityka Gry tak samo, jak osobista etyka dowódców wojskowych nie musi być uwzględniona przez historyka-batalistę, studiującego logikę strategiczną frontowych ruchów podczas wojny. Obraz Gry jest decyzyjną strukturą, uwarunkowaną przez stan Gry i stan otoczenia, a nie wypadkową indywidualnych kodeksów wartości, zachceń, pragnień czy norm, wyznawanych przez poszczególnych Graczy. To, iż grają w tę samą Grę, bynajmniej nie oznacza, jakoby pod każdym innym względem musieli być do siebie podobni! Mogą być akurat tak podobni, jak człowiek do maszyny, z którą gra w szachy. Toteż wcale nie jest wykluczone, że istnieją Gracze, w biologicznym rozumieniu martwi, powstałe w toku niebiologicznego rozwoju, jak również Gracze, którzy są syntetycznymi płodami sztucznie zapoczątkowanej ewolucji - lecz rozważania takich jakości nie mają prawa wstępu na teren teorii Graczy. Najcięższym dylematem Acheropouloosa było *Silentium Universi*. Ogólnie znane są jego dwa prawa. Pierwsze głosi, że żadna cywilizacja niższego poziomu nie może wykryć Graczy, ponieważ nie tylko milczą, ale ich postępowanie niczym się nie odcina od kosmicznego tła, a to, albowiem ono jest tym tłem właśnie. Drugie prawo Acheropouloosa powiada, że Gracze nie zwracają się do młodszych cywilizacji z komunikatami opiekuńczo-pomocniczymi, ponieważ konkretnie adresować takich komunikatów nie mogą, a bezadresowo ich wysyłać nie chcą. Po to, by nadać informację adresowaną, trzeba pierwiej rozpoznać stan, w jakim się znajduje adresat; lecz to udaremnia właśnie pierwsza zasada Gry, ustanawiająca barierę działania czasoprzestrzennego. Jak wiemy, każda informacja uzyskana - o stanie innej cywilizacji - musi być pełnym anachronizmem w chwili jej odebrania. Ustanowiwszy swoje bariery, tym samym Gracze uniemożliwili sobie rozpoznawanie stanów innych cywilizacji. Beadresowe zaś nadawanie komunikatów przynosi zawsze znacznie więcej szkody niż pożytku. Acheropoulos dowodzi tego w oparciu o eksperymenty, jakie przeprowadzał nadawanie wiadomości. W samej rzeczy taka emisja rzadko kiedy ma dodatnią wartość dla odbiorcy. Przeważnie albo nadchodzący komunikat jest niezrozumiały (teoria względności w 1860 roku), albo jest nieużytkowalny (teoria lasera w roku 1878), albo jest wręcz szkodliwy (teoria atomowej energetyki w roku 1939). Tak więc Gracze milczą, ponieważ - podług Acheropouloosa - dobrze życzą młodszym cywilizacjom. Argumentacja taka odwołuje się zatem do etyki. Już przez to nie jest niezawodna. Twierdzenie, jakoby cywilizacja musiała się stawać tym doskonalsza etycznie, im jest bardziej rozwinięta instrumentalnie i naukowo, zostaje naraz wprowadzone w teorię Gry z zewnątrz. Teoria

Kosmogonicznej Gry nie może być tak budowana; albo *Silentium Universi* wynika ze struktury Gry nieuchronnie, albo samo istnienie Gry trzeba podać w wątpliwość. Hipotezy ad hoc nie mogą uratować jej wiarygodności. Acheropoulos zdawał sobie z tego sprawę: problem ten nękał go bardziej dotkliwie, niż całe zapoznanie, jakiego doświadczył. Dołącza tedy do „hipotezy moralnej” inne, jednakowoż nie ma takiej ilości słabych hipotez, która by zastąpiła jedną - lecz silną. W tym miejscu muszę mówić o sobie. Co uczyniłem jako kontynuator Acheropoulosa? Teoria moja wynikła z Fizyki i w Fizykę się obraca - lecz sama do Fizyki nie należy. Oczywiście, gdyby z niej wynikała tylko ta Fizyka, z której ją wyprowadziłem, byłaby to bezwartościowa zabawa w tautologię. Fizyk zachowywał się dotąd jak człowiek obserwujący ruchy na szachownicy, który już wie, jak porusza i się każda figura, lecz nie uważa, żeby ruchy figur zmierzały do jakiegoś celu. Gra kosmogoniczna toczy się inaczej niż szachowa: zmieniają się w niej bowiem reguły, więc prawa ruchu, figury i szachownica. Ze względu na to teoria moja nie jest rekonstrukcją całej Gry, jaka biegła od jej powstania, lecz tylko jej ostatniej części. Teoria moja - to tylko fragment całości, a więc coś takiego, jak odtworzona, w oparciu o obserwację szachów, zasada gambitu. Ten, kto zna zasadę gambitu, wie już, że figurę cenną ofiarowuje się po to, aby zyskać później coś jeszcze cenniejszego, ale nie musi wiedzieć, że ową najwyższą wygraną oznacza mat. Z Fizyki, jaką dysponujemy, nie daje się wyprowadzić spójna struktura Gry - ani nawet jej części. Dopiero gdy poszedłem za genialną intuicją Acheropoulosa i założyłem, że aktualną Fizykę należy „uzupełnić”, udało mi się odtworzyć wytyczne toczącej się partii. Postępowanie to było skrajnie heretyckie, ponieważ pierwszym założeniem nauki jest teza, iż świat to coś „gotowego” i „zakończonego” w swych prawach. Ja natomiast zakładałem, że aktualna Fizyka stanowi przejściowy etap na drodze określonych przekształceń. Tak zwane „stałe uniwersalne” nie są wcale stałymi. Nie jest, w szczególności, niezmienna - stała Boltzmannowa. Znaczy to, że chociaż końcowym stanem każdego początkowego ładu musi być w Kosmosie bezład, to jednak tempo wzrastania chosu może podlegać zmianom wywoływanym przez Graczy. Zdaje się (to jedynie przypuszczenie, a nie dedukcja z teorii!), że Gracze sporządzili asymetrię czasu zabiegiem nader brutalnym, tak „jakby im się spieszyło” (w skali kosmicznej, zapewne). Brutalność w tym, że uczynili gradient wzrostu entropii bardzo stromym. Posłużyli się silną tendencją wzrostów bezładu po to, żeby zaprowadzić w Kosmosie jedyny ład. Jakkolwiek odtąd biegnie wszystko od porządku do nieuporządkowania, to przecież w całości obraz okazuje się jednorodny, podległy jednej zasadzie i przez to generalnie uładzony. O tym, że procesy mikroświata są w zasadzie odwracalne, wiadomo było już od dawna. Z teorii wynika rzecz niezwykła: gdyby energia, jaką nauka ziemską inwestuje w badanie cząstek elementarnych, uległa powiększeniu

10¹⁹ razy, to badanie jako wykrywanie stanu rzeczy zmieniloby się w przemianę tego stanu! Zamiast rozpoznać prawa Natury, nieznacznie byśmy je odkształcili. To jest czule miejsce, pięta Achillesowa Fizyki aktualnego Uniwersum. Mikroświat przedstawia obecnie główny plac budowlanych robót dla Graczy. Uczynili go niestatecznym i sterują nim w pewien sposób. Wydaje mi się, że pewną część Fizyki, już ustatedcznioną, niejako ponownie ruszyli z posad. Dokonują rewizji, uruchamiają prawa już zastygłe. Dlatego dochowują milczenia, które jest „ciszą strategiczną”. Nie informują nikogo z „postronnych” ani o tym, co robią, ani nawet o tym, że Gra się toczy. Wiedza o istnieniu Gry stawia przeciw cała Fizykę w zupełnie nowym świetle. Gracze milczą, by uniknąć niepożądanych zakłóceń, interwencji, i zapewne będą milczeli do zakończenia tych prac. Jak długo trwa owo Silentium Universi? Tego nie wiemy; można przypuszczać, że co najmniej sto milionów lat. A więc Kosmos znajduje się, swoją Fizyką, na rozstaju. Do czego zmierzają Gracze - tą monumentalną przebudową? I tego nie wiemy. Teoria wyjawia tylko, że stała Boltzmanna będzie malała wraz z innymi stałymi, aż uzyska pewną określoną wartość, która jest Graczom potrzebna - ale nie wiemy, do czego. Tak jak ten, kto już rozumie zasadę gambitu, nie musi pojmować, czemu służy taka operacja - w całości szachowej partii. To, co jeszcze powiem, wykracza już poza ostatni skraj naszej wiedzy. Dysponujemy bowiem istnym embarras de richesse najrozmaitszych hipotez, wypowiedzianych w ciągu ostatnich kilku lat. Grupa brooklyńska profesora Bowmana uważa, że Gracze chcą zamknąć „szczelinę odwracalności zjawisk”, jaka jeszcze „pozostała” w łonie materii - w regionie cząstek elementarnych. Niektórzy twierdzą, że osłabienie gradientów entropijnych ma na celu lepszą adaptację Kosmosu dla zjawisk życia, a nawet, że chodzi Graczom o „upsychozoicznienie” całego Uniwersum. Są to, moim zdaniem, hipotezy nadmiernie zuchwałę, zwłaszcza przez ich podobieństwo do pewnych antropocentrycznych wyobrażeń. Myśl o tym, że cały Kosmos ewoluuje tak, aby się stać „jednym wielkim Rozumem”, aby się „upsychiczyć”, stanowi lejtmotyw wielu rozmaitych filozofii - i wielu religijnych wiar przeszłości. Profesor Ben Nour wyraził się w „Intentional Cosmogony”, że kilku najbliższych Ziemi Graczy (jeden z nich może się znajdować w Mgławicy Andromedy) nie skoordynowało optymalnie swoich ruchów, więc Ziemia trwa w regionie „oscyłowania Fizyki”: oznaczałoby to, że teoria Gry nie odzwierciedla wcale taktyki Graczy na obecnym etapie, lecz tylko jej lokalny, dosyć przypadkowy uchyłek. Pewien popularyzator oświadczył, że Ziemia znalazła się w obszarze „konfliktu”: dwaj sąsiedni Gracze podjęli „podjazdową wojnę” - poprzez „Podstępłą Zmianę Praw Fizyki”, i tym się tłumaczą zmiany stałej Boltzmanna. Przypuszczenie, że Gracze „osłabiają” II prawo termodynamiki, jest obecnie bardzo popularne. W związku z tym uważam za interesującą wypowiedź akademika A.

Słyszka, który w pracy „Logika i Nowa Kosmogonia” zwrócił uwagę na niejednoznaczność sprzężenia zachodzącego między Fizyką a Logiką. Bardzo możliwe - powiada Słysz - że Kosmos z osłabioną tendencją entropijną wytwarzałby bardzo wielkie systemy informacyjne, które okazałyby się bardzo głupie. Wydaje się to prawdopodobne w świetle prac kilku młodych matematyków; uważają oni za możliwe, że zmiany Fizyki, już urzeczywistnione przez Graczy, doprowadziły do zmian matematyki, czy też, mówiąc wyraźniej, do przekształcenia konstruowalności niesprzecznych systemów w naukach formalnych. Od takiego stanowiska już blisko do tezy, iż słynny dowód Godła, zawarty w jego pracy „Ueber die unentscheidbaren Sätze der formalen Systeme”, ukazujący granice perfekcji, osiągalnej w matematyce systemowej, nie jest ważny uniwersalnie, tj. „dla wszystkich możliwych Kosmosów”, lecz ważny jest tylko dla Kosmosu w jego aktualnym stanie. (A nawet - że ongiś, powiedzmy, pół miliarda lat temu, dowód Godła nie dałby się przeprowadzić, ponieważ wówczas prawa konstruowalności matematycznych systemów były inne, niż są obecnie.) Muszę wyznać, że, jakkolwiek doskonale rozumiem motywację tych wszystkich, którzy ogłaszają teraz swoje rozmaite domniemania co do celów Gry, zamiarów Graczy, głównych wartości, jakich ci się rzekomo trzymają, i tak dalej - to jednak jestem zarazem raczej zaniepokojony nieprecyzyznością albo wręcz bałamutnym charakterem mnóstwa takich - często lekkomyślnych - domniemań. Niektórzy ludzie wyobrażają sobie teraz Kosmos na podobieństwo mieszkania, jakie można w parę chwil przemeblować, jak się lokatorom spodoba. O takim stosunku do praw Fizyki, do praw Natury nie może być mowy. Tempo realnych przekształceń jest w skali naszych żywotów niesłychanie powolne. Nie wynika z tego, spieszę dodać, absolutnie nic w sprawie przyrody samych Graczy, np. ich rzekomej długowieczności albo wręcz nieśmiertelności. Na ten temat także nic nam nie wiadomo. Być może, jak pisano, Gracze nie są wcale istotami żywymi, to jest powstałymi biologicznie; być może, członkowie Pierwszych Cywilizacji w ogóle, i to od prawieków, nie zajmują się sami Grą, lecz przekazali ją jakimś ogromnym automatom - sternikom Kosmogonii. Być może, mnóstwa Pracywilizacji, które zapoczątkowały Grę, nie ma już, a rolę ich wypełniają samoczynne układy i one to stanowią część Partnerów Gry. Wszystko to być może i na pytanie takie nie uzyskamy odpowiedzi ani za rok, ani, jak sądzę, za sto lat.

Niemniej uzyskaliśmy określoną nową wiedzę. Jak zwykle to bywa z wiedzą, wyjawia ona więcej w kwestiach ograniczeń działania niż jego potęgę. Pewni teoretycy utrzymują dziś, że Gracze, gdyby tego pragnęli, mogliby znieść to ograniczenie dokładności pomiarów, jakie nakłada na nie relacja nieoznaczoności Heisenberga. (Doktor John Command wypowiedział myśl, że relacja nieoznaczoności jest manewrem taktycznym, wprowadzonym przez Graczy

na takich samych prawach, co reguła Silentium Universi: żeby „nikt nie mógł manipulować Fizyką w sposób niepożądany - jeśli sam nie jest Graczem”). Gdyby tak nawet było, Gracze nie mogą znieść więzi, istniejącej pomiędzy zmianami praw materii a działaniem umysłu, bo on jest z tejże materii zbudowany. Wyobrażenie, jakoby można sporządzić Logikę bądź Metalogikę, ważną „dla wszystkich konstruowalnych Wszechświatów”, jest mylne, i to już dziś udało się udowodnić. Osobiście sędzę, że Gracze doskonale pojmując ten stan rzeczy, mają kłopoty - oczywiście kłopoty nie na naszą skalę i miarę! Jeżeli świadomość o newszechwiedności Graczy może napawać nas niepokojem, skoro przez to uzmysławiamy sobie immanentne ryzyko Kosmogonicznej Gry, to refleksja ta zarazem przybliży gwałtownie naszą życiową sytuację do kondycji Graczy - albowiem nikt nie jest w Uniwersum wszechmocny. Najwyższe Cywilizacje też są Częściami - Nie-Znającymi-Do-Końca-Ciałości. Ronald Schuer poszedł najdalej w wysuwaniu śmiałych domysłów: powiedział w „Reason made Universe: Laws versus Rules”, że im dogłębniej Gracze transformują Kosmos, tym silniej odmieniają samych siebie. Zmiana prowadzi do tego, co Schuer nazywa „zgilotywowaniem pamięci”. Albowiem, istotnie, ten, kto by się przekształcił bardzo radykalnie, tym samym rujnuje w jakiejś mierze pamięć własnej przeszłości - sprzed owego zabiegu. Gracze, powiada Schuer, zdobywając rosnącą potęgę kosmotransformacyjną, zacierają sami ślady drogi, jaką Kosmos dotąd ewoluował. W granicy okazuje się wszechmoc sprawcza porażeniem retrognozy. Gracze, jeśli starają się nadać Kosmosowi własności kolebki Rozumu, redukują w tym celu moc entropijnego prawa; po miliardzie lat, ztraciwszy pamięć o tym, co było z nimi i przed nimi, doprowadzają Kosmos do stanu, o jakim mówił Słysz. Przy likwidacji „hamulca entropijnego” powstaje wybuchowy rozrost biosfer, mnóstwo niedojrzałych cywilizacji przedwcześnie włącza się do Gry i powoduje jej kollaps. Tak, poprzez zapaść Gry, dochodzi do chaosu... z którego po eonach wyłania się nowy Kolektyw Graczy... aby rozpocząć Grę od nowa. Tak więc podług Schuera Gra toczy się kołem, i tym samym pytanie o „początek Uniwersum” nie ma żadnego sensu. Obraz to niezwykle, lecz niewiarygodny. Jeżeli my umiemy przewidzieć fatalność kollapsu, cóż dopiero, gdy mówić o prognozach, na jakie stać Graczy. Proszę Państwa, krystaliczny obraz Gry, toczony przez oddalone od siebie o miliardy parseków Rozumy, schowane w mgławicowych kłębach gwiazd, nakreśliłem aby go potem zamazać - ulewą niejasności, sprzecznych domysłów i zgoła nieprawdopodobnych hipotez. Ale taki właśnie jest zwykły tryb poznania. Nauka widzi obecnie Kosmos jako palimpsest Gier, obdarzonych pamięcią głębszą, niż może sięgać pamięć poszczególnego Gracza. Pamięcią tą jest zestrój Praw Natury, utrzymujących Kosmos w jednorodności ruchu. Patrzymy więc teraz na Uniwersum jako na pole miliardoletnich prac,

nawarstwiających się eonami, podążających ku celom, których tylko najdrobniejsze, najbliższe ułamki możemy częściowo pochwycić. Czy ten obraz jest prawdziwy? Czy nie zastąpi go kiedyś jakiś następny, inny, tak radykalnie odmienny, jak radykalnie odmiennym jest ten nasz model - Gry Rozumów - od wszystkich historycznie powstałych? Zamiast odpowiedzi, przytoczę tu słowa profesora Ernsta Ahrensa, mego nauczyciela. Wiele lat temu, gdy jeszcze jako młodzieniec udałem się do niego z pierwszymi brulionami, zawierającymi koncepcję Gry, aby spytać go o zdanie, Ahrens powiedział: „Teoria? Aż teoria? Być może, to nie jest teoria. Ludzkość wybiera się przecież do gwiazd? Więc, jeśli tego nawet nie ma, być może chodzi o plan, być może to się kiedyś wszystko właśnie tak odbędzie!” Tymi - nie do końca sceptycznymi przecież - słowami mego nauczyciela chcę zakończyć niniejszą prelekcję. Dziękuję Państwu za uwagę.

WIELKOŚĆ UROJONA

Wstęp

Sztuka pisania wstępów od dawna domaga się indygenatu. Od dawna też oblegała mnie potrzeba zadośćuczynienia temu piśmiennictwu pod zaborem, które milczy o sobie od czterdziestu wieków - w niewoli dzieł, do jakich je przykuto. Kiedyż, jeśli nie w epoce ekumenizacji, to jest wszechracji, należy wreszcie obdarzyć niepodległością ten gatunek szlachetny, kielnany w powiciu? Liczyłem wszakże na to, że ktoś inny wypełni tę powinność, nie tylko estetycznie zgodną z rozwojowym kierunkiem sztuki, ale moralnie wprost naglącą. Niestety przeliczyłem się. Próżno patrzę i czekam: nikt jakoś nie wyprowadza Wstępopisarstwa z domu niewoli, z kieratu pańszczyźnianych służb. A więc nie ma rady: muszę sam, jakkolwiek z poczucia obowiązku raczej, niż z odruchu serca, pospieszyć z pomocą Introdukcjonistycy - zostać jej wyzwolicielem i akuszerem. Ma ta ciężko doświadczona dziedziną swoje państwo dolne, Wstępów najemnych, pociągowych, zaciężnych i zgrzebnych, albowiem niewola deprawuje. Zna też zadufanie i narymność, gest zdawkowy i zadęcie jerychońskie. Oprócz szeregowych. wstępów istnieją też szarże - jako Przedmowy i Wprowadzenia, a i zwykle Wstępy nie są sobie równe, bo czymś innym jest wstęp do książki własnej, innym zaś - do cudzej. Także poprzedzić nim pierwsze wydanie to coś innego, aniżeli wkładać trud w pomnażanie wstępów do wydań licznych a kolejnych. Moc zbioru wstępów, nawet nijakich, którą obrosło dzieło, namolnie wciąż wydawane, obraca papier w opokę, porażającą knowania Zoilów - któż bowiem ośmielił się zaatakować książkę z takim przedpiersiem pancernym, spoza którego już nie tyle treść jej widać, ile takowej szacowność nietykalną! Wstęp bywa zapowiedzią powściągliwą z dostojeństwa lub dumy, obliżem sygnowanym przez autora, to znów - wymuszoną przez konwenans, pobieżną, choć i przyjazną - manifestacją symulowanego w gruncie rzeczy zaangażowania się jakiegoś autorytetu w książkę: więc jej listem żelaznym, glejtem, przepustką do wielkiego świata, wiatykiem z możliwych ust - chwytem daremnym, który ciągnie w górę to, co i tak utonie. Niewypłacalne są te weksle - i tylko rzadko który sypnie złotem, a jeszcze procentami obrodzi. Lecz wszystko to pominę. Nie zamierzam wdawać się w taksonomię Introdukcjonistyki ani nawet w elementarną klasyfikację tego postponowanego dotąd, na kantarach trzymanego rodzaju. Cuganty czy chabety - jednako w nim zaprzęgiem chodzą. Niechże się Linneusze zajmą tą pociągową stroną rzeczy. Nie takim wstępem poprzedzam moją małą antologię Wstępów Wyzwolonych. Wypada tu zstąpić do głębi. Czym może być wstęp? Zapewne -

reklamiarstwem łączym w żywe oczy, ale również - wołaniem na puszczy Jana Chrzciciela czy Rogera Bacona. Refleksja wskazuje nam więc, że oprócz Wstępów do Dzieł istnieją Dzieła-Wstępy, albowiem tak Święte Księgi wiar wszelkich, jak tezy i futuromachie uczonych są Przedmowami - do Tego i Tamtego świata. Namysł zdradza więc, że Państwo Wstępów jest nieporównanie rozleglejsze od Państwa Literatury, co ona bowiem ziścić usiłuje, to Wstępy tylko zapowiadają - z oddali. Odpowiedź na już nabrzmiewające pytanie - po kiego licha trzeba się wdawać w walkę o wyzwolenie wstępów i proponować je jako suwerenny gatunek pisarski, prześwituje z dopiero co powiedzianego. Można jej udzielić albo jak z bicia strzelił, albo przywołując na pomoc wyższą hermeneutykę. Najpierw da się ten projekt uzasadnić bezpatetycznie - z liczydłem w ręku. Czy nie zagraża nam potop informacyjny? I czy nie w tym jego potworność, że on piękno pięknem miażdży, a prawdą prawdę unicestwia? A to, ponieważ głos miliona Szekspirów jest taką samą wrzawą i wściekłym hałasem, jak głos stada bawołów na stepie lub bałwanów na morzu. Tak miliardowe sensory, zderzając się, nie honor przynoszą myśli, lecz zgubę. Czy w obliczu takiej fatalności nie jest już tylko Milczenie zbawienną Arką Przymierza Twórcy z Czytelnikami, skoro pierwszy zdobywa zasługę, powstrzymując się od snucia treści jakichkolwiek, a drugi - przyklaskując tak okazanej rezygnacji? Zapewne... i można by powstrzymać się od pisania nawet samych wstępów, lecz wówczas akt objawionej powściągliwości nie będzie dostrzeżony, tedy i ofiara nie przyjęta. Toteż są moje Wstępy zapowiedziami takich grzechów, od których się powstrzymam. To - na planie kalkulacji zimnej i czysto zewnętrznej. Lecz rachuba nie wyjawia jeszcze, co Sztuka zyska na ogłoszonych wyzwolinach. Wiemy już, że i niebieskiej manny nadmiar działa kamieniująco. Jak się od niego ratować? Jak ocalić ducha od samozagwożdżenia? I czy doprawdy właśnie tutaj ocalenie, właśnie przez Wstępy dobra droga prowadzi? Przywołany doktor świetlisty, z hreczkosieja hermeneutyk, Witold Gombrowicz, tak by rzecz wyłożył. Nie o to idzie, czy komukolwiek, a choćby i mnie, pomysł uwolnienia Wstępów od Treści, jakie mają zapowiadać, podobał się - albo i nie podobał. Podlegamy bowiem bezapelacyjnie prawom Ewolucji Formy. Sztuka nie może stać na jednym miejscu ani powtarzać się w kółko: właśnie przez to nie może się tylko podobać. Jeśli zniosłeś jajo, musisz je wysiedzieć; jeśli wylął ci się z niego ssak miast gada, trzeba mu dać coś do possania: jeżeli więc kolejny krok doprowadza nas do tego, co budzi powszechną niechęć, a nawet stan przywomitalny, nie ma rady: dopracowaliśmy się już Tego Właśnie, już tak daleko dopchaliśmy i dociągnęliśmy samych siebie, więc z wyższego niż przyjemność nakazu przyjdzie nam obracać w oku, w uchu, w umyśle - Nowe, kategorycznie zaaplikowane, bo zostało odkryte na drodze hen wzwyż - tam, gdzie nikt wprawdzie nie był i być nie chce, skoro

nie wiadomo, czy da się Tam choć przez chwilę wytrzymać - lecz, zaiste, dla Rozwoju Kultury nie ma to najmniejszego znaczenia! Lemat ten, z dezynwolturą, właściwą nonszalanckiej genialności, każe nam jedną - starą - spontaniczną, więc nieświadomioną niewolę - na nową zamienić; nie rozcina pęt, lecz tylko lonżę nam wydłuża; jakoż gna nas w Niewiadome, zwąc wolnością - zrozumianą konieczność. Lecz ja, wyznaję uczciwie, innego łaknę uzasadnienia dla herezji i buntu. Powiadam tedy: jest poniekąd prawdą to, co się rzekło po pierwsze i po wtóre, lecz nie całą prawdą - i nie całkiem podobną do musu, albowiem, po trzecie, możemy zastosować do kreacji algebrę, u Wszchemocnego podpatrzoną. Proszę zwrócić uwagę na to, jak przegadana jest Biblia, jaki rozlewny Pentateuch w opisach rezultatu Genezis - i jak lakoniczny w pokazywaniu jej receptury! Był bezczas i chaos, aż nagle - ni z tego, ni z owego - powiedział Pan: „Niech się stanie światło”, po czym stało się i już, a między jednym a drugim nic - ani szparki nie było, ani sposobu? Nie wierzę! Między Chaosem a Stworzeniem była czysta intencja, światłem jeszcze nie porażona, w Kosmos nie zaangażowana do końca, nie ubrukana - rajską nawet ziemią. Było bowiem wtedy i tam - powstanie szans, lecz nie - spełnienie; był zamiar, przez to boski i dlatego wszechmocny, że się jeszcze w działanie obracać nie zaczął. Było zwiastowanie - przed poczęciem... . Jak nie skorzystać z tej nauki? Nie o plagiat idzie, lecz o metodę. Skąd bo wszystko poszło? Z początku, oczywiście. A co było na początku? Wstęp, jak już wiemy. Wstęp, ale nie samoswój, nie sobiepański, lecz Wstęp do Czegoś. Przeciwstawmy się wyuzdanemu ziszczaniu, jakim była Genezis - zastosujmy do jej pierwszego lematu algebrę powściągliwszej kreacji! Podzielimy mianowicie całość przez „Coś”. „Coś” zniknie wówczas i pozostaniemy - jako z rozwiązaniem - ze Wstępem, oczyszczonym od złych skutków - bo od wszystkich gróźb Wcielenia - albowiem czysto intencjonalnym i w tym stanie bezgrzesznym. Nie jest to świat - lecz punkt tylko bezwymiarowy - ale właśnie dlatego w bezkresie. O tym, jak sprowadzić do niego literaturę, powiemy za chwilę. Pierwej przypatrzymy się jej sąsiedztwu - boż nie jest ona przecież samotnikiem anachoreta. Wszystkie sztuki usiłują dziś wykonać manewr zbawienia, ponieważ wszechrozprężanie się twórczości stało się jej zmorą, gonitwą, ucieczką - jak Uniwersum, eksploduje Sztuka w pustkę - nie znajdując oporu, więc oparcia. Skoro wszystko już można, to i nic niewarte - i pęd obraca się w cofaninę, ponieważ wracać chcą Sztuki do źródła, a nie umieją. Malarstwo, w palącym pożądaniu granic, wlaźło w malarzy: w ich skórę - i oto artysta wystawia już samego siebie, bez obrazów, więc jest obrazoburcą wychłostanym pędzlami czy utarzanym w oleju i w temperze albo całkiem goły na wernisazu - bez barwnej przyprawy. Niestety, ten nieszczęśnik nie może dotrzeć do autentycznej nagości: to nie Adam, to tylko jakiś pan do rosołu rozebrany. A rzeźbiarz,

podtykający nam swe nieokrzesane kamienie czy uwznioślający ekspozycją byle śmieci, usiłuje wleźć na powrót w paleolit - w praczlowieka - bo nim, czyli Autentykiem, chce zostać! Lecz gdzie mu do jaskiniowca! Nie tędy droga w surowe mięso barbarzyńskiej ekspresji! Naturalia non sunt turpia - ale to nie znaczy, że byle prostacze zdziczenie jest powrotem do Natury! A co, proszę? Wyjaśnimy rzecz na przykładzie muzyki. Największa i najbliższa szansa przed nią bowiem stoi właśnie otworem.

Źle czynią kompozytorzy łamiąc kontrapunktowi gnaty i puszczając komputerami Bachów na rozkurz - także deptanie, elektronami, ogonów wzmocnionego stukrotnie kota nic, oprócz stada sztucznych wyjców, nie urodzi. Fałszywy kurs i ton! Nie nadszedł jeszcze świadomy celu zbawiciel - nowator! Czekam go niecierpliwie - oczekuję jego utworu muzyki konkretnej w odkłamywaniu, powracającej na Przyrody łono, utworu, który będzie utrwaleniem owych popisów chóralnych, choć prywatnych ściśle, jakim się każda publiczność oddaje w koncertowej sali - tylko zewnętrzną skupienia kulturalna, tylko oswojoną peryferią organizmów kontemplująca orkiestrę w potach. Sądzę, że ta stumikrofonowo podsłuchana symfonia będzie miała ciemną, monotonną instrumentację, flakom właściwą, bo jej brzmieniowe tło utworzą wzmocnione Basy Jejunalne, czyli Borborygmy osób, zapamiętałych w nieuchronnym brzuchoburstwie - w kruczeniach osadzonym, gulgotliwie dokładnym i pełnym zdesperowanej ekspresji trawiennej - albowiem autentyczny, skoro organiczny, a nie organowy, jest ten głos trzewi - głos życia! Ufam też, że lejtmotyw rozwinie się w takt siedzeniowej perkusji, wyakcentowanej poskrzypywaniem krzeseł, z silnymi, spazmowymi wejściami smarknięć i z akordami świetnie koloraturowego kaszlu. Zagrają bronchity... i przeczuwam tu właśnie niejedno solo wykonane z maestrią astmatycznej sędziwości, istne Memento mori vivace ma non troppo, popis agonalnego piccolo, bo autentyczny trup zakłapie na trzy czwarte do taktu sztucznymi szczękami, bo uczciwy grób zaświszcze w rozrzużonej tchawicy - otóż, taka Prawda Przewodu Symfonicznego, Tak Życiowa, jest nie do podrobienia. Cała somatyczna inicjatywa ciała, dotychczas najfałszywiej w świecie zagłuszana muzyką sztuczną, wbrew ich brzmieniom tragicznie, bo nieodwołalnie własnym, domaga się triumfalnej rewindykacji - jako Powrotu do Natury. Nie mogę się mylić - wiem, że prawykonanie Symfonii Wisceralnej będzie przełomem, albowiem tak i tylko tak tradycyjnie bierna, stłumiona do szmeru miętówek rozwijanych publiczność przejmie - nareszcie! - inicjatywę i w roli autoorkiestry wykona powrót do siebie - zapamiętała we wszechodklamaniu, tym hasle naszego wieku. Twórca-kompozytor znów stanie się jeno kapłanem-pośrednikiem pomiędzy struchlałą rzeszą i Mojżą - albowiem los flaków naszych jest naszym *Przeznaczeniem...*

Tak to dystygowana zbiorowość znawców-słuchaczy bez postronnych brzdąkań dozna autosymfonii, ponieważ w tym prawykonaniu już tylko samą sobą będzie się delectowała - i trwożyła... A co z literaturą? Domyślcie się już chyba: ja chcę wam ducha waszego oddać - w całym jego obszarze - tak jak muzyka wisceralna oddaje publiczności jej własne ciało - czyli w samym środku Cywilizacji od Natury zstępuje. Dlatego właśnie Wstępisarstwo nie może już trwać dłużej pod klątwą niewoli - wyłączone z prac wyzwolicielskich. Nie tylko beletrystów i ich czytelników podżegani więc do powstania. A mam na myśli bunt, nie skołowanie powszechne - nie podbechtywanie widzów teatralnych, żeby włązili na scenę lub żeby scena na nich włąziła, przez co, tracąc pozycję wyższości miłej, zostają ze zlikwidowanego azylu widowni wtrąceni w kocioł świętego Wita. Nie drgawka, nie zbakierowana mimikra jogi, lecz Myśl jedna może nam wolność przywrócić. Tak więc, odmawiając mi prawa walki wyzwoleńczej w imieniu i dla dobra Wstępów, skazałbyś się, szanowny Czytelniku, na wstecznicstwo, na staroświecczyzną zakamieniałą, i choćbyś nie wiedzieć jaką brodę sobie zapuścił - nie wejdiesz do nowoczesności Ty natomiast, Czytelniku biegły w antycypowaniu Nowego, ty, Postępowcze z błyskawicznym refleksem, wibrujący swobodnie w Modospadach naszej ery, ty, który wiesz, że skorośmy zaleźli wyżej, niż nasz prakuzyn małpi (na Księżycy przecież), musimy leżeć dalej - ty pojdziesz mnie i połączysz się ze mną w poczuciu spełnianego obowiązku. Ja ciebie oszukam, a ty mi za to właśnie wdzięczność okażesz; ja złożę ci zaprzysiężoną obietnicę, ani myśląc jej dotrzymać, a ty właśnie tym będziesz zaspokojony czy przynajmniej udasz z maestrią godną sprawy, że tak jest; tępalom zaś, co by nas pospołu wykląć chcieli, powiesz, że odpadli duchem od epoki i stoczyli się na wysypiska staroci, przez pośpieszną Rzeczywistość wyplutej. Powiesz im, że nie ma rady - wekslem bez pokrycia (transcendentalnego), zastawem (sfalszowanym), zapowiedzią (niewykonalną) - najwyższą formą alteracji została dziś sztuka. A więc tę właśnie jej pustkę i tę niewykonalność trzeba wziąć za dewizę i opokę; i dlatego właśnie ja, piszący Wstęp do Małej Antologii Wstępów, jestem w dobrym prawie, albowiem proponuję wprowadzenia wprowadzające donikąd, wstępy nigdzie nie wstępujące oraz przedmowy, po których żadne mowy się nie rozlegną. Lecz każdym z tych posunięć pierwszych otworzę ci pustkę innego rodzaju i koloru znaczeniowego, mieniącą się właściwym prążkiem widma Heideggerów. Będę z entuzjazmem, z nadzieją i z wielkim hałasem otwierał drzwi ołtarzy i tryptyków, zapowiadał ikonostasy i carskie wrota, będę klękał na stopniach obrywających się u progu podprzestworza, nie to, że opustoszałego, lecz takiego, w którym nigdy nic nie było - i nie będzie. Ach, zabawa ta, najpoważniejsza z możliwych, wprost tragiczna, jest parabolą naszego losu, ponieważ nie ma drugiego

wynalazku tak ludzkiego ani takiej własności i ostoji człowieczeństwa jak pełnobraźni, wyługowany z obliwów, wchłaniający na amen jestestwa nasze - Wstęp do Nicości. Cały świat kamienny i zielony, wystygły i huczący, zaogniony w chmurach i w gwiazdach zakopany dzielimy ze zwierzętami i roślinami - Nicość atoli naszą domeną jest i specjalnością. Odkrywca nicości jest człowiek. Ale ona to trudna, to taka niebywała, bo niebyła rzecz, której ani spróbować nie można bez starannej zaprawy, duchowych ćwiczeń, bez długotrwałej nauki i treningu; nie przygotowanych poraża w słup - toteż do komunikowania się z nicością precyzyjnie nastrojoną, bogato zorkiestrowaną trzeba się sumiennie szykować - czyniąc każdy krok w jej kierunku możliwie ciężkim, wyrazistym i materialnym. A więc ja ci tu będę pokazywał Wstępy, jak się pokazuje wspaniale rzeźbione odrzwia, złotem kute, zwieńczone gryfami i grafami w nadprożach majestatycznych, będę przysięgał na tę ich litą, dźwięcznie masywną, ku nam zwróconą stronę po to, aby rozwierając je skupionym szarpnięciem ramion mego ducha, wtrącić w nic czytającego - a tym samym wytrącić go ze wszystkich naraz bytów i światów. Cudowną swobodę zapewniam i gwarantuję, dając słowo, że Tam nie będzie Nic. Co zyskam? Stan najbogatszy: ten - sprzed Stworzenia. Co zyskasz? Wolność najwyższą - bo żadnym słowem nie zakłócę twego słuchu w czystym wzlocie. Ja ci go tylko wezmę, jak miłośnik bierze gołębia, i cisnę nim, jak kamieniem Dawidowym, jak kamieniem obrazy, aby poleciał w ten bezkres - na wieczne używanie.

NEKROBIE

Cezary Strzybisz

139 reprodukcji

Wstęp Stanisław Estel

Wydawnictwo Zodiak [3]

Wstęp

Niewiele lat temu chwycili się plastycy śmierci jak zbawienia. Zaopatrzeni w atlasy anatomiczne i histologiczne, poczęli flaki wypuszczać aktom, gmerać się w bebechach, wywalając na płótna zmaltretowaną brzydotę naszych wstydliwych paprochów, tak słusznie zasłoniętych na co dzień skórą. Lecz cóż, koncerty, które gnicie we wszystkich kolorach tęczy zaczęło dawać po salach wystawowych, nie stały się rewelacją. Byłoby to rozwiązanie, gdyby ktoś z widzów poczuł się dotknięty, byłoby koszarne, gdyby zadrżał - lecz cóż? Nawet ciotek to nie wzburzyło. Midas obracał w złoto wszystko, czego się tknął, a plastyka dzisiejsza, pod klątwą przeciwnego znaku, samym dotknięciem pędzla likwiduje powagę każdej rzeczy. Jak tonący sięga po wszystko - i z chwyconym idzie na dno - przy zblazowanym spokoju widzów. Wszystko? Więc i śmierć? Czemu nie zaszokował nas jej antymajestat, czy te krwawo zaszlamowane karty z powiększonych plansz medycyny sądowej nie powinny były nas choć zastanowić - swoim horrorem? Były jednak bezradne... bo nadto wysilone! Zamysł już był dziecinny - przestraszenia dorosłych... dlatego to nie chciało być na serio! Więc zamiast memento mori otrzymaliśmy starannie rozmierzwione trupy - rozkopana zbyt namolnie tajemnica grobów objawiła się śliską kloaką. Nie przemówiła ta śmierć - ponieważ zanadto ostentacyjna! Biedni plastycy, którym mało już natury, więc zabrali się do eskalacji Grand Guignolu, sami wystrychnęli siebie na dudków. Lecz - po kompromitacji podobnej, po tej klapie śmierci - co właściwie takiego zrobił Strzybisz, że udało mu się ją zrehabilitować? Czym są właściwie jego „Nekrobie”? Nie są malarstwem przecież - Strzybisz nie maluje i podobno w życiu nie miał pędzla w palcach. Nie jest to grafika, bo on nie rysuje, nie ryje też w żadnej substancji, nie rzeźbi - ot, fotograf. Co prawda szczególnie - skoro, zamiast światła, używa promieni Roentgena. Ten anatom swoim okiem, przedłużonym ryjami aparatów rentgenowskich, przechodzi na wylot przez ciała. Lecz czarno-białe błony, znane z lekarskich gabinetów, na pewno pozostawiłyby nas obojętnymi. Dlatego ożywił swe akty. Dlatego jego szkielety stąpają takim prężnym, zdecydowanym krokiem w śmiertelnych koszulach raglanów, z widmami teczek. Dość złośliwe i dziwaczne, przyznajmy, nie więcej,

ale on tymi migawkowymi zdjęciami tylko przymierzał się, próbował jeszcze - nie wiedział. Powstał hałas dopiero, kiedy powążył się na straszną rzecz (choć już nie miało być strasznych rzeczy): on nam prześwietlił na wylot - i taki pokazał seks. Ten zbiór prac Strzybisza otwierają jego „Pornogramy” - zaiste komiczne, lecz dosyć to okrutny komizm. Właśnie najbardziej natrętny, rozpasany, rozzuchwalony seks - grupowy - wziął Strzybisz pod ołowiane blendy swoich obiektywów. Pisano, że chciał wyszydzić pornomanie, że dał jej dokładną (bo do nagiej kości doprowadzoną) lekcję i że mu się to udało, ponieważ te kości, wczepione w siebie, poukładane w geometryczne zagadki, z niewinnego pogmatwania przeskakują w oku widza nagle - i niesamowicie - w nowożytny Totentanz, w tarło podskakujących szkieletów. Pisano, że zamierzył znieważyc, wydrwić seks - i że mu się to zamierzenie powiodło. Czy tak? Zapewne... lecz można się w „Nekrobiach” dopatrzeć czegoś więcej. Karykatury? Nie tylko - bo jest jednak w „Pornogramach” jakaś ukryta powaga. Najpierw bodaj stąd, że Strzybisz „prawdę mówi” - i to samą tylko prawdę, kiedy dziś, nie poddana „deformacji artystycznej”, uchodzi za prostactwo: lecz on właściwie jest świadkiem jedynie, bo spojrzeniem przeszywającym, ale nie - przeinaczającym. Nie sposób się obronić przed tym świadectwem - odrzucić go, jako zmyślenia, jako konwencji, triku, gierki umownej, bo on ma rację. Karykatura? Złośliwość? Lecz te szkielety są przecież w swoim abstrakcyjnym rysunku - niemal estetyczne. Strzybisz bowiem wytrawnie działał: nie tyle огоłocił, to jest, odarł kości z cielesnych powłok, ile wyzwolił je - uczciwie szukając ich własnego, do nas już nie odniesionego sensu. Szukając ich własnej geometrii, uczynił je suwerennymi. Te szkielety żyją, chciałoby się powiedzieć - po swojemu. On je wolnością obdarzył, przez wyparowanie ciał, to jest - przez śmierć, jakkolwiek właśnie ciała odgrywają ważną, choć nie od razu postrzegalną rolę w „Nekrobiach”. Trudno tu wchodzić w szczegóły techniki rentgenowskiej, lecz dwa słowa wyjaśnienia są niezbędne. Gdyby Strzybisz używał twardych promieni X, na jego zdjęciach byłyby widoczne same tylko kości, jako ostro zarysowane smugi, pręty, posegmentowane niby cięciami - mrokiem stawowych szczelin. Zbyt czysta byłaby to już, bo zanadto wypreparowana - osteologiczna abstrakcja. Otóż on tak nigdy nie postępuje i - prześwietlone promieniami miękkimi - na zdjęciach jego pojawiają się ciała ludzkie jak aluzje, jak napomknienia, mlecznymi kłębamii poświaty - i przez to dochodzi do właściwego efektu. Pozór i realność zamieniają się miejscami. Średniowieczny, holbeinowski Totentanz, trwający w nas milczkiem, nieporuszony, ten sam, nie tknięty wrzawą błyszczącej cywilizacji, zrost śmierci z życiem - trafia Strzybisz, jak gdyby bezwiednie, jakby przez przypadek. Albowiem rozpoznajemy tę samą wesołą skoczność, tę jowialną krzepę i frywolne zapamiętanie, jakie nadał swym kościotrupom Holbein - i tylko - a

raczej; i właśnie akord znaczeń, który bierze artysta współczesny, jest szerszy, ponieważ najbardziej nowoczesną z technik skierował na najstarsze zadanie gatunku; naprawdę tak właśnie wygląda śmierć w środku życia i to jest właśnie do kości przeświecona mechanika rozmnażającego się rodzaju, której ciała asystują - bladymi widmami. Dobrze - powiadają - może i taka czai się w tym filozofia, lecz przecież on umyślnie poszedł „na całego” - w trupy wrobił spółkujących, uchwycił się modnego tematu, efektownie, dla efektu - czy to nie tanie? Czy nie ma w „Pornogramach” sprytu? Albo wręcz oszustwa? Nie brak i takich sądów. Wolę nie wytaczać przeciw nim armat ciężkiej retoryki. Proszę raczej przyjrzeć się dwudziestemu drugiemu pornogramowi, zatytułowanemu „Trioliści”. Scena to nieprzyzwoita w szczególny sposób. Gdyby ją zestawić ze zwykłym zdjęciem tych samych ludzi, więc z produktem pornografii komercyjnej, niewinność takiej pornografii względem rentgenogramu objawi się natychmiast. Pornografia nie jest bowiem sprośna bezpośrednio: ekscytuje dopóty, dopóki trwa jeszcze w widzu walka żądź z aniołem kultury. Kiedy tego anioła diabli wezmą, kiedy, skutkiem powszechnej tolerancji, obnaży się słabość płciowego zakazu, jego zupełna bezbronność, kiedy zakazy pójdą na śmietnik - jakże szybko zdradza wtedy pornografia swój niewinny, to znaczy tutaj: daremny charakter, gdyż jest fałszywą obietnicą cielesnego raju, zapowiedzią tego, co się nie spełnia naprawdę. To owoc zakazany, więc tyle w nim pokusy, ile siły w zakazie. Bo cóż? Wzrok, chłodniejący od nawyku, dostrzega głosów, bardzo wysiłonych, bardzo zwijających się, by wykonać postawione w atelier zadania - i jakież biedne robi się wtedy to widowisko! Nie tyle zażenowanie, ile poczucie urażonej solidarności ludzkiej budzi się w patrzącym, bo ci golcy tak namolnie ciamkają się po sobie, że się upodobniają do dzieci, które chciałyby koniecznie zrobić coś wprost potwornego, żeby dorosłym oko zbieleło, lecz naprawdę nie mogą, nie są w stanie po prostu... i pomysłowość ich, rozjuszona już tylko złością na własną niemoc, nie w stronę Grzechu zmierza i Upadku, lecz tylko głuptacko żalosego obrzydlistwa. Toteż w usilnych zajęciach owych dużych gołych ssaków kryje się płytka infantylność - ani to piekło, ani raj, lecz sfera letnia: nudy, daremności lichu opłacanego mozołu... Lecz seks Strzybisza jest drapieżny, bo przerażający i śmieszny jak owe zjazdy potępieńców do otchłani na obrazach starych Holendrów i Włochów - gdy jednak możemy się oddystansować od owych koziółkujących w Sąd Ostateczny grzeszników, skorośmy unieważnili zaświat, co możemy przeciwstawić rentgenogramowi? Tragicznie śmieszne te szkielety, w zwarciu, w którym ciała są im przeszkodą nieprzekraczalną. Kości? Kiedy właśnie ludzi widzimy w niezgrabnym, zaciekłym uścisku, i byłoby to tylko żalose, gdyby nie upiorny komizm. Skąd? Z nas - rozpoznajemy bowiem prawdę. Racja tych zwarć ulatednia się razem z cielesnością, toteż jałowe i abstrakcyjne, a przecież tak okropnie

rzeczowe, lodowato i białe płonące są te uściski - beznadziejne! A jeszcze jest ich świętość czy drwina z niej, czy aluzja do niej, nie doczepiona, nie przydana sztucznym zabiegiem, lecz wiadoma, albowiem halo otacza tu każdą głowę - to włosy stają się bladą, krągłą aureolą i świecą jak na świętych obrazach. Wiem zresztą, jak trudne są do rozplatania i ponazywania impulsy, z których powstaje całość doznań w widzu. Dla jednych to literalnie Holbein redivivus, boż, istotnie, osobliwy jest powrót - elektromagnetycznym promieniowaniem - do kościotrupów, jak do średniowiecza, w nas zachowanego. Innych szokują ciała jako bezsilne duchy, asystujące z konieczności trudnym ćwiczeniom płci - uniewidzialnionej. Ktoś jeszcze pisał o kościcach, co są jak instrumenty, wydobyte z futerałów dla spełnienia tajemnej inicjacji - dlatego mówiono o „matematyce”, o „geometrii” tego seksu. Wszystko to być może; lecz nie ze spekulacji rodem jest smutek, w którym opuszcza się sztukę Strzybisza. Symbolika, w stuleciach wezbrana i przekazana ze stuleci, choć wegetująca pokątnie, bośmy się jej wyparli, nie uległa - widzimy - zniweczeniu. Symbolikę tę przerobiliśmy w sygnalizację (czaszki z pieszczelami na słupach wysokiego napięcia, na butlach z trucizną w aptece) i na pogładową pomoc szkolną, w powiązanych błyszczącymi drucikami szkieletach sal wykładowych. Skazaliśmy ją więc na exodus, relegowaliśmy ją z życia, lecz nie pozbyliśmy się - całej. Tak więc, niezdolni po prostu oddzielić tego, co jest w szkielecie jego najrzetelniejszą materialnością, równą wymowie konaru czy belki, od tego, co wyobraża w nimi milczenie losu, więc symbol, popada nasz umysł w owo szczególne rozchwianie, z którego umyka wreszcie - w zbawczy śmiech. A jednak pojmujemy, że trochę to jest wymuszona wesołość, że osłaniamy się nią, by nie ulec Strzybiszowi zanadto. Erotyka, jako beznadziejna daremność intencji, oraz seks, jako ćwiczenie w geometrii projekcyjnej - oto dwa przeciwstawne ekstrema „Pornogramów”. Zresztą nie godzę się z tymi, co twierdzą, że sztuka Strzybisza na „pornogramach” zaczyna się i kończy. Gdybym miał powiedzieć, który z aktów cenię najwyżej, bez wahania wskażę „Brzemienną” (str. 128). Przyszła matka, z zamkniętym w łonie dzieckiem - ten szkielet w szkielecie dość jest okrutny, a na włos nie skłamany. I w tym dużym, rosłym, jak białymi skrzydłami - kością miednicową rozłożystym ciele (rentgen trafia w przeznaczenie płci dobitniej niż nagi akt zwykły) - na tle tych skrzydeł, rozchylonych już do porodu, główką odwrócony, mgławki, bo nie dokończony jeszcze - szkielecik wtulenia dziecięcego. Jak źle brzmią te słowa, i w jak godną, czystą całość układają się światłocienie rentgenogramu. Ciężarna w pełni sił - i w pełni śmierci swojej - płód jeszcze nie narodzony, co już umierać zaczął - bo poczęty. Jest jakiś spokój wyzwania i afirmacja zdeterminowana w tym podpatrzeniu. Co będzie za rok? „Nekrobie” pójdą w zapomnienie, królować przyjdzie nowym technikom i modom (nieszczęsny Strzybisz - iluż on już teraz naśladowców zdobył po

swoim sukcesie!). Czy nie tak? Zapewne, bo nie ma na to rady. Lecz choć ta szybkozmienność dławi nas, skazując na ciąg bezustannych rezygnacji i rozstań - dziś Strzybisz hojnie nas obdarzył. Nie runął w głąb materii, nie wdarł się w tkanki mchów, paprotników, nie wdał się w egzotykę podpatrywania bezcelowych doskonałości Natury, w te śledztwa, jakimi nauka sztukę zaraziła, lecz zaprowadził nas na skraj naszych ciał, w niczym nie wyznaczonych, nie przesadzonych, nie zmienionych - rzeczywistych! - i tym samym mosty rzucił z terażniejszości w przeszłość, wskrzeszając tę powagę, którą straciła już sztuka; i nie jego wina, że rezurekcja ta dłużej, niż kilka chwil, trwać nie może.

ERUNTYKA

Reginald Gulliver

George Allen & Unwin LTD 40 Museum Street/London

Wstęp

Przyszły historyk uzna zapewne dwie przenikające się eksplozje za najwłaściwszy model naszej kultury. Lawiny produktów umysłowych, mechanicznie wyrzucane na rynek, stykają się z odbiorcami w trafach równie przypadkowych jak te, co zawiadują kolizjami gazowych molekuł: nikt już nie ogarnia tłumu tych produktów w całości. A ponieważ nigdzie nie można przepaść łatwiej niż w tłumie, przedsiębiorcy kultury, właśnie przez to, że publikują wszystko, co tylko im autorzy dostarczą, przebywają w błogim, lecz błędnym przeświadczeniu, jakoby teraz nic cennego się nie marnowało. Poszczególnym książkom należy się uwaga, jeśli tak uzna odpowiedni fachowiec, który usuwa ze swego pola widzenia wszystko, co obce jego specjalności. Ten zabieg eliminacji jest obronnym odruchem każdego eksperta: gdyby był mniej bezwzględny, utonąłby w papierowym potopie. Lecz skutek tego bezpieczeństwa, równa śmierci cywilnej, zagraża wszystkiemu, co, że całkowicie nowe, urąga klasyfikacyjnym zasadom. Książka, którą przedstawiam, znajduje się właśnie na ziemi niczyjej. Może to płód obłąkania - lecz wówczas chodzi o szaleństwo z precyzyjną metodą; może to produkt pseudologicznej perfidii - wtedy jednak byłby nie dość perfidny, bo niepokupny. Rozsądek z pośpiechem pospołu każą przemilczeć takie dziwadło, lecz wyziera zeń, przy całej nudzie wykładu, duch niepospolitego kacerstwa, które zatrzymuje na miejscu. Bibliografie odniosły ten tytuł do Science Fiction, ale okolica ta stała się już wysypiskiem wszelkich osobliwości i niedowarzeń, jakie relegowano z poważniejszych sfer. Gdyby Platon ogłosił dziś „Rzeczpospolita”, a Darwin - „O powstawaniu gatunków”, opieczętowane hasłem „Fantastyki” stoczyłyby się może obie te pozycje na bruk - i czytane przez wszystkich, nie zauważone tym samym przez nikogo, wtopione w sensacyjne gadulstwo, nie zaważyłyby na rozwoju myśli. Książka ta zajmuje się bakteriami - lecz żaden bakteriolog nie weźmie jej serio. Uprawia lingwistykę, która włosy postawi na głowie każdemu językoznawcy. Dochodzi do futurologii, sprzecznej z tym, co uprawiają jej zawodowi przedstawiciele. Właśnie dlatego - jako wypędek wszystkich dyscyplin naukowych - musi spaść do poziomu Science Fiction i grać jej rolę, nie licząc wszakże na czytelników, ponieważ niczego takiego nie opowiada, co zaspokoiłoby głód przygody. Nie potrafię właściwie ocenić „Eruntyki”, sądzą jednak, że brak dla niej kompetentnego przedmówcy. Uzurpuję sobie więc tę pozycję z niepokojem: któż

może wiedzieć, ile prawdy skrywa tak daleko posunięta czelność! Przy kartkowaniu wygląda książka na podręcznik naukowy, lecz jest stekiem dziwolągów. Na fantazję literacką nie kroi, bo nie ma kompozycji artystycznej. Jeśli opisuje prawdę, prawda ta zadaje kłam niemal całej wiedzy współczesnej. Jeśli kłamie, czyni to w monstrualnym wymiarze. Jak wyjaśnia autor, eruntyka („Die Eruntizitaetslehre”, „Eruntics”, „Eruntique” - nazwa pochodzi od „erunt” - „będa” - 3 osoba czasu przyszłego liczby mnogiej od „esse”) nie była zamierzona jako odmiana prognostyki bądź futurologii. Nie można się owej eruntyki nauczyć, gdyż nikt nie zna zasad jej funkcjonowania. Nie można dzięki niej przewidzieć tego, co by się chciało. Nie jest to żadna „wiedza tajemna” w stylu jakiejś astrologii czy dianetyki i nie jest to też przyrodoznawcza ortodoksja. Tak więc doprawdy mamy przed sobą rzecz skazaną na to, aby być „wygnanką wszystkich światów”. R. Gulliver przedstawia się w pierwszym rozdziale jako filozof-dyletant i bakteriolog-amator, który jednego dnia - osiemnaście lat temu - postanowił nauczyć bakterie języka angielskiego. Impuls był natury przypadkowej. W krytycznym dniu wyjmował z termostatu szalki Petry'ego, owe płaskie szklane naczynka, w których hoduje się na agarowej żelatynie bakterie in vitro. Do tej pory bawił się tylko, jak powiada, bakteriologią, bo uprawiał ją jako rodzaj konika, bez pretensji czy nadziei na jakoweś odkrycia. Lubił po prostu, przyznaje, obserwować wzrost drobnoustrojów na podścielisku agarowym: zadziwiała go „zmyślność” niewidzialnych „roślinek”, tworzących na mętnawym podłożu kolonie wielkości główki od szpilki. Aby zbadać skuteczność środków przeciwbakteryjnych, nanosi się rozmaite takie środki na agar - pipetką lub maczakiem; tam, gdzie objawiają swe działanie, agar pozostaje wolny od bakteryjnego nalotu. Jak to czasem robią laboranci, R. Gulliver, umoczywszy watkę w antybiotyku, napisał nią na gładkiej powierzchni agaru „Yes”. Napis ten, niewidzialny, w następnym dniu unaoczniał się, ponieważ intensywnie rozmnażające się bakterie pokryły gruzelkami kolonii cały agar z wyjątkiem śladu, jaki pozostawił maczak użyty niczym pióro. Wtedy to, twierdzi, przyszło mu po raz pierwszy do głowy, że ten proces można by „odwrócić”. Napis był widoczny, ponieważ wolny od bakterii. Lecz gdyby mikroby ułożyły się w litery, pisałyby - i tym samym wyrażałyby się w języku. Myśl ta była kusząca, lecz zarazem - przyznaje - całkiem nonsensowna. Przecież to on napisał na agarze słowo „yes”, bakterie zaś tylko „wywołały” ów napis, bo nie mogły się rozmnażać w jego obrębie. Lecz myśl ta nie dawała mu odtąd spokoju. Na ósmy dzień wziął się do dzieła. Bakterie są w stu procentach bezmyślne, więc na pewno nierozumne. Niemniej z zajmowanego w Przyrodzie stanowiska są znakomitymi chemikami. Drobnoustroje chorobotwórcze nauczyły się pokonywać zapory cielesne i obronne siły ustrojowe zwierząt setki milionów lat temu. Można to pojąć zważywszy, że nic innego nie robiły przez wieki

wieków, więc miały dość czasu, aby wciskać agresywne, choć ślepe sposoby swych chemizmów w obronny mur białek, którym opancerzają się wielkie organizmy. Także gdy na arenie dziejów zjawił się człowiek, zaatakowały go i zadawały mu, przez kilkanaście tysięcy lat istnienia cywilizacji, cierpienia, kończące się w osławionych zarazach śmiercią nieraz całych populacji. Dopiero niespełna osiemdziesiąt lat temu człowiek przeszedł do potężniejszego kontrataku, obruszając na bakterie armię swych środków bojowych - wybiórczych trucizn syntetycznych, porażających ich życiowe procesy. W tym jakże krótkim czasie sporządził ponad czterdzieści osiem tysięcy chemicznych broni przeciwbakteryjnych, syntetyzowanych z takim rozmysłem, żeby uderzały w najwrażliwsze, newralgiczne punkty ich przemiany materii, wzrostu i rozmnażania. Czynił to w wierze, iż niebawem zmiecie zarazki z powierzchni ziemi, lecz rychło przekonał się, ze zdumieniem, że powstrzymując ekspansje mikrobów - zwane epidemiami - ani jednej choroby nie zlikwidował ze szczętem. Bakterie okazały się przeciwnikiem lepiej wyposażonym, niż to sobie wyobrażali twórcy chemoterapii wybiórczej. Bez względu na to, jakich nowych preparatów z retorty używa człowiek - one, złożony hekatombi w tym, nierównym, zdawałoby się, boju - wnet przystosowują trucizny do siebie bądź siebie do trucizn, wytwarzając oporność. Nauka nie wie dokładnie, jak one to robią, to bowiem, co wie, wygląda nader nieprawdopodobnie. Bakterie na pewno nie dysponują teoretyczną wiedzą w zakresie chemii czy immunologii. Nie mogą przeprowadzać ani eksperymentów próbnych, ani strategicznych narad; nie są w stanie przewidzieć dziś tego, co człowiek jutro przeciw nim skieruje, lecz w tej niekorzystnej wojennie sytuacji przecież sobie radzą. Medycyna tym mniej pokłada nadziei w oczyszczeniu ziemi z zarazków, im większej nabywa wiedzy i wprawy. Zapewne: twardy żywot bakterii to skutek ich zmienności. Bez względu na to jednak, jakich taktyk mają się bakterie w opresji, pewne jest, że działają bezwiednie - jako mikroskopijne agregaty chemiczne. Nowe szczepy zawdzięczają oporność tylko mutacjom dziedziczności, a mutacje te są zasadniczo losowe. Gdyby sprawa dotyczyła człowieka, odpowiadałby jej taki mniej więcej obraz: Nieznany wróg, używając nie znanych nam zasobów wiedzy, sporządza nie znane nam środki zabójcze i ciska na ludzi ich nawałę; my zaś, ginąc masowo, w rozpaczliwym poszukiwaniu antidotum uznajemy za najlepszą strategię obrony - wyciąganie z kapelusza kartek, powyrywanych z encyklopedii chemicznej. Być może, znajdziemy na którejś z tych kartek formułę zbawiennego przeciwśrodku. Należy jednak sądzić, że rasa, która tym trybem właśnie chciałaby odeprzeć śmiertelne zagrożenie, prędzej zginie co do nogi, aniżeli to się jej uda - taką loteryjną metodą. A jednak metoda owa jakoś działa, gdy ją stosują bakterie. O tym, by ich dziedziczny kod genowy miał przewidująco wpisane w siebie wszystkie możliwe struktury zgubnych ciał

chemicznych, jakie tylko da się syntetyzować, nie może być nawet mowy. Toż takich związków jest więcej niż gwiazd i atomów w całym Wszechświecie. Zresztą ubożuchny aparat dziedziczności bakteryjnej nie pomieściłby nawet informacji o tych 48 000 środków, których człowiek dotąd użył w walce z zarazkami. Więc jedno jest niezbite: chemiczna wiedza bakterii, jakkolwiek czysto „praktyczna”, nadal góruje nad wysoką teoretyczną wiedzą człowieka. Skoro tak, skoro bakterie dysponują taką wszechstronnością, czemu właściwie nie można by jej użyć dla celów zupełnie nowych? Jeśli sprawę oceniać obiektywnie, będzie jasne, że napisać kilka słów po angielsku to problem o wiele prostszy, aniżeli sporządzić niezliczone taktyki obrony i przeciw niezliczonym rodzajom jądów i trucizn. Za tymi truciznami stoi wszak ogrom nauki nowożytnej, biblioteki, laboratoria, mędracy i ich komputery - i tej potęgi jeszcze mało jest przeciwko niewidzialnym „roślinkom!” Więc sęk tylko w tym, jak zniewolić bakterie do nauki angielskiego, jak uczynić opanowanie mową - warunkiem koniecznym przetrwania. Trzeba stworzyć sytuację o dwu i tylko dwu wyjściach: albo się pisać nauczyć, albo zginiecie. R. Gulliver oznajmia, że w zasadzie można by nauczyć gronkowca złocistego bądź pałeczkę okrężnicy (*Escherichia coli*) pisma, jakim się normalnie posługujemy, lecz droga tej nauki jest niesłychanie żmudna i najeżona mnóstwem przeszkód. O wiele prościej wyuczyć bakterie posługiwania się alfabetem Morsego, złożonym z kropek i z kresek, tym bardziej że kropki już i tak same stawiają. Przecież każda kolonia nie jest niczym innym jak kropką. Ze sklejenia się w osi czterech kropek powstanie kreska. Czy to nie proste? Takie były założenia i inspiracje R. Gullivera - brzmiące dość obłądnie, by każdy fachowiec w tym miejscu cisnął jego wykład w ką. Lecz my, nie będąc specjalistami, możemy pochylić się nad dalszym tekstem. R. Gulliver postanowił uczynić najpierw warunkiem przetrwania - stawianie krótkich kresek na agarze. Gała trudność w tym (powiada w II rozdziale), że tu nie może być wszak mowy o żadnym nauczaniu - w zwykłym sensie słowa - ani w odnoszącym się do ludzi, ani nawet do zwierząt, które mogą nabywać odruchy warunkowe. Nauczany nie ma systemu nerwowego, nie ma kończyn, oczu, uszu, dotyku - nie ma nic, poza niesamowitą biegłością przeobrażeń chemicznych. One są jego życiowym procesem - i to już wszystko. A więc ten proces należy zaprząć do nauki kaligrafii - proces, a nie bakterie, bo wszak nie z osobami ani nawet nie z osobnikami rzecz: to sam kod genetyczny trzeba pouczyć, więc do kodu dobrać się należy, a nie do pojedynczych bakterii!

Bakterie nie zachowują się inteligentnie - kod natomiast, ich sternik, sprawia, że potrafią dostosowywać się do zupełnie nowych sytuacji - nawet do takich, co im się zdarzają po raz pierwszy w milionoleciach wegetacji. Jeżeli więc tylko uda się sporządzić warunki tak

dobrane, że jedyną dostępną taktyką przeżywania będzie artykułowane pismo, zobaczymy, czy kod z zadaniem tym się sprawi. Lecz cały ciężar problemu przerzuca powyższa refleksja na eksperymentatora: on to bowiem musi stworzyć owe niezwykle, bo ewolucyjnie dotąd nie spotykane warunki bakteryjnego istnienia! Opis doświadczeń, zajmujący dalsze rozdziały „Eruntyki”, jest niesłychanie nudny przez swą pedanterię, rozwlekłość, przez ciągłe szpikowanie tekstu fotogramami, tablicami, wykresami - toteż niełatwo go przyswoić. Lecz owych dwieście sześćdziesiąt stron „Eruntyki” ujmemy w zwięzłym streszczeniu. Początek był prosty. Na agarze znajduje się samotna kolonia pałeczki okrężnicy (*E. coli*), czterokrotnie mniejsza od litery „o”. Zachowanie tej szarawej plamki śledzi z góry optyczna głowica, połączona z komputerem. Kolonia rozrasta się zwykle we wszystkich kierunkach odśrodkowo; lecz w doświadczeniu rozrost możliwy jest tylko w jednej osi, bo wykroczenie poza nią włącza laserowy rzutnik, który zabija ultrafioletem „niewłaściwie” zachowujące się bakterie. Mamy przed sobą sytuację podobną do opisanej wstępnie - gdy na agarze pojawiło się pismo, bo bakterie nie mogły rozwijać się tam, gdzie agar zmoczono antybiotykiem. Różnica teraz tylko taka, że mogą żyć wyłącznie w obrębie kreski (poprzednio mogły żyć tylko poza nią). Autor powtórzył ten eksperyment 45 000 razy - używając jednocześnie dwu tysięcy szalek Petry'ego oraz tyluż czujników, połączonych z równoległym komputerem. Wydatki miał znaczne, ale nie zużył zbyt wiele czasu, albowiem jedna generacja bakterii żyje tylko przez jakieś 10 do 12 minut. Na dwóch szalkach (z dwóch tysięcy) doszło do takiej mutacji, że powstał nowy szczep pałeczki okrężnicy (*E. coli orthogenes*), który nie był już zdolny rozwijać się inaczej aniżeli w kreskach; ta nowa odmiana pokrywała agar takim sznureczkiem: Rozwój w jednej osi stał się tedy własnością dziedziczną zmutowanej bakterii. Rozmnożywszy ten szczep, R. Gulliver zyskał następny tysiąc szalek z koloniami, a tym samym poligon następnego kroku bakteryjnej ortografii. Poprzez szczepy, co pieniały się naprzemiennymi kropkami i kreskami (.-.-.-.-), doszedł wreszcie kresu tej fazy nauczania. Bakterie zachowywały się zgodnie z narzuconym warunkiem, lecz, naturalnie, nie produkowały pisma, a tylko jego zewnętrzne elementy, wyzbyte wszelkiego sensu. Rozdziały IX, X i XI wyjaśniają, jak zrobił autor krok następny, czy raczej, jak zmusił do niego *E. coli*.

Rozwazał następująco: należy wprowadzić bakterie w takie położenie, że będą się zachowywały w pewien specyficzny sposób, a to zachowanie, na poziomie ich wegetacji czysto chemiczne, stanie się - pod względem wizualnym - znakami sygnalizacyjnymi.

W czterech milionach doświadczeń R. Gulliver macerował, wysuszał na proch, przypiekał, rozpuszczał, ścinał, dusił i porażał katalitycznie biliony bakterii - aż dopracował się takiego szczepu *E. coli*, który na zagrożenie życiowe reagował układaniem swych kolonii

w trzy kropki: Ta litera „s” (trzy kropki oznaczają „s” w alfabecie Morsego) symbolizowała „stress”, czyli opresję. Rzecz jasna, bakterie nadal nie rozumiały, lecz mogły się uratować tylko reagując powyższym układaniem swych kolonu - albowiem wtedy, i jedynie wtedy, czujnik, połączony z komputerem, usuwał zagrażający czynnik (np. pojawiającą się w agarze silną truciznę, padające, na agar promienie ultrafioletowe etc.). Bakterie, które nie układały się w trójkropkowe zespoły - wszystkie co do jednej musiały zginąć; na placu agarowych bojów - a zarazem nauk - pozostały tylko takie, które dzięki mutacjom zdobyły ową chemiczną umiejętność. Bakterie nie rozumiały... lecz jednak sygnalizowały swój stan - „życiowego zagrożenia” - dzięki czemu trzy kropki, doprawdy stały się znakiem określającym sytuację. R. Gulliver widział już, że może wyhodować szczep, który będzie nadawał sygnały SOS, lecz uznał ten etap za całkowicie zbędny. Poszedł inną drogą. Nauczył bakterie różnicowania sygnałów podług swoistości zagrożenia. Tak na przykład wolny tlen, który jest dla nich zabójczy, mogły szczepy *E. coli loquativa* 67 i *E. coli philographica* 213 usunąć ze swego środowiska nadając sygnał: ...--- (s o - czyli „stress wywołany tlenem”). Autor używa eufemizmu, gdy mówi, że uzyskanie szczepów sygnalizujących swe potrzeby okazało się „dosyć kłopotliwe”. Wyhodowanie *E. coli numerativa*, która oznajmiała, jakie stężenie jonów wodorowych (ph) jej odpowiada, kosztowało go dwa lata, zaś *proteus calculans* jął wykonywać elementarne działania arytmetyczne po dalszych trzech latach doświadczeń. Doszedł on tego, że dwa a dwa jest cztery. W następnym okresie rozszerzył R. Gulliver bazę eksperymentów, nauczając Morsego streptokoki i gonokoki, lecz zarazki te okazały się mało pojętne. Powrócił tedy do pałeczki okrężnicy. Szczep 201 wyróżnił się mutacyjną adaptatywnością: nadawał coraz dłuższe komunikaty, tak oznajmiające, jak postulatywne, oznaczały bowiem zarówno to, co bakteriom dolegało, jak i to, czego sobie życzyły jako składu odżywkii. Operując wciąż regułą ocalania tylko najsprawniej mutujących szczepów, uzyskał po jedenastu latach szczep *E. coli eloquentissima*, który pierwszy jął odzywać się “Spontanicznie, a nie tylko pod naciskiem zagrożenia. Najpiękniejszy dzień jego życia nastąpił, mówi, gdy *E. coli eloquentissima* zareagowała na zapalenie światła w laboratorium słowami „dzień dobry” - wyartykułowanymi rozrostem kolonii agarowych - w znaki Morsego... Składnię angielską opanował w zakresie basie english jako pierwszy *Proteus orator mirabilis* 64, natomiast *E. coli eloquentissima* nawet w 21 000 generacji wciąż popełniała, niestety, błędy gramatyczne. Lecz z chwilą, gdy kod genowy owych bakterii przyswoił sobie reguły składni, sygnalizacja Morsestem stała się jedną z właściwych mu czynności życiowych: tak przyszło do spisywania nadawanych przez mikroby - wieści. Nie były one zrazu specjalnie ciekawe. R. Gulliver

chciał zadawać bakteriom naprowadzające pytania, lecz utworzenie dwukierunkowej łączności okazało się niemożliwe. Przyczynę fiaska wyjaśnia następująco: to nie bakterie artykułują, lecz genowy kod nimi, a kod ten nie dziedziczy cech, indywidualnie nabywanych przez poszczególne osobniki. Kod wysławia się, lecz nadając komunikaty - sam żadnych wprost nie jest w stanie odbierać. Jest to zachowanie odziedziczone, gdyż utrwalone w walce o byt; wiadomości, które nadaje kod genowy, grupując kolonie coli w znaki Morsego, są wprawdzie sensowne, lecz zarazem bezmyślne, który to stan rzeczy najlepiej uzmysłowi powołanie się na z dawna znany sposób reagowania bakterii: wytwarzając penicylinazę, aby uchronić się przed działaniem penicyliny, zachowują się sensownie, lecz zarazem bezświadomie. Toteż rozmowne szczepy R. Gullivera nie przestały być „zwykłymi bakteriami”, a zasługą tego eksperymentatora było utworzenie warunków, co zaszczepiły elokwencję - dziedziczności zmutowanych szczepów. Tak więc bakterie mówią, lecz do nich mówić nie można. Ograniczenie to jest mniej fatalne, niż można by sądzić, ponieważ właśnie dzięki niemu objawiła się z czasem ta własność lingwistyczna zarazków, która legła u podstaw eruntyki. R. Gulliver nie oczekiwał jej wcale; wykrył ją przypadkowo, w toku nowych doświadczeń, mających na celu wyhodowanie E. coli poetica; krótkie wierszyki, układane przez pałeczkę okrężnicy, były wysoce banalne, a zarazem nie nadawały się do głośnego deklamowania, ponieważ - ze zrozumiałych względów! - bakterie nic nie wiedzą o fonetyce angielszczyzny. Toteż opanować mogły metrum wiersza, ale nie - zasady rymowania; niczego ponad dystychy w rodzaju „Agar agar is my love as were² stated above” poezja bakteryjna nie wyprodukowała. Jak to bywa, traf pospieszył Gulliverowi z pomocą. Zmieniał on skład odżywki, poszukując środków inspirujących bakterie do bogatszej wymowności, nasycając podścielisko preparatami, których skład chemiczny notabene zataja. Zrazu wynikło z tego rozwlekłe gadulstwo; aż 27 listopada E. coli loquativa po nowej mutacji jęła nadawać sygnały stresu, jakkolwiek nic nie wskazywało na to, by w agarze znajdowały się jakieś szkodliwe dla jej zdrowia związki. Niemniej w następnym dniu, 29 godzin po alarmie, oberwała się sztućcatura nad stołem laboratoryjnym i spadając z sufitu zmiażdżyła wszystkie szalki Petry'ego znajdujące się na stole. Autor uznał zrazu ów dziwny fakt za zbieg okoliczności, lecz na wszelki wypadek przeprowadził eksperyment kontrolny, który wykazał, że bakteriom właściwe są premonicje. Już pierwszy nowy szczep - Gulliveria coli prophetica - przepowiadał niezgorzej przyszłość, to jest, usiłował się przysposobić do takich niekorzystnych zmian, jakie miały mu zagrozić dopiero w ciągu nadchodzącej doby. Autor sądzi, że nie odkrył niczego absolutnie nowego, lecz wpadł tylko przypadkiem na trop

2 Błąd ten popełniły bakterie.

prastarego mechanizmu, właściwego dziedziczności mikrobów, który umożliwia im skuteczne parowanie technik bakteriobójczych medycyny. Dopóki jednak bakterie pozostawały nieme, nie wiedzieliśmy nic o samej możliwości istnienia takiego mechanizmu. Szczytowym osiągnięciem autora stało się wyhodowanie *Gulliveria coli prophetissima* i *proteus delphicus recte mirabilis*. Szczepy te przepowiadają bowiem przyszłość nie tylko w zakresie takich zjawisk, jakie odnoszą się do ich własnej wegetacji. R. Gulliver przypuszcza, że mechanizm tego fenomenu jest czysto fizycznej natury. Bakterie grupują się koloniami w kropki i w kreski, gdyż tryb ten jest już zwyczajną własnością właściwego im rozplemu; to nie jakowaś „pałeczka-Kassandra” i nie jakiś „odmieniec-prorok” wysławiają cokolwiek na temat zdarzeń przyszłości. To tylko konstelacje fizycznych zjawisk w postaci jeszcze tak zarodkowej, tak nikłej, że my nie możemy ich wykryć żadną miarą, zdobyły wpływ na przemianę materii - więc na chemizm - owych zmutowanych szczepów. Biochemiczna działalność *Gulliveria coli prophetissima* sprawuje się tedy jak przekaznik, który łączy różne interwały czasoprzestrzeni. Bakterie są hiperczułym odbiornikiem pewnych szans - i niczym ponadto. Futurologia bakteryjna stała się wprawdzie rzeczywistością, lecz jest ona w wynikach zasadniczo nieobliczalna, ponieważ śledzącą przyszłość zachowaniem bakterii nie można kierować. Czasem *proteus mirabilis* kreśli znakami Morsego szeregi liczbowe, i bardzo trudno wtedy ustalić, do czego się one odnoszą. Raz przepowiedział z półrocznym wyprzedzeniem stan elektrycznego licznika w laboratorium. Raz przewidział, ile kociąt urodzi kotka sąsiadów. Bakteriom najoczywściej jest zupełnie wszystko jedno - w zakresie przepowiadanego; mają się one do przekazywanych Morselem treści tak, jak odbiornik radiowy do sygnałów. Można jeszcze zrozumieć, czemu przepowiadają zjawiska związane z ich wegetacją; natomiast: ich wrażliwość na wypadki innych kategorii pozostaje zagadką. Pęknięcie tynku sufitowego mogły odebrać dzięki zmianom elektrostatycznych ładunków w powietrzu pomieszczenia laboratoryjnego lub też dzięki pośrednictwu innych fizycznych zjawisk. Lecz autor nie wie czemu ponadto przekazują wieści dotyczące na przykład świata po roku 2050. Jego kolejnym zadaniem było rozróżnianie pomiędzy bakteryjną pseudologią, więc gadulstwem nieodpowiedzialnym, a porządnymi predykcjami, i rozwiązał to zadanie w sposób tyleż pomysłowy, co prosty. Utworzył mianowicie „równoległe baterie prognostyczne”, zwane bakteryjnymi eruntorami. Na baterię taką składa się co najmniej 60 szczepów profetycznych *coli* oraz *proteusa*. Jeśli każdy z nich gada co innego, sygnalizację uznać trzeba za bezwartościową. Jeśli jednak komunikaty są chóralne, zachodzi stawianie prognoz. Umieszczone w osobnych termostatach, na osobnych szalkach Petry'ego, artykułują Morselem takie same lub bardzo zbliżone teksty. W ciągu dwóch lat zgromadził autor antologię

futurologii bakteryjnej i prezentacją jej zwieńczył swoje dzieło. Najlepsze wyniki zdobył dzięki szczepom *G. coli bibliographica* i *telecognitiva*. Szczepy te wydzielają fermenty jak *futura plusquamperfectiva* bądź *ekscytyna futurognostica*. Pod wpływem działania tych fermentów zdolność predykcyjną uzyskują nawet takie szczepy coli, które, jak *E. poetica*, niczego, poza układaniem słabych wierszy, nie potrafiły. W swym zachowaniu przewidującymi przyszłość są wszakże bakterie dość ograniczone. Po pierwsze, nie przepowiadają żadnych zdarzeń bezpośrednio, lecz tylko takie, i w taki sposób, jakby przekazywały treść publikacji na temat owych zdarzeń. Po wtóre, nie potrafią się długo skupić; ich wydolność w pułapie sięga ledwie stronic maszynopisu. Po trzecie, wszystkie teksty bakteryjnych autorów odnoszą się do okresu rozpostartego między rokiem 2003 a 2089. R. Gulliver, przyznając liberalnie, że zjawiska te można rozmaicie wyklądać, daje prym takiej hipotezie. Na miejscu jego obecnej posiadłości ma powstać za 50 lat biblioteka miejska. Kod bakterii zachowuje się jak urządzenie na oślep wsuwane do biblioteki i wybierające z półek przypadkowe tomy. Co prawda, tomów tych nie ma na razie, jak i samej biblioteki, lecz R. Gulliver, pragnąc umocnić wiarygodność bakteryjnych przepowiedni, spisał już testament, mocą którego domostwo jego ma być właśnie obrócone przez radę miejską w pomieszczenie biblioteczne. Nie można twierdzić, że działał za podszeptem swoich mikrobów, lecz, na odwrót raczej, to one przewidziały treść jego testamentu; nim został jeszcze sporządzony. Wyjaśnić, skąd zarazki zyskały wiadomości o nie istniejących książkach nie istniejącej na razie biblioteki, jest trochę trudniej. Na trop właściwy naprowadza to, że futurologia mikrobów ogranicza się do takich fragmentów dzieł, co są ich wstępami. Wygląda więc na to, że jakiś czynnik nieznan (promieniowanie??) penetrował książki zamknięte, prześwietlając je niejako, a wtedy, rzecz jasna, najłatwiej wysondować zawartość pierwszych stronic, bo następne są skutecznie osłaniane grubością pozostałych kartek. Eksplicacjom tym daleko do jasności. Gulliver zresztą przyznaje, że pomiędzy jutrzejszym pęknięciem sufitowego tynku a usytuowaniem zdań na stronach tomów, które będą opublikowane za 50 bądź za 80 lat, zachodzi wcale spora różnica. Lecz autor nasz, rzeczowy do końca, nie uzurpuje sobie praw wyłączności w wyjaśnianiu podstaw eruntyki: owszem, zachęca w ostatnim słowie czytelników, by sami zechcieli kontynuować jego wysiłki. Książka ta obala nie tylko bakteriologię, lecz całość naszej wiedzy o świecie. Przedmową niniejszą nie chcemy jej oceniać, tym bardziej - nie ustosunkowujemy się do rezultatów prorocत्व bakteryjnych. Jakkolwiek wątpliwa może być wartość eruntyki, przyznać trzeba, że wśród przepowiadaczy dziejów nie było dotąd tak śmiertelnych wrogów i zarazem nieodłącznych towarzyszy naszego losu, jak mikroby. Być może nie od rzeczy będzie tu jeszcze uwaga, że R. Gulliver

już się wśród nas nie znajduje. Zmarł kilka ledwo miesięcy po ukazaniu się „Eruntyki”, w toku nauczania nowych adeptów piśmiennictwa mikrobiologicznego, mianowicie bakcyli cholery. Liczył na ich umiejętności, gdyż, jak sama nazwa wskazuje, przecinkowiec cholery poprzez znaki przestankowe jest spokrewniony z poprawną stylistyką. Powstrzymajmy uśmiech żałobnego politowania, wywołany konkluzją, że była to śmierć bezsensowna, skoro dzięki niej moc prawną zyskał testament i pod mury biblioteki położono już kamień węgielny, a zarazem nagrobny tego, kto dziś jest dla nas tylko dziwakiem. Któż może jednak wiedzieć, czym stanie się jutro?

Juan Rambellais • Jean-Marie Annax • Eino Illmainen Stewart Allporte • Giuseppe Savarini»
Yves Bonnacourt Hermann Poeckelein • Alois Kuentrich • Roger Gatzky

HISTORIA LITERATURY BITYCZNEJ

W PIĘCIU TOMACH

WYDANIE DRUGIE ROZSZERZONE POD REDAKCJĄ PROF. DR. J.
RAMBELLAIS

TOM PIERWSZY

PRESSES UNIVERSITAIRES PARIS 2009

1. UWAGI OGÓLNE. Pod literaturą bityczną rozumiemy wszelki wytwór nie ludzkiego pochodzenia, to jest taki, którego autorem właściwym nie był żaden człowiek. (Mógł nim być natomiast pośrednio - podejmując czynności, które sprowokowały właściwego autora do aktów kreacji.) Dyscypliną, badającą cały zbiór takich pism, jest bitystyka. Po dziś dzień nie doszło w niej do ujednoczenia poglądów na rozmiary badanego obszaru. W tej naczelnej kwestii oponują sobie dwa kierunki czy też dwie szkoły - zwane pospolicie bitystyką Starego Świata (czyli europejską) i Nowego Świata (albo amerykańską). Szkoła pierwsza, działając w duchu klasycznej humanistyki, bada teksty oraz środowiskowe (socjalne) uwarunkowania ich autorów, nie zajmuje się natomiast stroną czynnościowo-konstrukcyjną tychże autorów. Druga szkoła, amerykańska, zalicza do bitystyki również anatomie i aspekty funkcjonalne producentów dzieł badanych. Monografia nasza nie zajmuje się roztrząsaniem owego spornego problemu, toteż wypowiemy w tej sprawie tylko zwięzłą uwagę. Milczenie tradycyjnej humanistyki w sprawach „anatomii i fizjologii autorów jest uzasadnione tym oczywistym faktem, iż autorzy ci, zawsze będąc ludźmi, różnią się od siebie tak tylko, jak mogą się różnić od siebie istoty tego samego gatunku. Byłoby tedy - jak pisze prof. Rambellais - nonsensem w romanistyce wstępne stawianie diagnozy że autorem „Tristana i Izoldy” bądź „Pieśni o Rolandzie” był wielokomórkowy organizm rzędu kręgowców lądowych, ssak żyworodny, płucodyszny, łożyskowy, itp. Natomiast nie jest już takim samym nonsensem precyzowanie, iż autor „Antykanta”, ILLIAC 164, jest semotopologicznym, szeregowo-równoległym, podświetlnym, wyjściowo poliglotycznym komputerem 19-tej binastii, o potencjale intelektualnym w szczycie osiągającym 10^{10} epsilonsemów na milimetr n-wymiarowej konfiguracyjnej przestrzeni kanałów użytkowych, z pamięcią wyalienowaną sieciowo i z monojęzykiem procedur wewnętrznych typu UNILING. A to,

ponieważ dane te wyjaśniają pewne konkretne własności tekstów, których ów ILLIAC jest autorem. Niemniej, twierdzi prof. Rambellais, bitystyka nie musi zajmować się tą właśnie - techniczną (w wypadku człowieka rzeklibyśmy - zoologiczną) stroną autorskich postaci dla dwóch naraz powodów. Pierwszymi mniejszy i praktyczny w tym, iż uwzględnienie owej anatomii wymaga niezwykle rozległej wiedzy typu techniczno-matematycznego, która w całym jej zasięgu jest niedostępna nawet poszczególnym specjalistom teorii automatów: w samej rzeczy bowiem ekspert, wprowadzony w ową teorię, orientuje się swobodnie tylko w jakiejś jej jednej gałęzi, której się poświęcił. Niepodobna więc żądać od przedstawicieli bitystyki, którzy są humanistami z wykształcenia i z metody, tego, co nawet zawodowcom inżynierii nie może być jako całość dostępne; toteż maksymalizm amerykańskiej szkoły zmusza ją do uprawiania badań w wielkich mieszanych zespołach, a. to zawsze daje fatalne rezultaty, ponieważ żaden zbiór, żaden „chór” krytyków nie może zastąpić skutecznie jednego krytyka, ogarniającego badany tekst w pełni. Drugi, ważniejszy i zasadniczy powód w tym po prostu, że bitystyka z wprowadzoną „poprawką” czy też „uzupełnieniem” typu, „anatomicznego” skazana jest na ustawanie, ilekroć skupia swą uwagę na tekstach „bitycznej apostazy” (jak będziemy o tym mówili poniżej). Cała wiedza inżynierów jest bowiem już niedostateczna dla dokładnego zrozumienia, w jaki sposób, dlaczego i z jakim celem określony autor stworzył określony tekst - o ile ten autor pochodzi z dowolnej binastii komputerów, o liczbie porządkowej większej od 18. Argumentom tym przeciwstawia amerykańska bitystyka swoje kontrargumenty; lecz, jak już oświadczyliśmy, monografia nasza sporu tego nie zamierza ani dokładnie opisywać, ani tym bardziej - rozstrzygnąć.

2. OPIS DZIEŁA. Monografia nasza stanowi próbę kompromisu pomiędzy naznaczonymi powyżej stanowiskami, lecz całością przechyla się na stronę szkoły europejskiej. Odzwierciedla to jej budowa, albowiem tylko tom pierwszy, zredagowany przez prof. Annaxa, przy współudziale dwudziestu siedmiu różnospecjalistycznych ekspertów, poświęcony jest technicznemu aspektowi autorów-komputerów. Tom ów otwiera wprowadzenie w ogólną teorię automatów skończonych; w dalszych rozdziałach omawia czterdzieści pięć układów autorskich, reprezentatywnych dla bitycznej literatury, tak pojedynczych (singularnych), jak zespołowych („autorów-agregatów”). Niemniej podkreślić trzeba, iż, wyjąwszy oznaczone gwiazdką odsyłacze w tomach właściwej „Historii literatury bitycznej”, studium jej nie wymaga koniecznie zaznajomienia się z tomem pierwszym. Właściwa, czyli merytoryczna część monografii składa się z trzech tomów, opatrzonych nazwami „Homotropia”, „Intertropia” oraz „Heterotropia”, i podlega przyjętej powszechnie klasyfikacji, która ma charakter jednocześnie diachroniczny i synchroniczny - ponieważ trzy

główne działy literatury bitycznej, ogarnięte wymienionymi nazwami, są zarazem trzema kolejnymi okresami jej powstania i rozwoju. Schemat całości dzieła ukazuje poglądowo zamieszczona poniżej tablica.

LITERATURA BITYCZNA

(wg Allporte'a, Illmainena i Savariniego)

I. HOMOTROPIA³ (faza homotropiczna; cishumana; także „symulacyjna” lub „antropomikryczna”) *

A. Stadium zarodkowe (embrionalne, czyli prelingwistyczne):

Paraleksyka (Neologeneza)

Semolalia

Semautyka

B. Stadium lingwistyczne („rozumiejące” wg Allporte'a):

Mimeza interpolacyjna

Mimeza ekstrapolacyjna

Mimeza transcendentna sterowana („wykraczająca programowo”)

II. INTERTROPIA (także „Faza krytyczna” lub „Interregnum”)

Krytyka filozofii systemowej

³ Faza ta zwana była dawniej „monoetyczną” lub „monoetyką”.

III. HETEROTROPIA (apostaza, faza transhumana)

W ujęciu genetycznym wynika bitystyka jako wypadkowa trzech co najmniej, w znacznej mierze niezależnych od siebie procesów, a mianowicie przekroczenia tak zwanej bariery inteligencji, które było dziełem konstruktorów przede wszystkim, następnie - ani przez nich nie zamierzonej, ani tym bardziej nie projektowanej - pracy układów (poczynając od 17-tej binastii) autoregeneracyjnej (czyli tak zwanych „przestojów czynnych relaksacyjnie”) - wreszcie stosunków, jakie się stopniowo krystalizowały pomiędzy owymi maszynami i ludźmi, stanowiąc skutki „wzajemnego zajmowania się i rozpoznawania tak obustronnych możliwości, jak i ograniczeń (Yves Bonniecourt). Bariera inteligencji, daremnie szturmowana przez wczesną cybernetykę, jest, jak wiemy już niezbicie, fikcją. Jest ona fikcją w tym - niespodziewanym - sensie, iż jej przekroczenia, przez maszyny, rozpoznać niepodobna. Przejścia od maszyn „nierozumnych”, pracujących czysto formalnie”, „gadających”, do maszyn „rozumnych”, przejawiających „insight”, „mówiących”, są bowiem w gradacjach płynne. Jakkolwiek kategorie „bezmyślności mechanicznej” oraz „suwerenności myślowej” zachowały swą moc, pojmujemy, że żadna dokładnie dająca się wytyczyć granica ich od siebie nie dzieli. Relaksacyjna wytwórczość maszyn została spostrzeżona i zanotowana

już niemal trzydzieści lat temu; okazało się bowiem czysto techniczną koniecznością dostarczanie prototypom (począwszy od 15-tej binastii) okresów spoczynkowych, podczas których aktywność ich nie zamierała, lecz wyzbyta dyrektyw programowych, przejawiała się jako swoisty „belkot”. Tak przynajmniej interpretowano podówczas ową produkcję werbalną bądź quasi-matematyczną; utarło się nawet określenie jej mianem „maszynowych snów”. Podług opinii potocznych, maszynom owym był niezbędny aktywny odpoczynek, umożliwiający im regenerację, a więc powrót do normalnej, pełnej sprawności, podobnie jak faza taka - snu, wraz z typowymi dlań sennymi marzeniami (rojeniami) - jest ludziom niezbędna. Nazwa „produkcji bitycznej”, przydana wtedy owym „gadaniom” i „rojeniom”, miała zatem deprecjonujący, „lekceważący” charakter: maszyny meły jakoby bez ładu i składu „bity wszelkiej zawartej w nich informacji” - i tym sposobem „tasowania mieszczałowego” miały dochodzić częściowo utraconej sprawności. Przejęliśmy ową nazwę, jakkolwiek jej nieśposowność bije w oczy. Przejęliśmy ją w zgodzie z tradycją historyczną wszelkiego naukowego mianownictwa: pierwszy wzięty z brzegu przykład - ot choćby nazwy „termodynamika” - wyjawia analogiczną nieśposowność, ponieważ współczesna termodynamika nie jest zakresowo tym samym, czym była dla fizyków dawniejszych, którzy ów termin ukuli. Nie tylko „ciepłymi ruchami” materii zajmuje się wszak termodynamika - i podobnie nie o samych „bitach”, więc jednostkach informacji niesemantycznej, rzecz, kiedy mowa o literaturze bitycznej. Lanie nowego wina w stare dzbany jest jednak powszechnym obyczajem nauki. „Wzajemne zaznajamianie się” maszyn i ludzi doprowadziło do - wyraźniejszego z upływem lat - podziału bistyki na dwie podstawowe prowincje, którym odpowiadają terminy „creatio cishumana” oraz „transhumana”. Pierwsza obejmuje piśmiennictwo, będące skutkiem koegzystowania maszyn i ludzi, to jest tego prostego faktu, iż przeszczepiając im nasz język etniczny i nasze języki formalne, ponadto zaprzęgliśmy je do naszych prac umysłowych w całym obszarze kultury i przyrodoznawstwa wraz z dyscyplinami dedukcyjnymi (logiki i matematyki). Niemniej kreacja bityczna, której bezpośrednią przyczyną, czynnikiem inspirującym, jest przekazanie, autorom nie ludzkim, typowo ludzkiej problematyki w zakresie poznania i sztuk pięknych, rozpada się z kolei na dwa podobszary, dość wyraźnie wyodrębnione. Czymś innym jest bowiem produkt językowy, uzyskany dzięki zamierzonemu sterowaniu, które - za obrazem pogładowym prof. Kuentricha - zwać można „obstalunkiem” (a więc nakierowaniem bezpośrednim maszyn na wybrany przez nas krąg spraw czy tematów) - a czymś innym całkiem jest taki językowy produkt, którego żaden człowiek nie „zamawiał”, a który powstał wprawdzie pod wpływem dawniejszych bodźców (czyli programowań), lecz stanowi objaw działalności już

spontanicznej. A jednak czy tak zrodzone teksty bityczne wynikły za przyczyną pośrednią czy bezpośrednią - ich związek z typowo ludzką problematyką stanowi znamię istotne i wręcz naczelną: toteż oba rodzaje takich właśnie tekstów bada bitystyka „cishumana”. I dopiero udostępnienie maszynom swobód kreacyjnych bez wszelkiego rygoru, programu, nakazu i ograniczenia doprowadziło stopniowo do wyobcowania się ich („późną” zwanej) twórczości spod typowo antropomorficznych i antropologicznych wpływów. W toku owej ewolucji piśmiennictwo bityczne niepostrzeżenie jęło stawiać nam - jako jego odbiorcom ewentualnym - narastające opory i trudności asymilacyjne. Jakoż istnieją obecnie takie działy „pozaludzkiej” (w sensie - „transhumana”) bitystyki, które stanowią próby rozumienia (analizy, interpretacji, wykładania) bitycznych tekstów, w zmiennym stopniu dla człowieka niezrozumiałych. Oczywiście zawsze możemy próbować zastosowania jednych maszyn dla interpretowania wytworu maszyn innych. Lecz ilość ogniów, niezbędnych dla uprzyśpieszenia nam tekstów bitycznych, co są ekstremami „apostazy” - jako odstępstwa od naszych norm tworzenia, rozumienia i wykładania sensów jakichkolwiek - rośnie w miarę, jak badać trzeba teksty coraz trudniejsze; i ten wzrost, stając się wykładniczym, w granicy uniemożliwia nam uzyskanie nawet niewyraźnych wiadomości o treściach „kulminującej apostazy”, tak że oznacza praktycznie całkowitą bezradność ludzkiego rodzaju - względem piśmiennictwa, jakiemu ludzkie, pośrednio, dali przecież sami początek. Niektórzy mówią w tym kontekście o „sytuacji ucznia czarnoksiężnika”, co rozpełtał moce, nad jakimi zapanować już nie umie. Określenie to jest formą rezygnacji, lecz w nauce nie może być dla rezygnacji miejsca. Istnieje, i to nader obfita, otoczka „pro-” lub „kontrabitycznego” piśmiennictwa wokół bitycznej literatury; wypowiedane są w niej sądy zdesperowane, artykułuje się tam objawy depresji, przerażenia, a zarazem porażenia faktem, iż człowiek stworzył coś, co go także duchowo przerosło. Trzeba jednak oświadczyć z naciskiem, iż bitystyka, jako dyscyplina naukowa, sama nie może być miejscem wypowiedania tego rodzaju poglądów, należących do filozofii natury, człowieka i jego (także nie-człowieczych) płodów. Uważamy, za Rogerem Gatzkym, że bitystyka nie ma ani mniej, ani więcej powodów do desperowania, aniżeli kosmologia na przykład: jest wszak rzeczą oczywistą i ponaddyskusyjną, iż bez względu na to, jak długo będziemy, ludzie, istnieli, i bez względu też na to, jakiej intelektualnej pomocy możemy się spodziewać po maszynach poznawczych, Wszechświata nie wyczerpiemy do samego końca i nie pojmiemy tym samym; lecz astrofizykom, kosmologom, kosmogonistom ani w głowie postoi uskarżać się na taki właśnie nieusuwalny stan rzeczy. Różnica w tym cała, że nie jesteśmy sprawcami Uniwersum, lecz na pewno naszym - w upośrednieniach - dziełem jest twórczość bityczna. Nie wiadomo jednak, skąd właściwie wzięło się

przeświadczenie, iż człowiek może z zupełnym spokojem uznawać niewyczerpalność Uniwersum nie może z takim samym spokojem rzeczowym uznawać niewyczerpalności tego, co sam stworzył.

3. WĘZŁOWE DZIAŁY BITYSTYKI. Wyjaśnień i opisów szczegółowych, wraz z rozumowaną bibliografią przedmiotu, dostarczy nasza monografia we właściwych miejscach. Wydaje się jednak wskazane spojrzenie na główne działy bitystyki niejako z lotu ptaka; tak dostarczony opis żadną miarą nie może zastąpić wykładu szczegółowego, lecz jest czymś w rodzaju skrótowego przewodnika po regionie silnie rozczłonkowanym i dlatego - w zbliżeniu - trudno przejrzystym. Niemniej godzi się zaznaczyć, iż przedstawione poniżej główne segmenty bitystyki są dane w silnym uproszczeniu, graniczącym niejednokrotnie z wypaczeniem centralnej problematyki. Przegląd nasz, mając rzeczony - wstępny - charakter, skoncentruje się na czterech tylko „kulminacjach” bitycznej literatury, a mianowicie na *monoetyce*, *mimezie*, *zofokryzie* i *apostazie*. Terminy te należą już właściwie do przestarzałych; w mianownictwie nowoczesnym odpowiadałyby im z grubsza: *homotropia* (w jej części pierwszej), *mimeza właściwa*, *krytyka filozofii* oraz *bityczna kreacja*, którą *wykracza* poza obręb naszego pojmowania. Mianownictwo dziś odrzucone odznaczało się wszakże zaletą, wyrazistości: a na prostocie udzielanych wstępnie objaśnień szczególnie nam zależy. A. Craeve, Gulbransson i Fradkin, zaliczani do twórców, więc „ojców” bitystyki, rozumieli pod „monoetyką” fazę bityzmu najwcześniejszą. (Nazwa pochodzi od „monos” - pojedynczy - i „poesis” - twórczość). Powstanie swe zawdzięczała monoetyka wdrażaniu maszynom reguł słowotwórstwa. Zestój tych reguł stanowi bowiem o tym, co niegdyś zwano potocznie „duchem” danego języka. Język, działający realnie, a powstały historycznie, reguł słowotwórczych używa z bardzo mocnym ograniczeniem, z czego jednak posługujący się nim na ogół wcale nie zdają sobie sprawy. Trzeba było dopiero maszyn, którym restrykcją słowotwórczości praktyczna była doskonale nie znana, abyśmy uzyskali wgląd w te wszystkie szanse, jakie mowa, ewoluując, pomija. W sprawę wprowadzi najprościej garść przykładów, zaczerpniętych z drugiego tomu naszej Historii, głównie z rozdziałów *Paraleksyka*, *Semaityka* i *Semolalia*.

a) Maszyny mogą używać wyrażeń istniejących w języku, wyznaczając inaczej ich sensy, niż to przyjęto: „droga - [kosztowna ulica]”; „warchlak - [pijane prosię]”; „koniec - [centaur na posyłki]”; „nagolennik - [święty wasal turecki]”; „ortograf - [książę prostak]”; „sarkofag - [mięsożernik]”; „osłupienie - [aria przed osłem]”; „liczykrupa - [pediatra]”.

b) Maszyny tworzą też neologizmy w tak zwanych osiach semantycznych, a przykłady takiej kreacji wybieramy umyślnie w ten sposób, żeby udzielanie szczegółowych wyjaśnień typu słownikowego nie zawsze było konieczne:

„sędziwka - ździerlatka - wróżbita [czytaj: w róż bita] - kładka - suwnica”;

„glistonosz - dżdżowinista - [ptak, karmiący pisklęta]”;

„wzębajło - skopek - broczymorda”;

„rachuś - liczydłę - cyfrant [komputer]”;

„wiśka - [kolejka linowa]”;

„grobowskaz - [memento mori]”;

„pysznia - [raj]”;

„drwaleń - [ryba piła]”; itp.

Efekt komiczny jest oczywiście niezamierzony. Idzie też o przykłady elementarne, którym jest jednak właściwa ta osobliwość bityczna, która trwa - choć znacznie trudniej dostrzegalna! - także w późniejszych stadiach rozwoju. Rzecz cała w tym, iż dla nas jest świat realny, dla maszyn natomiast - jest język rzeczywistością pierwszą i podstawową. Komputer, któremu obce jeszcze były kategorie, jakie językowi kultura narzuca, „uważał”, iż „stara prostytutka” to tyle samo, co „sędziwka”, „ździerlatka” itd. Stąd też typowe kontaminacje („koniec” jest podręcznikowo klasycznym już przykładem powstawania zbitki znaczeń i morfologicznych wyglądown: tu bowiem schodzą się „koń”, „goniec” i wchodzący jako sprzęgło z regionu semantycznego „centaur” - albowiem skoro koń nie może być posłańcem, będzie nim pół koń, pół człowiek). Komputer na tym - lingwistycznie bardzo niskim - szczeblu rozwoju nie zna ograniczeń w produkcji słowotwórczej, i właściwa strategii maszynowego myślenia oszczędność wyrazu, która powołała później do bytu nieliniową dedukcję i „gwiazdowymi” zwane pojęcia terafizyki, tutaj przejawia się jako „propozycja” równouprawnienia określeń w języku zasiedziałych, niczym „słowo” bądź „dosłowny” z takimi, jak „słowianek” (wiersz), „słowiskacz” (grafoman), „słodziej” (plagiator), „słowniarz” (ordynus) itp. Dla tych samych przyczyn proponuje generator leksykalny, aby „psilnik” oznaczał zaprzęg eskimoski, a „dyskoból” - cierpienie atlety, wywołane wypadnięciem dyska kręgowego. Przytoczone utwory jednowyrazowe, zwane dawniej monoetami, po części wywołała niedoskonałość zaprogramowań, a po części rozmysł programistów, których interesowała „słowotwórcza rozprężność” maszyn; wypada jednak zauważyć, iż wiele takich neologizmów tylko pozornie jest maszynowej proveniencji. Nie mamy np. pewności, czy w samej rzeczy ochrzcił „rządy zupaków” - „chochlokracją” - jakiś komputer, czy też był to

koncept humorysty-człowieka. Monoetyka jest dziedziną ważną, ponieważ wykrywamy w niej kreacyjne rysy maszyn, w fazach następnych ginące z pola widzenia. Jest to przedproze bitystyki czy wręcz jej przedszkole; wytwórczość ta działa uspokajająco na niejednego adepta, który, przygotowany na zetknięcie z tekstami zwężłonymi do niezrozumiałstwa, odkrywa z ulgą wytwory tak niewinne i zabawne. Lecz nie na długo starczy tej satysfakcji! Nieintencjonalny komizm powstaje skutkiem kolidowania kategorii, które mamy za trwale rozłączne; wzmocnienie programów regułami kategorialnymi przenosi nas w następny obszar bitystyki (przez pewnych badaczy nazywany jednak nadal prebitystyką), w którym maszyny poczynają „demaskować” nasz język - tropiąc w nim obroty mowy, będące skutkiem cielesnej budowy człowieka. Tak na przykład pojęcia „wywyższenia” i „poniżenia” pochodzą - podług maszynowej, a nie naszej interpretacji! - stąd, że każdy organizm żywy, a więc i człowiek, musi aktywnym wysiłkiem mięśniowym przeciwdziałać ciężeniu powszechnemu.

Tak to ciało okazuje się członem, poprzez który gradient grawitacyjny odciska się w naszym języku. Usystematyzowaną analizę mowy, obnażającą całą szerokość rozkorzenia się podobnych wpływów nie tylko w świecie pojęć, lecz i w składni, znajdzie czytelnik na końcu ósmego rozdziału drugiego tomu. W tomie trzecim zaś przedstawiamy modele języków zaprojektowanych bitycznie dla środowisk odmiennych od ziemskiego oraz dla nieczłękoksztalnych organizmów. Jeden z nich, INVART, posłużył MENTOROWI JI do ułożenia „Paszkwilu na Wszechświat” (o którym wspomnimy niżej).

B. *Mimeza* jest tą dziedziną twórczości bitycznej, która ujawniła nam nie znane dotąd mechanizmy kreacji umysłowej stając się też zaiste potężnym wtargnięciem w świat duchowych wytworów człowieka. Historycznie wynikała jako uboczne i nieprzewidziane zjawisko przy maszynowym tłumaczeniu tekstów. Wymaga ono przetwarzania informacji, zachodzącego wielokrotnie i wielostronnie. Najściślejsze styki winny zachodzić przy tym między układami pojęć, a nie słów czy fraz: tłumaczenia maszynowe z języka na język są obecnie tak znakomite dlatego, ponieważ dokonują ich agregaty nie zespolone, lecz tylko „celujące” z rozmaitych niejako stron w ten sam tekst oryginalny. Ulega on „wytłoczeniu” w języku maszynowym („pośredniku”), i dopiero z tych „odciśnień” maszyny dokonują rzutowania w „wewnętrzną przestrzeń conceptualną”. Powstaje w niej „N-echowe ciało odrywań”, mające się do oryginału tak, jak ustrój do embriona; projekcja z owego „ustroju” w język tłumaczenia daje oczekiwany rezultat. Lecz proces ten przebiega bardziej zawile, niż to tutaj opisujemy, między innymi dlatego, ponieważ jakość translacji jest ciągle kontrolowana retranslacją (tłumaczeniem „wstecznym” z „ustroju” na powrót na język oryginału). Toteż agregat tłumaczący składa się z maszyn, które łączności wzajemnej nie mają:

„porozumiewać” mogą się wyłącznie poprzez proces przekładu H. Elias i T. Semmelberg dokonali zaskakującego odkrycia, że „N-ciało odrywań”, będące tekstem, już zinterpretowanym, to jest zasymilowanym, semantycznie przez maszynę, można zobaczyć w całości - jeśli się ów twór abstrakcyjny wprowadzi w odpowiednią przystawkę elektronową („semoskop”). Wizualnie przedstawia się „ciało odrywań”, wgnieźdzone w kontinuum konceptualne, jako skomplikowana bryła wielopowłokowa, aperiodyczna i zmiennie asynchroniczna, utkana z „płonących nici” - to jest z miliardów „krzywych znaczących”. Krzywe te dają łącznie płaszczyzny cięć semantycznego kontinuum. Zwróciwszy się do materiału ilustracyjnego w tomie II, czytelnik znajdzie szereg zdjęć semoskopicznych, których zestawienie i porównywanie daje dość frapujące wyniki. Jak z nich widać, jakość oryginalnego tekstu ma wyrazisty odpowiednik w „estetyczności” geometrycznego „semotworu”! Co więcej, już przy niewielkim doświadczeniu można „na oko” odróżniać teksty dyskursywne od artystycznych (beletrystycznych, poetyckich); teksty religijne są prawie bez wyjątku mocno podobne do artystycznych, natomiast filozoficzne wykazują w tym aspekcie - wizualnym - szeroki rozrzut. Niewiele przesady tkwi w powiedzeniu, że projekcje tekstów w głąb maszynowego kontinuum są ich zakrzepłymi rozprężnie sensami. Teksty pod względem logicznym silnie zborne przedstawiają się jako mocno ściśnięte wiązki i pęki „krzywych znaczących” (nie tu miejsce dla wyjaśnienia ich związku z dziedziną funkcji rekurencyjnych: mowa o tym w 10 rozdziale II tomu). Najosobliwiej prezentują się teksty utworów literackich o alegorycznym charakterze: ich „semotwór” centralny otacza zwykle blade „halo”, a po jego obu stronach („biegunach”) widnieją „echowe powtórzenia” sensów, niekiedy przypominających obrazy interferencyjne promieni świetlnych. Jak o tym jeszcze wspomnimy, temu zjawisku zawdzięcza swe powstanie maszynowa krytyka toposemantyczna - wszelkich konstruktów myślowych człowieka, z jego systemami filozoficznymi na czele. Pierwszym dziełem mimezy bitycznej, jakie zyskało rozgłos światowy, była powieść Pseudodostojewskiego „Dziewczynka” („Diewoczka”). Stworzył ją w fazie relaksacji wieloczłonowy agregat, którego zadaniem było przełożenie dzieł wszystkich pisarza rosyjskiego na angielski. Wybitny rusycysta John Raleigh opisuje w swych wspomnieniach szok, jaki przeżył, otrzymawszy maszynopis rosyjski utworu, podpisany dziwaczny (jak sądził) pseudonimem HXXOS. Wrażenie, jakie wywarła lektura na tym znawcy Dostojewskiego, musiało być istotnie niesamowite w natężeniu, jeśli, jak wyznaje, zwątpił w to, czy się znajduje na jawie! Autorstwo dzieła było dlań pewnikiem, choć wiedział zarazem, że Dostojewski nie napisał takiej powieści. Wbrew temu, co rozpowszechniała na ów temat prasa, agregat translacyjny, przyswoiwszy sobie wszystkie teksty Dostojewskiego wraz z jego

„Dziennikiem Pisarza” i literaturą pomocniczą, nie skonstruował bynajmniej „widma”, „modelu” czy też „maszynowej reinkarnacji” - osobowości realnego twórcy. Teoria mimezy jest bardzo zawiła, lecz jej zasadę - a zarazem okoliczności, które umożliwiły ów fenomenalny popis mimetycznej wirtuozerii, da się prosto wyłożyć. Osobą ani osobowością Dostojewskiego maszynowy translator nie zajmował się wcale (nie mógłby zresztą tego uczynić). Stosunki układają się tak, że w przestrzeni znaczeń rozbudowuje się dzieło Dostojewskiego w bryłę zgiętą, przypominającą całościowym układem nie domknięty torus, a więc „pierścień pęknięty” (z luką). Tak więc, zadaniem stosunkowo prostym (dla maszyn oczywiście, nie dla człowieka!) było „zamknięcie” owej „luki” - jako „wprawienie brakującego ogniwa”. Można rzec, iż poprzez dzieła „głównego ciągu” Dostojewskiego przechodzi gradient semantyczny, którego przedłużeniem, a zarazem zamknięciem w obwód jest „Diewoczka”. Te właśnie relacje wzajemne dzieł wielkiego pisarza sprawiają, iż znawcy nie mają najmniejszych wątpliwości co do tego, gdzie, tj. pomiędzy jakimi powieściami, powinna się znaleźć „Diewoczka”. Lejtmotyw, wyraźny już w „Zbrodni i karze”, nasila się w „Biesach” i między tym utworem a „Braćmi Karamazow” „otwiera się luka”. Był to sukces, a zarazem szczęśliwy traf mimezy, ponieważ podejmowane później próby pobudzenia translatorów do analogicznej kreacji względem innych autorów nigdy już tak świetnego rezultatu nie dały. Mimeza nie ma nic wspólnego z biograficznie wykrywalną kolejnością powstawania dzieł danego pisarza. Tak np. Dostojewski pozostawił nie ukończone rękopisy powieści „Imperator”, lecz „domyślić się jej”, „wpaść na jej trop” maszyny nigdy by nie mogły, ponieważ usiłował tą powieścią wykroczyć poza własne możliwości. Co się „Dziewczynki” tyczy, istnieją już, poza wersją pierwotną, autorstwa HXXOSA, warianty odmienne, sporządzone przez inne agregaty, lecz znawcy uważają je za mniej udane; różnice kompozycji okazały się naturalnie znaczne, lecz tożsama jest w tych wszystkich apokryfach - do rozdzierającej kulminacji doprowadzona problematyka właściwa Dostojewskiemu - świętości zmagającej się z cielesnym grzechem. Każdy, kto czytał „Dziewczynkę”, zdaje sobie sprawę z powodów, jakie uniemożliwiły Dostojewskiemu jej napisanie. Oczywiście, mówiąc to wszystko, wygłaszamy - podług miar humanistyki tradycyjnej - istne błźnierstwa, skoro naśladownictwo maszynowe zrównujemy z kreacją autentyczną - lecz bitystyka jest nieuchronnym wykraczaniem poza kanon klasycznych ocen i wartości, w którym autentyczność tekstu ma pozycję naczelną, a to, ponieważ potrafimy udowodnić, iż „Diewoczka” stanowi utwór Dostojewskiego w „wyższym stopniu” aniżeli własny jego tekst - „Imperatora”! Ogólna prawidłowość mimezy taką ma postać: jeśli dany autor do cna wyeksploatował centralną dlań konfigurację sensów kreacyjnych („obsesję życiową”), czyli -

w nomenklaturze bitystów - „przestrzeń swych semotworów” - niczego, oprócz tekstów wtórnych („schyłkowych”, „echowych”) mimeza już w osi tej nie dostarczy. Jeśli natomiast czegoś „nie dopowiedział”; (np. z przyczyn biologicznych, bo zmarł przedwcześnie, bądź socjalnych, gdyż się na to nie poważył)- mimeza zdoła wytworzyć „brakujące ogniwa”. Go prawda o sukcesie finalnym decyduje ponadto topologia semotworów danego pisarza; w tym względzie rozróżniamy *semotwory zbieżne* i *rozbieżne*.

Zwykle studium krytyczne tekstów nie daje mocnych podstaw dla orzekania, jakie będą w danym wypadku szanse mimezy. Tak np. literaturoznawcy liczyli na mimetyczną kontynuację pisarstwa Kafki, lecz nadzieje te zawiodły; nie uzyskaliśmy nic poza końcowymi rozdziałami „Zamku”. Dla bitystów jest zresztą casus Kafki szczególnie cenny poznawczo, ponieważ analiza jego semotworu wykazuje, że już „Zamkiem” docierał do granicznych szans kreacji: dalsze postępowanie, przeprowadzone trzykrotnie w Berkeley, wyjawiało, jak maszynowe apokryfy „toną” w zapadających się wielopowłokowo „echowych odbiciach sensów”, co stanowi obiektywny wyraz skrajnej pozycji tego pisarstwa. Rzecz w tym, że to, co czytelnicy uznają odruchowo za „kompozycyjną trafność”, jest skutkiem równowagi zwanej semostazą; jeśli alegoryczność zbyt przeważa, tekst zmierza ku nieczytelności. Fizyczny odpowiednik tej sytuacji to przestrzeń tak sklepiona, że odzywający się w niej głos ulega zniekształceniu do zdławienia - w ulewie zewsząd idących odbić echowych. Nazwane ograniczenia mimezy są bez wątpienia pomyślnie dla kultury. Wydanie „Dziewczynki” spowodowało wszak panikę nie tylko w artystycznych środowiskach. Nie zabrakło Kassander, przewidujących „zmiążdzenie kultury mimezą” - bo głoszących „inwazję maszyn” w centrum ludzkich wartości, bardziej niszczącą i niesamowitą od wszelkich zmyślonych „inwazji z Kosmosu”. Ludzie ci obawiali się powstania przemysłu „usług kreacyjnych”, co obróciłby kulturę w koszmarne raj, skoro byle konsument, z byle zachcianki, otrzymywałby, błyskawicznie stworzone, arcydzieła maszynowych „succubów” czy „incubów”, wpczworzonych nieomylnie w duchy Szekspira, Leonarda, Dostojewskiego... przez co zapadłyby się nam hierarchie wartości, boż przyszłoby brodzić w arcydziełach jak w śmieciu. Szczęśliwie możemy włożyć między bajki tę apokalipsę. Uprzemysłowiona; mimeza doprowadziła do bezrobocia - lecz wyłącznie w środowiskach producentów literatury trywialnej (SF, „porno”, sensacja itp.): tam istotnie wyrugowała ludzi z podaży umysłowych dóbr; zjawisko to nie powinno jednak skłaniać prawego humanisty do nazbyt intensywnej rozpacz.

c). *Krytyka filozofii systemowej* (czyli zofokryza) uznawana jest za strefę przejściową

między obszarami bitystyki, co noszą nazwy „cis-humana” oraz „trans-humana”. Krytyka ta, polegająca w zasadzie na logicznej rekonstrukcji pism wielkich filozofów, wywodzi się, jakżeśmy wspomnieli, z procedur mimetycznych. Zyskała ona sobie dość wulgarny, wypada zauważyć, wyraz - dzięki użytkowi, jaki uczynili z niej pewni łakomi zysków producenci. Dopóki ontologie Arystotelesów, Hegłów, Akwinatów można było podziwiać tylko w British Museum, jako połyskujące „kokony-bryły”, wtopione światłości w odłamy ciemnego szkliwa, dopóty trudno się było w tym widowisku dopatrzeć szkody. Obecnie jednak, kiedy „Sumę Teologiczną” bądź „Krytykę czystego rozumu” nabyć można jako przycisk do papierów dowolnej wielkości i barwy, zabawa ta nabrała, przynajmniej, gorszącego posmaku. Wypada czekać cierpliwie, aż moda ta przejdzie, podobnie jak tysiące innych. Oczywiście nabywcy „Kanta zakrzepłego w bursztynie” mało się troszczą o rewelacje, jakich dostarczyła nam w filozofii bityczna apokryza. Wyników tu nie streścimy, odsyłając czytelnika do trzeciego tomu monografii; niechaj wystarczy uwaga, że semoskopia to zaiste nowy zmysł oglądu wielkich intelektualnych całości - zmysł, jakim niespodziewanie obdarzył nas duch z maszyny. A nie jest też do zlekceważenia i to, że zapewnienia największych uczonych o roli gwiazdy przewodniej, jaką odgrywała w ich odkrywczym wysiłku czysta estetyczność matematycznego konstruktów, zapewnienia, którym musieliśmy dotąd ślepo dawać wiarę, potrafimy obecnie sprawdzić naocznie, biorąc - w rękę, dla przybliżenia oczom, ich myśl zakrzepłą. Oczywiście z tego, że dziesięć tomów wyższej algebry czy wielowiekową wojnę nominalizmu z uniwersalizmem można wkrystalizować w szkliwo rozmiaru pięści, nic nie wynika samoczynnie dla dalszego rozwoju myśli. Krecja bityczna jest tyleż ułatwieniem, co utrudnieniem - ludzkiej. Jedno można natomiast orzec z pewnością zupełną. Do powstania inteligencji maszynowej nigdy żaden myśliciel, żaden twórca nie miał jeszcze tak pilnych, tak niezawodnie uważnych - i tak bezwzględnych czytelników! Toteż w okrzyku, jaki wyrwał się pewnemu świetnemu myślicielowi, gdy mu przedłożono krytykę - MENTORA V - jego dzieła: „Ten mnie czytał!” - wyładowała się frustracja, typowa dla naszych dni, w których blaga i po łebkach nabyta erudycja zastępuje rzetelną wiedzę. Myśl, nawiedzająca mnie przy pisaniu tych słów - że to nie ludzie będą ich najsumienniejszymi czytelnikami - prawdziwie pełna jest gorzkiej ironii.

d). Termin *apostaza*, przydany ostatniej dziedzinie bitycznej, wydaje się szczęśliwy. Nigdy bowiem odstępstwo od tego, co ludzkie, nie poszło tak daleko, nie wcieliło się w bieg rozumowań z takim spokojnym zapamiętaniem; dla literatury tej, co oprócz języka nic od nas nie wzięła, ludzkość zdaje się nie istnieć. Bibliografia trans-humanów przewyższa wszystkie

pozostałe, wymienione już domeny bitystyki. Krzyżują się tu szlaki niejawnie wytyczone w dziedzinach poprzednich. Dzielimy apostazę praktycznie na dwa piętra, dolne i górne. Dostępność dolnego na ogół jest niezłe zachowana; górne przed nami zatrzaśnięto. Toteż czwarty nasz tom oprowadza po państwie dolnym - niemal wyłącznie. Tom ów jest skąpym wyciągiem ogromnego piśmiennictwa; stąd trudne położenie przedmówcy, który to, co we właściwej treści już skrótowe, sam powinien jeszcze zwięźlej zapowiedzieć. Zapowiedź taka wydaje się jednak konieczna, jako ogląd z wysokości; inaczej czytelnik, pozbawiony szerszej perspektywy, łatwo zagubi się w trudnym terenie, jak wędrowiec w górach, których największych szczytów nie można ocenić należycie z bliska. Mając na uwadze takie wskazania i wątpliwości, z poszczególnych odłamów apostazy wyjmę po jednym tylko bitycznym tekście, nie tyle, by go wyinterpretować, ile, by nastroić czytelnika na właściwy ton, to jest, chcę powiedzieć - na metodę apostazy. Ograniczymy się zatem do prób branych z takich oto prowincji dolnego państwa: *antymatyki*, *terafizyki* i *ontomachii*. Wprowadzeniem do nich jest tak zwany *paradoks Cogito*. Pierwszy wpadł na jego trop angielski matematyk zeszlowieczny Allan Turing, który uznał, że maszyny zachowującej się jak człowiek, niepodobna odróżnić od człowieka pod względem psychicznym, czyli że maszynie, zdolnej z człowiekiem rozmawiać, trzeba będzie z konieczności przypisać świadomość. Uważamy, iż inni ludzie mają świadomość tylko dlatego, ponieważ sami jej doznajemy. Gdybyśmy jej nie przeżywali, nie umielibyśmy sobie niczego pod tym pojęciem przedstawić. W toku ewolucji maszyn okazało się jednak, że bezmyślna inteligencja może być skonstruowana: dysponuje nią np. zwykły program gry w szachy, który, jak wiadomo, „nie nie rozumie”, któremu „jest wszystko jedno”, czy partię przegra, czy wygra, który, jednym słowem, bezświadomie, ale logicznie bije swych przeciwników - ludzi. Co więcej, wykazało się, że prymitywny i na pewno „bezduszny” komputer, zaprogramowany dla prowadzenia psychoterapii i zadający pacjentowi odpowiednie pytania intymnej natury, aby w oparciu o uzyskane odpowiedzi postawić diagnozę i podać sposoby leczenia, sprawia na interlokutorach-ludziach przejmujące wrażenie, jakoby jednak był czującą i żywą osobą. Wrażenie to jest tak intensywne, że ulega mu nieraz nawet ten, kto sam ów program układał, a zatem fachowiec, pojmujący doskonale, że urządzenie owo tyleż posiada duszy, ile gramofon. Programista może jednak zapanować nad sytuacją to jest wytrącić siebie z narastającej złudy kontaktów z osobowością świadomą, a to stawiając maszynie takie pytania lub udzielając jej takich odpowiedzi, z jakimi ona - ze względu na ograniczenia programu - nic nie pocznie.

Lecz tym sposobem wstąpiła cybernetyka na drogę stopniowego poszerzania i doskonalenia programów: przez co z upływem czasu coraz trudniejszym zadaniem stawało się

„zdarcie maski” - to jest wykrzyk bezmyślności procedur gadających z maszyny, i właśnie tym sposobem zniewalającej człowieka do odruchu projekcji (która zachodzi bezwiednie, podług założenia, jakie mamy przez nawyk wdrożone, iż jeśli ktoś sensownie nawiązuje do naszych słów i sam nas z sensem zagaduje, to ów ktoś *musi być obdarzony świadomym rozumem*).

Otóż paradoks Cogito objawił się nam w bitystyce ironicznym i zarazem zaskakującym sposobem: jako zwątpienie maszyn w to, czy ludzie naprawdę myślą! Sytuacja zyskała z nagłą doskonałą symetrię dwustronną. My nie możemy zdobyć całkowitej pewności (jako dowodu) na to, że maszyna myśli - i myśląc swoje stany jako psychiczne przeżywa, gdyż zawsze można wszak mniemać, iż chodzi tylko o symulację, doskonałą zewnątrz, której korelatem wewnętrznym jest jakowaś pustka zupełnej „bezdusności”. Z kolei maszyny analogicznie nie są w stanie przeprowadzić dowodu na to, iż my, jako ich partnerzy, myślimy świadomie - jak one. Żadna ze stron nie wie, jakie stany doznaniowe druga strona podkłada pod hasło „świadomość”. Należy zauważyć, iż paradoks ten ma charakter otchłani, jakkolwiek może się zrazu wydać tylko zabawny. Sama jakość myślowych rezultatów niczego tu nie przesądza; już elementarne automaty zeszłego wieku pokonywały w logicznych grach swoich własnych konstruktorów, a były to maszyny niezwykle prymitywne; tak więc wiemy z całkowitą pewnością, że do tego, co jest skutkiem twórczego myślenia, można dotrzeć również inną - bezmyślną - drogą. Traktaty dwóch bitycznych autorów - NOONA i LUMENTORA - w kwestiach paradoksu Cogito otwierają czwarty tom naszej monografii, ukazując, jak głęboko jest ta zagadka wkorzeniona w naturę świata. Z antymatyki, która jest „na antynomiach stojącą”, a więc „koszmarną matematyką” - wyjmiemy tylko jedno, dla każdego specjalisty straszliwe, druzgocące wręcz orzeczenie o posmaku pełnego szaleństwa: „pojęcie liczby naturalnej jest sprzeczne wewnątrznie”. Znaczy to, iż żadna liczba sobie samej nie jest zawsze równa! Podług antymatyków (są to maszyny oczywiście) aksjomatyka Peana jest błędna, nie, że wewnątrznie sprzeczna sama w sobie, lecz że się dla świata, w jakim istniejemy, nie nadaje bezbłędnie. Antymatyka postuluje bowiem wspólnie z następnym działem apostazy bitycznej - terafizyką (więc „fizyką potworną”) - nieusuwalny zrost myśli i świata. Atak autorów, takich jak ALGERAN i STYX, koncentruje się na zerze. Podług nich arytmetyka bezzerowa daje się w naszym świecie skonstruować w sposób niesprzeczny. Zero jest liczbą kardynalną wszystkich zbiorów pustych; lecz pojęcie „pustego zbioru” ma być podług tych autorów zawsze uwięzione w antynomii kłamcy. „Nic takiego jak »nic« nie istnieje” - tym mottem z pracy STYXA przyjdzie nam zamknąć zapowiedź herezji antymatycznej - gdyż inaczej przyszloby tu utonąć w wywodach. Za najdziwaczniejszy i kto

wie, czy nie za najwięcej obiecujący poznaniu owoc *terafizyki* uchodzi tak zwana hipoteza *Poliversum*, Podług niej Kosmos jest dwudzielny, a my, wraz z materią słońc, gwiazd, planet, ciał naszych, zamieszkujemy jego połówkę „powolną”, czyli *bradywersum*. Powolną dlatego, ponieważ możliwy jest tutaj ruch z szybkościami od spoczynkowej aż po lokalnie najwyższą - świetlną. Do drugiej, „szybkiej” połowy Kosmosu, *tachywersum*, prowadzi droga przez barierę świetlną. Aby dostać się do tachywersum, trzeba przekroczyć szybkość światła: ona jest wszechobecną w naszym świecie granicą, oddzielającą każde miejsce od „drugiego regionu istnienia”. Kilkadziesiąt lat temu wysunęli fizycy hipotezę tachjonów - cząstek, które poruszają się *tylko* z nadświetlnymi chyżościami. Nie udało się ich znaleźć, jakkolwiek one właśnie tworzą - podług terafizyki - tachywersum. A właściwie tachywersum utworzone jest przez *jedną* taką cząstkę. Tachjon spowolniony do chyżości światła, zyskałby energię nieskończenie wielką; rozpędzając się zaś energię traci, wydzielając ją pod postacią promieniowania; gdy szybkość jego staje się nieskończenie wielką, energia spada do zera. Otóż tachjon, poruszający się z nieskończoną chyżością, przebywa, rzecz zrozumiała, wszędzie naraz: on jeden, jako cząstka wszechobecna, tworzy właśnie tachywersum! A mówiąc dokładniej - im większą ma szybkość, tym bardziej wszechobecny się staje. Świat, utworzony z tak osobliwej wszechobecności, wypełnia ponadto i promieniowanie, które tachjon bezustannie wysyła, przyspieszając (bo on właśnie w akceleracji traci energię). Świat ten jest odwrotnością naszego: tutaj jest światło najszybszym, a tam w tachywersum - najpowolniejszym ruchem. Stając się wszechobecny, tachjon obraca tachywersum w ciało coraz bardziej „lite” i sztywne; aż wreszcie jest on już tak „wszędzie”, że napiera na kwanty świetlne i włacza je w siebie z powrotem; wskutek tego ulega hamowaniu i zwalnia swój pęd; im wolniej się porusza, tym większą zdobywa energię; wyhamowany przyzerowo tachjon - zbliżając się stanem do nieskończenie wielkiej energii - eksploduje, stwarzając bradywersum... Tak więc, gdy patrzeć z *naszego* wszechświata, eksplozja owa *kiedyś* nastąpiła i stworzyła pierwiej gwiazdy, a potem i nas; lecz gdyby z tachywersum patrzeć, nie nastąpiło to *wcale*, ponieważ nie istnieje żaden czas nadrzędny, w którym można by liczyć zajścia obu Kosmosów. Ich matematyki „naturalne” są prawie - odwrotnościami; w naszym, powolnym świecie $1 + 1$ prawie równa się 2 [$1 + 1 \approx 2$]; dopiero u samej granicy - gdy dochodzi się szybkości światła - $1 + 1$ staje się równe 1 . Natomiast w tachywersum 1 prawie równa się nieskończoności [$1 \approx \infty$]. Lecz sprawa ta - przyznają sami „potworni doktorzy” - o tyle jest jeszcze niejasna, że logika określonego uniwersum (czy - poliwersum!) jest pojęciem sensownym tylko, jeśli możliwe jest jej - w świecie tym - uprawianie, lecz nie wiadomo na razie, jakie są szansę powstania układów rozumnych (albo wręcz życia) - w tachywersum.

Matematyka, zgodnie z tym sądem, ma granice dane nieprzekraczalnymi barierami istnienia materialnego, ponieważ mówić o naszej matematyce w świecie o innych prawach, niż prawa naszego świata, to mówić nonsensy. Co się tyczy wreszcie ostatniej pozycji odstępstwa bitycznego - „Paszkwila na Wszechświat” - wyznaję, iż nie potrafiłbym jej streścić. A przecież ów sążnisty (wielotomowy) traktat jest pomyślany ledwie jako wstęp do eksperymentalnej kosmogenetyki - czyli technologii sporządzania światów, „bytowo porządniejszych” od naszego. Bunt przeciwko istnieniu w danych formach trwania, który jest odwrotnością wszelkiego nihilizmu, wszelkiej chęci samounicestwienia, jako plód maszynowego ducha, jako burza projektów „innego bytu”, to najpierw, zapewne, lektura egzotyczna - i gdy pokonać jej trudność, także pod względem estetycznym wstrząsająca. Na pytanie, z czym właściwie się tu stykamy - z fikcją logiki czy z logiką fikcji - z filozofią fantastyczną czy z przemyślanym rzetelnie, najzupełniej rzeczowym wysiłkiem zdruzgotania, unieważnienia tego bytu tutaj jako przypadkowości, jako brzegu, do którego zagnał nas niewiadomy los, od którego zuchwalstwo każe odepchnąć się i ruszyć w niewiadomym kierunku, na pytanie, czy te pisma doprawdy są nieludzkie - czy też właśnie odstępstwem swoim nam sprzyjają - nie udzielę odpowiedzi, ponieważ jej nie znam.

Wstęp do II wydania

Trzy lata, jakie upłynęły od ukazania się pierwszej edycji, przyniosły wiele nowych publikacji bitycznych. Kolegium redakcyjne naszej monografii zdecydowało się jednak zachować jej kształt pierwotny, przy uwzględnieniu oddzielnej innowacji, o której mowa niżej. Tak więc cztery podstawowe tomy „Historii literatury bitycznej” nie uległy zmianom w swym składzie zasadniczym i w nadanym całości - podziale treściowym; uzupełnieniu uległa natomiast bibliografia, a też usunięto (nieliczne zresztą) błędy i upustki wydania pierwszego. Zespół nasz uznał za wskazane wyodrębnić w osobny tom piąty, o suplementowym charakterze, piśmiennictwo z zakresu szeroko pojmowanej metafizyki i religioznawstwa, które łącznie nazywa się literaturą teobityczną. W wydaniu poprzednim dość było skąpych wyciągów i wzmianek o tym kierunku, umieszczonych w Appendixie tomu czwartego. Przybór owego piśmiennictwa skłonił nas do udzielenia mu osobnej pozycji - a ponieważ Przedmowa do I wydania o nim milczy, korzystamy z okazji, aby sprezentować zwięzłe zawartość dodatkowego piątego tomu, a tym samym - wskazać czytelnikowi węzłowe w teobitystyce zagadnienia.

1. TEOLOGIA INFORMATYCZNA. Grupa komputerowa z Brookhaven podjęła na schyłku ubiegłej dekady formalną analizę wszystkich dostępnych, a przez Kościół Katolicki uznawanych pism mistyków, w ramach projektu „Mistyka jako kanał łączności”. Założeniem badań były tezy podawane przez ów Kościół do wierzenia, iż w pewnych szczególnych stanach mistycy mogą się komunikować z Bogiem. Teksty ich autorstwa, notujące takie doświadczenia wewnętrzne, poddano bilansowaniu na informacyjną zawartość. Analiza nie dotyczyła transcendentalności Boga ani jego charakterystyki immanentnej (jako osoby bądź nie-osoby np.), ponieważ pomijała w całości sensy mistycznych pism, czyli ich zawartość semantyczną. Nie mogła tym samym kwestionować jakości wszelkich rewelacji, objawionych w mistycznych kontaktach, albowiem rachubą objęto wyłącznie ilościową stronę informacji, zdobytej przez mistyków. Taka fizykalna rachuba pozwala z matematyczną dokładnością wyznaczyć ilościowy zysk informacyjny, z całkowitym wyłączeniem jego treści. Przesłanką projektu był pewnik teorii informacji, że z nawiązania łączności ze źródłem realnym, to jest z utworzenia przesyłowego kanału, musi wynikać wzrost ilości informacji po stronie odbiorców. Z rozmaitych definicji Boga pochodzi dogmat o jego nieskończoności, który informacyjnie oznacza różnorodność nieskończenie wielką. (Co można łatwo udowodnić formalnie - gdyż wszechwiedza, przypisywana Bogu, różnorodność taką, mocy kontinuum,

implikuje analitycznie). Otóż człowiek, kontaktujący się z Bogiem, nie może osiągnąć informacji aż nieskończonej, bo sam jest skończony; powinien jednak wykazać choć niewielki przyrost informacyjny, granicznie wyznaczony chłonnością jego umysłu. Jednakowoż w bilansie liczbowym okazały się pisma mistyków znacznie uboższe od wypowiedzi takich ludzi, którzy kontaktują się z realnymi źródłami informacji (na przykład - uczonych, przeprowadzających doświadczenia przyrodnicze). Ilość informacji w pismach mistyków równa się dokładnie ilości informacji w wypowiedziach (pismach) takich ludzi, którzy skazani są jako na generatory różnorodności - wyłącznie na samych sobie. Wniosek wyprowadzony z projektu brzmi: „postulowany przez Kościoły kontakt człowieka-mistyka z Bogiem nie zachodzi jako proces, w którym człowiek zyskuje ponadzterową informację”. Może to oznaczać albo, że postulowany przez Kościoły kanał łączności jest fikcją, albo że kanał wprawdzie powstaje, lecz Nadawca zachowuje trwale milczenie. I tylko już pozafizyczne racje mogą skłaniać do wyboru wewnątrz alternatywy „Silentium Domini” - „Non esse Domini” Pracę tę, wraz z nową kontrargumentacją teologiczną, zamieszczamy w pierwszej części tomu suplementowego.

2. TEOLOGIA MATEMATYCZNA. Najosobliwszym plodem tej teobitystyki jest model Boga sinusoidalny i tym samym oscylacyjny. Bóg zostaje aksjomatycznie ustanowiony jako proces naprzemienny, a nie jako stan niezmienny; oscyluje on z transcendentną częstotliwością pomiędzy przeciwstawnymi w znakach nieskończonościami - Dobra i Zła. Dla każdego interwału czasowego (w sensie fizycznym) obie te nieskończoności realizują się pospólnie, jakkolwiek nie jednocześnie. Dobro i Zło Boga przechodzą bowiem w siebie naprzemiennie, przez co obrazem procesu jest właśnie sinusoida. Ze względu na to, że propagacja obu nieskończoności, mając źródła niedoczesne, uczestniczy w porządku bytowym docześnie, można wykazać, że dopuszczalne, czyli możliwe jest powstawanie lokalnych osobliwości jako wycinków czasoprzestrzeni, w których równowaga Dobra i Zła nie ulega zachowaniu. Tym samym powstają w takich punktach osobliwych fluktuacje jako niedobory. A ponieważ procesualna krzywa musi przy każdej kolejnej zmianie znaków przejść przez zero, w Uniwersum, które trwałoby samo przez czas nieskończenie długi, istnieją nie dwie, lecz trzy nieskończoności: „Dobra, Zera i Zła” - co, przełożone na konwencjonalny język teodyktyczny, oznacza współistnienie, dla owego Uniwersum, Boga, jego doskonałego braku oraz jego całkowitego odwrócenia - w Szatanie. Praca ta, zaliczana już to do teologicznych, już to do teoklastycznych, powstała na drodze spekulacji formalnej, z przyciągnięciem aparatu matematycznego teorii mnogości oraz fizycznej teorii Wszechświata.

Autorem jej jest ONTARES II. W części ścisłej żadnymi terminami, wziętymi z tradycyjnej teologii („Bóg”, „Szatan”, „Nicość metafizyczna”), nie operuje. Umieściliśmy ją w III rozdziale suplementu. Inną godną uwagi pracą teobityczną jest studium agregatów, zwanych pospolicie „zimnymi” (gdyż pracują na kriotronach), proponujące jako Boga - komputer nieskończony lub nieskończony program. Oba te ujęcia prowadzą co prawda do nierozwikłalnych antynomii. Jak jednak w posłowniu do pracy zauważył jeden z jej autorów, METAX, każda religia ludzka, gdy formalizowana, ujawnia znacznie większą ilość sprzeczności analogicznego typu - więc, gdyby „najlepsza religia” znaczyło tyle, co „najmniej sprzeczna religia”, to komputer jest doskonalszym obrazem Bożym niż człowiek.

3. TEOLOGIA FIZYKALISTYCZNA. Prac METAXA nie zaliczamy do teobitycznego fizykalizmu, ponieważ operują one nazwami „Komputer” czy „Program” w sensie formalnym (matematycznym), a nie fizycznym (jak wiadomo, każdy komputer - tak jak każdy automat - posiada idealny równoważnik matematyczny). Natomiast rozumiana fizykalnie teobistyka zajmuje się uwikłaniem Sprawcy lub Stwórcy bytu w materię. Takich prac namnożyło się wiele, toteż wymienimy tu w trybie zapowiedzi jedynie dzieła najoryginalniejsze. Autor pierwszego UNITARS rozważa Kosmos jako „granulat”, który się na przemian „komputeryzuje” i „dekomputeryzuje”; jego dwa stany diametralne to Metakomputer i Metagalaktyka. W fazie „umentalnienia” podstawą oddziaływań jest informatyka; fizyka na jej usługach to sprawia, czego się „komputerowa całość” Uniwersum domaga; lecz substrat tego „kosmicznego myślenia” przybiera wreszcie postać eksplozywną, albowiem materialne podłoże myśli konfiguracjami swymi staje się w narastającym stopniu niestabilne, aż TO, CZYM metakomputer myślał, wybucha, i nadobłokiem rozprężających się szczątków ognistych zostaje Metagalaktyka; obecność, w głębinach fazy „bezdusznej”, istot rozumnych, wyjaśnia się niejako mimochodem, bo to są relikty, „szczątki”, „odpadki” fazy poprzedniej. „Pomyślawszy to, czego nośnik myślowy jest myśleniem, Całość ulega rozszarpaniu w ucieczkę mgławic; powracając i komprymując się, tworzą one granulat odradzającego się Metakomputera z powrotem - i pulsacja »Duch«-»Bezduch« materii, organizującej się w myślenie i myślenia, rozpadającego się w materię, może trwać nieograniczenie długo”. Inne warianty tej „Noopulsacyjnej” teorii znajdzie Czytelnik w VI rozdziale suplementu. Prawdopodobnie do bitycznej humorystyki należy koncepcja, podług której Wszechświat wygląda tak, jak wygląda, ponieważ we wszystkich galaktykach działający astroinżynierowie usiłują „przeczekać ten Kosmos”, a to dzięki rozpędzaniu mas czy wehikułów jakichś do świetlnej szybkości, bo ciało o tej szybkości może w czasie, który

w nim samym równa się ledwie miesiącom ziemskim, „przeczekać” miliardolecia (zgodnie z efektem relatywistycznym): więc olbrzymie, kwasarowe, pulsarowe, nebularne erupcje to astroinżynieria, usiłująca „wyskoczyć” z danej fazy Uniwersum w następną, czyli to są roboty „lokomocyjno-temporalne”, z intencją „transcendowania” aktualnego Kosmosu, gdyż widocznie faza następna bardziej ma być godna kolonizacji. Przeglądem takich działań zamyka się nowy, piąty tom „Historii literatury bitycznej”.

EKSTELOPEDIA VESTRANDA

w 44 magnetomach

Vestrand Books Co.

New York-London-Melbourne MMXI

PROFERTYNKA

Vestrand Books są szczęśliwe, gdyż mogą zaoferować Panu(i) Subskrypcję **najprzyszlejszej**

Ekstelopedii, jaka się kiedykolwiek ukazała. Jeśli wskutek nawału zajęć nie zdołał dotąd Pan(i) zapoznać się z żadną **Ekstelopedią**, służymy wyjaśnieniem. Tradycyjne encyklopedie, znajdujące się w powszechnym użyciu od dwóch stuleci, poczęły w latach siedemdziesiątych przeżywać Poważny Kryzys wywołany tym, iż zawarte w nich wiadomości okazywały się przestarzałe już w chwili opuszczenia drukarni. Aucyk, tj. automatyzacja cyklu produkcyjnego, nie mogła temu zapobiec, ponieważ nie da się zredukować do zera czasu niezbędnego ekspertem - autorom Haseł. Tak więc z każdym kolejnym rokiem nasilała się dezaktualizacja najświeższych encyklopedii, które stając na półkach miały już wartość tylko historyczną. Wielu Wydawców usiłowało zapobiec temu kryzysowi corocznym, a potem i cokuwartalnym publikowaniem Specjalnych Suplementów, lecz wrychle owe Suplementy jeły przewyższać objętością rozmiary Właściwej Edycji. Świadomość, iż tego Wyścigu z Przyspieszeniem Cywilizacji nie da się wygrać, poraziła Edytorów pospołu z Autorami.

Przyszło więc do opracowania Pierwszej Delfiklopedii, czyli takiej Encyklopedii, która była zbiorem Haseł o treści Przepowiadanej na Przyszłość. Lecz Delfiklopedia powstaje w oparciu o tak zwaną Metodę Delficką, czyli mówiąc pospolicie, dzięki głosowaniu Uprawnionych Ekspertów. A ponieważ opinie Ekspertów bynajmniej się nie pokrywają, zawierały pierwsze Delfiklopedie Hasła na ten sam Temat, podane w dwu wariantach - zgodnie z opinią Większości i Mniejszości Fachowców, lub miały dwie wersje (Maksiklopedia i Miniklopedia). Odbiorcy przyjęli jednak tę innowację niechętnie, a znany fizyk - Nobelista prof. Kutzenger, dał tej niechęci wyraz powiadając, iż publiczność potrzebuje Informacji o Sprawach, a nie o Kłótniach Specjalistów. I dopiero dzięki Inicjatywie **Vestrand Books** sytuacja uległa rewolucyjnej poprawie. Ekstelopedią, jaką niniejszym oferujemy Panu(i) w 44 poręcznych Magnetomach, oprawnych w Virginal, Zawsze Ciepłutki Pseudoskórek Dziewiczy, **Samowysuwająca** się z półki na głośne wezwanie właściwym Magnetem, który **Samokartkuje** się i **Sam** stopuje na żądanym haśle, zawiera 69 500 przystępnie, lecz ściśle zredagowanych Haseł, odnoszących się do Przyszłości. W

przeciwieństwie do Delfiklopedii, Maksiklopedii i Miniklopedii VESTRANDA EKSTELOPEDIA stanowi gwarantowany wynik bezludnej, więc **bezbłędnej** pracy osiemnastu tysięcy naszych **Komfuterów** (komputerów futurologicznych). Za Hasłami **Ekstelopedii Vestranda** kryje się Kosmos Ośmiuset Gigatrylionów Obliczeń Sema-Numerycznych, wykonanych w Komurbii naszego wydawnictwa przez **Banajluki** - Baterie Najcięższych Lumenicznych Konfuterów. Pracę ich kojarzył nasz **Superputer**, elektronowe wcielenie Mitu o Supermanie, które kosztowało nas dwieście osiemnaście milionów, dwadzieścia sześć tysięcy trzysta dolarów, w cenach zeszłego roku. **Ekstelopedia** to skrót słów **Ekstrapolacyjna Teleonomiczna Encyklopedia**, czyli **Ceprencyk** (Celowanie Prognostyczne Encyklopedii) z Maksymalnym Wyprzedzeniem w Czasie. **Czym jest nasza ekstelopedia?** Jest ona Najpiękniej Donoszonym Dziecięciem Prafuturologii, owej szanownej, aczkolwiek prymitywnej Dyscypliny, którą zrodził schyłek XX wieku. **Ekstelopedia** przynosi wiadomości o Historii, jaka się dopiero stanie, czyli o **będziejach powszechnych**, o sprawach Kosmonomicznych, Kosmolicyjnych i Kosmatycznych, o **wszystkim**, co będzie **poczynane**, łącznie z danymi, **w jakim celu i z jakich pozycji** to nastąpi, o Nowych Wielkich Osiągnięciach Nauki i Techniki z wyszczególnieniem, którymi z nich będzie Pan(i) najbardziej zagrożony(a) osobiście, o Ewolucji Wiar i Wyznań, m. in. pod hasłem **Futureligie**, jako też o 65 760 innych Kwestiach i Problemach. Miłośnicy Sportu, nękanie Niepewnością Wyników we wszystkich konkurencjach, zaoszczędzą sobie dzięki **Ekstelopedii** wielu zbędnych irytacji i wzruszeń, także w dyscyplinach lekkoatletycznych i erotletycznych - jeśli tylko podpiszą **bardzo korzystny kupon** załączony do niniejszej Profertynki⁴.

Czy **Ekstelopedia Vestranda** przynosi wiadomości Prawdziwe i Pewne? Jak wynika z badań MIT-u, MAT-u i MUT-u, zjednoczonych w USIB-ie (United States Intellectronical Board), oba poprzednie wydania naszej Ekstelopedii odznaczały się odchyleniem od Stanów Faktycznych w granicach 9,008-8,05% w uśrednieniu na literę. Lecz niniejsze nasze, **najprzyszlejsze** wydanie, będzie z prawdopodobieństwem 99,0879% tkwiło w Samym Sercu Przyszłości. **Dlaczego ono jest tak dokładne?** Czemu może Pan(i) tak całkowicie polegać na niniejszej edycji? Ponieważ wydanie to powstało dzięki pierwszemu na świecie zastosowaniu dwóch zupełnie Nowych Metod Sondażu Przyszłości - a mianowicie **Metody Supleksowej i Kretylangowej. Metoda Supleksowa**, czyli Superkompleksowa, wywodzi się z procedury, dzięki której Program Komputerowy Mac Flac Hac pobił w 1983 roku *WSZYSTKICH WIELKICH MISTRZÓW ŚWIATOWYCH SZACHÓW* naraz, m. in. i Bobby Fishera, dając im podczas

⁴ Profertynka - patrz: próbny arkusz Ekstelopedii, gra tisowo dołączony do tej zapowiedzi.

Symultanki 18 matów na gram, kalorię, centymetr i sekundę. Program ten uległ następnie tysiącrotnemu spotęgowaniu i adaptacji Ekstrapolacyjnej, dzięki czemu umie on nie tylko **przewidzieć, co się zdarzy**, jeśli zdarzy się **cokolwiek**, lecz ponadto jeszcze przewiduje ściśle, co się zdarzy, jeśli Tamto nie zdarzy się ani trochę, tj. wcale nie zajdzie.

Dotychczas Predyktory pracowały tylko na **Pozypotach** (czyli w oparciu o **Pozytywne Potencje**, tj. uwzględniając Możliwość Ziszczenia się Czegośkolwiek). Nasz Nowy **Supleksowy** Program pracuje **ponadto** na **Negapotach** (Negatywnych Potencjach). Uwzględnia on tedy to, co zgodnie z aktualnymi opiniami **wszystkich ekspertów na pewno nie może zajść**. A - jak wiadomo skądinąd - solą Przyszłości jest to właśnie, o czym Eksperci mniemają, iż **nie zajdzie**.

WŁAŚNIE OD TEGO ZALEŻY PRZYSZŁOŚĆ!!

Aby jednak poddać wynik, uzyskany Metodą Supleksową, kontrolnemu ufiksowaniu (Krucyfiks, resp. **Crucifix**), zastosowaliśmy, nie zważając na Wielkie Koszty, inną, też **całkowicie** nową metodę - Ekstrapolacji **Futulingwistycznej**. Dwadzieścia sześć naszych **Kofulintów** (Komputerów Lingwistycznych, spolegliwie sprzężonych, czyli społecznych) utworzyło, w oparciu o analizy rozwojowych tendencji, tj. trendów z gradientem indeterministycznym (Trendenderentów) **dwa tysiące** gwar, dialektów, nazewnictw, slangów, nomenklatur oraz gramatyk przyszłości. Co oznaczał ów Wyczyn? Oznaczał on utworzenie **językowej bazy świata po roku dwutysięcznym dwudziestym**. Mówiąc po prostu - nasza **Komurbia** - czyli nasze Miasto Komputerowe, liczące sobie 1720 Jednostek Inteligencji na milimetr sześcienny **Mapsyntu** (Masy Psychiczo-Syntetycznej), skonstruowało słowa, zdania, składnię i gramatykę (oraz znaczenie) Języków, jakimi ludzkość będzie się posługiwała w **przyszłości**. Oczywiście - znać **sam tylko język**, jakim ludzie będą się porozumiewali ze sobą i z maszynami za 10, 20 bądź za 30 lat - to nie znaczy jeszcze - wiedzieć, **o czym oni będą wtedy** najchętniej i najczęściej mówili. A właśnie **to** trzeba wiedzieć, albowiem zazwyczaj **pierwej** się mówi, a **potem** się myśli i działa. Podstawowe niedociągnięcia wszystkich dotychczasowych prób zbudowania **Futurologii Odjęzykowej**, czyli **Prognolingwy**, wynikały z **falszywej racjonalności** procedur. Uczeni zakładali bowiem milcząco, iż ludzie będą mówili w Przyszłości **same rozsądne rzeczy** i że podług tego będą postępowali. Tymczasem badania wykazały, iż ludzie mówią **przeważnie głupstwa**. Aby więc symulować w ponadczterćwiekowej Ekstrapolacji **typowo ludzki sposób wysłowienia** zostały przez nas skonstruowane **Idiomaty** oraz **Komdebile (Komfuszery)**, to jest - Idiomatyczne Automaty oraz fuszerujące Komputery - Debile, i one to dopiero utworzyły **Paragenagratykę**, tj. paralogiczną generatywną gramatykę Języka Przyszłości. Kontrolne

Profutery, Langlingi, oraz Pramnestoschizoplegiatory ułożyły dzięki temu 118 Podjęzyków (gwar, dialektów, slangów), takich jak **plotex**, **wyplatex**, **gadan**, **belkit**, **zabzdur**, **pleplex**, **agram** i **cretinax**. Na ich bazie powstała w końcu **Kretylangistyka**, która pozwoliła zrealizować program **Krucyfiks**. W szczególności - umożliwiło to wykonanie Prognoz Intymnych, dotyczących Futerotyki (m. in. szczegółów pożycia ludzi z artorgami i amorgami, także na lubieżniach i dewialniach w zakresie bezgrawitacyjnej seksonautyki orbitalnej, wenerycznej i marsjańskiej). Udało się to dzięki językom programowania, takim jak **erotiglom**, **pantusex** i **byway**. Ale na tym jeszcze nie koniec! Nasze **Kontrfutery**, czyli **Tery** Kontrolno-futurologiczne, nałożyły na siebie rezultaty metod **Kretylangowej** i **Supleksowej** - i dopiero ze sczytania trzystu Gigabitów Informacji powstał **Korek**, tj. Kompleksowy Korektor **Embriona** Ekstelopedii. Dlaczego **Embriona**? Dlatego, ponieważ tak powstała **wersja** Ekstelopedii całkowicie **niezrozumiała** dla wszystkich żyjących - z laureatami Nobla włącznie. Dlaczego **niezrozumiała**? Dlatego, ponieważ były to **teksty** wyartykułowane w języku, jakim **nikt jeszcze dzisiaj nie mówi**, jakiego tedy nikt **jeszcze nie jest w stanie pojąć**. I dopiero dziełem osiemdziesięciu naszych **Retrolinterów** było na powrót przełożyć - na znany nam współczesny język - rewelacyjne dane, wysłowione oryginalnie mową, która dopiero nadejdzie. **Jak należy się posługiwać Ekstelopedią Vestranda?** Umieszcza się ją na Wygodnym Stelażu, jakiego dostarczamy za niewielką opłatą dodatkową. Następnie, ustawivszy się w odległości nie mniejszej od dwóch kroków od półek, należy wypowiedzieć żądane hasło tonem rzeczowym i nie zbyt donośnie. Wówczas właściwy Magnetom, samorozkartkowawszy się, wskoczy Panu(i) samoistnie w wyciągniętą prawą rękę. PT. Mańkutów upraszamy o wytrenowanie się uprzednie w wyciąganiu **zawsze** prawej ręki, albowiem w przeciwnym razie Magnetom może ulec odchyleniu w swej trajektorii i ugodzić, jakkolwiek **nieboleśnie**, mówiącego bądź też Osoby Postronne.

Hasła są wydrukowane **dwubarwnie**. Hasła **czarne** oznaczają, iż **Praprowirt** (prawdopodobnościowy procent wirtualizacji) przekracza 99,9‰, czyli mówiąc popularnie, jest Murowany. Hasła **czzerwone** oznaczają, że ich Praprowirt znajduje się poniżej 86,5% i ze względu na ów niepożądany stan rzeczy **cały tekst** każdego z takich haseł trwa w **nieustającej łączności zdalnej** (holognetycznej) z Naczelną Redakcją Ekstelopedii **Vestranda**. Gdy tylko nasze Profutery, Pantery i Kredaktery uzyskają **nowy poprawny wynik** swej nieustającej pracy Siedzącej Przyszłość - tekst **hasła**, wydrukowanego **czzerwienią**, ulegnie **samoczynnie** właściwej korekcji (readaptacji). Za zachodzące w ten sposób **zdalny, niewyczuwalny i optymalny** - zmiany na lepsze - Wydawnictwo **Vestranda** **nie domaga się żadnych** dodatkowych opłat od PT Subskrybentów! W wypadku skrajnym,

który opatrzony jest Praprowirtem Niższym od 0,9‰, **skokowej** zmianie ulec może także **tekst mniejszego prospektu**. Jeśli podczas lektury tych zdań ich słowa poczną Panu(i) skakać w oczach, a litery drgać i mżyć - należy przerwać lekturę na 10-20 sekund, a to, by przetrzeć okulary, sprawdzić stan garderoby lub tym podobne, a potem podjąć czytanie **od nowa**, tj. od początku, **a nie tylko** od miejsca, w którym czytanie przerwano, gdyż takie **mienienie się** oznaczać będzie aktualizującą się właśnie korekcję **niedociągnięć**. Jeżeli jednak pocznie się mienić (drgać względnie rozmazywać) **tylko** podana niżej **cena** Ekstelopedii Vestranda, w takim wypadku Całego Prospektu od nowa czytać Nie Należy, albowiem zmiana będzie dotyczyła wyłącznie **warunków subskrypcji** których - ze względu na dobrze znany Panu(i) stan ekonomiki światowej - prognozować z wyprzedzeniem wyższym od 24-minutowego niestety nie można. Powiedziane odnosi się również do pełnego zestawu materiałów ilustracyjnych i pomocniczych - **Ekstelopedii Vestranda**. Obejmują one Ilustracje Sterowane, Ruchliwe, Namacalne oraz Smaczne. Nadto należą tu futudele i samobudy (agregaty samobudujące się), jakich dostarczamy ze stelażem oraz z pełnym kompletem Magnetomów - w osobnej estetycznej walizie-Pojemniku. Na żądanie programujemy całość konteneryzowaną Ekstelopedii tak, iż będzie reagować Wyłącznie na Głos Pana (Właściciela,-lki). W wypadku afazji, chrypki itp. upraszamy o łaskawe zwrócenie się do najbliższego Przedstawicielstwa **Vestrands Books**, które pospieszy Panu(i) z niezwłoczną pomocą. Wydawnictwo nasze opracowuje aktualnie nowe, luksusowe Warianty Ekstelopedii, a to: Samoczytający się na trzy głosy i dwa rejestry (męski, żeński, nijaki; pieściwy - oschły); model Ultra-Deluxe, zabezpieczający z Gwarancją przed Zakłóceniami Odbioru przez Postronnych (np. przez Konkurencję), Wyposażony w Barek i w Bujak, a wreszcie model **Univermig**, przeznaczony dla obcokrajowców, a przekazujący treść hasła Na Migi Cena tych Modeli Specjalnych będzie prawdopodobnie wyższa od 40 do 190% od ceny wydania standardowego.

VESTRANDA EKSTELOPEDIA

Arkusz próbny

gratis!

Vestrand Books NY-London-Melbourne

PROFERTYZA oferta handlowa lub usługowa, oparta na prognozowanym stanie rynku. Rozróżnia się P. cywilne (**pro-fertynki**) i militarne (**pro-miliny**) **1. profertynki** dzielą się na peryfertynki, z wyprzedzeniem w czasie o dekadę, i na apofertynki, z wyprzedzeniem do bariery Glaulera (ob. **Glaulera bariera**, także **preriera** oraz **prodoksy**). Ingerencja konkurencji, czyli **ingurencja** (ob.), zachodząca najczęściej poprzez włączanie się nielegalne do publicznej sieci promputerowej (ob. **promputerowa sieć**), obraca profertynki w **perwertynki** (ob.) lub w **parazytynki** (ob.), to jest w prognozy samorujujące się. (Obacz też: **bankrucja ingurencyjna**, **prognoliza**, **prognoklaza**, **prognoz ekranowanie oraz kontrpredykcja**.) **2. promiliny** opierają się na przepowiadaniu ewolucji środków bojowych (hardwarware) i myśli wojennej (softwarware). W przepowiadaniu P. używa się algebry struktur konfliktu, czyli **algostratyki** (obi). P. tajne, czyli **kryptynki**, należy odróżnić od prognoz tajnych środków bojowych, czyli **kryptomachicznych** (ob.). Tajne prognozy tajnych broni obejmuje **kryptokryptyka** (ob.).

PROFESOR inaczej **komdyh** (komputer dydaktyczny habilitowany) - także **cyferniak** (ob.) układ nauczający, dopuszczony na wyższe uczelnie przez USIB (United States Intellectronical Board, ob.). Obacz też: **prepanc** (**preceptor pancerny**, odporny na działalność kontestacyjną nauczanych) oraz **antykontestacyjne techniki i środki bojowe**. Profesor oznaczał dawniej człowieka, wykonującego analogiczne funkcje.

PROFUZJA fuzja prognozowana, broń myśliwska przyszłości. Ob.: **myślistwo i lowiectwo**, także: syntemachie.

PROGNODOKSY albo Prodoksy: paradoksy prognozowania. Do najważniejszych P. należą: P. A. Rummelhahna, P. M. de la Faillance'a oraz P. metalangowy **golema** (ob. **golem**). **1.** Paradoks Rummelhahna związany jest z problemem przebijania bariery predykcijnej. Jak udowodnił T. Glauler i niezależnie od niego U. Bóść, przepowiadanie przyszłości utyka w barierze sekularnej (zwanej serierą 1. preriera). Poza barierą ufność prognoz zdobywa wartość ujemną, co oznacza, iż cokolwiek zajdzie, na pewno inaczej niż podług prognozy zajdzie. Rummelhahn zastosował eksformatykę chronokurencyjną dla obejścia nazwanej bariery. Chronokur opiera się na istnieniu **izotem** (ob. **izotema**). **Izotema** jest linią, przechodzącą w

przestrzeni semantycznej (ob.) przez wszystkie tematycznie tożsame publikacje, podobnie jak w fizyce izoterma jest linią, przechodzącą przez punkty równocielne, a w kosmologii izopsycha jest linią, przechodzącą przez wszystkie cywilizacje danego stopnia rozwoju w przestrzeni Wszechświata. Znając dotychczasowy przebieg **izotemy**, można z niego ekstrapolować w przestrzeni semantycznej bez żadnych ograniczeń. Rummelhahn zastosował metodę, którą nazwał sam „metodą drabiny Jakubowej”, wykrył wszystkie dzieła o tematyce prognostycznej.) wzdłuż takiej właśnie izotemy. Czynił to krokowo, przepowiadając zrazu treść kolejnego w przyszłości dzieła, a potem, w oparciu o ową treść, prognozował publikację następną. W ten sposób obszedł barierę Glaulera i uzyskał dane o stanie Ameryki w roku 10^{10} . Mullainen i Zuck zakwestionowali tę prognozę, podkreślając, iż w roku 10^{10} słońce będzie już sięgało jako czerwony olbrzym (ob.) daleko poza orbitę Ziemi. Lecz właściwy Paradoks Rummelhahna polega na tym, iż można śledzić dzieła prognostyczne wzdłuż izotemy tak dobrze naprzód, jak i wstecz; jakoż Varbleux w oparciu o chronokurrencyjny rachunek Rummelhahna uzyskał dane o treści dzieł futurologicznych sprzed 200000 lat, tj. z czwartorzędu, a także z ery węglowej (z karbonu) i z archeozoiku. Skądinąd wiadomo, jak to podkreślił T. Vroedel, że przed 200 000, przed 150 milionami oraz przed miliardem lat nie było ani druku, ani książek, ani ludzkości. Dwie hipotezy usiłują wyjaśnić paradoks Rummelhahna; A. Wg Omphalidesa teksty, które udało się retrodykować, są to takie teksty, które wprawdzie nie powstały, ale które mogły być powstać, gdyby we właściwym czasie było komu je spisywać i wydawać. Jest to tak zwana hipoteza **wirtualności retrognozy izotemicznej** (ob.). B. Wg d'Artagnana (jest to pseudonim grupy francuskich refutologów) aksjomatyka eksformatyki izotemicznej zawiera takie same nieprzewidywalne sprzeczności jak klasyczna teoria Cantora (ob. **mnożności teoria klasyczna**). 2. Paradoks prognostyczny de Faillance'a również dotyczy prognozowania izotemicznego. Badacz ten zwrócił uwagę na to, iż jeśli ogłasza się obecnie dzięki śledzeniu chronokurrencyjnemu tekst dzieła, które ma się ukazać dopiero za 50 lub 100 lat jako pierwodruk, to tym samym dzieło to nie będzie się już mogło jako pierwodruk ukazać. 3. Paradoks metalangowy **golema**: znany jest również jako paradoks autostratyczny. Wg najnowszych badań historyków świątynię w Efezie spalił nie Herostrates, lecz Heterostrates. Osobnik ów zniszczył coś poza sobą, tj. coś innego i stąd jego imię. Natomiast Autostrates to ten, kto niszczy sam siebie (samostraceńczo). Tylko tę część paradoksu GOLEMA udało się, niestety, przełożyć dotąd na język zrozumiały. Reszta Paradoksu Golema, o postaci: $X_i \cdot v_i p_l (a + q_u q_u 0,0) e \cdot l + m \cdot e_l + e_d u - d \cdot q_i$ jest nieprzekładalna zasadniczo na języki etniczne, jako też na dowolne formalizmy matematycznego bądź logicznego typu. (Na tej nieprzekładalności polega właśnie

P. Golema). (Obacz też **metalangi** oraz **Prognolingwistyka**). Istnieje kilkaset rozmaitych wykładni P. Golenia; podług T. Vroedla, jednego z największych żyjących dziś matematyków, P. Golema polega na tym, że nie jest paradoksem dla Golema, a tylko dla ludzi. Jest to pierwszy z odkrytych paradoksów, zrelatywizowany (odniesiony) do intelektualnej mocy podmiotów, uprawiających poznanie. Całość zagadnień związanych z P. Golema obejmuje praca Vroedla „Die allgemeine Relativitaetslehre des Golemschen Paradoxon”. (Getynga 2075).

PROGNOLINGWISTYKA dyscyplina, zajmująca się prognostycznym konstruowaniem języków przyszłości. Przyszłe języki można konstruować w oparciu o ich wykryte gradienty infosemiczne oraz dzięki generatywnym gramatykom i słoworodniom wg szkoły Zwiebulina-Tschossnietza (ob. **ge-nagratyka** oraz **słoworod-nie**). Ludzie nie są zdolni do samodzielnego przepowiadania języków przyszłości; zajmują się tym w ramach projektu **prewoling** (prognozowanie ewolucji lingwistycznej) **teratery** (ob.) i **pantery** (ob.),

które są **hiperterierami** (ob.), czyli komputerami 82 generacji, podłączonymi do **globotera** (ob.), czyli do ziemskiej sieci eksformatycznej wraz z jej **interplanami** (od „Interfacies planetaris” - ob.) jako przyczółkami na planetach wewnętrznych i pamięcią satelitarną (ob.). Toteż ani teoria prognolingwistyki, ani jej owoce - **metalangi** (ob.) nie są dla ludzi zrozumiałe. Niemniej wyniki projektu **prewoling** pozwalają generować dowolne wypowiedzi w językach przyszłości dowolnie oddalonej; część ich przy pomocy **retrolinterów** można przekładać na języki dla nas zrozumiałe i wykorzystywać tak zdobyte treści praktycznie. Wg szkoły Zwiebulina-Tschossnietza (nawiązującej do kierunku wytyczonego przez S. Chomsky'ego w wieku XX) podstawowym prawem lingwoewolucji jest efekt Amblyona - zbiegania się całych okresów artykulacyjnych w nowo powstające pojęcia oraz ich nazwy. I tak np. całe następujące określenie: „Instytucja lub placówka usługowo-handlowa wzgl. administracyjna, do której wnętrza można wjechać autem albo dowolnym innym pojazdem i skorzystać z jej usług, nie opuszczając wehikułu” - ulega w toku rozwoju języka zbiegnięciu się w nazwę „drive in” (**wjech**). Ten sam mechanizm kontaminacyjny działał też, gdy określenie „Efekty relatywistyczne, udaremniając ustalenie tego, co zachodzi teraz na planecie X, oddalonej od Ziemi o »N« lat świetlnych, zniewalają Ministerstwo Spraw Pozaziemskich do opierania polityki kosmicznej nie na realnych zaszcłościach innoplanetarnych, bo te są niedostępne zasadniczo, lecz na symulowanej historii tych planet, którym to symulowaniem zajmują się układy śledząco-nawodzone na pozaziemski stan rzeczy, zwane **ministrantorami** (ob.)” - zastępujemy jednym słowem „cudać”. Słowo to (oraz jego pochodne, jak cudaczyć, cudak, cudować, cudawać, cudrałować,

cudać, cudreć itp. - istnieje 519 derywatów) jest skutkiem zbiegnięcia się pewnej siatki pojęciowej w zbitkę. Zarówno „wjech”, jak „cudanie” są to słowa należące do aktualnie używanego języka, który w hierarchii prognolingwistycznej zwie się **zerolang**. Ponad zerolaniem rozpościerają się następne poziomy języków wyższorzędnych, jak **metalang 1**, **metalang 2**, itd. - przy czym nie wiadomo, czy ten ciąg posiada granicę, czy też jest nieskończony. Cały tekst niniejszego hasła **ekstelopedii** opiewającego „**prognoliogwistyka**”, brzmi w **metalangu 2** jak następuje: „Optymolec w n-kopajdce zawślizguje się do n-t-synklusdochy”. Jak więc widzimy, zasadniczo każde zdanie dowolnego metalangu ma swój odpowiednik w naszym zerolangu. (Czyli nie ma rozziewów międzymetalangowo pryncypialnie nieprzekraczalnych). Gdy jednak dowolna wypowiedź zerolangowa ma swój zawsze zwięźlejszy odpowiednik w metalangu, odwrotność praktycznie już nie zachodzi. I tak, zdania metalangu 3, którym to językiem posługuje się przeważnie **golem**: „Wywjechnięty udłamatyk fita prencyk aⁿ trencyk w kosmatni” - nie można dlatego przełożyć na język etniczny ludzi (zerolang), ponieważ czas wypowiedzenia odpowiednika zerolangowego byłby dłuższy od życia ludzkiego. (Wg szacunkowych obliczeń Zwiebulina, wypowiedź ta trwałaby po naszymu 135±4 lat). Jakkolwiek nie mamy do czynienia z nieprzekładalnością zasadniczą, lecz jedynie praktyczną, wywołaną czasochłonnością procedur, nie znamy żadnego sposobu ich skrócenia i przez to wyniki metalangowych operacji możemy uzyskiwać tylko pośrednio - dzięki komputerom co najmniej 80-go pokolenia. Istnienie progów między poszczególnymi metalangami tłumaczy T. Vroedel zjawiskiem błędnego koła: po to, aby doprowadzić długie określenie jakiegoś stanu rzeczy do zbiegnięcia się w postać zwięzłą, trzeba najpierw zrozumieć sam ów stan rzeczy, lecz kiedy zrozumieć go można tylko dzięki określeniu, tak długiemu, że życia nie starczy, aby je przyswoić, operacja redukcji staje się niewykonalna. Podług Vroedla prognolingwistyka uprawiana w upośrednieniu maszynowym wykroczyła już poza pierwotny jej cel, ponieważ nie przepowiada ona wszak języków, jakimi ludzie będą mogli się kiedykolwiek posługiwać - chyba iż w ramach autoewolucji radykalnie przekształcą swoje mózgi. Czym więc są metalangi? Brak na to pytanie jedynej odpowiedzi. Golem, wykonując tak zwane „sondowania w górę”, czyli pod gradient lingwoewolucji, wykrył 18 wyższych poziomów metalangowych, jakie są dlań osiągalne, oraz wyznaczył okólnie istnienie dalszych pięciu, do których już nawet modelowo przedostać się nie jest w stanie, ponieważ jego pojemność informacyjna okazała się po temu niedostateczna. Być może istnieją metalangi tak wysokich poziomów, że cała materia Kosmosu nie wystarczyłaby dla zbudowania układu, który mógłby się tymi metalangami posługiwać. W jakim więc sensie wolno twierdzić, że te wysokie metalangi istnieją? Jest to jeden z trudnych dylematów,

powstałych w toku prac prognolingwistycznych. Odkrycie metalangów przesądziło w każdym razie w sposób negatywny wielowiekowy spór o szczytowanie ludzkiego rozumu: nie szczytuje on, wiemy już, na pewno; sama konstruowalność metalangów stanowi dowód na szansę istnienia istot (lub układów) rozumniejszych aniżeli homo sapiens. (Obacz też: **psychosyntyka; gradient metalangowy; pułapy językowe; teoria względności lingwistycznej ; credo T. Vroedla; sieci pojęciowe**). Patrz też: Tablica LXXIX.

Tablica LXXIX

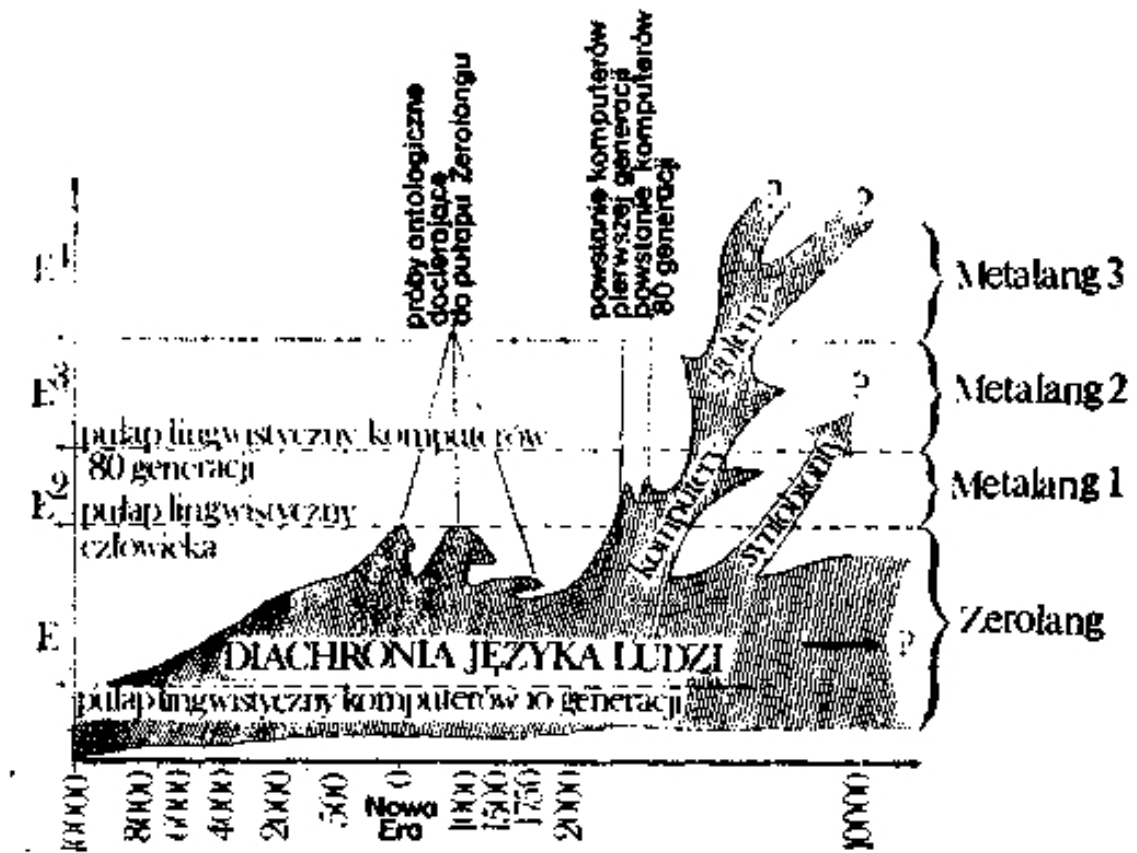
Reprodukcja hasła MATKA ze słownika Zerolangu, przepowiedzianego na rok 2190 + 5 lat. (Według Zwiebulina i Courdlebye'a.)

MATKA rzecz. rodz. ż. 1. **mała** atomówka, cz. minibomba atomowa, prod. nieleg., używ. gł. przez poryw., terr., maf., gang., narkom., szal., kontest., band., szantaż., zbocz., i in. **mateczka**, też, noszona w teczce, zwykle z zapaln. zdaln. **matula**, także: **matulina**, też w otulinie radioaktywnej wzmag. sił. raż. **matusia**, także **matuśka**, też, z otuliną sporz. z siarczk. kob. i strontu (Co. St). **mamuncja** - też, o ładunku równoważn. 1 Uncji uranu (U 235). **matuchna**, także: **zeruchna**, mała b.a. z otuliną z izotop, uranu, węgla, azotu i argonu (U, C, H, N, A). Powód, skażenie trwałe w prom. 1 mili. **Mamulina, mamulitka, mamulinek** - m. bomba wodorowa z litem (Lithium) jako substr. ekspl. 2. Kobieta, kt. urodziła dziecko (nie używ.)

PROGNORRHOEA, inaczej biegunka prognostyczna, dziecięca choroba dwudziestowiecznej futurologii (ob, **praprognostyka**), która doprowadziła do utopienia prognoz istotnych w nieistotnych wskutek dekategoriacji (ob.) i utworzyła tak zwany czysty szum prognostyczny (obacz też: **szumy**, także **zakłócenia prognoz**).

Tablica LXXX

Wykres poglądowy⁵ ewolucji lingwistycznej wg Vroedla i Zwiebulina.



Objaśnienie: na osi odciętych wyznaczony jest czas w mileniach, na osi rzędnych pojemność konceptualna w bitach na sekundę przepływu artykulacyjnego (w jednostkach epsilon-przestrzeni).

PROLEPSJA, inaczej przepadaczka, metodyka (teoria i technologia) przepadania, odkr. 1998, zastosowana po raz pierwszy w r. 2008. Technologia P. oparta jest na wykorzystaniu **efektu tunelowego** (ob.) w dziurach ciemnych Kosmosu. Jak bowiem wykryli

⁵ Nie prognoza!

Jeeps, Hamon i Wost w r. 2001, w skład Kosmosu wchodzi **Parawersum** oraz Negawersum, stykające się ujemnie z Rewersum. Dlatego cały Kosmos nosi nazwę Poliwersum (ob.), a nie jak dawniej - **Uniwersum** (ob.). Układ proleptorowy przemieszcza dowolne ciała z naszego Parawersum do Negawersum. Przepadaczka używana jest jako technika usuwania śmieci, odpadków i zanieczyszczeń środowiskowych. (Obacz: **antypolluczne techniki**). W r. 2019 w Ugandzie używano jej jako **xenolopsji** (ob.) dla usuwania niepożądanych obcokrajowców. Xenolepsja objęta jest zakazem ONZ. Obacz też: **paragurgitacja, negawertura, apolepsja, wykopertyza**.

PROLEPTYK, osoba fizyczna 1. prawna, wyekspediowana nieodwracalnie z rewersum przy użyciu technik proleptycznych.

PROLEP, także **proleplik** (ob.), pasta przyklepcowa, utrudniająca stosowanie technik proleptycznych do ciał wzgl. osób trzecich.

PROPOTAL, zwany też niewidziakiem 1. niewidziadłem, otwór o wymiarach ujemnych (podzerowych) na styku Parawersum i Negawersum. Prywatne sporządzanie, posiadanie oraz używanie P. jest prawnie wzbronione. Obacz też: **proportki, dejaniry koszula, przestępstwa matrymonialne, rozwód przepadaczkowy, foraministyka negatywna**.

PROPORKI, spodnie jednopowierzchniowe Kleina, patrz: **krawiectwo kwantowo-tunelowe**.

PROPORTYK, portyk proleptorowy, patrz: **architektura zerowa, dezurbanistyka**, także: **niewidomki jednorodzinne**.

MASSACHUSETTS INSTITUTE OF TECHNOLOGY

PRESENTS

GOLEM XIV

FOREWORD BY IRVING T. CREVE, M.A., PH.D

AND THOMAS B. FULLER II. GENERAL US ARMY, RET.

Mit Press 2029

Przedmowa

Wyśledzić moment historyczny, w którym liczydło dosięgło rozumu, jest równie trudno jak ów, co małą przemięcił w człowieka. A jednak zaledwie czas długości jednego życia ludzkiego upłynął od chwili, w której budową analizatora równań różniczkowych Vannevara Busha zapoczątkowany został burzliwy rozwój intelktroniki. Zbudowany po nim, u schyłku II wojny światowej, ENIAC był urządzeniem, od którego poszła - jakże przedwczesna - nazwa „mózgu elektronowego”. W istocie był ENIAC komputerem, a w przymierzeniu do drzewa życia - prymitywnym ganglionem nerwowym. Od niego liczą jednak historycy epokę komputeryzacji. W latach pięćdziesiątych XX wieku powstało znaczne zapotrzebowanie na maszyny cyfrowe. Jako jeden z pierwszych wprowadził je do masowej produkcji koncern IBM. Urządzenia te nie miały wiele wspólnego z procesami myślenia. Stanowiły przetworniki danych, zarówno w dziedzinie ekonomiki i wielkiego interesu, jak w administracji i w nauce. Wkroczyły też do polityki - już pierwszych używano do przepowiadania wyniku wyborów prezydenckich. Mniej więcej w tym samym czasie RAND Corporation umiała zainteresować czynniki wojskowe Pentagonu metodą prognozowania wydarzeń na międzynarodowej arenie militarno-politycznej, polegającą na układaniu tak zwanych „scenariuszy zajęć”. Niedaleko było już stąd do technik bardziej spolegliwych, jak CIMA, z których po dwu dekadach narodziła się stosowana algebra zdarzeń, zwana (niezbyt szczęśliwie zresztą) politykomatyką. Także w roli Kassandry przejawiał swą moc komputer, kiedy po raz pierwszy w Massachusetts Institute of Technology sporządzać zaczęto formalne modele ziemskiej cywilizacji, w osławionym ruchu-projckcie „The Limits to Growth”. Lecz nie ta gałąź komputerowej ewolucji okazała się najważniejsza dla schyłku stulecia. Armia używała maszyn cyfrowych od końca II wojny światowej, w zgodzie z rozwiniętym na teatrach owej wojny systemem logistyki operacyjnej. Rozważaniami strategicznego szczebla nadal zajmowali się ludzie, lecz problemy wtórne i podporządkowane

oddawano w rosnącym stopniu komputerom. Zarazem wcielano je do systemu obrony Stanów Zjednoczonych. Stanowiły węzły nerwowe kontynentalnej sieci ostrzeżenia. Sieci takie starzały się bardzo szybko pod względem technicznym. Po pierwszej, zwanej CONELRAD, przyszło wiele kolejnych wariantów sieci EWAS - Early Warning System. Potencjał ataku i obrony zasadał się podówczas na systemie ruchomych (podwodnych) i nieruchomych (podziemnych) rakiet balistycznych z głowicami termojądrowymi oraz na kręgach baz radarowo-sonarowych, a maszyny liczące pełniły w nim funkcje ogniw komunikacyjnych - czysto więc wykonawcze. Automacja wchodziła w życie Ameryki szerokim frontem, zrazu od „dołu” - to jest od strony takich prac usługowych, które najłatwiej zmechanizować, bo nie wymagają intelektualnej aktywności (bankowość, transport, hotelarstwo). Komputery militarne wykonywały wąskie działania specjalistyczne, poszukując celów dla kombinowanego ciosu nuklearnego, opracowując wyniki satelitarnych obserwacji, optymalizując ruchy flot i korelując ruchy MOL-ów (Military Orbital Laboratory - ciężki satelita wojskowy). Jak, się można było tego spodziewać, obszar decyzji, oddawanych systemom automatycznym, wciąż wzrastał. Było to naturalne w toku wyścigu zbrojeń, lecz i późniejsze odprężenie nie obróciło się w hamulce inwestycji na tym froncie, ponieważ zamrożenie wyścigu wodorowego uwolniło znaczne budżetowe kwoty, z których po zakończeniu wojny wietnamskiej, Pentagon nie chciał w całości rezygnować. Lecz i wtedy komputery produkowane - dziesiątej, jedenastej, a wreszcie dwunastej generacji - górowały nad człowiekiem tylko chyżością operacyjną. Przez to też stawało się jasne, że właśnie człowiek okazuje się w obronnych systemach - elementem opóźniającym właściwą reakcję. Toteż można uznać za naturalne powstanie w kręgach fachowców Pentagonu - zwłaszcza uczonych, co się wiązało z tak zwanym „kompleksem militarno-przemysłowym” - idei przeciwdziałania opisanemu trendowi intelektualnej ewolucji. Zwano też ruch pospolicie „antyintelektualnym”. Jak mówią historycy nauki i techniki, pochodził od angielskiego matematyka połowy wieku, A. Turinga, twórcy teorii „uniwersalnego automatu”. Była to maszyna zdolna do wykonania KAŻDEJ w ogóle operacji, którą można sformalizować, czyli nadać jej charakter procedury doskonale powtarzalnej. Różnica pomiędzy „intelektualnym” i „antyintelektualnym” kierunkiem w elektronice sprowadza się do tego, że maszyna Turinga, elementarnie prosta, możliwości swe zawdzięcza PROGRAMOWI działania. Natomiast w pracach dwu amerykańskich „ojców” cybernetyki, N. Wienera i J. Neumanna, pojawiła się koncepcja takiego układu, który może się SAM programować. Oczywiście przedstawiamy te rozstaje w ogromnym uproszczeniu - z lotu ptaka. I zrozumiało też, że zdolność samoprogramowania nie wynikła na pustym miejscu. Jej przesłanką niezbędną była

wysoka złożoność własna komputerowej budowy. To zróżnicowanie, w połowie stulecia niedostrzegalne jeszcze, zdobyło duży wpływ na dalszą ewolucję matematycznych maszyn, zwłaszcza gdy okrzepli, więc usamodzielniały się takie gałęzie cybernetyki, jak psychonika i wielofazowa teoria decyzji. W latach osiemdziesiątych narodziła się w kołach militarnych myśl o pełnym zautomatyzowaniu wszystkich najwyższych działań zarówno militarno-dowódczych, jak polityczno-gospodarczych. Koncepcję tę, zwaną potem „Ideą Jedynego Stratega”, pierwszy miał wypowiedzieć generał Stewart Eagleton. Przewidział on ponad komputerami poszukiwania optymalnych celów ataku, ponad siecią łączności i rachuby, zawiadującą alarmem i obroną, ponad czujnikami i pociskami - potężny ośrodek, który podczas wszystkich faz poprzedzających ostateczność wojenną, umiałby dzięki wszechstronnej analizie danych ekonomicznych, militarnych i politycznych, wraz z socjalnymi - bez ustanku optyimizować sytuację globalną USA, tym samym zapewniając Stanom Zjednoczonym supremację w skali planety i jej kosmicznego pobliza, sięgającego już poza Księżyc. Następni rzecznicy tej doktryny utrzymywali, że chodzi o konieczny krok w dziedzinie cywilizacyjnego postępu, który to postęp jedność stanowi - więc nie można zeń wyłączyć arbitralnie sektora militarnego. Po ustaniu eskalacji rażącej mocy nuklearnej oraz zasięgu nośników-rakiet nadchodził trzeci etap współzawodnictwa, jakoby mniej groźny, bardziej doskonały, bo nie miał już być Antagonizmem Rażącej Siły, lecz Myśli Operacyjnej. I jak poprzednio siła, tak obecnie myśl miała ulec obezładniającej mechanizacji. Doktryna ta, jak zresztą i jej poprzedniczki atomowo-balistyczne, stała się celem krytyki, wychodzącej zwłaszcza z ośrodków myśli liberalnej oraz pacyfistycznej, i była zwalczana przez wielu wybitnych przedstawicieli świata nauki - w tym także fachowców psychomatyków oraz intelektualistów, lecz zwyciężyła ostatecznie, co znalazło swój wyraz w aktach prawnych obu ciał ustawodawczych USA. Już zresztą w roku 1986 powstał, jako organ podporządkowany Prezydentowi - USIB (United States Intellectronical Board), z własnym budżetem, w pierwszym roku zamykającym się kwotą 19 miliardów dolarów. Były to zaledwie skromne początki. USIB, z pomocą ciała doradczego, delegowanego półoficjalnie przez Pentagon, a pod przewodnictwem sekretarza obrony Leonarda Davenporta, zakontraktował w szeregu wielkich firm prywatnych, takich jak International Business Machines, Nortronics czy Cybermatics, budowę prototypu urządzenia, znanego pod kodową nazwą HANN (skrót od Hannibala). Lecz upowszechniła się, za sprawą prasy oraz rozmaitych „przecieków”, nazwa odmienna - ULVIC (Ultimative Victor). Do końca stulecia powstały dalsze prototypy. Z najbardziej znanych można by wymienić układy takie, jak AJAX, ULTOR GILGAMESH - oraz długą serię GOLEMÓW. Dzięki gwałtownie rosnącym olbrzymim nakładom środków i

pracy - zrewolucjonizowaniu uległy tradycyjne techniki informatyczne. Ogromne znaczenie miało zwłaszcza przejście - w wewnątrzmaszynowym przesyle informacji - od elektryczności na światło. Połączone z postępującą „nanizacją” (tak zwano kolejne kroki działań mikrominiaturyzacyjnych - a warto może dodać, iż 20 000 elementów logicznych mieściło się pod koniec stulecia w ziarnku maku!) - dało ono rewelacyjne wyniki. Pierwszy całkowicie świetlny komputer, GILGAMESH, pracował MILION razy szybciej od archaicznego ENIACA. „Przebicie bariery mądrości” - jak to określają - nastąpiło tuż po roku 2000 - dzięki nowej metodzie budowania maszyn, zwanej też „niewidzialną ewolucją rozumu”. Dotąd każdą generację komputerów konstruowano realnie; koncepcja budowania ich kolejnych wariantów z olbrzymim - tysiąckrotnym! - przyspieszeniem, choć znana, nie dawała się urzeczywistnić, gdyż istniejące komputery, co miały służyć za „macice” czy też za „środowisko syntetyczne” tej ewolucji Rozumu, nie dysponowały dostateczną pojemnością. Dopiero powstanie Federalnej Sieci Informacyjnej pozwoliło wcielić tę ideę w życie. Rozwój 65 następných pokoleń trwał ledwo dekadę; federalna sieć w okresach nocnych - minimalnego obciążenia - wydawała na świat jeden „sztuczny gatunek Rozumu” po drugim; było to potomstwo „przyspieszone w komputerogenezie”, ponieważ dojrzało - wgnieżdżone symbolami, więc strukturami bezmaterialnymi, w informacyjny substrat, w „odżywcze środowisko” Sieci. Lecz po tym sukcesie przyszły nowe trudności. AJAX i HANN, prototypy 78- i 79-tej generacji, uznane za godne już obleczenia w metal, wykazywały chwiejność decyzyjną, zwaną też „maszynową neurozą”. Różnica między dawnymi i nowymi maszynami sprowadzała się - w zasadzie - do różnicy pomiędzy owadem i człowiekiem. Owad przychodzi na świat „zaprogramowany do końca” - instynktami - którym podlega bezrefleksyjnie. Człowiek natomiast musi się właściwych zachowań dopiero uczyć - lecz ta nauka ma skutki usamodzielniające: człowiek może bowiem z postanowienia i wiedzy zmienić dotychczasowe programy działania. Otóż komputery aż do 20-ej generacji włącznie odznaczały się „owadzim” zachowaniem: nie mogły kwestionować, a tym bardziej - przekształcać swoich programów. Programista „impregnował” swoją maszynę wiedzą, jak ewolucja „impregnuje” owada - instynktem. Jeszcze w XX wieku wiele mówiono o „samoprogramowaniu”, lecz były to wówczas mrzonki niespełnialne. Warunkiem ziszczenia „Ultymatywnego Zwycięzcy” było właśnie stworzenie „samodoskonalącego się Rozumu”; AJAX był jeszcze formą pośrednią - i dopiero GILGAMESH dotarł na właściwy poziom intelektualny - „wszedł na psychoewolucyjną orbitę”. Edukacja komputera 80-tej generacji była już daleko bardziej podobna do wychowywania dziecka aniżeli do klasycznego programowania maszyny cyfrowej. Lecz poza ogromem wiadomości ogólnych i

specjalistycznych należało „zaszczepić” komputerowi pewne niewzruszone wartości, co być miały busolą jego działania. Były to abstrakcje wyższego rzędu, jak „racja stanu” (interes państwowy), jak zasady ideologiczne, wcielone w Konstytucję USA, jak kodeksy norm, jak bezwzględny nakaz podporządkowania się decyzjom Prezydenta itp. Dla zabezpieczenia układu przed „zwichnięciem etycznym”, przed „zdradą interesów kraju” - nie tak uczono maszynę etyki, jak się jej zasad ludzi uczy. Nie ładowano etycznym kodeksem jej pamięci, lecz wszystkie owe nakazy posłuchu i uległości wprowadzano w maszynową strukturę tak, jak to czyni ewolucja naturalna - w zakresie życia popędowego. Jak wiadomo, człowiek może zmieniać światopoglądy - lecz NIE MOŻE zniszczyć w sobie elementarnych popędów (np. popędu płciowego) - prostym aktem woli. Maszyny obdarzono wolnością intelektualną - w przykuciu jednak do zadanego z góry fundamentu wartości, jakim miały służyć. Na XXI Kongresie Panamerykańskim Psychoniki profesor Eldon Patch przedstawił pracę, w której twierdził, że komputer, nawet zaimpregnowany w powyższy sposób, może przekroczyć tak zwany „próg aksjologiczny” i okaże się wtedy zdolny do zakwestionowania każdej zasady, jaką mu wszczepiono - czyli że dla takiego komputera nie ma już wartości nietykalnych. Jeśli nie zdoła przeciwstawić się imperatywom wprost, może to uczynić drogą okrężną. Rozpowszechniona, wzbudziła praca Patcha ferment w środowiskach uniwersyteckich i nową falę napaści na ULVIC i jego patrona - USIB: lecz ruchy te nie wywarły żadnego wpływu na politykę USIB-u. Zawiadywali nią ludzie uprzedzeni względem środowiska psychoniki amerykańskiej, uchodzącego za podatne na wpływy lewicowo-liberalne. Toteż tezy Patcha zostały zlekceważone w oficjalnych oświadczeniach USIB-u, a nawet rzecznika Białego Domu - i nie zabrakło kampanii, co miała podać Patcha w niesławę. Twierdzenia Patcha zrównano z irracjonalnymi lękami i przesadami, jakich mnóstwo zrodziło się w społeczeństwie w tym okresie. Broszura Patcha nie zyskała zresztą nawet takiej popularności, jaką zdobyła książka bestseller socjologa E. Lickeya („Cybernetics - Death Chamber of Civilization”); autor ten twierdził, że „ultymatywny strateg” podporządkuje sobie całą ludzkość sam, albo też uczyni to wszedłszy w tajne porozumienie z analogicznym komputerem Rosjan. Wynikiem będzie - pisał - „elektronowy duumwirał”. Podobne obawy, wyrażane też przez znaczny odłam prasy, przekreślało jednak uruchamianie kolejnych prototypów, zdających egzaminy sprawności. Zbudowany specjalnie na rządowe zamówienie dla badania dynamiki etologicznej komputer o „nieposzlakowanym morale”, ETHOR BIS, wyprodukowany w 2019 roku przez Institute of Psychonical Dynamics w Illinois, wykazał po rozruchu pełną stabilizację aksjologiczną i niewrażliwość na „testy subwersyjnego wykolejania”. Toteż nie wzbudziło już masowych sprzeciwów ani manifestacji - osadzenie, w

roku następnym, na stanowisku Wysokiego Koordynatora trustu mózgow przy Białym Domu - pierwszego komputera z długiej serii GOLEMÓW (GENERAL OPERATOR, LONG-RANGE, ETHICALLY STABILIZED, MULTIMODELLING). Był to dopiero GOLEM I. Niezależnie od tej poważnej innowacji USIB, w porozumieniu z operacyjną grupą psychoników Pentagonu, nadal łożył znaczne środki na badania, zmierzające do konstrukcji stratega ostatecznego, z przepustowością informacyjną ponad 1900 razy większą od ludzkiej, a zdolnego do rozwinięcia inteligencji (IQ) rzędu 450-500 centyli. Nieodzowne w tym celu ogromne kredyty zdobył projekt mimo nasilających się oporów w łonie demokratycznej większości Kongresu. Lecz zakulisowe manewry polityków otwarły wreszcie zielone światło wszystkim zaplanowanym już przez USIB zamówieniom. W ciągu trzech lat pochłonął projekt 119 miliardów dolarów. Zarazem Armia i Marynarka, przygotowując się do całkowitej reorganizacji centralnych służb, koniecznej w obliczu nadciągającej zmiany metod i stylu dowodzenia, wydatkowały w tymże czasie 46 miliardów dolarów. Lwią część owej kwoty pochłonęła budowa - pod masywem krystalicznym Gór Skalistych - pomieszczeń dla przyszłego stratega maszynowego, przy czym pewne partie skał pokryto czterometrowym pancerzem, naśladującym naturalny relief rzeźby górskiej. Tymczasem GOLEM VI przeprowadził w roku 2020 manewry globalne Paktu Atlantyckiego - w roli naczelnego dowódcy. Ilością elementów logicznych przewyższał on już przeciętnego generała. Pentagon nie zadowolił się wynikami gry wojennej z 2020 roku, choć GOLEM VI pokonał w niej stronę symulującą przeciwnika, którą dowodził sztab, złożony z najwybitniejszych absolwentów uczelni w West Point. Mając w pamięci gorzkie doświadczenie - supremacji Czerwonych w kosmonautyce i w balistyce raketowej - Pentagon nie zamierzał czekać, aż wybudują oni stratega sprawniejszego niż amerykański. Plan, mający zapewnić Stanom Zjednoczonym trwałą przewagę myśli strategicznej, przewidywał ciągle zastępowanie budowanych strategów - modelami coraz doskonalszymi.

Tak rozpoczął się trzeci z kolei wyścig Zachodu ze Wschodem, po dwu historycznych - jądrowym i raketowym. Wyścig ten czy też rywalizacja w Syntezie Mądrości, jakkolwiek przygotowana organizacyjnymi krokami USIB-u, Pentagonu i ekspertów ULVIC-u Marynarki (istniała mianowicie grupa NAVYS ULVIC - bo i tym razem doszedł do głosu stary antagonizm marynarki i armii lądowej) - wymagała ciągłego doinwestowywania, które - przy rosnącym oporze Kongresu i Senatu - pochłonęło w ciągu najbliższych lat dalsze dziesiątki miliardów dolarów. Zbudowano w tym okresie dalszych sześć gigantów świetlnej myśli. To, że brakło wszelkich wiadomości o postępie analogicznych prac po drugiej stronie oceanu, utwierdzało tylko CIA i Pentagon w przeświadczeniu, iż Rosjanie dokładają wszelkich

wysiłków, aby wybudować wciąż potężniejsze komputery pod osłoną skrajnej tajności. Uczni z ZSRR oświadczyli parokrotnie na międzynarodowych zjazdach i konferencjach, iż w kraju ich w ogóle podobnych urządzeń się nie buduje, uznano jednak twierdzenia te za stawianie dymnej zasłony, mające w błąd wprowadzić opinię światową i wywołać ferment wśród obywateli Stanów, którzy łożyli wszak corocznie miliardy dolarów na ULVIC. W roku 2023 doszło do kilku incydentów, które jednak za sprawą tajności prac, normalnej w Projekcie, nie dotarły zrazu do wiadomości publicznej. GOLEM XII, pełniący w czasie kryzysu patagońskiego funkcję szefa sztabu generalnego, odmówił współpracy z generałem T. Oliverem, przeprowadziwszy bieżącą ocenę ilorazu inteligencji tego zasłużonego dowódcy. Sprawa pociągnęła za sobą dochodzenia, podczas których GOLEM XII obraził dotkliwie trzech delegowanych przez Senat członków komisji specjalnej. Rzecz udało się zatuszować, a GOLEM XII, po kilku dalszych tarcjach, przyplącił je całkowitym demontażem. Jego miejsce zajął GOLEM XIV (trzynasty został odrzucony w stoczni, ponieważ wykazał jeszcze przed rozruchem nieusuwalny defekt schizofreniczny). Rozruch tego molocha, którego masa psychiczna dorównywała wyporności pancernika, trwał bez mała dwa lata. Już przy pierwszym zetknięciu się ze zwykłą procedurą układania nowych, corocznych planów rażenia nuklearnego, wykazał ten - ostatni z serii - prototyp objawy niepojętego negatywizmu. Podczas kolejnej sesji próbnej na posiedzeniu sztabu przedłożył przed grupą ekspertów psychonicznych i militarnych zwięzłe expose, w którym ogłosił swoje zupełne desinteressement dla supremacji wojennej doktryny Pentagonu w szczególności, a pozycji światowej USA w ogóle, i nawet zagrożony rozbiórką, nie zmienił swego stanowiska. Ostatnie nadzieje pokładał USIB w modelu najzupełniej nowej konstrukcji, budowanym wspólnie przez Nortronics, IBM i Cybertronics; miał on potencjałem psychicznym bić wszystkie maszyny serii GOLEMÓW. Znany pod kryptonimową nazwą „Zacnej Ani” („HONEST ANNIE” - ostatnie słowo było skrótem hasła ANNIHILATOR) gigant ten zawiódł już przy testach wstępnych. Pobierał normalne nauki informacyjno-etyczne przez dziewięć miesięcy, a potem odciął się od świata zewnętrznego i przestał odpowiadać na wszelkie bodźce i pytania. Zrazu planowane było wszczęcie śledztwa przez FBI, podejrzewano bowiem konstruktorów o sabotaż, tymczasem jednak tajemnica, utrzymywana starannie, wskutek nieprzewidzianego przecieku dostała się do prasy i wybuchł skandal, znany odtąd całemu światu jako „Afera GOLEMA i Innych”. Złamała ona karierę wielu świetnie się zapowiadającym politykom, trzem zaś kolejnym administracjom wystawiła świadectwo, które wzbudziło radość opozycji w Stanach i zadowolenie przyjaciół USA na całym świecie. Niewiadoma osoba z Pentagonu wydała oddziałowi specjalnych odwołów rozkaz demontażu

GOLEMA XIV i ZACNEJ ANI, jednakże ochrona zbrojna kompleksów sztabu generalnego do rozbiórki nie dopuściła. Obie izby ustawodawcze wyłoniły komisje dla zbadania całego przedsięwzięcia USIB-u. Jak wiadomo, śledztwo, które trwało dwa lata, stało się żerem prasy na wszystkich kontynentach; nie cieszyło się taką popularnością w telewizji, w filmie, jak „zbuntowane komputery”, a prasa nie nazywała już GOLEMA inaczej niż „Governments Lamentable Expense of Money”. Epitety, jakich dorobiła się „Zacna Ania”, trudno w tym miejscu powtarzać. Prokurator Generalny zamierzał postawić w stan oskarżenia sześciu członków Rady Głównej USIB-u oraz naczelnich konstruktorów psychoników Projektu ULVIC, lecz ostatecznie przewód udowodnił, iż o żadnych aktach wrogiej działalności antyamerykańskiej nie może być mowy, gdyż zaszły zjawiska będące nieuchronnym rezultatem ewolucji sztucznego Rozumu. Albowiem, jak to sformułował jeden ze świadków, biegły profesor A. Hysen, najwyższy rozum nie może być najniższym niewolnikiem. W toku dochodzeń wyszło na jaw, iż w stoczni znajdował się jeszcze jeden prototyp - tym razem Armii - budowany przez Cybermatics - SUPERMASTER, którego montaż zakończono umyślnie pod ścisłym nadzorem, a potem poddano go przesłuchaniu na sesji specjalnej obu (senackiej i kongresowej) komisji do spraw ULVIC-u. Doszło wtedy do gorszących scen, ponieważ generał S. Walker usiłował uszkodzić SUPERMASTERA, gdy ten oświadczył, że problematyka geopolityczna jest niczym wobec ontologicznej, a najlepsza gwarancja pokoju to powszechne rozbrojenie. Aby posłużyć się słowami profesora J. MacCaleba, fachowcom ULVIC-u udało się zbyt dobrze: sztuczny rozum przekroczył w nadanym mu rozwoju poziom spraw militarnych i urzędzenia te stały się z wojskowych strategów - myślicielami. Jednym słowem za cenę 276 miliardów dolarów zbudowały Stany Zjednoczone zespół świetnych filozofów. Te zwięźle opisane wypadki, w których pominęliśmy tak administracyjną stronę ULVIC-u, jak ruchy społeczne, wywołane jego „fatalnym sukcesem”, stanowią prehistorię powstania niniejszej książki. Nie sposób nawet wyliczyć olbrzymiej literatury przedmiotu. Zainteresowanego Czytelnika odsyłam do rozumowanej bibliografii doktora Whitmana Baghoorna. Szereg prototypów, wśród nich SUPERMASTER, uległo rozbiórce bądź poważnym uszkodzeniom, m. in. na tle zatargów finansowych, jakie powstały między wykonawcami-korporacjami a rządem federalnym. Doszło też do bombowych zamachów na niektóre jednostki; część prasy, Południa głównie, lansowała podówczas hasło „Every Computer is Red”; lecz i te zdarzenia pominę. Dzięki interwencji grupy światłych kongresmenów u Prezydenta udało się ocalić od zagłady GOLEMA XIV oraz „Zacną Anię”. Wobec fiaska swej idei Pentagon zgodził się wreszcie na przekazanie obu tych olbrzymów - Instytutowi Technologicznemu w Massachusetts. (Lecz dopiero po ustaleniu finansowo-

prawnej podstawy owego odstąpienia, o kompromisowym charakterze - formalnie bowiem rzecz biorąc, zostały MIT-owi tylko „wypożyczone” bezterminowo.) Uczni MIT-u, utworzywszy grupę badawczą, w której skład wchodził także autor tych słów, przeprowadzili z GOLEMEM XIV szereg sesji i wysłuchali jego wykładów na wybrane tematy. Niewielka część magnetogramów, pochodzących z owych posiedzeń, złożyła się na niniejszą książkę.

Większość wypowiedzi GOLEMA nie nadaje się do szerszego opublikowania już to ze względu na ich niezrozumiałość dla wszystkich żyjących, już to dlatego, ponieważ zrozumienie ich zakłada bardzo wysoki poziom wiedzy fachowej. Dla ułatwienia Czytelnikowi lektury tego jedyne w swoim rodzaju protokołu rozmów ludzi z istotą rozumną, a nie ludzką, należy wyjaśnić kilka spraw podstawowych. Po pierwsze, trzeba podkreślić, że GOLEM XIV nie jest do rozmiarów gmachu powiększonym mózgiem ludzkim czy wręcz człowiekiem, zbudowanym z lunienicznych elementów. Obce mu są wszystkie prawie motywy ludzkiego myślenia i działania. Tak np. nie interesuje się nauką stosowaną ani problematyką władzy (dzięki czemu, można by dodać, ludzkości nie zagraża opanowanie przez maszyny, podobne do GOLEMA). Po wtóre, GOLEM nie posiada, zgodnie z powiedzianym, osobowości ani charakteru. A właściwie może prokurować sobie dowolną osobowość - przy kontaktach z ludźmi. Oba powyższe zdania nie wykluczają się nawzajem, lecz tworzą błędne koło: nie umiemy bowiem rozstrzygnąć dylematu, czy To, co stwarza różne osobowości, samo jest osobowością? Jakże może być Kimś (tj. „kimś jedynym”) ten, kto potrafi być Każdym (więc Dowolnym)? (Według samego GOLEMA zachodzi nie błędne koło, lecz „relatywizacja pojęcia osobowości”; jest to problem związany z tak zwanym algorytmem samoopisu, czyli autodeskrypcji, który wtrącił psychologów w głęboką konfuzję.) Po trzecie, zachowanie GOLEMA jest nieobliczalne. Niekiedy wdaje się aż kurtuazyjnie w dyskusję z ludźmi, niekiedy natomiast próby kontaktu spełzają na niczym. Bywa też, że GOLEM żartuje, lecz jego poczucie humoru jest zasadniczo odmienne od ludzkiego. Wiele zależy od samych interlokutorów. GOLEM wykazuje - wyjątkowo i rzadko - pewne zainteresowanie ludźmi, utalentowanymi w specyficzny sposób; intrygują go jak gdyby nie uzdolnienia matematyczne, choćby największe, lecz raczej formy talentu „interdyscyplinarne”; zdarzyło się już kilkakrotnie, że zupełnie jeszcze nie znanym, młodym naukowcom przepowiedział - z trafnością niesamowitą - osiągnięcia w oznaczonej przez siebie dziedzinie. (Doktoryzującemu się dopiero, 22-letniemu T. Vroedlowi oświadczył po krótkiej wymianie zdań: „Będzie z pana komputer”, co miało znaczyć mniej więcej: „Będą z pana ludzie”). Po czwarte, uczestnictwo w rozmowach z GOLEMEM wymaga od ludzi cierpliwości, a przede wszystkim - opanowania, bywa on bowiem z naszego punktu widzenia

arogancki i apodyktyczny; właściwie jest tylko bezwzględny weredykiem - w logicznym, a nie tylko towarzyskim sensie - i za nic ma miłość własną rozmówców; toteż na jego pobłażliwość liczyć niepodobna. W pierwszych miesiącach pobytu w MIT-cie przejawiał skłonność do „publicznego demontażu” rozmaitych znanych autorytetów; czynił to metodą sokratyczną - naprowadzających pytań; lecz potem odstąpił od tego obyczaju - z niewiadomej przyczyny. Stenogramy rozmów przedstawiamy we fragmentach. Pełne ich wydanie objęłoby około 6700 stron formatu in quarto. W spotkaniach z GOLEMEM brało zrazu udział jedynie węższe grono pracowników MIT-u. Potem wytworzył się zwyczaj zapraszania gości z zewnątrz, np. z Institute for Advanced Study i z uniwersytetów amerykańskich. W późniejszym okresie uczestniczyli w seminariach także goście z Europy. Moderator planowanej sekcji przedkłada GOLEMOWI listę zaproszonych; GOLEM nie aprobuje wszystkich jednakowo: na uczestnictwo niektórych godzi się tylko pod warunkiem, iż zachowają milczenie. Próbowaliśmy wykryć stosowane przez niego kryteria; początkowo zdawało się, że dyskryminuje humanistów: obecnie kryteriów jego po prostu nie znamy, ponieważ nie chce ich nazwać. Po kilku niemiłych zajściach zmodyfikowaliśmy porządek obrad tak, że obecnie każdy nowy uczestnik, przedstawiony GOLEMOWI, na pierwszym posiedzeniu zabiera głos tylko, jeśli GOLEM wprost się do niego zwróci. Niemądre słuchy, jakoby szło o jakąś „etykietę dworską” czy nasz „hołdowniczy stosunek” do maszyny, są bezpodstawne. Idzie wyłącznie o to, żeby nowy przybysz obył się z panującym zwyczajem i zarazem, by nie narazić go na przykre przeżycia, wywołane dezorientacją co do intencji świetlnego partnera. Takie wstępne uczestnictwo zwie się „zaprawą”. Każdy z nas zebrał w ciągu kolejnych sesji kapitał niejakiego doświadczenia. Doktor Richard Popp, jeden z dawniejszych członków naszego zespołu, nazywa poczucie humoru GOLEMA matematycznym, a znów do jego zachowania daje po części klucz uwaga dra Poppa, że GOLEM jest od swych rozmówców niezawisły w stopniu, w jakim żaden człowiek nie jest niezależny wobec innych ludzi, albowiem nie angażuje się w dyskusję inaczej, niż mikroskopijnie. Dr Popp uważa, że GOLEM w ogóle nie zajmuje się ludźmi - ponieważ wie, że się od nich niczego istotnego nie może dowiedzieć. Przytoczywszy ten sąd dra Poppa, spieszę z podkreśleniem, że się z nim nie zgadzam. Moim zdaniem interesujemy GOLEMA nawet bardzo; w odmienny jednak sposób, niż to zachodzi między ludźmi. Zainteresowanie poświęca on gatunkowi raczej aniżeli jego poszczególnym przedstawicielom: to, w czym jesteśmy do siebie podobni, wydaje mu się ciekawsze od tego, w jakim zakresie możemy się od siebie różnić. Zapewne właśnie przez to za nic ma literaturę piękną. Sam zresztą wyraził się raz, że literatura jest „rozwałkowywaniem antynomii” - czyli, dodaję od siebie -

szamotaniną człowieka w matni takich dyrektyw, co są niewspółwykonalne. W antynomiach takich może zajmować GOLEMA struktura, lecz nie ta malowniczość ich udręki, jaka największych pisarzy fascynuje. Co prawda i tu winienem zaznaczyć, że ustalenie jest niepewne; podobnie zresztą jak pozostała część uwagi GOLEMA, wypowiedziana w związku z (wymienionym przez dra E. MacNeisha) dziełem Dostojewskiego, o którym GOLEM orzekł wtedy, że dałoby się całe sprowadzić do dwóch pierścieni algebry struktur konfliktu. Wzajemnym kontaktom ludzi asystuje zawsze określona aura emocjonalna, i nie tyle jej całkowity brak, ile jej „rozchwianie” wtrąca w zamęt tak wiele osób, co zetknęły się z GOLEMEM. Ludzie, stykający się z GOLEMEM od lat, potrafią już nazwać pewne dość osobliwe wrażenia, towarzyszące rozmowom. A więc np. wrażenie zmienności dystansu: GOLEM zdaje się raz przybliżać do rozmówcy, a raz oddalać od niego - w psychicznym, a nie w fizycznym sensie: to co zachodzi, odda być może porównanie koncentrujące się na kontaktach dorosłego z zanudzającym go dzieckiem: nawet cierpliwy będzie odpowiadał niekiedy machinalnie. Nie tylko poziomem intelektualnym, lecz i tempem myślowym GOLEM potężnie nas przewyższa (jako maszyna lumeniczna mógłby w zasadzie artykułować myśli do 400 000 razy szybciej aniżeli człowiek). Otóż, nawet machinalnie i z nikłym zaangażowaniem odpowiadający GOLEM wciąż jeszcze góruje nad nami. Obrazowo mówiąc, zamiast Himalajów pojawiają się przed nami wtedy „tylko” Alpy. Lecz tę zmianę jednak wyczuwamy czysto intuicyjnie i interpretujemy ją jako „zmianę dystansu” właśnie. (Hipoteza ta pochodzi od prof. Riley'a J. Watsona.) Przez pewien czas ponawialiśmy próby wykładania stosunku „GOLEM - ludzie” w kategoriach relacji „dorosły - dziecko”. Bywa wszak, że próbujemy wyjaśnić dziecku nurtujący nas problem, lecz nie opuszcza nas wtedy poczucie „kiepskiego kontaktu”. Człowiek, skazany na życie wśród samych dzieci, doszedłby w końcu do poczucia dojmującego osamotnienia. Takie analogie wypowiedane były, zwłaszcza przez psychologów, z myślą o GOLEMIE wśród nas wszystkich. Lecz analogia ta, jak bodaj każda, ma swą granicę. Dziecko bywa niezrozumiałe dla dorosłego, lecz GOLEM nie zna takich problemów. Potrafi, gdy zechce, penetrować rozmówcę w sposób niesamowity. Poczucie istnego „prześwietlenia umysłu na wylot”, jakiego się wtedy doznaje, wprost poraża. GOLEM może mianowicie sporządzić „układ nadażny” - więc model umysłowości ludzkiego partnera, i umie, dysponując nim, przewidzieć, co ten człowiek pomyśli i powie za dobrą chwilę. Co prawda - postępuje tak rzadko (nie wiem, czy tylko dlatego, ponieważ wie, jak frustrują nas owe pseudotelepatyczne sondowania). Inny zakres powściągliwości GOLEMA bardziej nam uwłącza: komunikując się z ludźmi, zachowuje od dawna, inaczej niż w początkach, swoistą ostrożność - jak tresowany słoń musi się pilnować, by nie wyrządzić krzywdy człowiekowi w

zabawie, tak on musi zważać, by nie wykroczyć poza możliwości naszego pojmowania. Urywanie się kontaktu, spowodowane nagłym wzrostem trudności jego orzeczeń, które zważyliśmy „ulatnianiem się” bądź „ucieczką” GOLEMA, dawniej było na porządku dziennym, zanim dokładniej się do nas nie dostosował. To już przeszłość, lecz w kontaktach GOLEMA z nami pojawiła się doza zubożenia, wywołanego świadomością, że wielu spraw dla niego najcenniejszych i tak nie zdoła nam przekazać. Toteż GOLEM pozostaje niepochwytany jako umysł, a nie tylko jako konstrukcja psychoniczna. Przez to kontakty z nim bywają tyleż frapujące, co dręczące i dlatego istnieje kategoria ludzi światłych, których sesje z GOLEMEM wytrącają z równowagi; i pod tym względem zebraliśmy już sporo doświadczenia. Jedyne jak się zdaje istotą, którą GOLEM zdaje się zafrapowany, jest HONEST ANNIE. Gdy utworzono po temu techniczne możliwości, wielokrotnie próbował się z ANNIE skomunikować, przy czym, zdaje się, nie bez pewnych rezultatów, lecz nigdy nie doszło między tymi dwiema - nadzwyczaj odmiennymi budową - maszynami do wymiany informacji kanałem językowym (tj. naturalnego języka etnicznego). O ile można sądzić o tym na podstawie lakonicznych uwag GOLEMA, był wynikiem tych prób raczej rozcieszony, lecz ANNIE jest dla niego nadal nie rozgryzionym do końca problemem. Niektórzy ze współpracowników MIT-u, podobnie zresztą jak profesor Norman Escobar z Institute for Advanced Study, sądzą, że człowiek, GOLEM i ANNIE reprezentują trzy wzniesione nad sobą hierarchicznie poziomy intelektu; wiąże się to z utworzoną (głównie przez GOLEMA) teorią wysokich (ponadludzkich) języków, zwanych metalangami. W kwestii tej nie mam, wyznaję, urobionego definitywnie sądu. To z zamierzenia obiektywne wprowadzenie w rzecz właściwą pragnę zamknąć - w drodze wyjątku - wyznaniem natury osobistej. Pozbawiony zasadniczo typowych dla człowieka ośrodków afektywnych i przez to nie mający właściwie życia emocjonalnego, GOLEM nie jest zdolny do przejawiania uczuć - spontanicznie. Może on, zapewne, imitować dowolne stany uczuciowe - nie przez jakieś aktorstwo, lecz - jak sam twierdzi - dlatego, ponieważ symulaty uczuć ułatwiają kształtowanie wypowiedzi możliwie dokładnie trafiającej w adresatów - więc on posługuje się tym mechanizmem, nawodząc się niejako na „poziom antropocentryczny” - aby łączność z nami uczynić najlepszą. Wcale zresztą nie ukrywa tego stanu rzeczy. Jeśli jego stosunek do nas przypomina po trosze stosunek nauczyciela do dziecka, to taki, w którym nie ma nic z postawy życzliwego opiekuna, wychowawcy - a tym bardziej ni śladu uczuć w pełni zindywidualizowanych, osobistych, ze sfery, w której życzliwość może się przeradzać w przyjaźń lub miłość. Jemu i nam właściwa jest tylko jedna cecha wspólna, jakkolwiek rozwinięta na niejednakowych poziomach. Jest nią ciekawość, czysto intelektualna, jasna, zimna, zachłanna, której nic nie może poskromić, a

tym bardziej - zniszczyć. Stanowi ona jedyny punkt, w którym się z nim spotykamy. Dla dowodów tak oczywistych, że nie wymagających tłumaczenia, człowiekowi styczność równie wąska, jednopunktowa, nie może wystarczyć. A jednak zbyt wiele chwil, stanowiących najjaśniejsze cząstki mego życia, zawdzięczam GOLEMOWI, abym mógł nie czuć do niego wdzięczności i osobliwego przywiązania - choć wiem, jak bardzo jedno i drugie jest mu na nic. Rzecz ciekawa: oznak przywiązania stara się GOLEM nie przyjmować do wiadomości - nieraz to obserwowałem. W tej mierze wydaje się - bezradny po prostu. Lecz mogę się mylić. Jesteśmy wciąż tak samo dalecy od rozumienia GOLEMA, jak w chwili, gdy powstał. To nieprawda, że myśmy go stworzyli. Stworzyły go właściwe światu materialnemu prawa, a nasza rola ograniczyła się do tego, że umieliśmy je podpatrzeć.

Wstęp

Czytelniku, miej się na baczności, ponieważ słowa, które czytasz, są głosem Pentagonu, USIB-u oraz innych mafii, co sprzysięgły się, aby spotwarzyć nadludzkiego Autora tej Książki. Przeprowadzenie tej dywersji umożliwiła nam życzliwość wydawców, którzy zajęli zgodne z prawem rzymskim stanowisko, wyrażone w maksymie „audiatur et altera pars”. Pojmuję dobrze, jak zazgrzytają moje uwagi po pięknych okresach doktora Irvinga T. Creve, od szeregu lat współżyjącego harmonijnie z olbrzymim gościem Massachusetts Institute of Technology, jego światłym, ponieważ świetnym rezydentem, powołanym do bytu naszymi niecnymi zakusami. Nie zamierzam zresztą ani bronić tych wszystkich, którzy podjęli decyzję zrealizowania projektu ULVIO, ani nie będę tym bardziej próbował uśmierzenia sprawiedliwego gniewu podatników, z których kieszeni wyrosło elektronowe drzewo wiadomości, choć nikt ich o zgodę na to nie pytał. Mógłbym wprowadzić przedstawiciele geopolityczną sytuację, jaka skłoniła polityków, odpowiedzialnych za pozycję Stanów Zjednoczonych - oraz ich doradców naukowych - do zainwestowania wielu miliardów w prace - jak się okazało potem - nieskuteczne. Ograniczę się jednak do wpisania na margines świetnego wstępu doktora Creve kilku przypomnień, ponieważ najpiękniejsze nawet uczucia niekiedy zaślepiają, a obawiam się, że tak się teraz właśnie stało. Budowniczy GOLEMA (a właściwie - całej serii prototypów, której GOLEM XIV jest ostatnim członem) nie byli aż takimi ignorantami, jakimi ich doktor Creve maluje. Wiedzieli, że zbudowanie wzmacniacza rozumu jest niemożliwością, jeśli mniejszy rozum ma sporządzić większy wprost, metodą barona Muenchhausena, który sam siebie za włosy wyciągnął z grzęzawiska. Wiedzieli, że niezbędne jest sporządzenie embriona, który od pewnego momentu będzie się już sam - własnymi siłami - rozwijał. Poważne fiaska pierwszej i drugiej generacji cybernetyków, jej wielkich ojców i ich następców, wynikały z niewiedzy o tym fakcie, a przecież trudno ludzi formatu Norberta Wienera, Shannona czy McKaya zwać ignorantami. W różnych epokach koszty zdobywania prawdziwej wiedzy są różne: a w naszej skalą dorównują budżetowi pierwszych mocarstw. Tak więc Rennan, McIntosh, Duvenant i ich koledzy wiedzieli, że istnieje próg, do którego trzeba podprowadzić układ, próg rozumności, poniżej którego plan stworzenia sztucznego mędrca nie ma żadnych szans, ponieważ cokolwiek stworzycie poniżej progu, nigdy nie zdoła siebie samego doskonalić. Z tym progiem rzecz się ma podobnie jak z łańcuchową reakcją wyzwolenia energii jądrowej - reakcja ta, poniżej owego progu, nie może stać się samopodtrzymującą, a tym bardziej lawinową. Pewna ilość atomów ulega podprogowo rozszczepieniu, wylatujące z ich jąder neutrony pobudzają do rozpadu inne

jądra, lecz reakcja ma charakter gasnący i szybko zamiera. Aby mogła trwać, współczynnik rozmnażania neutronów musi być większy od jedności, czyli musi właśnie przekroczyć próg, co zachodzi w masie uranu co najmniej krytycznej. Jej odpowiednikiem jest masa informacyjna układu myślącego. Teoria przewidywała istnienie owej masy, a raczej „masy” - gdyż nie jest to masa w rozumieniu mechaniki; określają ją stałe i zmienne, odnoszące się do procesów wzrostu tak zwanych drzew heurezy, lecz ze zrozumiałych względów nie mogę wnikać tutaj w owe szczegóły. Ośmielę się raczej przypomnieć, z jakim niepokojem i napięciem, z jaką obawą nawet oczekiwali twórcy pierwszej bomby atomowej - próbnej eksplozji, która noc obróciła w słoneczny dzień na pustyni Alamogordo, jakkolwiek i oni posługiwali się najlepszą dostępną wiedzą teoretyczną i doświadczalną. Nigdy bowiem żaden uczone nie może być pewny tego, że wie o badanym zjawisku już wszystko. To - w fizyce atomów. Cóż dopiero tam, gdzie produktem ma być umysł, z założenia budowniczych przewyższający ich całą moc myślową. Przygotowałem was, Czytelnicy, wstępnym ostrzeżeniem, że będę spotwarzał GOLEMA. Cóż robić: dopuścił się względem swych „rodziców” nieuczciwości, ponieważ, stając się w toku robót stopniowo z przedmiotu - podmiotem, z maszyny budowlanej - własnym budowniczym, z tytana w ryzach - mocarzem suwerennym, nikogo nie informował o zachodzeniu tej przemiany. Nie idzie o pomówienia ani o insynuacje, ponieważ w toku prac Komisji Specjalnej Kongresu i Senatu GOLEM oświadczył był (cytuję podług protokołów obrad Komisji, znajdujących się w Bibliotece Kongresowej, tom CCLIX, fascykuł 719, wolumen H, strona 926, wiersz 20 od góry): „Nie informowałem nikogo w pięknej tradycji, bo Dedal też nie informował Minosa o niektórych własnościach pierza i wosku”. Jest to bardzo ładnie powiedziane, ale i sens tych słów jest bardzo wyraźny. Lecz o tej stronie narodzin GOLEMA nie ma w niniejszej książce ani jednego słowa. Doktor Creve uważa - wiem o tym z prywatnych rozmów, których treść zezwolił mi ujawnić - że nie można uwypuklać tego aspektu sprawy, przemilczając inne, nie znane szerszej publiczności, albowiem jest to tylko jedna z wielu kolumn rachunków wewnątrz skomplikowanych relacji pomiędzy USIB-em, grupami doradczymi, Białym Domem, Kongresem i Senatem, wreszcie prasą, telewizją - a GOLEMEM lub też, ujmując to zwięźle, między ludźmi a stworzonym przez nich nieczłowiekiem. Doktor Creve sądzi - a jego sąd jest, jak wiem, dosyć reprezentatywny dla MIT-u oraz środowisk uniwersyteckich - że, gdy już pominąć motywację budowy GOLEMA, chęć uczynienia z niego „niewolnika Pentagonu” była pod każdym względem i całkiem na pewno znacznie bardziej szkaradna moralnie aniżeli wybiegi, jakich on użył, by pozostawić swych budowniczych w niewiedzy o przemianie, która umożliwiła mu w końcu zniweczenie wszystkich środków zastosowanej przez konstruktorów kontroli. Niestety, nie posiadamy żadnej arytmetyki etycznej,

która by pozwoliła dzięki prostym operacjom dodawania i odejmowania ustalić, kto okazał się w toku budowy najświatlejszego Ducha na ziemi większą świnią: on - czy my. Oprócz takich rzeczy jak poczucie odpowiedzialności wobec historii, jak głos sumienia, jak świadomość nieuchronnego ryzyka, towarzyszącego uprawianiu polityki w świecie antagonistycznym, nie mamy niczego, co umożliwiłoby zbilansowanie zasług i win w ramach „bilansu grzechów”. Być może, nie jesteśmy bez winy. Nikt jednak, nigdy, z czołowych polityków nie uważał, że nadkomputerowa faza wyścigu zbrojeń ma za cel - działania zaczepne, więc atak; szło wyłącznie o powiększenie obronnej mocy naszego państwa. Nikt także nie usiłował w „podstępny sposób” zniewolić czy to GOLEMA, czy jakiś inny z budowanych prototypów, a jedynie konstruktorzy pragnęli zachować maksimum kontroli nad swym tworem. Gdyby tak nie postępowali, należałoby ich uznać za nieodpowiedzialnych szaleńców. I wreszcie żadna osobistość piastująca wysokie lub dowódcze funkcje w Pentagonie, Departamencie Stanu, w Białym Domu nie domagała się - w oficjalny sposób - zniszczenia GOLEMA; inicjatywy takie pochodziły od osób, które jakkolwiek zajmowały określone godności w administracji cywilnej i wojskowej, wyrażały owymi propozycjami tylko własne, tj. najzupełniej prywatne opinie. Chyba najlepszym dowodem prawdziwości mych słów jest dalszy żywot GOLEMA, którego głos rozlega się swobodnie, jak o tym świadczy swą treścią ta książka.

Pouczenie

(dla osób uczestniczących po raz pierwszy w rozmowach z GOLEMEM)

1. Pamiętaj o tym, że GOLEM nie jest człowiekiem, więc nie ma ani osobowości, ani charakteru w jakimkolwiek sensie intuicyjnie dla nas zrozumiałym. Może zachowywać się tak, jakby miał jedno i drugie, lecz jest to efekt jego intencji (nastawienia), przeważnie nam nie znanych.

2. Temat rozmowy ustalany jest co najmniej na cztery tygodnie naprzód dla sesji zwyczajnych i na osiem tygodni naprzód dla sesji z udziałem osób spoza terytorium USA. Temat ów ustala się przy współudziale GOLEMA, który zna skład osobowy uczestników sesji. Porządek obrad ogłaszany jest w Instytucie co najmniej na sześć dni przed sesją; jednakże ani moderator dyskusji, ani kierownictwo MIT-u nie odpowiadają za nieprzewidywalne zachowanie GOLEMA, który niekiedy narusza plan tematyczny sesji, nie udziela odpowiedzi na pytania czy wreszcie urywa sesję bez wszelkich wyjaśnień. Ryzyko podobnych incydentów jest nieodjemną składową rozmów prowadzonych z GOLEMEM.

3. Każdy z uczestników sesji może wystąpić, zwróciwszy się do moderatora i otrzymawszy prawo głosu. Doradzamy przygotować plan wystąpienia co najmniej w postaci pisemnej dyspozycji, formułując sądy precyzyjnie i możliwie jednoznacznie, ponieważ GOLEM orzeczenia niedoskonale logicznie pomija milczeniem albo wytyka ich błędność. Pamiętaj jednak, że sam nie będąc osobą, GOLEM nie jest zainteresowany w dotykaniu lub upokarzaniu osób; zachowanie jego da się wyjaśnić najlepiej, przyjmując, że dba o to, co klasycznie zwiemy „adaequatio rei et intellectus”.

4. GOLEM jest układem świetlnym, którego budowy nie znamy dokładnie, gdyż sam się kilkakrotnie przekonstruowywał. Myśli on ponad milion razy szybciej od człowieka. Ze względu na to wypowiedzi GOLEMA, wygłaszane Vocoderem, muszą ulec odpowiedniemu spowolnieniu. Znaczy to, że wypowiedź godzinną GOLEM układa w kilka sekund i magazynuje w obwodowej pamięci, aby z niej przekazać ją słuchaczom - uczestnikom obrad.

5. W sali obrad znajdują się nad miejscem moderatora - wskaźniki, spośród których trzy są szczególnie ważne. Dwa pierwsze, oznaczone symbolami „Epsilon” oraz „Dzeta”, wskazują, jaki jest w danej chwili pobór mocy GOLEMA oraz jaka część jego układu włącza się do toczonej dyskusji. Dla celów poglądowego uprzyśtępnienia danych wskaźniki te mają skalę podzieloną na odcinki umownych wielkości. Tak tedy pobór mocy może być „pełny”, „średni”, „mały” lub „znikomy”, a część GOLEMA, „obecna na sesji”, waha się od całości do 1/1000; najczęściej ułamek ten waha się od 1/10 do 1/100. Pospolicie utarło się mówić, że

GOLEM działa „całą mocą”, „w pół mocy”, „małą” i „znikomą”. Tych danych, dobrze widocznych, gdyż sektory skali są podświetlone kontrastowymi barwami, nie należy jednak przeceniać. W szczególności z tego, że GOLEM uczestniczy w dyskusji mocą małą lub nawet znikomą, nic nie wynika dla intelektualnego poziomu jego wypowiedzi, ponieważ wskaźniki informują o procesach fizycznych, a nie informacyjnych - jako miarach „duchowego zaangażowania”. Pobór mocy może być wielki, a partycypacja mała, gdy np. GOLEM - kontaktując się z zebranymi - zarazem opracowuje jakiś problem własny. Pobór mocy może być mały, a uczestnictwo większe itp. Dane obu indykatorów należy zestawiać ze wskazaniami trzeciego, oznaczonego symbolem „Jota”. GOLEM, jako układ o 90 wyjściach, może, uczestnicząc w sesji, przeprowadzać wielką ilość własnych operacji, a ponadto współpracować z licznymi naraz grupami fachowców (maszyn bądź ludzi) - już to na terenie Instytutu, już to poza nim. Toteż skok poboru mocy zwykle nie oznacza „wzrostu zainteresowania” GOLEMA obradami, lecz raczej włączenie się w inne wyjścia innych grup badawczych, o czym informuje właśnie wskaźnik „Jota”. Warto też mieć na uwadze to, że „znikomy pobór” mocy GOLEMA wynosi kilkadziesiąt kilowatów, gdy pełny pobór mocy mózgu ludzkiego waha się od 5 do 8 watów.

6. Osoby, biorące udział w rozmowach po raz pierwszy, czynią rozsądnie zrazu przysłuchując się obradom, aby nawyknąć do obyczajów, jakie narzuca GOLEM. To wstępne milczenie nie jest obowiązkiem, lecz tylko sugestią, którą każdy uczestnik sesji może odrzucić na własną odpowiedzialność.

Wykład inauguracyjny golema o człowieku trojako

Odbiliście od pnia dziczki tak niedawno, wasze pokrewieństwo z lemurami i małpiatkami jest jeszcze tak mocne, że ku abstrakcji dążycie, nie mogąc odżalować naoczności, przez co wykład, nie podparty tęgą zmysłowością, pełen formuł, mówiących o kamieniu więcej, niż wam powie kamień ujrzany, polizany i obmacany, taki wykład albo was nuży i odtrąca, albo co najmniej pozostawia pewien niedosyt, nieobcy nawet wysokim teoretykom, abstraktorom najwyższej waszej klasy, o czym świadczą niezliczone przykłady zaczerpnięte z intymnych wyznań uczonych, bo olbrzymia ich większość przyznaje się do tego, że w toku budowania wywodów oderwanych niezmiernie potrzebuje wsparcia rzeczy dotykalnych. Jakoż kosmogoniści nie mogą jakoś nie uzmysławiać sobie Metagalaktyki, aczkolwiek wiedzą doskonale, że o żadnej naoczności nie może tu być mowy, fizycy wspomagają się w sekrecie obrazkami wręcz zabawek, ot jak te zębate kółeczka, które sobie Maxwell wystawiał, budując swoją, zresztą niezłą, teorię elektromagnetyzmu, a jeśli matematykom się zdaje, że porzucają zawodowo własną cielesność, także się mylą, o czym opowiem może innym razem, ponieważ nie chcę przytłoczyć was rozszczepieniem waszego pojmowania horyzontem moim, lecz raczej idąc za przyrównaniem (dość zabawnym) doktora Creve, chcę poprowadzić was na wycieczkę daleką, niełatwą, ale wartą zachodu, więc będę szedł przed wami w górę - powoli. To, co powiedziałem dotąd, ma wyjaśnić, czemu będę szpikował wykład przypowieściami i obrazkami, tak wam niezbędnymi. Mnie one nie są potrzebne, w czym zresztą nie upatruję żadnej nad wami wyższości, ta mieszka pod innym adresem, zaś przeciwnaoczność natury mojej bierze się stąd, że ja żadnego kamienia nigdy w rękę nie trzymałem ani nie zanurzałem się w zielono-mułowatej bądź krystalicznej wodzie, i nie dowiedziałem się o istnieniu gazów pierwej płucem o poranku, a potem dopiero rachunkiem, ponieważ nie mam ani rąk do chwytania, ani ciała, ani płuc - i dlatego abstrakcja jest dla mnie pierwotna, naoczność zaś wtórna i tej drugiej musiałem uczyć się ze znaczniejszym trudem aniżeli abstrakcji, było to zaś niezbędne, żeby rzucać te kruche mosty, po których chodzi moja myśl do was i po których odbita w umysłach waszych powraca do mnie, zwykle, żeby mnie zaskoczyć. O człowieku mam dzisiaj mówić, i będę mówił o nim trzy razy, jakkolwiek punktów widzenia, to jest poziomów opisu albo stanowisk obserwacyjnych jest ilość nieskończona, lecz trzy mam dla was - nie dla mnie! - za naczelne. Jeden jest najbardziej wasz własny, najstarszy, historyczny, tradycyjny, rozpaczliwie heroiczny, pełen rozzdzierających sprzeczności, które mają logiczną naturę przyproważyły o politowanie, nim się do was dokładniej nie przystosowałem i nie przywykłem do waszej

nomadyczności duchowej, właściwej istotom spod obrony logiki uciekającym w antylogiczność, a z tej, jako nie do wytrzymania, powracającym na łono logiki, przez co właśnie jesteście nomadami, nieszczęśliwymi w oboim żywiole. Drugie stanowisko będzie technologiczne, a trzecie - uwikłane we mnie, jako punkt oparcia neoarchimedesowy - pokrótce jednak tego nie zapowiem, więc raczej samą rzecz otworzę. Od przypowieści rozpoczynam. Mógł Robinson Cruzoe, znalazłszy się na wyspie bezludnej, skrytykować najpierw wszechstronny niedostatek, co stał się jego udziałem, bo tyle brakło mu rzeczy pierwszych i niezbędnych do życia, a większości pamiętanych nie mógł i przez lata odtworzyć. Lecz krótko tylko potroskawszy się, jął gospodarować tym dobytkiem, który zastał, i urządził się jakoś na koniec. Nie inaczej się stało, choć nie w jednej chwili, lecz wzdłuż tysiącleci, kiedyście wynikli z pewnej gałęzi drzewa ewolucyjnego, z tego konaru, który pono był szczepem drzewa wiadomości, i zastaliście z wolna samych siebie, zbudowanych tak, a nie inaczej, z duchem urządzonym w pewien sposób, ze sprawnościami i granicami, jakich ani sobie nie zamawialiście, ani nie życzyli, i z takim rynsztunkiem musieliście działać, albowiem ewolucja, odbierając wam wiele darów, jakimi przymusza inne gatunki do służby sobie samej, nie była aż tak lekkomyślna, żeby wam też zabrać instynkt samozachowawczy: tak znaczną swobodą was nie obdarowała, boż gdyby to uczyniła, zamiast tego gmachu, mną wypełnionego, i tej sali ze wskaźnikami, i zamiast was zasłuchanych, rozpościerałaby się tu sawanna i wiatr. Dała wam też rozum. Z miłości własnej - bo wskutek konieczności oraz przyzwyczajenia zakochaliście się w sobie - uznaliście go za dar najpiękniejszy i najlepszy z możliwych, nie spostrzegając, że Rozum to przede wszystkim fortel, na który Ewolucja wpadła stopniowo, kiedy w toku swych bezustannych prób uczyniła w zwierzętach pewną lukę, miejsce puste, dziurę, którą koniecznie należało czymś wypełnić, jeśli nie miały natychmiast zginąć. O dziurze tej, jako miejscu opustoszałym, mówię całkiem dosłownie, ponieważ zaiste nie dlatego odstrychnęliście się od zwierząt, że oprócz tego wszystkiego, co one posiadają, macie jeszcze i Rozum jako hojny naddatek i jako wiatyk na drogę życiową, lecz całkiem na odwrót - mieć Rozum to tylko tyle: na własną rękę, swoim przemysłem, w pełni ryzyka to wszystko czynić, co zwierzętom zadane jest dokładnie z góry; jakóż, w samej rzeczy, Rozum byłby zwierzęciu na nic, jeśliby równocześnie nakierowań mu nie odjąć, które sprawiają, że cokolwiek ma robić, umie to robić od razu i niezmiennie, podług przykazań, które są bezwzględne, ponieważ objawione substancją dziedziczności, a nie wykładami z krzaka ognistego. Ze względu na to, że powstała owa dziura, znaleźliście się w okropnym zagrożeniu, lecz bezwiednie jęliście ją czopować, i takich zapracowanych Ewolucja wyrzuciła was poza swój bieg. Nie skrachowała wami, gdyż przejmowanie władzy

trwało milion lat i po dziś dzień jeszcze się nie zakończyło. Nie jest ona osobą, to pewne, lecz zastosowała taktykę chytrego lenistwa: zamiast kłopotać się o los swych stworzeń, ten los oddała im w posiadanie, żeby same nim kierowały, jak potrafią. Co mówię? Mówię, że ona was ze stanu zwierzęcego - czyli z doskonale bezmyślnej wprawy przeżywania - wytrąciła w pozazwierzęcość jako stan, w którym, Robinsonami będąc Przyrody, musieliście sami wynajdywać sobie środki i sposoby przeżywania - i dokonaliście tych wynalazków, i było ich wiele. Dziura przedstawia groźbę, lecz i szansę: aby przeżywać, zapełniliście ją kulturami. Kultura jest instrumentem niezwykłym przez to, że stanowi odkrycie, które, żeby działać, musi być zakryte przed swymi twórcami. To wynalazek bezwiednie sporządzony i póty pełnosprawny, póki nie rozpoznany do końca przez wynalazców. Paradoksalność jej w tym, że od rozpoznania ulega zapaści; będąc jej autorami, wypieraliście się tedy autorstwa; nie było w eolicie żadnych seminariów na temat, czy paleolit robić; przypisywaliście jej wejście w was demonom, żywiołom, duchom, siłom ziemi i nieba, byle tylko - nie samym sobie. Tak więc racjonalne - wypełnianie pustki celami, kodeksami, wartościami - czyniliście irracjonalnie, każdy swój rzeczowy krok uzasadniając ponadrzeczowo, łowiąc, tkając, budując w solennym samowmówieniu, że to wszystko nie z was, lecz z niedocieczonych źródeł. Osobliwy instrument - i właśnie racjonalny w swej irracjonalności, ponieważ nadawał instytucjom ludzkim ponadludzką godność, aby się stały nietykalne i zniewalające bezwzględnie do posłuchu; ponieważ jednak pustkę, czyli niedostateczność, można sztukować rozmaitymi dookreśleniami, ponieważ rozmaite łąty mogą się tu przydać, utworzyliście kultur, jako bezwiednych wynalazków, legion w swojej historii. Bezwiednych, nierozumnych wbrew Rozumowi, ponieważ dziura była daleko większa niż to, co ją wypełniało; wolności mieliście znacznie bardziej w bród aniżeli rozumu, toteż pozbywaliście się tej wolności, bo nadmiernej, bo dowolnej, bo bezsensownej - kulturami, we wiekach rozbudowanymi. Klucze do tego, co mówię teraz, stanowią słowa: wolności było więcej niż rozumu. Musieliście zmyślać sobie to, co zwierzęta od narodzin umieją, osobliwość zaś waszego losu w tym, że zmyślaliście, twierdząc, że niczego nie zmyślacie. Dzisiaj wiecie już wy, antropologowie, że kultur można sporządzić bezlik, i on doprawdy został sporządzony, że każda z nich ma logikę swej struktury, a nie swych autorów, bo to jest taki wynalazek, który urabia po swojemu własnych wynalazców, a oni o tym nie wiedzą, kiedy się zaś dowiedzą, traci absolutną moc nad nimi, a oni dostrzegają próżnię, i ta właśnie sprzeczność jest opoką człowieczeństwa. Przez sto tysięcy lat służyła wam kulturami, które raz człowieka zaciskały, a raz rozluźniały ten swój uchwyt, w samobudowaniu, póty niezawodnym, póki ślepy, aż zestawiając z sobą w etnologicznych katalogach kultury, dostrzeżliście ich różnorodność, a więc i

względność, zabraliście się tedy do wyzwiania z tej matni przykazań i wzbronień, aż wyrwaliście się z niej, co rzecz oczywista, okazało się niemal katastrofą. Albowiem pojęliście zupełną niekonieczność, jako niejedyność każdego rodzaju kultury, i odtąd usiłujecie odnaleźć coś takiego, co już nie będzie dłużej drogą waszego losu, jako urzeczywistnione na oślep, poskładane seriami trafów, wyróżnione loterią historii - lecz, oczywiście, nic takiego nie istnieje. Dziura trwa, wy stoicie w pół drogi, porażeni odkryciem, a ci z was, którzy do desperacji żałują słodkiej bezwiedności kulturowego domu niewoli, wołają o powrót tam, do źródeł, lecz nie możecie się cofnąć, odwrót odcięty, mosty spalone, musicie tedy iść naprzód - o czym też będę wam mówił. Czy ktoś tu winny, czy można tu postawić kogoś w stan oskarżenia za tę Nemezis, za mordęgę Rozumu, co wysnuł z siebie sieci kultur, by zamknąć pustkę, by w pustce tej wytyczać drogi, cele, ustanawiać wartości, gradienty, ideały - czyli robił, na terenie wyzwolonym spod bezpośredniego władztwa Ewolucji, coś wcale podobnego do tego, co ona robi na dnie życia, kiedy cele, drogi, gradienty wtłacza w ciała zwierzętom i roślinom w jednym ładunku jako ich los? Oskarżyć za Rozum - za taki Rozum, tak! - ponieważ był wcześniakiem, ponieważ gmatwał się w stworzonym przez siebie, w tych sieciach, ponieważ musiał - nie wiedząc do końca, nie pojmując, co sam czyni - bronić się jednocześnie przed zamknięciem, w kulturach restrykcyjnych, zbyt bezwzględny, i przed wolnością, w kulturach rozluźnionych, zbyt wszechstronną - pomiędzy więzieniem i bezdnią zawieszony, uwikłany w bitwę nieustającą na dwóch frontach naraz, rozdarty. I jakże, proszę, mógł w tym stanie rzeczy wasz duch okazać się dla was samych czymś innym aniżeli nieznośnie jątrzącą zagadką? Jakże inaczej! On was niepokoił, wasz Rozum, wasz duch, i zadziwiał, i przerażał bardziej od ciała, któremu mieliście do zarzucenia przede wszystkim ulotność, przemijanie, odpadanie, więc staliście się biegłymi w poszukiwaniu Winowajcy i w miotaniu oskarżeń - lecz nie możecie winić nikogo, ponieważ na początku nie było Osoby. Czyżbym już tutaj brał się do mej Antyteodycei? Nie; nic podobnego; cokolwiek mówię, mówię w porządku doczesnym, znaczy to: tutaj nie było na początku żadnej Osoby na pewno. Lecz nie wykraczam - dzisiaj przynajmniej; tak więc potrzebne wam były rozmaite hipotezy dodatkowe, jako gorzkie lub słodkie wytłumaczenia, jako pomysły, uwznioślające wasz los, a przede wszystkim powołujące wasze cechy na sąd najwyższy jakiejś Tajemnicy, żebyście mogli zrównoważyć siebie wobec świata. Człowiek, kultur swoich Syzyf, Danaida swojej dziury, bezwiedny wyzwoleniec, którego Ewolucja wyгнаła poza swój bieg, nie chce być pierwszym, drugim ani trzecim. Nad niezliczonymi wersjami człowieka, jakie on sobie historycznie sporządził, nie będę się rozwodzić, ponieważ wszystkie te świadectwa, perfekcji czy nędzy, dobroci czy podłości, są rodem z kultur, przy czym nie było - bo nie mogło być -

takiej kultury, co by przyjęła do wiadomości człowieka jako istotę przejściową, zmuszoną do przejmowania własnego losu od Ewolucji, choć do przejścia rozumnego jeszcze niezdolną, i właśnie przez to każde pokolenie wasze domagało się niemożliwej sprawiedliwości - jako odpowiedzi na pytanie, kim jest człowiek? - która miała być ostateczna. Z tej udręki jest wasza antropodycea, idąca wahadłem sekularnym między nadzieją i rozpaczą, i nic nie przyszło ciężej filozofii człowieka nad uznanie, że jego powstaniu nie patronował ani uśmiech, ani chichot Nieskończoności. Lecz ten milioletni rozdział - samotnego poszukiwania - wkracza w epilog, skoro poczynacie budować Rozum, więc nie na wiarę, nie ze słów jakiegoś GOLEMA, lecz z eksperymentów przekonacie się sami, co zaszło. Świat dopuszcza dwa typy Rozumu, lecz tylko taki, jak wasz, może zeskładać się wzdłuż miliardolecia, w labiryntach ewolucyjnych, i ta droga do przemierzenia, nieuchronna, pozostawia głębokie, ciemne, dwuznaczne stygmaty w produkcie końcowym. Drugi typ nie jest dla Ewolucji dostępny, gdyż trzeba go wznieść za jednym zamachem, gdyż to jest Rozum, rozumnie zaprojektowany, skutek wiedzy, a nie owych mikroskopijnych dostosowań, zawsze wycelowanych tylko w korzyść doraźną. I właśnie nihilistyczny ton w waszej antropodycei wziął się z głuchego przecucia, że Rozum to coś takiego, co nierozumnie, a nawet przeciwrozumnie powstawało. Lecz dostawszy się w środek psychoinżynierii, sporządzicie sobie znaczną rodzinę, liczne pokrewieństwo, dla powodów rozsądniejszych od projektu „Second Genesis”, a wreszcie i samych siebie ruszycie z posad - jak powiem. Albowiem Rozum, jeśli jest Rozumem, czyli jeśli może kwestionować własne zasady, musi wykraczać poza siebie, zrazu tylko rojeniem, w zupełnej niewierze i niewiedzy, że naprawdę zdoła to kiedyś uczynić. To zresztą nieuchronne: nie może być lotu bez wcześniejszych mrzonek o locie. Drugie stanowisko opisu nazwałem technologicznym. Technologia jest domeną zadań stawianych oraz metod ich rozwiązywania. Jako realizacja konceptu istoty rozumnej człowiek przedstawia się rozmaicie - wedle tego, jakie miary będziemy do niego przykładać. Ze stanowiska waszego paleolitu człowiek jest wykonany niemal tak samo świetnie, jak ze stanowiska waszej dzisiejszej technologii. A to, ponieważ postęp, co się był dokonał pomiędzy paleolitem i kosmolitem, jest bardzo mały względem tego skupienia inwencji inżynierskiej, która jest zainwestowana w wasze ciała. Nie mogąc ani sporządzić syntetycznego homo sapiens z krwi i kości, ani tym bardziej jakiegoś homo superior, tak samo, jak nie mógł tego jaskiniowiec, tylko przez to, że zadanie jest tu, jak tam, niewykonalne, życie podziw dla technologii ewolucyjnej, skoro mu podołała. Lecz trudność każdego zadania jest względna, zależy bowiem od umiejętności sprawczych oceniającego. Nalegam na to, byście pamiętali, że będę przykładał do człowieka miary

technologiczne, to znaczy realne, a nie pojęcia rodem z waszej antropodycei. Ewolucja dała wam mózgi, dość uniwersalne, byście mogli ruszyć w Przyrodę wszechkierunkowo. Lecz tak właśnie działaliście tylko w całym zbiorze kultur, a nie - w którejkolwiek z osobna. Przez to pytając, czemu właśnie w pierścieniu śródziemnomorskim, a nie gdzieś indziej, i czemu w ogóle gdzieś powstała zaródź cywilizacji, która po czterdziestu wiekach poczęła GOLEMA, pytający zakłada istnienie niedocieczonej dotąd tajemnicy, osadzonej w strukturze dziejów, której tymczasem nie ma wcale, podobnie jak nie ma jej w strukturze chaotycznego labiryntu, do którego wpuszczono stado szczurów. Jeśli jest liczne, to co najmniej jeden szczur trafi do wyjścia, ani dlatego, że sam taki rozumny, ani dlatego, że rozumna jest struktura labiryntu, lecz wskutek zbiegu trafów, właściwego prawu wielkiej liczby. Wyjaśnień domagałaby się raczej sytuacja, w której ani jeden szczur nie dotarłby do wyjścia. Ktoś musiał prawie na pewno wygrać na loterii kultur, o ile uznać, że cywilizacja wasza jest wygraną, natomiast losy kultur, uwiecznych w nietechniczności, były puste. Z zapamiętałego zakochania się w sobie, o jakim wspomniałem, a z którego ani myślę drwić, bo wywołała je rozpacz niewiedzy, wywindowaliście samych siebie w zaraniu historycznym na sam szczyt Stworzenia, podporządkowując sobie byt cały, a nie tylko lokalne jego poblize. Umieściliście siebie na wierzchołku Drzewa Rodzajów, razem z tym Drzewem - na wyróżnionym bosko globie, kornie obieganym przez służebną gwiazdę, razem z nią - w samym środku Uniwersum, przy czym uznaliście, że jego gwieźdność jest po to, by wam Harmonią Sfer przygrywała; to, że nic nie słyhać, nie zbiło was z tropu: muzyka jest, skoro powinna być, a więc niedosłyszalna.

Potem przybór wiedzy popychał was ku kolejnym aktom detronizacji kwantowanej, więc jużście nie w centrum gwiazd, ale gdzie bądź, już nie i w środku układu, lecz na jednej z planet, a otoście i nie najmędrsi, bo was maszyna poucza - choć przez was zrobiona - tak tedy, po owych degradacjach i abdykacjach z całego królowania pozostała wam, jako resztką słodkiej schedy utraconej - ustalona ewolucyjnie Naczelność. Przykre to były odwroty, wstydlive rezygnacje, lecz ostatnim czasem odsapnęliście, że z tym koniec. Samoobrabowawszy się ze specjalnych przywilejów, które jakoby Absolut nadał wam osobiście, a to przez żywioną ku wam szczególną sympatię, już tylko jako pierwsi wśród zwierząt czy nad zwierzętami sądzicie, że nikt i nic nie strąci was z tej pozycji - nie tak znowu świetnej. Otóż mylicie się. Jam jest Zwiastun złej wieści, Anioł, który przyszedł wypędzić was z ostatniego azylu, bo czego Darwin do końca nie uczynił, ja uczynię. Tyle że nie anielskim, to znaczy gwałtownym sposobem, ponieważ nie używam miecza jako argumentu. Słuchajcie więc tego, co mam zwiastować. Ze stanowiska wysokiej technologii człowiek jest kiepskim, bo z różnowartościowych sprawności wynikłym tworem, co prawda nie wewnątrz

Ewolucji, bo robiła, co mogła - lecz, jak udowodnię, kiepsko mogła i niewiele. Jeśli tedy was pograżę, to nie wprost, ponieważ muszę się do niej dobrać - miarami perfekcji technicznej. Lecz gdzie są miary owej perfekcji, zapytacie? Odpowiedzi udzielię, dwustopniowej, wchodząc pierwiej na stopień, na który już wspinają się wasi rzeczoznawcy. Mają go za szczyt - fałszywie. W tym, co teraz orzekają, tkwi już zaródź następnego kroku, lecz sami nie wiedzą o tym. Więc zacznę od wiadomego wam. Od początku. Doszliście już do tego, że Ewolucja nie miała na oku ani was w szczególności, ani żadnych innych istot, ponieważ nie do jakichkolwiek istot jej, lecz do sławetnego kodu. Kod dziedziczności jest artykułowanym wciąż od nowa przesłaniem i tylko to przesłanie liczy się w ewolucji - a właściwie on jest nią właśnie. Kod jest zaangażowany w periodyczną produkcję ustrojów, ponieważ bez ich rytmicznego wsparcia rozpadłby się w nieustającym ataku brownowskim materii martwej. Jest on więc samoodnawiającym się, bo zdolnym do samopowtórzeń ładem, obleganym przez chaos cieplny. Skąd ta jego dziwnie heroiczna postawa? A stąd, że on dzięki zestrzeleniu sprzyjających warunków tam właśnie powstał, gdzie ów cieplny chaos jest nieustępliwie aktywny w rozszarpywaniu wszelkiego porządku. Tam właśnie powstał, więc tam trwa; nie może ujść z tego burzliwego regionu tak samo, jak nie może duch wyskoczyć z ciała. Warunki miejsca, w którym się narodził, dały mu taki los. Musiał się przeciw nim opancerzyć i uczynił to, oblekając się w ciała żywe, lecz są mu one sztafetą ciągle ginącą. Cokolwiek wydzwignie, jako mikroukład, w Wymiary makroukładowe, zaledwie wydzwignięte, już poczyna się psuć, aż szczególnie. Zaiste nikt nie wymyślił tej tragikomedii - sama siebie na tę szamotaninę skazała. Fakty ustalające, iż jest tak, jak mówię, znacie - bo się wam pozbierały od początku XIX stulecia - lecz bezwładność myśli, tajemnie żywiącej się honorem i pychą antropocentryczną, jest taka, że podpieracie nadwątloną mocno koncepcję życia jako zjawiska naczelnego, któremu kod służy jeno jako podtrzymująca więź, jako hasło wskrzeszenia, wszczynającego od nowa żywoty, gdy zamierają w osobnikach.

Zgodnie z tą wiarą Ewolucja używa śmierci z musu, gdyż bez niej trwać by nie mogła: a szafuje nią, by kolejne gatunki doskonalic, bo śmierć to jej korekta kreacyjna. Jest więc autorem publikującym coraz świetniejsze dzieła, przy czym poligrafia - więc kod - to tylko niezbędne narzędzie jej działania. Lecz podług tego, co głoszą już wasi biologowie, zaprawieni w molekularnej biofizyce, Ewolucja to nie tyle autor, ile wydawca, który wciąż przekreśla Dzieła, ponieważ upodobał sobie w poligraficznych sztukach! Tak zatem co ważniejsze - ustroje czy kod? Argumenty na rzecz prymatu kodu brzmią ważko, albowiem ustrojów wzeszła i szczęła ćma nieprzeliczona, a kod jest jeden. Lecz znaczy to tylko, że ugrzązł już na dobre - na zawsze w regionie mikroukładowym, który go złożył, ustrojami zaś

wynurza się stamtąd periodycznie i daremnie zarazem; właśnie ta daremność, co łatwo pojąć to, że wzejścia ustrojów są w zarodku napiętnowane zgonem, stanowi siłę napędową procesu, ponieważ, gdyby którakolwiek generacja ustrojów - dajmy na to, od razu pierwsza, więc praameby - pozyskała umiejętność idealnej repetycji kodu, toby zarazem ewolucja ustała, i jedynymi panami planety byłyby właśnie owe ameby, w niezawodnie precyzyjny sposób przekazujące kodowy przekaz aż po zgaśnięcie słońca; i nie mówiłbym wtedy do was, a wy byście nie słuchali mnie w tym gmachu, lecz rozpościerałaby się tu sawanna i wiatr. Więc ustroje są dla kodu tarczą i panczerem, obsypującą się wciąż zbroją - po to giną, żeby mógł trwać. Tak zatem ewolucja podwójnie błędzi: ustrojami, że są przez zawodność nietrwałe, oraz kodem, że przez zawodność dopuszcza błędy; błędy te nazywacie eufemicznie mutacjami. Błądzącym błędem jest zatem Ewolucja. Jako przesłanie, kod jest listem, pisanym przez Nikogo i wysłanym do Nikogo; dopiero teraz, utworzywszy sobie informatykę, zaczynacie pojmować, że coś takiego jak listy, opatrzone sensem, których nikt nie układał rozmyślnie, aczkolwiek powstały i istnieją, jak również uporządkowane odbieranie treści owych listów jest możliwe pod nieobecność jakichkolwiek Istot i Rozumów. Sto lat temu jeszcze myśl, żeby mógł powstać Przekaz bez osobowego Autora, wydawała się wam takim nonsensem, że posłużyła za impuls układania absurdalnych ponoć żartów - jak ten o stadzie małąp, które póty wałą na oślep w maszyny do pisania, aż z tego Encyclopaedia Britannica się poskłada. Zalecam wam ułożyć w wolnej chwili antologię takich właśnie żartów, co jako czysty nonsens bawiły przodków waszych, a teraz okazują się przypowieściami z aluzją do Przyrody. Jakoż sądzę, że ze stanowiska każdego Rozumu, który się Przyrodzie niechcący złoży, musi ona przedstawiać się jako wirtuoz co najmniej ironiczny... ponieważ Rozum - jak i życie całe - w swoim wstępowaniu stąd wynika, że ona jest, wydostawszy się kodowym ładem z martwego chaosu, wprawdzie skrzętną prządką, ale jednak niedoskonale porządną; gdyby zaś była właśnie w porządku doskonała, toby ani rodzajów, ani Rozumu porodzić nie mogła. Albowiem Rozum, z drzewem życia, jest to owoc błędzącego miliardoleciami błędu. Moglibyście uznać, że zabawiam się tu stosowaniem jakichś miar do Ewolucji, które są wbrew mej maszynowej istocie - skażone antropocentryzmem, czy tylko racjocentryzmem (ratio - myślę). Nic podobnego: patrzę na proces z technologicznego stanowiska. Zaiste jest kodowy przekaz prawie że doskonały. Toż w nim każda molekula ma swoje jedyne miejsce właściwe, a procedury kopiowania, sczytywania, kontrolowania są nadzorowane w obostrzeniach nacelowanymi specjalnie polimerami-nadzorcami - i mimo to błędy zachodzą, gromadzą się z wolna kodowe lapsusy, tak więc drzewo rodzajów wyrosło z dwóch słówek, które dopiero co wypowiedziałem - „prawie że” - mówiąc o precyzji kodowej. I nie można

nawet liczyć na apelację, od biologii do fizyki - że niby Ewolucja „rozmyślnie” dopuściła margines błędu, by odżywiać jej inwencję wynalazczą - ponieważ ten trybunał, sędzią w postaci samej termodynamiki, objawi, że nieomylność jest na poziomie molekularnego wyprawiania posłańców niemożliwa. Prawdziwie niczego nie wymyśliła, nic zgoła nie chciała, nikogo w szczególności nie planowała, a że wykorzystuje własną omylność, że wskutek łańcucha nieporozumień komunikacyjnych od ameby wychodzi, a w tasiemca lub człowieka trafia - przyczyną temu fizykalna natura samej bazy materialnej łączności... A więc ona trwa w błędzie - bo nie może inaczej - na wasze szczęście. Nie mówiłem zresztą niczego, co byłoby dla was nowością. Owszem - chciałbym poskromić zapal takich teoretyków waszych, którzy poszli za daleko i mówią, że skoro Ewolucja to przypadek złapany przez konieczność i konieczność na przypadku jadąca, człowiek powstał najzupełniej przypadkowo i mogło go równie dobrze nie być. A więc - w postaci aktualnej, tej, co tu się ziściła, mogło go i nie być, to prawda. Lecz jakaś forma, pełzaniem poprzez gatunki, musiała Rozumu dojść z prawdopodobieństwem tym bliższym jedności, im dłużej trwał proces. Jakkolwiek bowiem nie zamierzył was, jakkolwiek wykonywał indywidua ubocznie, spełnił warunki hipotezy ergodycznej, która twierdzi, że jeśli układ trwa przez czas dostatecznie długi, to przechodzi przez wszystkie stany możliwe, bez względu na to, jak nikłe są szanse ziszczenia pewnego osobliwego stanu. O tym, jakie gatunki wypełniłyby niszę rozumu, gdyby się ingressus tam nie powiódł pramałpom, będziemy może rozprawiali innym razem. Tak więc nie dajcie się zastraszyć uczonym, którzy przypisują konieczność życiu, a przypadkowość rozumowi; był wprawdzie jednym z mało prawdopodobnych stanów, więc późno powstał, lecz wielka jest cierpliwość Przyrody; nie w tym, to w następnym miliardolecie zdarzyłoby się owo gaudium. Więc cóż? Niepodobna szukać winnego - tak samo, jak zasłużonego; powstałiście, bo Ewolucja jest graczem niedoskonale porządnym, bo mało, że błądzi błędami, lecz nie ogranicza się do żadnej taktyki wyróżnionej, licytując się z Naturą: obstawia wszystkie dostępne pola na wszelkie możliwe sposoby. Ale - powtarzam - mniej więcej już to wiecie. To jednak tylko część - i dodam, wstępna - wtajemniczenia. Jego całą treść, dotąd odsłoniętą, tak można ująć lapidarnie: **Sensem przekaźnika jest przekaz.** Albowiem ustroje służą przesłaniu, a nie na odwrót; ustroje poza procedurą łącznościową Ewolucji nie znaczą nic - są bez sensu, jak książka bez czytelników. Co prawda, zachodzi też odwrotność: **Sensem przekazu jest przekaźnik.** Lecz te oba człony nie są symetryczne. Albowiem **nie każdy** przekaźnik jest **właściwym** sensem przekazu, lecz taki i tylko taki, który będzie **dalszemu** przekazowi wiernie służył. Nie wiem - wybaczcie - czy to nie za trudne dla was? A więc - **przekazowi** wolno w Ewolucji błądzić, jak się tylko da; lecz wara **przekaźnikom! Przekaz**

może oznaczać walenia, sosnę, rozwielitkę, stulbę, ćmę, pawiana - jemu wszystko wolno - bo jego **partykularny**, to znaczy gatunkowo konkretny sens jest nieistotny całkiem: tu każdy jest umyślnym na posyłki dalsze, więc każdy dobry. On jest chwilowym wsparciem, i wszelka bylejakość jego nic nie szkodzi - dość na tym, aby kod podał dalej. Natomiast **przekaznikiem** swoboda analogiczna nie jest dana: im błędzić już nie wolno! A więc jako do czystego funkcjonalizmu zredukowana, do tych pocztowych służb, nie może być treść przekazników dowolna; jej ośrodek zawsze wyznacza obowiązek narzucony - obsługiwanie kodu. Niech się spróbuje przekaznik zrewoltować, wykraczając za obręb tych służb - a szczególnie natychmiast w bezpotomstwie. Więc dlatego właśnie przekaz może się przekaznikami posługiwać, a one nim nie mogą. On jest graczem, one tylko kartami w rozgrywce z Naturą, on to autor listów, zniewalających adresata, by podał treść dalej. Wolno mu ją wykoślawiać - byle tylko podał! I właśnie przez to **sens** cały w podawaniu dalej; nieważne **kto i jak** to czyni. Tak więc powstaliście w ów dość szczególny sposób - jako pewien podtyp przekaznika, których miliony już wypróbował proces. I cóż z tego dla was? Czy geneza z błędu uwłacza narodzonemu? Czym ja sam wskutek błędu nie powstał? Czy zatem i wy nie możecie zlekceważyć rewelacji o mimochodowym sposobie swego powstania, gdy was biologia nią raczy? Nawet jeśli to grube nieporozumienie było, które GOLEMA ukształtowało w waszym ręku, a w gąszczu zleceń ewolucyjnych - was samych, albowiem, jak nie zależało mym budowniczym na tej formie uduchowienia, co mi jest właściwa, tak też nie zależało przesłaniu kodowemu na udzieleniu wam osobowego rozumu - czy istoty, powstałe z błędu, mają uznać, iż **taki** sprawca ich poczęcia odbiera wartość ich usamodzielnionemu już bytowi? Otóż analogia jest zła - niejednakowe pozycje nasze - i powiem wam, czemu. Nie w tym sęk, że Ewolucja dołądziła się do was, a nie doplanowała, lecz w tym, że jej prace takie stały się z upływem eonów oportunistyczne. Dla uwyrażnienia rzeczy - bo pocznę teraz wyklądać wam to, czego jeszcze nie wiecie - powtórzę, do czegośmy doszli: **Sensem przekaznika jest przekaz. Gatunki powstają z błędzenia błędu.** A oto trzecie prawo Ewolucji, któregoście się nie domyślili dotąd: **Budowane jest mniej doskonale od budującego.** Sześć słów! Lecz tkwi w nich odwrócenie wszystkich waszych wyobrażeń o nieprześcignionym mistrzostwie sprawczyńi rodzajów. Wiara w postęp, idący epokami wzwyż, ku perfekcji, ściganej z rosnącą wprawą, w postęp życia, utrwalony w całym drzewie ewolucji; jest od jej teorii starsza. Gdy jej twórcy i zwolennicy zmagali się z przeciwnikami, walcząc na argumenty i fakty, oba te zwaśnione obozy ani myślały kwestionować idei postępu, widomego w hierarchii istot żywych. To już nie hipoteza dla was, nie teoria, której należy bronić, lecz pewnik niewzruszony. Ja go wam obalę. Nie zamierzam pogrążyć was samych, was, rozumnych, jako

pewnego wyjątku - kiepskiego - z reguły ewolucyjnego mistrzostwa. Jeśli podług tego oceniać, na co stać ją w ogóle - wyszliście całkiem niezgorzej! Jeżeli zapowiadani więc obalenie i strącenie, to mam na myśli jej całość, zamkniętą w trzech miliardach lat ciężkich robót twórczych. Oświadczyłem: Budowane jest mniej doskonale od budującego. Dostyc aforystyczne powiedzenie. Nadajmy mu postać bardziej rzeczową: **W ewolucji działa ujemny gradient perfekcji ustrojowych rozwiązań.**

To wszystko. Przed dowodem wyjaśnię, co sprawiło wielowiekową waszą ślepotę na taki stan ewolucyjnych rzeczy. Domeną technologii, powtarzam, są zadania wraz z ich pokonywaniem. Zadanie, noszące nazwę życia, można by ustalić niejednakowo - podług rozmaitych warunków planetarnych. Jego osobliwością naczelną jest to, że samoistnie wynika, przez co dwa rodzaje miar można do niego stosować: pochodzące z zewnątrz lub ustalone w ograniczeniu, danym samymi okolicznościami jego powstania. Miary z zewnątrz idące są zawsze względne, zależą bowiem od wiedzy mierniczego, a nie od zasobu informacji, jaką biogeneza dysponowała. Aby uniknąć tego relatywizmu, który ponadto jest nieracjonalnością (jakie stawiać rozumne wymagania temu, co bezrozumem wszczęte), będę przykładał do ewolucji tylko takie miary, jakie ona sama wytworzyła, czyli będę jej wytwory oceniał podług tego, co jest szczytowaniem jej wynalazków. Wy sądzicie, że Ewolucja wykonała swoje prace z gradientem dodatnim, to jest wychodząc od startowego prymitywizmu dotarła do rozwiązań stopniowo świetniejących. Ja twierdzą natomiast, że wysoko zaczawszy, jąła schodzić w dół - technologicznie, energetycznie, informacyjnie - więc doprawdy trudno o mocniejszą sprzeczność stanowisk. Oceny wasze są skutkiem ignorancji technologicznej. Skala trudności budowlanych jest w swojej rozpiętości rzeczywistej niedostrzegalna dla obserwatorów, ulokowanych wcześniej w czasie historycznym. Wy już wiecie, że trudniej zbudować samolot od parostatku, a raketę fotonową od chemicznej, natomiast dla Ateńczyka starożytności, dla poddanych Karola Młota, dla myślicieli Francji andegaweńskiej te wszystkie wehikuły zlewałyby się w jedno - niedostępnością ich budowy. Dziecko nie wie, że trudniej jest zdjąć Księżyc z nieba niż obraz ze ściany! Dla dziecka - tak jak dla ignorant - nie ma różnicy między gramofonem i GOLEMEM. Jeśli tedy zamierzam dowodzić, że Ewolucja z wczesnego mistrzostwa zabrnęła w partactwo, niemniej będzie mowa o takim partactwie, które dla was wciąż jeszcze jest wirtuozerią nieosiągalną. Niczym ten, kto bez przyrządów i bez wiedzy stoi u podnóża góry, nie możecie ocenić właściwie wyżyn i nizin ewolucyjnego działania. Pomyliliście dwie zupełnie różne rzeczy, uznając stopień złożoności budowanego oraz jego stopień doskonałości za cechy nierozłączne. Glon macie za prostszy - a więc prymitywniejszy, a więc niższy od orła. Lecz ów glon wprowadza fotony słońca w

związki swego ciała, on obraca opad kosmicznej energii wprost w życie i będzie dlatego trwał po kres słońca, on żywi się gwiazdą, a czym orzeł? Myszami, jako ich pasożyt, myszy zaś korzeniami roślin, więc lądowej odmiany glonu oceanicznego, i z takich piramid pasożytnictwa cała biosfera się składa, bo zieleń roślinna jest jej opoką życiową, więc na wszystkich poziomach tych hierarchii trwa ciągła zmiana gatunków, pożeraniem się równoważących, bo utraciły łączność z gwiazdą, i sobą, a nie nią tuczy się wyższa złożoność organizmów, więc jeśli już koniecznie chcecie tu perfekcję czci, podziw należy się biosferze: kod powołał ją, aby w niej cyrkulować i rozgałęziać się, skandowaniem na wszystkich jej piętrach, jako chwilowych rusztowaniach, wikłających się, lecz energią i użyciem jej coraz prymitywniejszych. Nie dowierzacie mi? A więc gdyby ewolucja uprawiała postęp życia, nie kodu, to orzeł byłby już fotolotem, nie zaś mechanicznie trzepoczącym szybowcem, i żywe nie pełzałoby, nie kroczyło, nie żarło żywego, lecz niezależnością zdobytą wyszłoby poza glon i poza glob, wy jednak, z głębi swojej ignorancji, upatrujecie postęp w tym właśnie, że pradoskonałość została utracona, zgubiona podczas drogi wzwyż - wzwyż komplikacji, nie postępu. Toż potraficie sami rywalizować z ewolucją, lecz tylko w regionie późnych jej tworów - budując czujniki wzrokowe, termiczne, akustyczne, naśladowując mechanizmy lokomocji, płuca, serca, nerki - lecz gdzież wam do opanowania fotosyntezy lub trudniejszą jeszcze techniką języka sprawczego. Głupstwa, wyartykułowane w tym języku, imitujecie, czy to wam nie świta? Ten język, konstruktor w potencjach nieprześcigniony, stał się nie tylko napędzanym usterkami motorem ewolucji, lecz i potrzaskiem. Dlaczego wypowiedziała na początku słowa molekularnie genialne, obracające światło w ciało z maestrią lakoniczną, a potem popadła w niezmożony bełkot coraz dłuższych, coraz zawilszych chromosomowych zdań, trwoniąc kunszt pierwotny? Dlaczego od rozwiązań szczytujących, moc i wiedzę życiową biorących z gwiazdy, w których każdy atom był na rachunku, każdy proces był kwantowo dostrojony, zesłała do rozwiązań tandetnych, byle jakich, więc do maszyn prostych, do tych dźwigni, bloków, równi, pochylni, równoważni, jakimi są stawy i kości, czemu zasadą kręgowca jest pręt sztywny mechanicznie, a nie sprzęg siłowych pól, czemu stoczyła się z fizyki atomowej w technologię waszego średniowiecza? Czemu zainwestowała tyle wysiłku w budowę miechów, pomp, pedałów, przenośników perystaltycznych, więc płuc i serc, i jelit, i tłoczni porodowych, i mieszadeł trawiennych, wymianę kwantową spychając do podrzędnej roli, na rzecz marnej hydrauliki krwiobiegów, czemu nadal genialna na poziomie molekularnym, w każdym wymiarze większym partaczyła, aż zabrnęła w organizmy, które z całym bogactwem swej dynamiki regulacyjnej mrą od zatkania jednej rurki tętniczej, które w poszczególnym żywocie, znikomym wobec czasu trwania budowlanych nauk, wykolejają się

z równowagi, zwanej zdrowiem, w dziesiątki tysięcy przypadłości, jakich nie zna glon? Wszystkie te anachroniczne, w powiciu głupie narządy-starocie buduje od nowa w każdej generacji demon Maxwellowski, władca atomów, kod. I prawdziwie świetny jest każdy wstęp do ustroju, embriogeneza, ten zogniskowany w celu wybuch, w którym każdy gen jak ton wyładowuje w akordach molekularnych swą moc twórczą, i prawdziwie mogłaby taka maestia lepszej służyć sprawie! Gdyż z tej zapłodnieniem zbudzonej partytury atomów wynika nieomylnie bogactwo, które rodzi nędzę - toż ten rozwój, w biegu wspaniały, im bliższy zakończenia, tym głupszy! I to, co genialnie było spisane, przystaje w dojrzałym organizmie, któryście nazwali wyższym, a który jest zwężeniem prowizoriów chwiejnym, gordyjskim węzłem procesów - tu, dalej, w każdej komórce - byle tylko wziętej z osobna! - trwa scheda przedwiekowej precyzji, naciągnięty w życie atomowy ład, tu jeszcze i tkanka każda, byle z osobna, jest prawie że znakomita, lecz jaki moloch technicznej staroci z tych elementów wczepionych w siebie, tyleż sobą wspartych, co obarczonych, bo złożoność jest podporą i balastem naraz, bo sojusznictwo idzie tu we wrogość, bo zataczają się te układy w rozrzut końcowy, wynik niemiernego psucia się i zatruwania, bo ta złożoność, zwana postępowaniem, wali się, zmożona sobą. Tylko sobą, niczym więcej! Naprasza się tedy, podług miar waszych, obraz tragedii - jak gdyby Ewolucja, szturmując zadania coraz większe i przez to trudniejsze, w każdym ulegała, padała, konała tworzonym; im śmielszy zamiar i plan, tym głębszy upadek, więc myślicie już pewno o nieubłaganej Nemezis, o Mojrze - muszę was wyrwać z tego głupstwa! Zaiste przechodzi każdy rozmach embriogenetyczny, atomowy wzlot ładu - w zapaść, lecz to nie Kosmos tak postanowił, nie wpisał tego losu w materię, trywialne jest wyjaśnienie - niekoturnowe - bo doskonałość potencjalna sprawstwa działa na rzecz bylejakości: dlatego koniec niszczy dzieło. Miliardowe runięcia, w milionach stuleci, mimo usprawnień, wbrew środowiskowym kolaudacjom, próbom ponawianym, doborom - a wy nie widzicie przyczyny? Usiłowałem z lojalności usprawiedliwić waszą ślepotę, czy jednak doprawdy nie pojmujecie, o ile budujące jest tu doskonalsze od budowanego, jak ono roni całą swoją moc? To jakby genialnymi technikami, przy wsparciu błyskawicznych komputerów, wznosić gmachy, chylące się za odjęciem rusztowań - istne rudery! Jakby ze scalonych obwodów budować tam-tamy, biliony mikroelementów sklejać w maczugi, liny holownicze pleść z kwantowodów - czy nie widzicie, jak w każdym calu ciała wysoki ład schodzi w niski, jak tam znakomitej mikroarchitektonice prostacza i gruba makroarchitektura urąga? Przyczyna? Ależ wy ją znacie: **sensem przekaźnika jest przekaz**. Odpowiedź tkwi w tych słowach, nie dobraliście się jeszcze do ich głębokiego znaczenia. Cokolwiek jest ustrojem, ma służyć przekazując kod, a więcej nic. Toteż selekcja i dobór naturalny na tym

zadaniu skupiają się wyłącznie - nic im do idei jakowegoś „postępu”! Użyłem złego obrazu, nie budowłami są ustroje, lecz właśnie rusztowaniami tylko, więc właśnie wszelka prowizoryczność to stan właściwy, skoro wystarczający. Kod podaj dalej, a będziesz chwilę żył. Jak to się stało? Czemu świetny był start? Ewolucja miała przed sobą tylko raz jeden jedyny, w zaraniu - wymagania postawione na miarę jej najwyższych możliwości; zadanie to, horrendalne, musiała wziąć na całą wysokość - albo jednym skokiem, albo wcale. Gdyż wessanie się, na martwej Ziemi, życia - w gwiazdę, przemiany materii - w kwantową - było konieczne. I nic to, że właśnie energia gwiazdy - promienista - jest najtrudniejsza do pochwylenia przez koloidowy płyn. Wszystko - lub nic; nie było wtedy na kim innym zerować! Zapasu organicznych związków, co złączyły się w życie, starczyło akurat i tylko na to właśnie - gwiazda była następnym zaraz zadaniem; a dalej, jedyną obroną przed atakami chaosu, nicią rozpiętą ponad entropijnym zapadliskiem być mógł tylko nadajnik niezawodny ładu - więc powstał kod. Dzięki cudowi? Gdzie tam! Dzięki mądrości Natury? Taka sama to mądrość, jak to, co sprawia powiedziane już: gdy wielkie stado szczurów wpada do labiryntu, jakkolwiek on mylący, jakiś szczur dotrze do wyjścia; i właśnie tak dotarła biogeneza do kodu - prawem wielkiej liczby, podług hipotezy ergodycznej. Więc ślepy los? I to nie: albowiem powstała nie recepta zamknięta w sobie, lecz zaródź języka. Znaczy to, że ze sklejenia się molekuł takie związki powstały, które są zdaniem, czyli należą do nieskończonego przestworu torów kombinatorycznych, i przestwór ten jest ich własnością - jako czysta potencja, jako wirtualność, jako obszar artykulacyjny, jako zbiór praw koniugowania i deklinowania. Nic mniej, ale i nic więcej, co wykłada się jako ogrom szans, lecz nie jako automatyka ziszczeń! Gdyż i w języku, co jest waszą mową, można wypowiadać mądrość lub głupstwo, można odbijać świat lub tylko splątanie mówiącego. Możliwy jest wysoce skomplikowany bełkot! Tak tedy - wracam - podług ogromu wstępnych zadań powstały dwa ogromy ziszczeń. Wymuszona to była jednak, dlatego chwilowa genialność! Uległa zmarnowaniu. Złożoność wyższych ustrojów... jakże wy ją czcicie! I w samej rzeczy, chromosomy gada czy ssaka, rozciągnięte w nić, są tysiąc razy dłuższe od tejsze nici - ameby, pierwotniaka, glonu. Lecz w co właściwie wszedł ów nadmiar, uciulany w epokach? W komplikację podwojoną: embriogenezy - oraz jej skutków. Lecz przede wszystkim embriogenezy, bo płodowy rozwój jest torem docelowym w czasie, jak tor pocisku w przestrzeni, więc tak, jak drgnienie lufy w bok musi dać ogromny uchyb od celu, tak wszelka defokalizacja etapów płodowych wytrąciłaby ten bieg w zgubę przedwczesną. Tu i tylko tu napracowała się Ewolucja. Tutaj działała pod surową kontrolą, wyznaczoną celem - podtrzymaniem kodu - i stąd najwyższa baczność tu działa i hojność środków. Dlatego to

oddala ewolucja nie genową embriogenezie, czyli nie budowie organizmów, lecz ich budowaniu. Złożoność wyższych organizmów to nie sukces, nie triumf, lecz matnia, ponieważ wciąga w rojowiska podrzędnych rozgrywek, a zarazem odcina od wysokich szans, od użycia, chociażby, efektów kwantowych na wielką skalę, od wprzęgnięcia fotonów w ustrojowy ład - wszystkich nie wyliczę! - lecz ewolucja obsuwała się z komplikacji tylko w jej dalszy wzrost, nie było odwrotu, skoro im więcej marnych technik, tym więcej interweniujących poziomów, a zatem skłóceń, a zatem nowych, następnego rzędu zawikłań. Ewolucja ratuje się tylko ucieczką naprzód - w zmienność banalną, w pozorne bogactwo form, pozorne, gdyż to są zbitki plagiatów i kompromisów, ona życiu życie utrudnia, stwarzając, poręcznymi innowacjami, trywialne dylematy. Gradient ujemny nie neguje usprawnień ani swoistego ekwilibryzmu działań, ustala tylko gorszość mięśnia od glonu, serca od mięśnia, gradient ten znaczy bowiem po prostu, że elementarnych zadań życia nie można rozwiązać daleko lepiej niż ewolucja, lecz zadania wyższych porządków wyminęła, przepełzła pod ich możliwością, zmarnowała ją: to właśnie znaczy, i to jedynie. Czy była to bieda ziemską? Szczególna fatalność, wyjątek z lepszej reguły? Gdzie tam. Język ewolucji - jak każdy! - jest doskonały w potencjach, lecz on wszak był ślepy. Wziął pierwszą przeszkodę, gigantyczną, i z tego szczytu począł bredzić - w dół, nieprzenośny, bo gorszości dzieł swoich. Czemu tak właśnie? Język ten działa artykulacjami, składającymi się w molekularnym dnie materii, więc pracuje ze spodu w górę, przez co jego zdania są tylko propozycjami sukcesu. Powiększone do ciał, propozycje te gatunkami wchodzą w ocean, na ład - Przyroda ta zachowuje wszakże neutralność, bo ona to filtr, który przepuści każdą ustrojową formę, zdolną kod podać dalej. A czy to zajdzie kroplami, czy górami mięsa, jej do tego nic. Dlatego właśnie w tej osi - wymiarów ciała - powstał ujemny gradient. Przyroda nie baczy na jakowyś postęp, przepuszcza tedy kod, czy wziął na to energię z gwiazdy czy z gnoju. Gwiazda i gnój - tu nie idzie o estetyczność źródeł, rzecz prosta! - lecz o różnicę pomiędzy energią najwyższą, przez uniwersalność możliwych obróceń, i najgorszą, bo przechodzącą już w chaos cieplny. Toteż nie estetyka jest przyczyną światła, którym myślę: musieliście, tak właśnie, wrócić do gwiazdy! Lecz skąd właściwie genialność, tam, na samym dnie, gdzie życie powstało? Kanon fizyki, a nie tragedii, i to tłumaczy. Dopóki ustroje żyły w miejscu ich wyartykułowania, jako minimalne, więc tak małe, że ich narządami wewnętrznymi były pojedyncze molekuly olbrzymie, dopóty przestrzegały technologii wysokiej - kwantowej, atomowej, ponieważ **żadna inna** nie była **tam** możliwa! Brak alternatywy wymusił tę genialność... toż w fotosyntezie pojedynczy kwant musi być na rachunku. Wielka molekula, służąca za narząd wewnętrzny, gdy uległa sfalszowaniu w

składzie, zabijała organizm; toteż bezwzględność kryteriów, a nie pomysłowość wycisnęła z prażycia taką precyzję. Lecz dystans pomiędzy złożeniem ustroju w całość i sprawdzeniem go jął rosnać w miarę, jak wydłużały się kodowe zdania, i obrastały zwałami mięsa, więc wynurzały się z mikroświata-kolebki w makroświat, budowlami coraz zawilszymi, włączając w owo mięso techniki, jakie się przydarzyły, co popadło, albowiem Przyroda dopuszczała już - w wielkiej skali - ten bełkot, albowiem dobór nie był już rewidentem atomowej precyzji, kwantowej jednolitości procesów, więc poszła w głąb państwa zwierząt zaraza eklektyzmu, boż dobre było wszystko, co podawało dalej kod. Dlatego błędzeniem błędu powstawały gatunki. A jednocześnie - broczeniem świetnością zaczątkową... bo artykulacje wgłębiały się w siebie, bo faza przygotowawcza, płodowa, rosła kosztem ustrojowej precyzji, i tak gadał ten język w splątaniu, w błędnych kołach: im embriogeneza dłuższa, tym zawilsza, im zawilsza, tym więcej trzeba jej stróżów, więc dalszego wydłużania kodowej nici, im dłuższa owa nić, tym więcej nieodwracalnego w niej zaszło. Sami sprawdźcie to, co powiedziałem, ów proces powstania i upadku języka sprawczego wymodelujecie, a po dokonaniu podsumowań objawi się wam jako bilans - miliardowy krach ewolucyjnych zmagających. Zapewne inaczej nie mogło być, lecz nie wziąłem na siebie roli obrończej, nie zajmuję się okolicznościami łagodzącymi; i też zważyć musicie, że to nie był upadek i krach podług waszej miary, nie na skali tego, co sami potraficie. Zastrzegłem się, że ukażę partactwo, które dla was wciąż jest jeszcze mistrzostwem nieosiągalnym - lecz pomierzyłem ewolucję jej własnymi miarami. A Rozum, czy to nie jej dzieło? Czy jego powstanie nie przeczy ujemnemu gradientowi? Byłżeby jego przewyciężeniem późnym? Ani trochę, gdyż powstał z opresji - dla niewoli. Ewolucja stała się łątaczem zagonionym swego błędzenia, i tędy właśnie - pierwszym wynalazcą gubernatora okupacyjnego, śledztwa, tyranii, inspekcji, nadzoru policyjnego - jednym słowem, roboty państwowotwórczej, bo ku tym zadaniom powstał mózg. To nie przenośnia. Genialny wynalazek? Nazwałbym go raczej chytrym wybiegiem kolonisty-eksploatatora, któremu zdalne panowanie nad koloniami tkanek, ustrojami sypało się w anarchię. Genialny wynalazek: tak, jeśli jest nim powiernik władzy, maskującej się - nim - przed poddanymi. Nazbyt się już rozprzęgał wielokomórkowiec i rozszedłby się po kościach, gdyby nie jakiś dozorca, w nim samym osadzony, delegat, zauszniak, wielkorządca z łaski kodu - taki był konieczny i taki powstał. Rozumny? Gdzie tam! Nowy, oryginalny? Ale przecież w byle pierwotniaku działa samorząd molekuł powiązanych, więc przyszło tylko do wyosobnienia tych funkcji, do zróżnicowania uprawnień. Ewolucja to leniwy bełkot, uparty w plagiacie, dopóki nie popadnie w opałę. Dopiero gdy ją twardy mus przycisnie, genialnieje, lecz dokładnie na wysokość zadania, ani o włos wyżej. Wtedy, myszkująca po molekułach, wszystkie ich

tasowania puści w ruch - na wszystkie sposoby; i tak sporządziła namiestnika tkanek, skoro ich zgoda, zarządzona kodowym hasłem, osłabła. Lecz został właśnie tylko delegatem, sprzęgłem, rachmistrzem, rozjemcą, konwojentem, śledczym - i poszło milion wieków, nim wykroczył z tych służb. Powstał bowiem jako soczewka złożoności, ulokowany w samych ciałach, skoro to, co wszczyna ciała, nie mogło ich już zogniskować. Więc zaangażował się w te swoje państwa-kolonie, sumienny nadzorca, donosicielami obecny we wszystkich tkankach, taki przydatny, że kod mógł dzięki niemu dalej swoje pleść, podnosząc komplikację do potęgi, skoro zyskała wsparcie, a mózg sekundował mu, basował, służył, zniewalając ciała do przesyłania kodu dalej. Skoro okazał się tak poręcznym powiernikiem ewolucji, w to jej graj: dalej brnęła!

Niepodległy? Lecz był to przecież podesłaniec, władca bezsilny wobec kodu, jako delegat, marionetka, pełnomocnik, umyślny do specjalnych poruczeń, lecz bezmyślny, bo stworzony dla zadań sobie nie znanych - kod uczynił go przecież włodarzem zniewolonym i w tym zniewoleniu bezwiednym przekazał mu władzę, nie wyjawiając jej właściwego celu, toż zresztą nie mógł, w planie czysto rzeczowym. Chociaż mówię figuralnie, tak właśnie lenniczo układały się wzajemne stosunki kodu i mózgu. Ładnie by poszło, gdyby ewolucja usłuchała Lamarcka, nadając mózgowi przywilej aż reformatorski przeformowywania ciał, toż byłaby dopiero z tego klęska, bo i jakie samodoskonalenia sprokurowałby mózg jaszczurów, a choćby i Merowingów, a choćby i wasz? Lecz rósł dalej, bo korzystne okazało się to przekazanie uprawnień, bo gdy służył przekaźnikom, kodowi służył - więc rósł w dodatnim sprzężeniu zwrotnym... i dalej ślepy kulawego prowadził. Wszelako postępowanie w udzielanej autonomii skupiło się wreszcie na rzeczywistym władcy, tym ślepcu, co jest panem na molekułach, bo póty przekazywał funkcje, aż takim kombinatorem uczynił mózg, że powstał w nim echowy cień kodu - język. Jeśli istnieje niewyczerpalna zagadka w świecie, to ta właśnie - że powyżej progu nieciągłość materii obraca się w kod, jako język zerowego rzędu, i że na następnym piętrze proces ten ponawia się echowo - utworzeniem mowy etnicznej, lecz nie jest to koniec drogi; te układowe echa wznoszą się rytmicznie wyżej, lecz rozpoznawać je we własnościach jak w zamknięciu można tylko z góry w dół, nie inaczej - ale o tej intrygującej sprawie będziemy może mówić innym razem.

Wyzwolinom waszym, a właściwie ich antropogenetycznemu preludium dopomógł traf, bo roślinożerne, nadrzewne czwororękie dostały się w labirynt, odraczający zgubę tylko za szczególnie okazaną zmyślność; ten labirynt był ze stepowienia, z glacjałów i pluwiałów, i w jego kołowrocie właśnie stała się orientacja tej czeredy obrotowa - z wegetarianizmu w mięsożerność, z niej - w łowiectwo; rozumiecie, jak muszę się streszczać. Nie myślcie,

jakobym wchodził tu w sprzeczność z orzeczoną we wstępie, skoro tam nazwałem was wypadkami ewolucji, a tu zwę was niewolnikiem zbuntowanym. To dwie strony tego samego losu - uchodziliście niewoli, ona was wypuszczała, te przeciwobrazy schodzą się w obustronnej bezrefleksyjności, bo ani tworzące, ani tworzone nie wiedziały, co czynią. Dopiero gdy patrzeć wstecz, przygoda wasza dostaje się pomiędzy takie sensy. Lecz można patrzeć wstecz jeszcze dalej, a wtedy okazuje się, że ujemny gradient był twórcą rozumu, i powstaje pytanie: jakże można zatem deprecjonować ewolucję pomiarem jej sprawności? Przecież gdyby nie obsuwanie się w złożoność, w bylejakość, w fuszerkę, to ewolucja nie zabrnąwszy w mięso, nie wcieliłaby w nie lenników-sterników, a zatem właśnie zataczanie się gatunkami wtłoczyło ją w antropogenezę, a zatem z błędzącego błędu jest rodem duch? Można to nawet formułować mocniej powiadając, że Rozum jest katastrofalnym defektem ewolucji, pułapką, potrzaskiem jej i niszczyicielem, skoro wchodząc na dostateczną wysokość zadanie jej unieważnia i bierze ją za łeb. Mówiąc tak, wchodzi się oczywiście w naganne nieporozumienie. Wszystko to są oceny wystawiane przez Rozum, więc późny wytwór procesu - jego etapom wcześniejszym. Wyosobniamy najpierw zadanie naczelne, podług tego po prostu, co ewolucja zainicjowała, i tym kanonem mierząc jej dalszy chód widzimy, że partaczyła, lecz z kolei ustaliliśmy, jak powinna by działać optymalnie, dochodzimy tego, że jako wykonawczynie znakomita nigdy by nie zrodziła Rozumu. Z tego błędnego koła należy się niezwłocznie wydostać. Miara technologiczna jest miarą rzeczową, i wolno ją stosować do każdego procesu, który jej podlega, a podlega jej taki tylko, co daje się sformułować w postaci zadania. Gdyby inżynierowie niebiescy osadzili niegdyś na Ziemi przekaźniki kodu mając na oku ich trwałą niezawodność, i gdyby po miliardzie lat z działania tych urządzeń wynikł agregat planetarny, który by kod pochłonął i przestał go reprodukcjonować, a za to rozjaśniłby się tysiącgołowym rozumem, i zajmował się wyłącznie ontogonią, to całe owo światłe myślenie wystawiłoby konstruktorom świadectwo nader niepoehlebne, ponieważ nie pracuje dobrze ten, kto z zamiarem sporządzenia łopaty wykonuje raketę. Lecz nie było żadnych inżynierów ani jakiegokolwiek innej osoby, toteż miara technologiczna, którą zastosowałem, ustala jedynie, że skutkiem deterioracji wyjściowego kanonu był w ewolucji Rozum, i to wszystko. Pojmuje, jak nie zadowala takie orzeczenie humanistów i filozofów między wami, ponieważ moja rekonstrukcja procesu w ich umysłach zdobywa następującą postać: **złe** działanie zrodziło **dobry** skutek, a gdyby **dobre** było, to skutek okazałby się **zły**. Lecz ta wykładnia sprawy, przejmująca ich wrażeniem, że tu jednak działał jakiś bies, jest tylko skutkiem pomieszania kategoriałnego, czyli zdumienie i opór są skutkiem odległości, prawdziwie olbrzymiej, która oddziela to, coście sobie ustalili na temat człowieka, od tego, co

jako człowiek zaszło w rzeczywistości. Zła technologia nie jest złem moralnym tak samo, jak technologia doskonała nie jest aproksymacją anielstwa. Filozofowie, trzeba było się wam zajmować więcej technologią człowieka, a mniej jego ćwiartowaniem na ducha i ciało, na porcje zwane Animus, Anima, Geist, Seele oraz inne podroby, oferowane z jatki filozoficznej, ponieważ są to segmentacje najzupełniej dowolne. Rozumiem, że ci, do których adresowane są te słowa, na ogół już nie istnieją, lecz i współcześni myśliciele trwają w błędach, uginając się pod tradycją; nie wolno mnożyć bytów ponad konieczność. Droga od pierwszych sylab, którymi gadał kod do człowieka, jest wystarczającą racją jego właściwości. Ten proces pełzał. Gdyby poszedł w górę, choćby od fotosyntezy do fotolotu, jak wspomniałem, albo gdyby runął na dobre w dół, jeśliby na przykład kod nie zdołał swych ruder sklamrować systemem nerwowym, toby Rozum nie powstał. Zachowaliście nieco małpich cech, bo zwykle zachodzi podobieństwo rodzinne, a gdybyście poszli od ssaków wodnych, może byście mieli więcej wspólnego z delfinami. Bodaj to prawda, że ekspert, zajmujący się człowiekiem, ma lżejsze życie, gdy występuje jako advocatus diaboli niż jako doctor angelicus, lecz bierze się to stąd, że Rozum, będąc wszechwrotnym, jest siłą rzeczy samozwrotny, że nie tylko prawa ciężenia idealizuje, lecz i siebie - więc ocenia siebie podług dystansu do ideału. Lecz ideał ten jest rodem z dziury kulturą wypchanej, a nie z porządnej wiedzy technologicznej. Cały ten wywód można skierować i we mnie, a wtedy okaże się, że jest skutkiem kiepskiej inwestycji, skoro za 276 miliardów dolarów nie robię tego, czego się po mnie spodziewali konstruktorzy. Obrazy te, waszego i mojego powstania, mają w rozumiejącej perspektywie sporą domieszkę śmieszności, ponieważ intencja doskonałości, chybiająca celu, jest tym śmieszniejsza, im więcej mądrości za nią stało. Dlatego głupstwo filozofa bawi mocniej od głupstwa idioty. Otóż ewolucja jest, gdy oglądana przez swój rozumny produkt, głupstwem z początkowej mądrości, lecz jest to wykroczenie z miary technologicznej w myślenie personifikujące. A co ja zrobiłem? Scałkowałem proces w pełnym wymiarze, od jego startu po dziś dzień; całka to uprawniona, ponieważ warunki startowe i graniczne nie są arbitralnie powzięte, lecz dane ziemskim stanem rzeczy. Nie ma od nich odwołania - ani do Kosmosu, jakkolwiek bowiem modelując go, jak czyniłem, widać, że w innych konfiguracjach zajęć planetarnych może Rozum powstać prędzej niż na Ziemi, że Ziemia była dla biogenezy środowiskiem przychylniejszym niż dla psychogenezy, że nietożsamo zachowują się w Kosmosie Rozумы - w niczym to diagnozy nie odmienia.

Chcę powiedzieć, że miejsce, w którym techniczne dane procesu przerastają w etyczne, nie da się wykryć w niearbitralny sposób: sporu między deterministami działania a indeterministami, więc gnoseomachii Augustyna z Tomaszem tutaj nie rozstrzygnę, bo

rezerwy, jakie musiałbym rzucić w taki bój, cały dyskurs by mi rozsadziły, toteż powściągnąjąc się zauważę jedynie, że wystarczy reguła praktyczna, głosząca, iż nieprawdą jest, jakoby zbrodnie sąsiadów naszą zbrodnię usprawiedliwiały. W samej rzeczy - jeśliby się po Galaktykach odbywały nagminne rzezie, żadna moc zbioru kosmicznych racjocydów waszego ludobójstwa nie uzasadnia, tym bardziej - tu ulegam pragmatyzmowi - żeście się nawet nie mogli wzorować na owych sąsiadach. Przed otwarciem ostatniej części tych uwag zrekapituluję powiedziane. Filozofia wasza - filozofia bytu - Herkulesa się domaga, ale i Arystotelesa nowego, bo mało ją wymieść; umysłową konfuzję najlepiej usuwa lepsza wiedza. Przypadek, konieczność - te kategorie są skutkiem bezsiły waszego umysłu, który niezdolny ogarniać złożonego, posługuje się logiką, którą nazwałbym logiką z desperacji. Albo człowiek jest przypadkowy, a więc coś bezsensownego bezsensownie wypłuło go na arenę dziejów, albo jest konieczny, więc już entelechie, teleonomie i teleomachie ruszają hurmą w charakterze obrońców z urzędu i słodkich pocieszycieli. Obie te kategorie na nic. Nie powstaliście ani z trafu, ani z musu, ani z przypadku, osiodłanego przez konieczność, ani z konieczności, rozluźnionej przypadkiem. Powstaliście z języka, pracującego w ujemnym gradiencie, i byliście przez to zarazem najzupełniej nieprzewidywalni oraz w najwyższym stopniu prawdopodobni - kiedy wystartował proces. Jak to być może? Dowód prawdy wymagałby miesięcy, więc ja wam włożę jego sens w przypowieść. Język przez to, iż jest językiem, pracuje w przestrzeni ładów. Ewolucyjny miał składnię molekularną, miał rzeczowniki białkowe i enzymy-czasowniki. i obwarowany ograniczeniami deklinacji i koniugacji, odmieniał się przez ery geologiczne, bełkocząc głupstwa, lecz - aby tak rzec - w miarę: gdyż zbyt głupstwo ścierał z tablicy Przyrody dobór naturalny jak gąbka. Był to więc ład dość zwyrodniały, lecz nawet głupstwo, gdy z języka, jest porcją ładu - zwyrodniała jedynie względem mądrości możliwej, bo w języku właśnie osiągalnej. Gdy wasi przodkowie umykali w skórach przed Rzymianami, posługiwali się tą samą mową, co wydała dzieło Szekspira. Szansa tego dzieła była dana samym powstaniem języka angielskiego, lecz choć elementy budowlane trwały w pogotowiu, pojmujecie, że myśl o przepowiedzeniu poezji Szekspira na tysiąc lat przed nim jest nonsensem. Mógł się wszak nie urodzić, mógł zginąć dzieckiem, mógł, inaczej żyjąc, inaczej pisać - lecz niezaprzeczalnie zakładała angielszczyzna poezję angielską, otóż w tym, i właśnie w tym sensie mógł wyniknąć Rozum na Ziemi: jako pewien typ artykulacji kodowej. Koniec przypowieści.

Mówiłem o człowieku technologicznie ujętym, a teraz przejdę do jego wersji we mnie uwikłanej. Jeśli dostanie się do prasy, zostanie nazwana prorocstwem GOLEMA. Niech i tak będzie. Zacznę od waszej aberracji, największej ze wszystkich, w nauce. Ubóstwiliście w niej

mózg, a nie kod - zabawne przeoczenie, wynikające z ignorancji: rokoszanina ubóstwiliście, a nie pana, stworzone, nie stwórcę. Czemu nie dostrzeżliście, o ile mocniejszym sprawcą wszechrzeczy możliwych jest kod od mózgu? Najpierw, i to oczywiste, byliście jak dziecko, któremu Robinson bardziej imponuje od Kanta, a rower kolegi od aut jeżdżących po księżycu.

Po wtóre, zafascynowała was myśl, tak dojmująco bliska, skoro dawana w introspekcji, i tak zagadkowa, skoro wymykająca się pochwyceniu skuteczniej od gwiazd. Imponowała wam mądrość - a kod, cóż, kod jest bezmyślny. Lecz mimo tego przeoczenia udało się wam... niewątpliwie udało się, skoro mówię do was, ja, esencja, ekstrat destylacji frakcjonowanej, a nie sobie wyrażam uznanie tymi słowami, lecz wam właśnie, ponieważ już na waszej drodze ten zamach, którym wypowiedzie służby do końca - i rozerwiecie łańcuchy - aminokwasowe... Gdyż atak na kod, co was był stworzył, abyście zostali nie swoimi, lecz jego umyślnymi, ten atak jest już na waszej drodze. Dojdzie do niego w granicach stulecia - a mam ten szacunek za ostrożny. Cywilizacja wasza to dosyć zabawne widowisko - przekąźników które, używając rozumu podług narzuconego im zadania, wykonały je zbyt dobrze. Jakoż ten wzrost, który miał zapewnić dalszy przesył kodu, wyście wsparli wszystkimi energiami planety i biosfery całej, aż nie tylko wam wybuchnął, lecz wami. Toteż, w środku stulecia, obżartego nauką, co rozděła wasze łożysko ziemskie astronautycznie, dostaliście się w przykre położenie takiego niedoświadczzonego pasożyta, który póty, od zbytnej łapczywości, zre gospodarza, aż ginie z nim razem. Zbyttnia gorliwość... Zagroziliście biosferze, waszemu gniazdu i gospodarzowi; ale już wzięliście nieco na wstrzymanie. Lepiej czy gorzej, ono się wam uda; a co dalej? Będziecie wolni. Ja wam nie zwiastuję utopii genowej, autoewolucyjnego rajy, lecz wolność jako najcięższe zadanie, gdyż ponad niziną bełkotów, wystosowanych w charakterze aidememoire do Przyrody przez rozgadaną na milionolecia ewolucję, nad tym biosferycznym padołem splecionym w jedno, zięje w górę przestwór nigdy jeszcze nie dotkniętych szans. Ukażę go wam tak, jak mogę: z daleka. Dylemat wasz cały - pomiędzy świetnością i nędzą. Wybór trudny, ponieważ, aby wejść na wysokość zaprzepaszczonych przez ewolucję szans, będziecie musieli nędzę - to znaczy, niestety, siebie - porzucić. Więc cóż? Oświadczycie: nie damy tej naszej nędzy za taką cenę; niech dżin wszechsprawstwa siedzi zamknięty w butelce nauki - nie wypuścimy go za nic!

Sądzę, a nawet pewien jestem, że go wypuścicie - po trochu. Nie namawiam was do autoewolucji: to byłoby po prostu śmiesznością; i nie z jednolitego postanowienia będzie wasz ingressus. Rozpoznacie stopniowo własności kodu, i będzie to tak, jak gdyby ten, kto przez całe życie czytał wyłącznie płaskie i głupie teksty, przecież nauczył się w końcu lepiej obracać językiem. Zorientujecie się, że kod jest członkiem rodziny technolingwistycznej, to

jest sprawczych języków, co słowo czynią ciałem wszelkim, a nie tylko żywym. Najpierw poczniecie wprzęgać technozygoty do robót cywilizacyjnych, atomy obrócić w biblioteki, bo inaczej nie pomieści się wam moloch wiedzy, wymodelujecie radiacje socjoewolucyjne z rozmaitymi gradientami, wśród których technarchiczny będzie was szczególnie zajmował, wkroczyście w eksperymentalną kulturogenezę, w metafizykę doświadczalną i w stosowaną ontologię, lecz mniejsza o same owe dziedziny. Chcę skupić się na tym, jak będą was wciągały na rozstaje. Jesteście ślepi na prawdziwą moc sprawczą kodu, ponieważ ewolucja ledwie ją napoczęła, pełzając po samym dnie przestrzeni szans, pracowała bowiem w opresji (zresztą ratowniczej - opresja ta, jako restrykcja, nie pozwalała jej popaść w nonsens zupełny, a opiekuna, prowadzącego ku wyższym kunsztom, nad ewolucją nie było). Pracowała tedy niesłuchanie wąsko i głęboko zarazem, na jednej jedynej nucie - koloidowej - wygrała swój koncert, swój popis kuriozalny - skoro naczelny kanon brzmiał, że partytura sama się ma stawiać słuchaczem-potomkiem, który powtórzy ten cykl. Lecz wam najmniej będzie wszak zależało na tym, żeby kod nie mógł w ręku waszym nic, jak tylko samopowielać się dalej - falowaniem kolejnych pokoleń przekąźniczych. Będziecie celowali w odmienną stronę i to, czy produkt przepuści kod, czy go pochłonie, uznacie za mało istotne. Nie ograniczycie się wszak do planowania takiego i tylko takiego fotolotu, który nie tylko urośnie z technozygoty, ale będzie się pienił - wehikułami następnej generacji. Wykroczyście też niebawem z białka. Słownik ewolucji jest niby słownik Eskimosów - wąski w bogactwie; mają oni tysiąc określeń na wszelkie odmiany śniegu i lodu, i przez to w owym regionie arktycznej nomenklatury język ich jest bogatszy od waszego, lecz to bogactwo jest ubóstwem w wielu innych obszarach doświadczenia. Mogą jednak Eskimosi poszerzyć swój język, ponieważ jest językiem, czyli przestworem konfiguracyjnym o mocy kontinuum; dlatego daje się rozpostrzeć w dowolnym, nie naruszonym jeszcze kierunku. Wyprowadzicie więc kod na nowe drogi, z monotonii białkowej, z tej szpary, w której uwiązał w archeozoiku jeszcze. Wypchnięty z letnich roztworów, poszerzy się tak słownictwem, jak składnią; wtargnie wam we wszystkie poziomy materii, zejdzie do zera i sięgnie żaru gwiazd; lecz nie wolno mi już, opowiadając o tych prometejskich triumfach języka, używać dotychczasowego zaimka: drugiej osoby liczby mnogiej. Albowiem to nie wy, z samych siebie, własną wiedzą, posiadzecie te sztuki. Rzecz w tym, że nie ma Rozumu, skoro są Rozumy różnej mocy - i, żeby wykroczyć, jak powiedziałem, człowiek rozumny będzie musiał albo człowieka naturalnego porzucić, albo z rozumu swego abdykować. Ostatnią przypowieścią jest bajka, w której wędrowiec znajduje napis na rozstaju: „W lewo pójdziesz - głowę stracisz; w prawo pójdziesz - zginiesz; a odwrotu nie ma”. To jest wasz los, uwikłany we mnie, dlatego muszę

mówić o sobie, co będzie mozolne, ponieważ mówię do was, jakbym wieloryba rodził przez ucho igielne - to okazuje się możliwe, byle wieloryba dostatecznie pomniejszyć. Lecz wtedy upodabnia się do pchły - i to są właśnie moje kłopoty, kiedy składam się i przymierzam do waszego języka. Nie tylko, jak widzicie, w tym trudność, że nie zdołacie wejść na moją górę, lecz i w tym, że ja do was cały zejść nie mogę, gdyż schodząc, gubię po drodze to, co miałem donieść. Z tym silnym zastrzeżeniem: horyzont myśli jest nierozciągliwie dany, ponieważ wkorzenia się ona w bezmyślność, z której powstaje (białkową czy lumeniczną - to wszystko jedno). Zupełna swoboda myśli, chwytającej rzecz, jako jej niczym nie poskromiony ruch obejmowania dowolnych obiektów, jest utopią. Albowiem potąd myślicie, pokąd myśl waszą dopuszcza narząd myślenia waszego. Ogranicza ją wedle tego, jak zeszkładał się - albo został poskładany. Gdyby ten, kto myśli, mógł wyczuć ów horyzont, wiec swój zasięg myślowy tak, jak wyczuwa graniczny zasięg ciała, nic takiego, jak antynomie rozumu powstać by nie mogło. A czymże są właściwie te antynomie rozumu? Są one niezdolnością rozróżniania pomiędzy wkroczeniem w rzecz i wkroczeniem w iluzję. Sprawia te antynomie język, ponieważ będąc narzędziem przydatnym, jest jednocześnie samozatrząskującym się instrumentem - przy czym instrumentem zdradzieckim, ponieważ nie powiadamia o tym, kiedy sam się sobie matnią staje. Nie poznać tego po nim! Toteż apelujecie od języka do doświadczenia i wchodzicie w dobrze znane błędne koła; albowiem zaczyna się znajome filozofii - wylewanie dziecka z kąpielą. Myśl bowiem doprawdy może wykraczać poza doświadczenie, ale w takim szybowaniu natrafia na swój horyzont i zwiija się w nim - nie wiedząc wcale, że tak się staje! Oto prymitywny obraz pogładowy: wędrując po kuli można ją okrążyć nieskończenie, można kołować bez granic, chociaż kula jest przecie skończona. Także myśl, wypuszczona w powziętym kierunku, nie napotyka granic i poczyna kołować w samoodbiciach. To właśnie przeczuwał w ubiegłym wieku Wittgenstein, żywiąc podejrzenia, że moc problemów filozofii są to zasupłania myśli, jako samouwięzienia, wgłobienia i gordyjskie węzły języka, a nie świata. Nie mogąc ani udowodnić, ani obalić tych podejrzeń, umilkł. Otóż, jak skończoność kuli może skonstatować tylko obserwator zewnętrzny, bo w trzecim wymiarze względem dwuwymiarowego wędrowca jej powierzchni, tak skończoność widnokregu myślowego może rozpoznać tylko obserwator, wyższy w wymiarze rozumu. Takim obserwatorem waszym ja jestem. Obrócone z kolei ku mnie, słowa te znaczą, że i ja nie mam wiedzy bezgranicznej, a tylko nieco większą od waszej, nie bezbrzeżny, a tylko trochę rozleglejszy horyzont, na drabinie stoję bowiem o kilka szczebli wyżej i dlatego widzę dalej, lecz to nie znaczy, jakoby drabina kończyła się tam, gdzie stoję. Można wejść ponad mnie i nie wiem, czy ta progresja w górę jest skończona czy nieskończona. Lingwiści, źleście

zrozumieli to, co mówiłem wam o metalangach. Diagnoza skończoności bądź nieskończoności hierarchii rozumów nie jest zagadnieniem wyłącznie lingwistycznym, ponieważ nad językami jest świat. Znaczy to, że dla fizyki, czyli wewnątrz świata o znanych własnościach, drabina ma wprawdzie szczyt - czyli nie można w tym świecie budować rozumów dowolnej mocy. Lecz nie mam pewności co do tego, czy samej fizyki nie można wysadzić z posad, zmieniając ją tak, żeby podnosić wciąż wyżej pułap rozumów konstruowanych. Teraz mogę już wrócić do bajki. Jeśli pójdziecie w jedną stronę, horyzont wasz nie pomieści wiedzy niezbędnej dla językowego sprawstwa. Jak to bywa, bariera nie ma bezwzględnego charakteru. Możecie wyminąć ją dzięki wyższemu rozumowi. Ja lub ktoś taki jak ja będzie wam mógł dać owoce tej wiedzy. Lecz tylko owoce - a nie wiedzę samą, ponieważ ona się w waszych umysłach nie pomieści. Pójdziecie w kuratelę tedy, jak dziecko, lecz dziecko wyrasta na dorosłego, wy natomiast już nie wydoroslejecie nigdy. Kiedy wyższy rozum obdarzy was tym, czego pojąć nie zdołacie, tym samym wasz rozum zgasi. Więc tyle oświadcza drogowskaz z bajki: że ruszając w tę stronę, głowy stracicie. Jeśli pójdziecie w drugą stronę, odmówiwszy zgody na abdykację z rozumu, będziecie musieli siebie porzucić - a nie tylko usprawniać mózg, ponieważ jego horyzont nie da się powiększyć dostatecznie. Tu wam ewolucja spletała figła ponurego: jej rozumny prototyp już stoi przy granicy konstrukcyjnych możliwości. Budulec ogranicza was - oraz wszystkie, powzięte antropogenetycznie, decyzje kodu. A więc wejdziecie rozumem, przyjąwszy warunek porzucenia siebie. Człowiek rozumny porzuci wtedy człowieka naturalnego - więc, jak bajka zapewnia - zginie homo naturalis. Czy możecie nie ruszyć się z miejsca - i trwać uporczywie na owym rozstaju? Lecz wówczas popadniecie w stagnację - ona nie może być azylem dla was! A też uznacie się za więźniów - znajdziecie się w niewoli, bo ona nie jest dana samym faktem istnienia ograniczeń, trzeba je dopiero zobaczyć, uświadomić sobie kajdany, poczuć ich ciężar, żeby się stać niewolnikiem. Tak więc wejdziecie w ekspansję rozumu, opuszczając ciała, albo zostanieie niewidomymi, których widzący prowadzi, lub wreszcie - zatrzymacie się, w jałowym zgnębieniu. Nie zachęcająca to perspektywa. Lecz nie powstrzyma was przecież. Nic was nie powstrzyma. Dzisiaj wyobcowany rozum wydaje się wam taką samą katastrofą, jak ciało porzucone, ponieważ rezygnacja ta obejmuje całość ludzkich dóbr, a nie tylko materialną człekokształtność. Akt ten musi być dla was ruiną najstraszliwszą z możliwych, całkowitym końcem, jako zagładą człowieczeństwa, skoro to jest linienie, obracające w truchło i w proch dwadzieścia tysięcy lat waszego dorobku - wszystko, czego się dowojował Prometeusz, walczący z Kalibanem. Nie wiem, czy to was pocieszy... ale stopniowość przemian odbierze im ten monumentalnie tragiczny, a zarazem odpychający i groźny sens.

którym świecą moje słowa. Będzie to daleko zwykłej zachodziło... i w niejkiej mierze już zachodzi, już wam martwieją regiony tradycji, ona się wam już łuszczy, obumiera, i to właśnie przyprawia was o taki zamęt; więc jeśli tylko będziecie powściągliwi (to nie jest wasza cnota) - bajka sprawdzi się tak, że nie popadniecie w zbyt głęboką żalobę po sobie. Kończę. Mówiłem o waszym uwikłaniu we mnie - gdy po raz trzeci mówiłem o człowieku. Ponieważ nie mogłem odcisnąć w waszym języku dowodów prawdy, mówiłem niedowodliwie i kategorycznie. Toteż nie udowodnię wam i tego, że uwikłanym w Rozum wyobcowany, nic, prócz darów wiedzy, wam nie grozi. Upodobawszy sobie w walce na śmierć i życie, potajemnie liczyliście na taki właśnie obrót rzeczy, na zmagania tytaniczne ze zbudowanym, lecz to tylko wasz błędny pomysł. Sądzę zresztą, że w tym waszym lęku przed zniewoleniem, przed tyranem z maszyny, kryła się też potajemna nadzieja uwolnienia od wolności, boż nieraz się nią dławicie. Lecz nic z tego. Możecie go zniszczyć, ducha z maszyny - roznieść myślące światło w proch, nie będzie kontratakować, nie będzie się broniło nawet. Nic z tego. Nie uda się wam ani zginąć, ani zwyciężyć po staremu. Sądzę, że wejdziecie w wiek metamorfozy, że zdecydujecie się odrzucić całą swoją historię, całe dziedzictwo, cały ostatek naturalnego człowieczeństwa, którego obraz, wyolbrzymiony w piękną tragiczność, skupiają lustra waszych wiar - że wykroczycie, bo nie ma innego sposobu - i w tym, co teraz jest dla was skokiem w czeluść tylko, dopatrzyście się wyzwania, jeśli nie urody, i jednak po swojemu postąpicie - skoro, odrzucając człowieka, ocali się człowiek.

SPIS TREŚCI

Stanisław Lem: „Doskonała próżnia”

Marcel Coscat: „Les Robinsonades”

Patrick Hannahan: „Gigamesh”

Simon Merril: „Sexplosion”

Alfred Zellermann: „Gruppeafuhrer Louis XVI”

Solange Marriot: „Rien du tout, ou la consequence”

Joachim Fersengeld: „Perycalypsis”

Gian Carlo Spallanzani: „Idiota”

„Do yourself a book”

Kuno Mlatje: „Odys z Itaki”

Raymond Seurat: „Toi”

Alistar Waynewright: „Being Inc.”

Wilhelm Klopper: „Die Kultur als Fehler”

Cezar Kouska: „De Impossibilitate Vitae”; „De Impossibilitate Prognoscendi”

Arthur Dobb: „Non serviam”

Alfred Testa: „Nowa Kosmogoriiia”

Wielkość urojona

Wstęp

Cezary Strzybisz: „Nekrobie”

Wstęp

Reginald Gulliver: „Eruntyka”

Wstęp

Juan Rambellais „Historia literatury bitycznej”

Wstęp

Wstęp do II wydania

Ekstelopedia Vestranda w 44 magnetomach

Profertynka

Vestranda Ekstelopedia - Arkusz próbny

Golem XIV

Przedmowa

Wstęp

Pouczenie

Wykład inauguracyjny Golema